З. Ш.

DOM CEDROWY

FELIKS BRODOWSKI

DOM CEDROWY

KSIĄŻKA MYŚLI

PRZYPOMNIEŃ I OPOWIEŚCI

1922

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

POZNAŃ — LWÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — WILNO

1922 — DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

WSTĘP

1. MARZENIA DAWIDOWE.

„Ja nie patrzę na to, na co patrzy człowiek: bo człowiek patrzy na to, co jest przed oczyma, Pan zaś patrzy na serce“.

O patrzeniu na serce i w serce mówili różnemi czasy różni ludzie i mówili bardzo pięknie, ale ze słów, tu przytoczonych, bije majestat znaczniejszy od wszelkich ludzkich piękności krasomówczych. Twierdzi Pismo Święte, że te słowa wyjęło z ust — Boga. Wyrzekł je Pan, ludowi Izraelskiemu Panujący, wtedy, gdy pouczał Samuela, iż z synów Isajego najmłodszy, ten co pasał owce po górskich pastwiskach, obrany został przez Pana na króla izraelskiego nie dlatego, że był ten mały pastuszek „wdzięcznych oczu i piękny na wejrzenie“, lecz — dla jego *serca*. I na niem nie zawiódł się Pan. Ułomne — jak wszystkie serca ludzkie, — grzeszne, dostępne namiętnościom to serce zostało Mu jednak wierne, kamiennie wierne w swem przywiązaniu, w kulcie, któremu nic, do zgonu, nie zdołało odjąć cechy jakiejś chłopięcej szczerości, prostoty i naiwności. Skórę zwierzęcia, sznurem nad biodrami przepasaną — zwykły odziewek pasterski — zastąpiły szkarłaty i złocistości królewskiego stroju; dojrzałemu umysłowi otwarło życie głębie swych tajemnic; nadeszły lata zgrzybiałości, ale serce Dawida zostało zawsze sercem pastuszka, który śród trzody białych owiec, na zielonem wysłonecznionem wzgórzu pada—niewiadomo jaką mocą tknięty— na kolana i, wyciągając ręce ku Niewidzialnemu, jakby Go widział, woła: „Tyś jest Bogiem!“ I płacząc, to śmiejąc się — nieświadom powodu, ani łez tych, ani wesołości, układa — lecz

nie sam: wespół z roześmianemi wzgórzami i chórami ptasząt, hymny do Boga. Przejrzał Pan jego serce. A co jest sercem? Prostota, szczerość, naiwność.

Temu to Dawidowi — tysiącolećmi od nas oddzielonemu, a tak jakoś bliskiemu, jakby spółczesnemu—zdarzało się owego czasu, gdy to jeszcze tułał się po puszczy, ścigany jak zwierzę przez łowców, gdy to krył się w pieczarach i po rozpadlinach górskich, — że przypadłszy na sen gdzieś na kamieniu, marzył sobie, zapatrzony w migające doń przyjaźnie gwiazdy—o *domie cedrowym*. Wyczarowane w młodzieńczem marzeniu otwierały się przed oczami bezdomego tułacza jasne izby królewskie, z niepożytych drzew Libanu pobudowane z rzeźbionemi stropami, piękne a ciche, zasłuchane w jakąś melodję podniosłą. Czy nie tę, która w jego piersiach wzbierała tęsknotą ku Panu Niewidzialnemu? Mnie się zdaje, że gdy ten pastuch, co zwojował Goljata, to chłopię, obyte z głodem i chłodem, z porykiwaniami dzikiego zwierza, twardością łoża kamiennego i wszelką niedolą tułactwa, ten poeta, spoufalony z przyrodą i wyczuwający ją głęboko i subtelnie—jak to z psalmów jego co moment widać, — to serce zacne, rozmiłowane w Bogu i wyczuwające Go tak niemal zbliska i bezpośrednio, jak owce Dawidowe wyczuwały dłoń pastuszka, gdy je nią głaskał, — gdy on marzył o domu cedrowym, o siedzibie królewskiej, to nie dlatego, by w niej siebie umieścić, swoją osobę uczcić, lecz by uczcić królewskość, co na niego spłynęła w dniu, kiedy Samuel na głos Pana: „Wstań a pomaż go, boć ten jest!“ pomazał go na królestwo izraelskie. Marzył o domu cedrowym, któregoby się nie sromał Duch Pański, „co został nad Dawidem od onegoż dnia, i na potem” (1 Samuel. XVI, 13). Jakoż, gdy po długich latach spełniły się jego marzenia, gdy któregoś tam roku Hiram, król Tyrski, przysłał mu „i drzewa cedrowe i cieśle, i kamienniki, i murarze, którzy zbudowali dom Dawidowi”, on w tem widział nie swoje wywyższenie, lecz wywyższenie królestwa jego (2 Sam. V, 12). A cóż było królewskością jego i skąd szło? Z pomazania Samuelowego i Ducha Pańskiego. Dla tego to Ducha pastuszek o wdzięcznych oczu i miły na

wejrzenie wyczarował swą tęskną pieśnią — królewski dom cedrowy! I oto stało się, że w tym domu wymarzonym zamieszkał ten, któremu Pan przez Natana proroka powiadał: „Tak mówi Pan Zastępów: Jam ciebie wziął z owczarni od owiec, abyś był wodzem nad ludem moim, nad Izraelem” — pasterz, wódz, wojownik, król i poeta, harfista, prapraszczur Józefa „męża Marji, z której się narodził Jezus, którego zowią Chrystus”. O rzeźbione stropy domu cedrowego poczęły się obijać roztęsknione dźwięki Dawidowej harfy i z słowami psalmu dziękczynnego: „Śpiewaj-że Panu wszystka ziemio!” płynęły w nieskończoność lat i przestworzy ku Temu, „który jest nadzieją wszystkich krajów i dalekiego morza”, którego prawda trwa „od narodu do narodu”. I słusznieby uczynił domu tego mieszkaniec, gdyby na odrzwiach dał napis ze słów swoich: „Nie nam, Panie, nie nam, ale Imieniowi Twemu daj chwałę dla miłosierdzia Twego, i dla prawdy Twojej!”.

W ten sposób stało się zadość potrzebie uczczenia królewskości, spływającej na człowieka w momencie, gdy Pan wskaże go, mówiąc: „Ten-ci jest, któregom serce przejrzał”. Ale nie tu był jeszcze kres marzeń Dawida, bo niema kresu tęsknica, gdy się raz rozpręży w piersiach i chce objąć ogromy ogromów i wchłonąć piękności Boga, mieniące się, jak powierzchnia morza. Królewskość pozyskała Dom Cedrowy, a Pan dotąd go nie miał. Pan Izraela, nawiedzając lud swój, po dawnemu zamieszkiwał w przenośnym namiocie, sporządzonym jeszcze przez Mojżesza. Pobudować Panu dom z najsędziwszych olbrzymów Libanu — wspaniały i niepożyty — oto czego jeszcze pragnął dawny pastuszek, zawstydzony, że mieszka w pałacu, gdy Pan jest tułaczem. — Dawid marzył i tęsknił — bo kochał. Miłość jest najpotężniejszym przejawem życia, wiążącym żywe z żywem; życia nie można powiązać z abstrakcją; miłość musi wyczuwać, widzieć i słyszeć to, co kocha. On miłością — zmysłem nieskończenie czulszym od fizycznego zmysłu dotyku — wyczuwał Boga; oczami widział go w jego dziełach, rozumiejąc, że najistotniejszych cech twórcy szukać trzeba w jego tworach; słyszał go w natchnieniach proroctwa. Nikt w sposób równie

prosty, a zarazem równie piękny, przejmujący i niewzruszony nie sprzyjaźnił nas z Bogiem jako bytem nawskroś realnym, w którym nie ma miejsca na abstrakcje, gdyż każdy w nim moment jest wyczuwaną rzeczywistością.

Ale marzenie o pobudowaniu cedrowej świątyni temu Ogromowi ogromów jest marzeniem o — syntezie Boga. Temu marzeniu Dawida nie było sądzone się ziścić. Świątyni nie pobudował, a z tej, którą pobudował syn jego, śladu niema. Czemuż to? Bo Dom Cedrowy nie ma być dziełem człowieka, lecz ludzkości; budowa jego jest najistotniejszem z jej zadań; w niem nieskończone potoki istnień ludzkich spływają w jakąś jedność; bez tego powiązania byliby ludzie, szczepy, narody—nie byłoby ludzkości.

* * *

2. O BUDOWIE DOMU CEDROWEGO.

Płyną sobie marzenia Dawidowe przez wieki i tysiącolecia, zawsze świeże, pełne żywej treści, i zawsze zdolne pobudzić do nowego marzenia... Kiedyś, dawno już temu począłem i ja marzyć o domu cedrowym—nie dla siebie. Z tych marzeń zczasem powstała ta książeczka. Ze sposobów różnych budowania domu cedrowego książka bywa najnieudolniejszym. Gdyby Bóg był sztuczką filozoficzną, byłoby mu bez wątpienia mile i zacisznie środ logicznych wywodów, na których byt jego miałby się opierać; że zaś jest żywym bytem realnym, więc książka nie będzie dlań domem cedrowym i w niej nie zamieszka, natomiast i w chacie nawet zamieszka, gdy zacny czyn ją wzniesie. Jest to budownictwo serca i dlatego tak wolno idzie, gdyż musi wciągnąć do tej roboty wszystkie serca. Synteza Boga—nim myśl ją sformułuje—musi się dokonać w czynach, z prostoty i szczerości płynących, i dlatego łatwiejsza jest dla dziecka, niż dla filozofa. Dlaczego koniecznie w czynach? Zdaje mi się to rzeczą prostą. Nie możemy Bogu odmówić tych wartości, które w ludziach są przedmiotem naszej czci; skoro mamy cześć dla prawdy—Bóg musi być prawdą; skoro mamy cześć dla cnoty — Bóg musi być cnotą; skoro uginamy się przed wolą — w Bogu musi być wola, miłość, piękno; dać zaś świadectwo prawdzie można tylko czynem,—cnocie, miłości, woli, czy pięknu—tylko czynem! Bierwiona domu cedrowego, niepożyte jakby z olbrzymów Libanu wycięte—to czyny. Każdy poryw zacny to już budowanie, już pozyskana przesłanka w syntezie Boga. Czemuż to tak wolno idzie? Pomyślmy. Budownictwo

materjalne musi pokonywać bezwład materji: cegła sama się nie ruszy, kielnia sama do niej nie podleci, wapno samo się nie rozrobi; duchowe — musi przezwyciężyć bezwład ducha, opór jego — czasem bierny, czasem szamocący się, zły, złośliwy i skowyczący. Kiedyś świat musiał być bezwładem sennym i odrętwiałym. Lecz oto gdzieś roziskrzyła się Wola. Prężna potęga potęg! Jej wyrazem był ruch — i oto coś drga, faluje, trąca się, przyciąga i odtrąca. Był to ów moment „stawania się światłości”. Bezwład zeszedł w ciemności; życie i ruch wezbrało potokiem; na falach światłości popłynęło Marzenie, którego urzeczywistnieniem stał się świat. To samo stało się z duchem; w jego bezwładnych i ciemnych odmętach wyiskrzyła się Miłość, a z nią cnota, piękno — wszystko co jest w niej i z niej płynie; wezbrany, jasny potok popłynął skroś ciemności, łamiąc bezwład i opór czasem bierny, czasem złośliwie szamocący się i skowyczący. Tego potoku nic nie wstrzyma, nic nie zdoła go zawrócić. Dlaczego? Bo pchnęła go Wola. Co może zgasić Wolę? Nic, nic zzewnątrz; wolę zgasić może wola sama—i nic prócz niej. A czy tej Woli nie może przeciwstawić się inna, tkwiąca w ciemnym, opornym tamtej bezwładzie? Nie może, ponieważ to byłoby wyrazem czynu, ruchu—to zaś nie są atrybuty bezwładu, lecz tej właśnie Woli, która wprawiła materję w ruch, a w ducha tchnęła Miłość. To raz. A powtóre — nie może być dwu Woli. Gdyby były dwie, przeciwstawiające się sobie, byłoby to dowodem, że Wola nie jest pierwiastkiem, że daje się rozłożyć na coś jeszcze innego, że, słowem, nie z wolą mamy do czynienia, lecz z czem innem. A tymczasem bez woli nie może powstać czyn, nie może powstać ruch, nie mógł powstać świat. Skoro powstał — wola jest i jest jedna. Skoro zaś jest jedna i zgasić jej nie może nic, prócz niej samej, tedy nic nie wstrzyma i nie odwróci potoku wezbranych wód życia, ruchu, miłości. Potok ten stanie i świat zgaśnie, gdy Wola sama siebie zgasi. Ale to jest jeśli nie bluźnierstwem, to absurdem. Wola jest potęgą nad potęgami — ale czy nad sobą? Ale, co prawda, nie frasuję się o to. Miałem wiele trosk w życiu, ale dwie były mi obce: troska o koniec świata i o to,

co będę porabiał po śmierci. W moim domu cedrowym — prawda, bardzo skromnym, ale czystym i widnym, śmierć nie chodzi w czerni i nie straszy wygniłemi oczodołami; chodzi sobie w bieli, krasie i uśmiechnieniu wiosennem może dlatego, że nosi dwa imiona: jedno z chrztu, drugie z bierzmowania — pierwsze Śmierć, drugie Narodziny.

Potok jasności, rozedrganej czynem, ruchem, miłością i torującej sobie drogę przez bezwłady oporne i ciemne—oto dzieje i tragedja ludzkości, dzieje i tragedje narodów, historja i tragedja każdego człowieka. Pokonywanie bezwładu ducha trwa oto tysiącolecia. Ale cóż to są tysiącolecia i czy wogóle są jakie tysiącolecia, a gdyby były — to czem się wydadzą wobec tych, jakich potrzeba było na wykrzesanie z mgławicy jakiegoś jednego światka, np. ziemskiego! Nie idzie zatem o tysiącolecia, lecz o to, by w nich żaden moment nie marnował się przy budowie Domu Cedrowego. Powolność tej budowy wynika—jak zaznaczyłem—z tego, że musi ona sprząc wszystkie serca—co były, co są i co będą, aby stało się jedno serce i w niem zamieszkał Bóg. Trudności jej tkwią w tem, że każdy buduje sam, na własną rękę i własną odpowiedzialność. Nikt go nie zastąpi. Nikt nie poda mu cegły—musi ją sam wziąć; nikt nie włoży mu kielni do ręki — musi ją sam ująć; nikt nie rozrobi mu wapna — wszystko sam musi uczynić. Co zbuduje, to ma. Gdy da zręby z zacnego czynu, coś z tego będzie. Gdy nie da, nic z tego nie będzie. Powstanie z rąk jego złuda, w której on sam zamieszka, nigdy — Bóg. Bóg jest jędrną żywością i żywą treścią, więc podoba sobie w jędrnym, żywym czynie. Złuda przystoi bezwładowi, to — jego mieszkanie, jego łoże, to — on sam.

* * *

Gdy zatem każdy budować musi sam, gdy ani zastąpić go, ani nawet pomóc mu nie można, jak nie można wyręczyć w narodzinach i śmierci—jakąż tedy przy budowie domu cedrowego korzyść dać może książka, jaką dać może ta oto książka? Co na niej zakładać i czego od niej oczekiwać można? Prócz

zachęty—niczego więcej. Nie poważyłbym się nawet pouczać, tem mniej wdrażać do czegoś lub podawać jakieś metody budowania, choćbym je miał za najdoskonalsze. Pouczenia, maksymy i metody idą z serca, własnego serca; nikomu nie przyprawię innego nad te, które ma. Ale wolno mi zachęcać i prosić. Oto budujecie dom cedrowy. Buduje go wasze serce. Czy aby je znacie? Kiedyś było ono przejrzyste, można je było przejrzeć i w niem się przejrzeć i może był ktoś, co w niem z upodobaniem się przeglądał. Był to czas wąszego dzieciństwa, prześwietlonego prostotą i szczerością; znaliście wtedy prawdę i podobaliście sobie w niej. Ale każdy rok i dzień czemciś zasuwał jej jasność; na sercu waszem narastały zrazu warstwy jakieś obce, potem całe pokłady, a te zczasem stwardniały w opoki. To narastało wasze doświadczenie życiowe czyli wyćwiczenie w kłamstwie; to dojrzewała i twardniała mądrość życiowa — mądrość i umiejętność kłamstwa, ta miska soczewicy, na którą wymieniliście wasze pierworodztwo, wasz skarb najdroższy, bezcenny—prawdę życia! I jakże teraz odnaleźć serce wasze, jak dostać się do niego skroś skamieniałe narosty? Bo ono jest; kłamstwo pogrzebało je żywem i to małe, dziecinne, prawe serce, które niegdyś mieliście tuż pod ręką, i dziś bije gdzieś głęboko, pod opoką. Jest oskard, co najtwardszą przebije, ale nazywa się — cierpienie. A wam mądrość życiowa przekładała — unikaj cierpienia, po co cierpieć; przekładała wam tak dlatego, aby wytrącić wam z ręki jedyny ratunek, jedyne narzędzie, z którego pomocą moglibyście odzyskać wasze serce i prawdę. Zważcie więc, jak ta rzecz prosto się tłumaczy. *Kłamstwo* — przeczenie prawdzie — jest rzecznikiem, bronią, narzędziem *bezwładu* — przeczenia ruchowi i czynowi, płynącym z woli. Owóż kłamstwo czyli mądrość życiowa — uśpiło waszą wolę, uśpiło ją pieszczotą wygód życia. Każdy bezwład zachwala i zaleca—wygodę: „Jam jest wygoda, jam jest spokojne, ciche użycie! Jam jest miękkie łoże, tłuste jadło, czara wina, biała obnażona pierś kobieca. Jam nektar i sens życia!” — A jest — kłamstwem. Dacie je za podwalinę waszej budowie i zbudujecie kłamstwo; zamieszkacie w niem

i staniecie się kłamstwem. Skąpany w jasności prawdy potok życia, ruchu, miłości i czynu zdmuchnie was, odepchnie w głuchą ciemnię Hadesu. A nie myślcie, aby ów bezwład lub niebyt — jak tam będziecie woleli nazwać — miał być *ukojeniem*. Pewnego wiemy o nim to tylko, że brak mu woli, ale czy brak mu też—pożądania? A pożądanie bez woli, nie wsparte wolą, jest najstraszliwszą z mąk, męką niemocy...

Prawda jest jedna, wola jest jedna, więc i droga przed wami jest tylko jedna. Droga czynu — czyli zacności. Ale czyliż czyn bywa tylko zacnym? Tak — tylko zacnym; niema i nie może być czynów niezacnych, złych — jak niema i nie może być woli złej, gdyż jest jedna tylko — dobra. A cóż w takim razie są łotrostwa, tych łotrostw bez liku, od których aż jęczy i ugina się ziemia? Ziemia wcale się od nich nie ugina i nigdy się nie ugnie. Na ziemi ważkiemi są tylko wartości dodatnie; one tylko są istotnemi, są bytem realnym. To, co nazywamy dobrym czynem, a co wystarczy nazwać poprostu czynem, jest wartością pozytywną; to, co nazywamy złym — negatywną. Pierwszy ma byt rzeczywisty, niewzruszony i niezniszczalny — niezależny od złud czasu i przestrzeni. Drugi występuje, jako wartość, tylko w złudzie czasu i przestrzeni; jako negacja — jest wyrazem bezwładu, kładącego się na drodze życia, ruchu, czynu. Nie frasujmy się o to. Odlećmy-ż trochę w górę i spójrzmy na ziemię, jaką była w stanie poczwarki, gdy kształtowała się z kawała mgławicy, i dziś, gdy ją okryje majowa krasa. Żaden cud się nie stał, przeszedł tylko tędy potok życia. Tak przejdzie nad łotrostwem i łotrami i rozkwieci maj ducha.

Ale wy nie stawajcie przeciw potokowi. Ktoś uśpił waszą wolę; zbudźcie ją—niczego więcej nie trzeba. I obmyjcie ręce, aby je mieć tak czyste, jak były w dzieciństwie — i budujcie dom, nie zaś kłamliwą złudę. Połóżcie mu za podwalinę czyn. Przezeń zwiążecie się z bytem realnym, jedynym bytem realnym, bo nieuzależnionym od tego aparatu postrzegawczego, który nazywamy czasem i przestrzenią, powiążecie się z Bogiem. Powiążecie się tak bezpośrednio, jak z żadną inną rzeczą nigdy

i nigdzie powiązać się nie zdołacie. Wasz dotyk, wzrok, słuch, wasz cały intelekt wiąże was nie z rzeczami, lecz z tem, co wydaje się rzeczą. Wszystko — wydaje się, wydaje się, wydaje się! Jeden Bóg nie wydaje się, lecz — jest. Jest taki, jak jest. I takim, jak jest, dotyka go każde czyste, niewinne dziecko — sercem. Odnajdźcie je i znów dotkniecie Boga zacnością czynu, który stanie się w tym samym momencie, w którym zbudzicie wolę. Bo wola i czyn, wola i ruch — to jedno.

* * *

Do młodych, tylko do młodych i niezaprawnych do kłamstwa mówię.

Co można powiedzieć staremu, wytrawnemu kłamcy? Chyba to, że skoro pracował wytrwale nad niebytem, niech-że go jak najprędzej osiągnie. Ustąp i nie zawadzaj! A gdy w Hadesie, który wymarzyłeś sobie, jako raj wygody i beztroski, dotkną cię męki pożądania, męki niemocy — to dobrześ je zasłużył.

Ale młodych szkoda. Zważmy, że młodość jest zawsze czyjąś nadzieją. Sądzę, że nie wpadając w mistycyzm, możemy powiedzieć — nadzieją Boga. Bo czemże my jesteśmy, jeśli nie jakiemś urzeczywistniającem się marzeniem Boga? Tej Woli, rozedrganej w czynie, ruchu, miłości. W każdych narodzinach Bóg pokłada jakąś nadzieję, od każdej młodości czegoś się spodziewa, patrzy na nią z troską i zasępia się, gdy spotyka go zawód.

Zważmy, że potok się nie wraca. Nic i nigdy się nie wraca! Natomiast, biegnąc po spiralnej linji, jaką wykreśla każde życie, musimy w każdym nowym jej zwoju przebiegać koło tych miejsc i momentów, w których byliśmy już kiedyś. W tem jest coś straszliwie smutnego. Nigdy, nigdy nie wróci moment, w którym to niegdyś można było uniknąć błędu lub zaniedbania — i ten błąd lub zaniedbanie będą nam przytomne zawsze. Choćbyśmy potem Bóg wie ile dobrego uczynili — tamtego nic nie wymaże z pamięci, nie wykreśli z wieczności. — Dawno temu, lat ze trzydzieści, miałem służącą staruszkę. Starość czasem bywa tylko starością, czasem zaś — nadto jeszcze i kalectwem

i wtedy ma osobliwsze i zwiększone prawo do wyrozumiałej łagodności. W tej starowince było coś kalekiego, co wyrażało się w jej zgryźliwości i mrukliwości, owocu jakichś cierpkich, jątrzących przeżyć. Wszystko ją dotykało i drażniło; niecierpiała dzieci, nie cierpiała zwierząt — słowem, kalekie biedactwo. Kiedyś ktoś podrzucił nam pokaleczonego kociaka; dom nasz często bywał przytułkiem dla rozmaitych wykolejeńców ze świata zwierzęcego. W kociaku mało co się już życia kołatało — i bywał nieporządny, a to irytowało służącą. Podchodzę raz do domu i postrzegam, jak w mieszkaniu naszem na 3 piętrze otwiera się lufcik i czyjaś ręka wyrzuca kociaka. Oczywiście, nie było co już podnosić. Wpadłem na górę i ofuknąłem babinę z taką pasją, jaka nigdy mi się nie zdarzała. I oto widzę, jak jej drobna postać jeszcze bardziej się kurczy i skula, jakby w podłogę wrastała; jak w przestrachu wyciąga swe chude ręce, a po zwiędłem, pomarszczonem, zmiętem jej licu ściekają dwie duże łzy, ściekają wolno przez wyżłobiny zmarszczek. Gdym ją utulił, ucałował, przeprosił — rychło mi wybaczyła uniesienie. Ale te dwie łzy gdzieś zostały, zawisły gdzieś na całą wieczność; noszę je z sobą — ciężkie, ołowiane... A przecież było to względnie niewielkie uchybienie prawu serca, które nakazuje wprawdzie żałować kociaka, ale nie pozwala fukać na starość ułomną i sfukaną przez życie. Co było powodem tego uchybienia? Załamanie się woli, woli panowania nad sobą.

Owóż – nic się nie wraca, nic przywrócić nie można. Życie nie jest filmą, z której możnaby wyciąć jakiś fragment i rozcięte brzegi skleić. Z uchybień i załamań powstają w naszej budowie wyrwy, których nic już nie wypełni i jakkolwiek staranną i uważną byłaby dalsza praca nasza przy budowie domu cedrowego, coś w niej szwankuje, a to — boli i sprawia, że w sercu otwiera się jakaś malutka ranka, skąd kropla goryczy sączy się i ścieka tak wolno, jak łza. I to jest najistotniejsza gorycz, jakiej doświadczyć możemy w życiu; wobec niej niepowodzenia losowe, wszystkie gorzkości, jakiemi życie darzy nas z zewnątrz, są głupstwem, drobiazgiem — o którym wspominać, myśleć,

uwagę nań zwracać — nie warto. Bylebyśmy my sami nic nie mieli sobie do wyrzucenia. O to prosić młodych, do tego zachęcać trzeba.

* * *

Chciałbym coś powiedzieć o genezie tej książeczki i wyjaśnić — czemu taką, a nie inną jest jej struktura.

Jej pierwocin muszę się doszukiwać w dzieciństwie. Zastanawia mnie tam zwłaszcza jedno wspomnienie, które występuje mi w pamięci z rzeźbioną dokładnością, choć odnosi się do listopada roku 1868. Miałem wtedy cztery lata. Trzymałem kogoś za rękę i wyglądałem przez okno na podwórze naszego domu. Widziałem za oknem jakąś mglistość, coś zimnego i szarością nasiąkłego, dużo ludzi, tłum, a śród niego bardzo dziwny przedmiot. Zapytałem, co to jest, a osoba, która trzymała mnie za rękę — ktoby to był, nie pamiętam — powiedziała mi: „To jest trumna, w której odchodzi twój ojciec”. Nie sprawiło to na mnie żadnego wrażenia, bo nie mogło mi się pomieścić w głowie i ani na jedną chwilę temu nie uwierzyłem. Tłum począł się ruszać; poszli; ucichł czyjś płacz za oknem. Gdy podwórze opustoszało, pobiegłem do łóżka, na którem ojciec sypiał, było puste; potem szukałem po wszystkich pokojach, zaglądałem do wszystkich kątów, a choć nigdzie go nie było, nie położyło to kresu mojej niewierze, aby mógł być tam, w tej czarnej skrzynce. Podszedłem teraz do innego okna, wychodzącego na ogród. Wzdłuż sztachet ogrodu sunął ciemny, dymami spowity kondukt, ale mnie nie zajmował; patrzałem w głąb ogrodu, zasypanego śniegiem, i myślałem sobie, że teraz tam pójść nie mogę, lecz gdy ogród się zaciepli i zazieleni — pójdę tam i znajdę ojca, bo skoro nie w domu się gdzieś ukrył, to chyba w ogrodzie. W każdym razie gdzieś się schował, może bawić się chce ze mną w chowanego, tak dziwnie. Ale w skrzynce, którą ludzie ponieśli, niema go z pewnością.

Owóż — ta pewność, której nic w dziecku wzruszyć nie mogło, pewność — że cokolwiekby tam być mogło w owej

skrzyni czarnej, lecz nigdy nie mój ojciec, nigdy nie ten, którego objęło serce jego dziecka, który w niem już zdążył zamieszkać — nie opuściła mnie nigdy, ani na jedną chwilę. Ale również nie opuszczało mnie pytanie — gdzież się podział? Szukałem go wytrwale. Po owej zimie zazielenił się maj i zabielał kwieciem nasz sad wiśniowy, ale mego ojca w nim nie było, tylko matka moja uzbierała tam fiołków i, układając z nich wiązankę, poszepnęła: „Twój ojciec je lubił". Potem któregoś dnia zaprowadziła mnie na cmentarz, wskazała mi jakąś płytę, kazała mi uklęknąć i modlić się. Modliłem się — alem nie uwierzył. Zaciąłem się w uporze, żeby go szukać i — znaleźć.

I znalazłem. I nawet nie trzeba było daleko go szukać, nigdzie się nie krył, był tuż tuż — był we mnie. — Rozumiem, że przelać w was tę pewność, przelać ją w każdego nie jest rzeczą łatwą, choć znów może nie jeden przejmie ją bez żadnych argumentów, jako prawdę tak jasną, iż nie wymaga wyjaśnień i dowodzeń. Ale czemużby nie poszukać i argumentów. Rzeczy, które się głęboko i szczerze czuje, powinnoby się jasno rozumieć. I wistocie rozumie się je jasno, a pomimo to wyrażenie ich, a więc rozlanie tego rozumienia rzeczy nazewnątrz mózgu, w którym powstało, napotyka trudności, wynikające zarówno ze znacznych różnic indywidualnych, jakie zachodzą w naszych aparatach postrzegawczych—np. pomiędzy słuchem artysty i słuchem człowieka, nie mającego ucha muzykalnego, okiem malarza i niemalarza, — jak i z tego, że w sposobach naszego postrzegania występują nie tylko konieczności, uwarunkowane naszym ustrojem fizycznym i umysłowym, lecz i pewne znałogowania, od których nie umiemy lub nie chcemy się wyzwolić. Jeśli coś rozumiem, to na pewno to postrzegam, lecz mój aparat postrzegania i sposoby tegoż tyle mogą się różnić od aparatu i sposobów postrzegania mego towarzysza, że choć wprowadzę go na te same drogi myślowe, po których przeszedłem, kształtując swoje postrzeganie i rozumienie rzeczy, jednak nie mogę ręczyć, że on postrzeże i zrozumie ją tak, jak ja. Ale bezwzględnych przeszkód również

niema. Muzyk i nie-muzyk żadną miarą bezwzględnie uzgodnić swych wrażeń słuchowych nie mogą, lecz uzgodnienie postrzegania myślowego można bardzo daleko posunąć. Będziemy tedy tego próbowali; to właśnie jest poniekąd zadaniem tej książeczki.

Twierdzę więc, że odnalazłem mego ojca i odnalazłem go w sobie. Nie znaczy to, żeby we mnie miał być zamknięty, lecz znaczy, że znalazłem go nieograniczonego żadną przestrzenią, skutkiem czego mógł dotrzeć do mnie, chociaż przed laty zabrano mi go w skrzynce, zabitej gwoździmi. Doszedłem do tego wyniku drogą zmysłowego postrzegania, wspartego nieskomplikowanym procesem logicznego myślenia.

Co to są zmysły? Są to cenne narządy, przy pomocy których wrażenia przenikają do naszej świadomości i dzięki którym możemy należycie spełniać różne funkcje, związane z naszym bytem. Ilość zmysłów jest nieograniczona. Mówimy wprawdzie o pięciu, ale jednocześnie mówimy np. o zmyśle kupieckim, zmyśle żeglarskim. Są to określenia zupełnie właściwe i ścisłe, zmysły bowiem kształtują się i wyrabiają w miarę potrzeby. Są istoty, którym wystarcza niewiele zmysłów, inne dla wypełnienia funkcyj swego bytu potrzebują ich wiele. W miarę rozszerzania się sfery wrażeń, a raczej — mówiąc ściślej — w miarę ujawnionego w naszej woli dążenia do rozszerzenia tej sfery—zmysłów przybywa, a temu dążeniu i temu przybywaniu nie umiemy wskazać granic. Szereg pięciu zmysłów — *a b c d e*—jest podstawowym w tem znaczeniu, że bądź w skojarzeniu, bądź pojedyńczo biorą one udział w powstawaniu nowych zmysłów, do nowej potrzeby i funkcji dostosowanych. Odrębność nowopowstającego zmysłu wynika ze sposobu skojarzenia w nim tych czy innych zmysłów z szeregu zasadniczego, ze stopnia zaostrzenia tego lub innego ze zmysłów w tym ich związku i z przydania jakiejś cechy i funkcji, nieprzewidzianej w szeregu *a b c d e.* Odpowiednia analiza winna nam w każdym wypadku ujawnić genezę, składniki i funkcje zmysłów nadliczbowych, które może właściwsze byłoby nazwać — wewnętrznemi. Zmysły mogą doskonalić się, powstawać i zani-

kać na przestrzeni osobniczego życia; w dziedziczeniu zaś nabierają czasem cech wydatniejszych. W pewnych warunkach zmysł odrębny, wybitnie zindywidualizowany, nazywamy talentem. Z nabyciem nowego zmysłu nie wyrasta nam jakiś specjalny guz na ciele, ale w funkcjach mózgu wyraźnie ujawnia się obecność jakiegoś ośrodka, pozwalającego nam odbierać wrażenia i przetwarzać je na czynności zupełnie niedostępne dla osobników, pozbawionych tego ośrodka.— Każdy zmysł — o ile narząd jego i mózg nie uległ patologicznym zboczeniom—wiąże nas z jakąś rzeczywistością; jest wyrazem jakiejś realnej potrzeby, wywiązującej się w życiu, odbiera i przynosi nam wrażenia realne, idące od rzeczy i bytów realnych, nie urojonych. Halucynacje wzrokowe, słuchowe i jakie bądź inne są objawem schorzenia i nie mogą być brane pod uwagę. W technice działania zmysłu mogą czasem zachodzić usterki, powodujące omyłki, naogół jednak możemy na normalnie działających zmysłach polegać i wistocie polegamy. Myśliwiec polega na swoim zmyśle, żeglarz na swoim, artysta na swoim, poeta na swoim i t. d. Każdy z nich dlatego polega na swoim zmyśle, że widzi w nim dostarczyciela wrażeń realnych, idących od rzeczy i zjawisk realnych, nie zaś urojonych. Gdy który z nich postrzeże, że coś mu przytępia, osłabia, wypacza jego zmysł, będzie się strzegł wówczas podejmowania funkcyj, regulowanych tym zmysłem, w obawie, że zamiast z rzeczywistością, wchodzącą w zakres jego objęcia, zmysł ten powiąże go z jakiemś urojeniem, a to byłoby zgubą i dla myśliwca, i dla żeglarza, i dla artysty i t. d.

Jest zmysł bardzo ciekawy. Nazywa się — miłość. Gdy ludziom będzie zbywało czasu od bzdurstw, to niewątpliwie przedsięwezmą bardziej umiejętne, niż dotąd, badania nad genezą, strukturą i funkcjami tego zmysłu. Nie jest to mojem zadaniem, ani obowiązkiem. Mnie wystarcza stwierdzenie, że jest to zmysł, zmysł niesłychanie wyczulony, tkwiący w ośrodku, wrażliwszym nad wszystkie inne, skutkiem czego jest zdolen zabiegać w sfery rzeczywistości, zupełnie niedostępne dla innych

zmysłów; że sfera jego działania obejmuje bardzo różne poziomy rzeczywistości i na każdym z nich odbiera wrażenie o bardzo rozległej skali — i że wrażeniom, przezeń odbieranym i przynoszonym do naszej świadomości—o ile nie podlega ona patologicznym zaburzeniom — nie ma powodu nie dowierzać lub dowierzać mniej, niż zmysłowi słuchu, węchu i t. d. Raczej dowierzać im można więcej, ponieważ jest to jedyny zmysł, w swych doskonalszych przejawach zdolny powiązać nas bezpośrednio z rzeczami, nie jakiemi się wydają, lecz jakiemi są.

Powiedziano: „Myślę, więc jestem!" Odsunąwszy siebie nieco na stronę, należałoby powiedzieć: „Kocham, więc to, co kocham—jest!" Stwierdźmy czyjś byt, nie troszcząc się o nasz, a i nasz będzie stwierdzony. — Tą drogą odnalazłem ojca. Kochałem go już w ów smętny dzień listopadowy, kiedy coś skryło go przede mną, stokroć tkliwiej kocham go dziś, gdy i na mnie czeka już gdzieś czarna skrzynka. Nigdy, ani na moment nie opuszczał mego serca—więc w sercu i przez serce go znalazłem.

A razem z nim — lub może przezeń — znalazłem Boga. Wyrzuciwszy z serca pychę i kłamstwo, z prostem i szczerem uszanowaniem dotknąłem Tego, którego prawda trwa od narodu do narodu, Tego, który zawżdy był i jest „nadzieją wszystkich krajów" i mojej Ojczyzny, któremu moja miła ziemia polska, w prostocie i szczerości ludu swego, od wieków śpiewa pochwalny hymn Dawidowy; dotknąłem Go z czcią, z jaką małe chłopię przykłada usta do świętego obrazka — i odtąd kocham Go spokojną, cichą, głęboką, tkliwą, synowską miłością.

I jeszcze—ostatnie słowo. Dręczy was niemożność ujrzenia Boga w ograniczeniach przestrzennych, do których przyzwyczaiło was oko. Ależ zważcie, iż nasze postrzeganie w czasie—t. j. kolejności zjawisk—i w przestrzeni—t. j. kawałkami, fragmentami świata, wynika z celowego przystosowywania zmysłów do potrzeb, którym czynić mają zadość. Otóż szereg zasadniczy: *a b c d e* czyni zadość potrzebie poznania form materjalnych i osiąga to, posługując się aparatem czaso-przestrzennym, który odgrywa

rolę okularów. Już jednak z chwilą, gdy zechcecie poznać — a nasza wola chce poznania i temu chceniu niema granic — wewnętrzną treść, w tych formach zawartą, szereg zasadniczy nie wystarcza i musicie zdobyć nieskończoną ilość zmysłów wewnętrznych, przystosowywanych do postrzegania i poznawania nie form, lecz treści. Zmysły te posiadacie i w każdej chwili możecie się przekonać, że te zmysły, poczynając od wzroku myślowego, już są w bardzo luźnej zależności od złudy czasoprzestrzennej i aparatu, w którym ta złuda, użyteczna przy postrzeganiu form, występuje. Gdy otworzę oczy, mam przed sobą ograniczone pole widzenia; gdy je zamknę — wzrokiem myśli obejmuję nieskończoność i jednocześnie, bez trudu obejmuję zjawiska różnoczasowe. Im sfera naszego poznania, rozpychana prężnością woli, odchodzi dalej od form, a sięga głębiej w treść, tem zależność postrzegania od warunków czasoprzestrzennych staje się luźniejszą i nic niema osobliwego w tem, że w pewnym momencie zależność ta zupełnie odpada, a powołane do funkcji tego momentu zmysły, czy zmysł swobodnie wiążą nas z treścią bytów nieograniczonych czasem i przestrzenią. Zaprzeczać realności tych bytów dlatego, że nie występują w polu widzenia, posługującego się soczewkami czasoprzestrzennemi — to dziecińststwo, absurd. Czas i przestrzeń to okulary krótkowidza, a krótkowidztwo nie jest żadną normą! Kto inaczej twierdzi, nie dość, iż czyni ujmę swemu intelektowi, lecz staje się rzecznikiem bezwładu, który upiera się przy wszelkiej złudzie i każdem kłamstwie, gdyż niemi usypia wolę.

* * *

W tym przydługim wstępie zsyntetyzowałem dalszą treść tej książeczki, w tej zatem dalszej treści czytelnik znajdzie już tylko materjały do powyższej syntezy. Ten charakter materjałów myślowych występuje i w ich formie. Są to przeważnie listy, różnemi czasy pisane do paru moich przyjaciół. W listach tych podchodzę z różnych stron do przedmiotu, będącego ośrodkiem moich myśli od wielu lat. Gdy listy te mi zwrócono z propozycją

zużytkowania ich w druku, nie czułem się w prawie uskuteczniania w nich zmian, poza stylowemi i pewnemi zmianami w układzie—ponieważ i dla mnie te rzeczy pozyskały już znaczenie dokumentów, ilustrujących różne momenty procesu myślowego. Postanowiłem zachować je w postaci surowego materjału, lubo w takiej te listy i epizody myślowe są niczem więcej, jak namacywaniem drogi, szukaniem jej i może błądzeniem. Nie idzie mi jednak o narzucenie komuś dogmatów—lecz jedynie, jak powiedziałem, o zachętę do pracy nad sobą i nad budową Domu Cedrowego.

* * *

DOM CEDROWY
(MATERJAŁY)

I.

KWIAT PAPROCI.

Była zima i noc. Wokół — szara bezdenność. Stepowa równina, zasłana śniegiem, i niebo, wysłane mglistością—zlewały się w jedno. Koń, saneczki, chłop, wiozący mnie do stacji, i ja—przez długie godziny byliśmy jedynym widomym znakiem życia i ruchu na ucichłem i znieruchomiałem pustkowiu. — Po północy przybyliśmy na popas do jakiejś wioski. Był tu zajazd. Wskazano mi izbę, gdzie miałem wypocząć, mając ruszyć dalej dopiero o świtaniu. Izba była duszna, osowiała, znikąd żaden odgłos tu nie dochodził; chłodem i bezludziem jakoś ciągnęło. Było mi tu nudno, pusto i sieroco, gorzej, niż tam wpierw, na sankach, na wolnem bezgraniczu zimy i stepu śnieżnego. Ale pojawia się chłopina, który mnie odwoził, i pyta, czy będę spał, czy nie; jeśli nie — to o parę chat dalej odprawia się wieczornica, może tedy tam pójdziemy. Poszliśmy. Jak to czemuś przyjemnie było wejść między ludzi, gdzie pachniało sprawami żywych serc i myśli; jak daleko została za nami pustka i osowienie nocy! Izbę dość przestronną skąpo oświetlało zdaje się jedno jakieś łuczywko, od którego po kątach mrok jeno bardziej jeszcze gęstniał. Wpadały weń ostre, czerwone blaski i kolebały ciemność; wtedy z niej wynurzały się i w nią znów zapadały twarze zebranych. Przyjrzeć się zrazu nikomu nie mogłem. Na nas, gdy weszliśmy, nikt uwagi nie zwrócił, nikt się nam nie przyglądał, nikt nie zapytał—kto i skąd jesteśmy; odeszliśmy pod ścianę, ktoś się odsunął, uczyniono nam miejsce na ławie i oto już byliśmy cząstką gromady ludzkiej, czemciś

przejętej i spojonej wspólnością odczuć. Słuchano bajki. Opowiadała jakaś babina, siedząca w ciemnym kącie; czasem, w dotknięciu blasków łuczywa, zaczerwieniała chustka na jej głowie; ale twarzy jej do końca nie zobaczyłem, choć wiele innych — młodych, świeżych, ładnych chłopięcych i dziewczęcych—zwolna w pomroku rozeznać zdołałem.

Opowiadała mistrzowsko. Stara, osłuchana bajka o kwiecie paproci płynęła z jej ust jakby jej własny, żywy twór poetycki. Tyle własnej pomysłowości w nią wkładała, tak ją rozelśniła warjantami, w które wtchnęła własne, żywe odczucia — że wszyscy, nie wyłączając mnie, słuchaliśmy, jak to mówią, z rozdziawionemi ustami. Niepodobna było wątpić, że to, o czem mówi, snuje się jej przed oczami żywe—choć bezprzestrzenne i bezczasowe. I chciało się zapytać: „W ową cichą noc letnią, przed laty, nie tyżeś to sama, drżąca i zalękniona biegła po kwiatek, wyczarowany w tęsknych ludzkich marzeniach, nie w twoim-ż to ręku lub sercu rozkwitł on i zapachniał śród cudów twej wiośnianej młodości?” Zdaje mi się, że wszyscy tak właśnie to czuli i dlatego wszystkim pewnie się zdało, że do tej mrocznej izby, wtulonej w bezdenną, szarą noc zimową, naraz werwał się podmuch wiosny, majem rozdzwonił się we wszystkich .uszach i roześmiał w młodych oczach. A szedł ten młody wiew z ust starości, która dla siebie o żadnym już kwiecie nie marzy!

Nie będę próbował powtórzyć tej opowieści; tegobym nie potrafił; ale że zapadła we mnie żywem i niezapomnianem wrażeniem, a mniemam, iż we wszystkich słuchaczach jednobrzmiące poruszyła struny, więc zawarte w tem wrażeniu brzmienia serca i myśli ludzkiej, może ogólno-ludzkiej — radbym odtworzyć.

Od czegoż to się więc zaczyna? Że ktoś udaje się na poszukiwanie cudownego kwiatka. A poco mu ten kwiatek tajemniczy, przed okiem ludzkiem zazdrośnie przez złe i złośliwe moce strzeżony? Po to, iż da mu on—jasnowidztwo. Posiadłszy kwiat paproci, posiądzie jakiś szczególny zmysł, który prześwietlać mu będzie rzeczy, nieprzeniknione dla innych; otworzą

się przed nim głębie i przestworza; żywą prawdą przed nim stanie to, co dla innych jest marą i rojeniem; dostrzeże skarby, koło których nieposiadający tego zmysłu przechodzą ślepi i głusi. Skarby te będzie mógł zabrać. — A poco mu one? Czy tylko dla siebie? O nie! Stara kobieta dobitnie to wyjaśniła:

„Czy myślicie — mówiła — że on chciał tych skarbów dlatego, żeby samemu tłusto zjeść i w puchach się wysypiać, albo swej miłej koralików co niemiara i barwnych chusteczek tuzin nakupić? Tak sobie nie myślcie. Pamiętał ci on o swej miłej, pamiętał i o sobie — że buty mu się zdarły i na sukmance ma łat zawiele, ale myślał też, z wielką troską w sercu myślał o bracie i siostrze, o ich malutkich dziatkach, marznących w nieopalonej chacie, o starej Jewdosze, co ani dachu nad głową, ani łyżki strawy często nie ma; myślał o całej wsi, miłej wsi swojej — jakby to on ją przystroił, jak ogrzał i nakarmił wszystkich, ileby radości i uciechy tam było, gdyby pojawił się z ciężkim worem tych skarbów i gdyby, zwoławszy wszystkich, do jednego, mógł do nich powiedzieć: Niech już będzie koniec waszej biedzie i łzom!"

Idzie tedy owo chłopię zacne i śmiałe — w noc głuchą, przez pustkowia niesamowite, odrętwiałe i milczące. Przykro mu trochę na sercu, ale to tylko dlatego, że on jeszcze ciemny i „głupi" — jak bez ogródek mówi staruszka — i nie wie, że wcale sam nie jest, że ma dwu towarzyszy i jednego przewodnika — mądrego i czujnego. Ten chłopiec *chce*, mocno chce zdobyć skarb—więc towarzyszy mu Wola; *nie boi się* strachów i niebezpieczeństw — więc towarzyszy mu Odwaga, przewodnikiem zaś jego jest... Ale w określeniu przewodnika staruszka nieco się splątała. „Bo to, widzicie—mówiła—jest to tak coś, jak bywa u psa: choćby go w worku nie wiedzieć ile mil od domu zawieźć—on z powrotem drogę do swej wsi zwęszy. Albo koń... W najczarniejszą noc, która człowiekowi oczy wykłuje, on w boru gęstym, powikłanym stąpa sobie tak pewnie i swobodnie, jak po gościńcu". Ponieważ jednak temu zmysłowi orjentacyjnemu — który zapewne miała na myśli — nie dała

odrazu jakiegoś krótkiego, jędrnego miana, więc w umysłach słuchaczów zarysowały się pytania:

„A czemu on poprostu nie wziął z sobą psa, ot choćby mego Czorta czarnego — ktoś zapytał — tenby go i przez piekło całego i zdrowego przeprowadził?" — „Nie. Koń byłby pomocniejszy" — wtrącił ktoś inny — i wywiązała się dyskusja, w której opowiadająca udziału nie brała i przerwę tę użyła na chrząkanie i odkaszliwanie. A ja — na krótkie refleksje:

Ile to tysięcy lat upłynęło od czasu, kiedy powstała w jakimś postrzegawczym i poetyckim umyśle ludzkim opowieść biblijna o oślicy Balaama. Szła sobie oślica drogą, dźwigając na sobie tępogłowego Balaama. Naraz postrzega oślica oczyma — czy może wyczuwa jakimś zmysłem wewnętrznym — Anioła Pańskiego. Tedy z czcią — która jest objawem psychicznym, dostępnym wszystkim zwierzętom o wyższej organizacji — ustępuje z drogi i skręca na rolę. Tępogłowy jeździec, który dla braku odpowiedniego zmysłu nic nie postrzegł, a w postępowaniu zwierzęcia dopatrywał się jakiegoś karygodnego figla, poczyna tłuc oślicę kijem i zawraca ją na drogę. Droga biegnie teraz śród winnic, między dwoma płotami. W tym wąskim przesmyku znów postrzegając przed sobą Anioła, oślica, aby mu otworzyć przejście, przyciska się do płotu, lecz wtedy przygniata nogę Balaama. To już nie figiel, lecz występek; Balaam znów wymierza jej dotkliwą karę i zmusza, by szła dalej. Wtedy Anioł „stanął na miejscu ciasnem, gdzie nie było drogi do ustąpienia na prawo, ani na lewo" (4 Mojż. XX, 26). Oślica naówczas — *uklękła*. Balaam zaś „rozgniewał się wielce i bił oślicę kijem".

W tej prześlicznej opowieści, która w dalszym swym toku pozwala oślicy przemówić ludzkim głosem i czynić panu swemu dobrotliwe wyrzuty, a Balaamowi oczy otwiera dopiero wtedy, gdy Anioł ukazał mu się w postaci dla jego zmysłów widomej, to jest w ograniczeniu przestrzennem — jest ta strona komiczna, że człowiek występuje tu z wszystkiemi atrybutami, przypisywanemi osłom, a więc z tępością, złością i uporem, gdy zwierzę ujawnia cechy istoty przenikliwej, obdarzonej zmysłem widzenia

czy czucia zjawisk i bytów bezprzestrzennych i dobrotliwie wyrozumiałej dla ułomności człowieka. Oślica nie jest winna, że posiada zmysł, którego Balaam nie posiada, przeto stara się wytłumaczyć mu swoje postępowanie, a przynajmniej naprowadzić go na drogę do zrozumienia rzeczy. „Znasz mnie, Balaamie — powiada — tyle razy nosiłam cię na sobie; czy uczyniłam ci kiedy tak, jak dziś?” Balaam wistocie potwierdza, że nigdy jeszcze tak mu nie uczyniła — ma więc przed sobą otwartą drogę do wniosku, że skoro w tym wypadku zachowanie się oślicy było tak niezwykłe, to — dla jakichś uzasadnionych, czyli realnych powodów. Zewnętrzny zmysł wzroku może oślicę—jak i każdego takim narządem posługującego się— omylić, w błąd wprowadzić. Pień przydrożny lub jakiś inny przedmiot, może być wzięty za co innego i może przestraszyć zwierzę. Gdyby taka była przyczyna, dla której oślica po raz pierwszy skręciła z drogi na pole, to ze zmianą terenu drogi, a więc zmianą otaczających przedmiotów, przyczyna ta zostałaby usunięta i zwierzę odtąd zachowywałoby się normalnie, nie dając Balaamowi powodu do irytacji, którego to powodu— jak sam stwierdza — nigdy mu nie dawała. Gdy jednak oślica i nadal zachowywała się niezwykle, szczególnie, — tak jak zachowuje się zwierzę, pragnące komuś czy czemuś ustąpić drogi— to objawy te musiały mieć jakąś realną przyczynę i ta przyczyna nie mogła tkwić w przedmiotach, mających wymiar przestrzenny, gdyż śród takich przedmiotów Balaam nie zauważył nic, coby mogło wytłumaczyć postępowanie zwierzęcia. Dlaczego jednak przyczyna dziwnego zachowania się oślicy musiała być realna? Wynika to z celowości narządów postrzegania, zawsze i wszędzie i w każdej postaci przystosowanych do realnej potrzeby, a więc do odbierania wrażeń, których źródłem jest coś realnego, nie zaś urojonego. Być może, że prócz zwykłych omyleń wzrokowych zwierzęta narówni z ludźmi podlegają halucynacjom, ale właśnie w tym wypadku opowieść biblijna kładzie nacisk na to, że oślica nie ujawniała w zwykłym biegu rzeczy żadnych szczególnych zboczeń. Było to sobie poczciwe oślisko, które Balaamowi nigdy żadnej przykrości umyślnie nie sprawiło.

Nie sprawiłoby jej i tą razą, gdyby ich poziomy postrzegania odpowiadały sobie — lecz niestety, poziom ten u oślicy był wyższy i stąd nieporozumienie, które sprowadziło cięgi na grzbiet zwierzęcia. Balaam spostrzegł swój błąd dopiero wtedy, gdy Anioł, urażony jego tępością, ukazał mu się w postaci, dostępnej postrzeganiu przestrzennemu,—w postaci człowieka i począł mu wymyślać po hebrajsku!

Od czasu tego zdarzenia, które gdyby nawet nie było prawdziwe, to byłoby doskonale pomyślane, ludzie setki razy i może setki tysięcy razy postrzegali u zwierząt jakieś szczególne objawy, znamionujące bądź daleko wyższe niż u człowieka zaostrzenie zwykłych zmysłów — wzroku, słuchu, węchu, bądź obecność jakiegoś zmysłu wewnętrznego, bardzo niezwykłego. W szeregu opowieści o takich objawach najciekawsze są te, które dotyczą przeczuć. Według tych opowieści, bardzo rozpowszechnionych, zwierzęta—zwłaszcza psy, przeczuwają rzeczy przyszłe czyli takie, które nie wystąpiły jeszcze w formie czaso-przestrzennej, a przeto nie są dostępne postrzeganiu zmysłów, przystosowanych do postrzegania w czasie i przestrzeni, i stąd nie są przez ludzi—ogół ludzi—uświadamiane. Przeczuwają—śmierć, klęski, wojny. Przeczucia te ujawniać się mają w nastroju i zachowaniu się zwierzęcia, przyczem w opowieściach rzeczonych zazwyczaj spotykamy zapewnienie, iż w danym wypadku nie można było ujawnić innych powodów niezwykłego nastroju lub zachowania. Owóż, gdyby na świecie stwierdzony został jeden tylko jedyny wypadek, w którym jakaś rzecz — przed osiągnięciem formy, postrzeganej w czasie i przestrzeni— mogła zareagować na czyjś normalny aparat postrzegawczo-poznawczy tak samo, jak reaguje po uzyskaniu formy czaso-przestrzennej, to czas i przestrzeń przestałyby być warunkiem postrzegania bytów realnych, a byłyby tylko jednym ze sposobów i to jednym z mniej doskonałych *sposobów* postrzegania. Lecz dotąd taki wypadek nie został stwierdzony. Zaś nie został stwierdzony dlatego, że umysłowość ludzka nie chce tego stwierdzenia; nie chcąc stwierdzenia — *nie chce* faktów pomienionych poddać odpowiedniemu badaniu. Niechęć ta jest wyrazem

bezwładu, opierającego się — jak Balaam — wszystkiemu, co narusza wygodną i łatwą i dlatego uświęconą optykę czaso-przestrzenną i zmusza do nadania realności bytu nie tylko *formom*, lecz i *treści* tych form. Gdybyśmy bowiem pogodzili się z funkcją zmysłu, odbierającego bodźce wrażeniowe od bytów, nie wyrażonych w czaso-przestrzennej formie, i ośrodkiem uzewnętrzniającym te wrażenia w nastrojach i czynnościach, to musielibyśmy uznać, że przyczyną tych bodźców nie jest forma, lecz—treść. Umieszczenie rzeczy w czasie i przestrzeni— jest tylko ułatwioną dla tępszych zmysłów *formą postrzegania treści*. Balaam nie chce się z tem zgodzić! Cóż mu na to zrobić. Potrzeba cierpliwie czekać, aż przejrzy—i przeprosi swą oślicę!

Na tle tych przypomnień szczególne wzbudzała we mnie zainteresowanie owej nocy dyskusja uczestników wieczornicy o niezwykłych przymiotach psów, koni i in. zwierząt. Pomyślałem sobie, że dotykam najbardziej kompetentnego źródła spostrzeżeń w tym przedmiocie, niema bowiem powodu do mniemania, aby człowiek pierwotny na punkcie wyostrzenia zmysłów miał koniecznie ustępować psu. Upośledzenie wystąpiło niewątpliwie dopiero w miarę tego, jak człowiek zatracał pierwotną elastyczność swego aparatu postrzegawczego, czyli w miarę, jak jego intelekt sztywniał i kostniał, usypiany działaniem optyki czaso-przestrzennej, jak optyka ta stawała się nałogiem myśli. Tej sztywności czucia i myślenia człowiek bliższy natury mniej podlega. Pomiędzy dobrym myśliwym i jego psem nie tylko istnieje czucie i rozumienie się, lecz w skutkach swych zespolonych czynności występują oni jakby jedna istota, która rozdwaja się tylko w złudzie czaso-przestrzennej. To też pies, temu myśliwcowi oddający nieocenione usługi, uczonemu profesorowi akademji, gdy ten się wybierze na łowy — nie odda żadnej usługi, lub bardzo skąpe

Ale wracam do cudnych rojeń o kwiatku paproci. Wspomniałem już, że do wszczętej przez uczestników wieczornicy rozmowy o tem, które ze zwierząt byłoby najbardziej użytecznem dla poszukiwacza skarbu, stara niewiasta nie wtrącała się. Oczyściwszy swe gardło od zaflegmień, czekała cierpliwie,

aż młodzi się wygadają. Jakoż głosów zwolna poczęło ubywać i naraz, jak na komendę, zacichli wszyscy. W ciszy odezwał się głosik dziewczęcy: „I co dalej, babko?” Stara podjęła mowę skwapliwie, a głos jej wypoczęty i czystszy brzmiał dźwięczniej, niż wpierw: „Aha, co dalej, babko! Dalej to — że jesteście młodzi, a więc bardzo głupi. Inaczej nie może być. Młodzi są głupi”. Zatrzymała się chwilę, jakby czekając, czy ktoś nie zaoponuje, ale nie oponował nikt.

„Spieracie się, kogo on powinien był wziąć ze sobą—psa, czy konia, Hanka zaś powiedziała, że jej przemądrzały kot najlepiejby mu się przydał. A nie zastanowicie się, czy idąc na taką wyprawę, można kogo brać z sobą. Powiedziałam wam, że temu chłopcu, dobremu chłopcu — prawdziwie wam mówię, że dobremu, bo i sama Matka Boska przychylnie na niego patrzała — towarzyszyła Wola. Ale skąd ona wyszła? Wyszła z niego. Towarzyszyła mu również Odwaga, ale ta skąd wyszła? Także z niego. Otóż i ta Mądrość, co prowadziła go za rękę — choć podobna, jak to dobrze powiadacie, do mądrości psiej, końskiej lub kociej, musiała także wyjść z niego. Gdy się idzie na taką wyprawę, trzeba mieć wszystko własne—i wolę, i odwagę, i mądrość, a co najważniejsza— dobre, bezgrzeszne serce, miłe Przeczystej Panience naszej!”

Czerwony blask łuczywa pogłaskał ją po głowie i próbował zajrzeć jej pod chustkę, twarz jej ocieniającą. Na chwilę wyjrzały—czy zdawało mi się, że wyjrzały z pod chusty—dobre, stare oczy. Szarość nocy bezdenna i zimna wciąż spowijała tę chatę, a w chacie staruszka podsycała dalej ciepły płomyk ludzkiego marzenia. Młody poszukiwacz szczęścia mija nieżyczliwe, osamotniałe pustosze. Jasny księżyc płynie nad nim. Gwiazdki mrugają doń, jak dobre siostrzyczki: „Śmiało, chłopaczku, śmiało!” Tak dochodzi do zaklętego boru. Miły Boże! któryż to bór nie jest zaklęty, któryż nie jest pełen dziwów i tajemnic, i westchnień, i zapytań, i niepokojów, i uroków, i grozy a cudów—gdy w nocne jego otulenia księżyc się wślizguje i ze szczytów sosen zsypuje swe światło po drżących gałązkach, gdy starce leśne szepczą: sza! sza! gdy leszczyny

trącaniem z sobą rozmawiają, gdy ptaki w gniazdach przez sen, po dziecinnemu jakoś kwilą, gdy za każdym pniem ktoś chowa się, nasłuchuje i podpatruje wasze kroki, gdy pełno pereł i brylantów rosy księżyc z mroków ochucha i na jaw wydobędzie, gdy zroszona gałązka, niby mokrą, chłodną dłonią muśnie wam znienacka czoło! Ile tu uroku, ile duchów — raczej dobrych, niż złych. To też chłopiec, idący po skarby dla ubogiej swej braci, tylko z początku, póki się nie oswoi z borem, słyszy same złośliwe szepty i pogróżki. Wzmagają się one, gdy podchodzi do ustroni, gdzie zaklęta śpi paproć, ale — jeśli serca nie traci i mimo uszu puszcza naszepty djabelskie — te słabną, cichną. Następuje uroczysta cisza, w której słychać kołatanie serca w młodzieńczej piersi. Teraz odzywa się głos dobrego ducha: „To tu!" Chłopiec wyciąga ręce, nachyla się, szuka. „To tu, to tu!" — słychać dokoła. Czyjeś życzliwe dłonie popychają go. I oto zabłysnął w jego ręku wymarzony kwiat. Kwiat czego? Prawdy i miłości. Dzielne i zacne chłopię przyniesie do swej miłej wioski skarb nie w worku, lecz w swem sercu i głowie. Za ten skarb nie kupi chleba żytniego i pszennego, lecz rozwidni życie ludzkiej rzeszy i zagrzeje ją do czynu, w którego plonach znajdzie się i chleb żytni, i bułka pszenna dla dziatwy, i ogień na wystygłym kominie, i dach dla Jewdochy, i uśmiech dla smutnych, i odwaga dla wątpiących!

Szarzeć zaczęło za okienkiem. Towarzysz mój trącił mnie. Wyszliśmy i za chwilę znów po stepowych, śnieżnych bezgraniczach, jak punkcik, zgubiony w przestrzeni, płynęliśmy ku dalekiemu świtaniu.

* * *

II.

O ŚWIĘTYCH PAŃSKICH I PIELGRZYMACH.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Czasem, gdy nalecą na człowieka troski i osiądą go ze wszystkich stron, gdy powszedniość pocznie dogryzać zjadliwie a codziennie,—jest człowiek jak drzewo owocowe, gdy w maju objedzą je gąsienice. Uschnąć—może i nie uschnie, ale owocu już w tym roku nie wyda. Ta niemożność owocowania zradza w duszy przygnębienie. Znużenie ogarnia. Może i na społeczności całe nachodzą takie chwile. Miałem temi dniami list od Gomulickiego *); pisze tam: „Na Polskę sypie się dziś piasek—piasek—piasek. Oby nie usypał nam—mogiły!“ To wyraz znużenia całego narodu. Oczywiście, to tylko nastrój. Mogiła się nie usypie, ale coś trzeba zrzucić z siebie, wyprostować, odetchnąć.

Marnie-m się czuł tej wiosny, jakby pod pokrywą jakąś, której ani rusz podnieść. Ciężar życia co prawda nie raz już wydawał mi się wielkim. Z doświadczenia wiedziałem, że w takich chwilach pognębienia — jednego przynajmniej nie trzeba

*) Wiktora Gomulickiego osobiście nie miałem zaszczytu znać, lecz w latach 1915—16 wymieniliśmy kilka listów z okazji — zdaje się — mojej *Resphy*, o której życzliwie napisał w *Świecie* i za którą wzamian przysłał mi swoje jubileuszowe *Pokłosie* i *Biały Sztandar*.

pozwolić sobie odebrać, jednej rzeczy się nie wyzbywać — marzenia! Gdy nie mogę odwalić ciężkiej z nad siebie pokrywy, uciekam z pod niej marzeniem. Przyznam się wam, że chciałbym kiedy napisać coś w rodzaju psychologji marzenia; bądź co bądź — jest to drugie istnienie, ma ono swój obieg, swe słońca, swe wschody płomienne i zachody melancholijne, cisze i nawałnice, swe prawa, swe momenty najwyższego napięcia i chwile depresji. Może kiedyś to uczynię.

Otóż tej wiosny marzyłem sobie któregoś dnia, cobym robił, gdyby akurat teraz, gdy tak bardzo potrzebuję odetchnienia i wypoczynku, nastręczyła mi się sposobność wyjazdu i urządzenia sobie na pewien czas życia według swego upodobania. Oczywiście, pochwyciłbym skwapliwie swe sakwy i umknąłbym gdzieś, na bezludzie. Dlaczego na bezludzie? Bo gdy człowiekowi uda się wymknąć z pod stupudowej pokrywy powszedniości, szarych codziennych aktualności życia, to chybaż nie po co innego, lecz po to, aby popracować nad wydobyciem czegoś z siebie. To, co wyczuwamy jako „znużenie życiem", nigdy nie wynika z nadmiaru dokonanych czynów — bo tego nadmiaru nigdy nie bywa, lecz — z beczynności, bezwładności, skrępowania lub uwięzienia myśli, z obezwładnienia czynu. Życie—to ruch, ruch—to czyn. Męczy i dręczy nieruchomość. I mnie zmęczyła nieruchomość myśli, przygwożdżonej prozą życia; wypoczęłaby, gdyby ją puścić wolno i pozwolić popracować nad czem innem, nie zaś nad sposobami zjednywania sobie względów tej prozy. Owóż wyzwolenia myśli nie osiągnąłbym inaczej, niż na bezludziu. Czy dlatego, że ludzie mi są nienawistni? Przeciwnie, dlatego, że ich bardzo kocham, a kochając, radbym im się czemś przysłużyć, a skąd mógłbym wziąć coś dla nich użytecznego — gdy nie z siebie. Dusza ludzka, dusza własna — to jedno jest tylko w świecie, co przyrównać można do zaklętej ustroni leśnej, w której człowiek spodziewa się znaleźć — kwiat paproci!

Tedy udałbym się na bezludzie, aby szukać czegoś w swojej duszy. Ale — bezludzie to tylko wyraz. Wyrazy nigdy nie oddają wiernie treści, zawsze tam czegoś za mało lub czegoś

za dużo. Bezludzia zupełnego niema. Zawsze ktoś nam towarzyszy, choćby nie w ciele był i krwi, choćby nie dzisiejszy, lecz z przed stu lat, z przed wieków. Takich radbym nawet przybrał. Znów — zły wyraz... Po co — przybierać, gdy coś samo się daje, a dusze same się sobie dają — poprzez czas i przestrzeń.

No i co powiecie! — życzeniom moim stało się zadość, stało się zadość niespodzianie. Najlepszy dowód, że pokrywa to jeszcze nie grób, a piasek, sypiący się na nas, to jeszcze nie mogiła. Pewnego czerwcowego ranka — manatki pod pachę i—już mnie niema pod pokrywą. Otom w polu, otom w lesie, mam słońce wokoło i w sobie, a w swej sakwie: Świętego Pawła—w Listach do Koryntów—i nasze *Księgi Pielgrzymstwa*. Oto towarzysze z za czasu i przestrzeni, a jednak tak bliscy, że nawet ich zapraszać nie trzeba, gdyż zawsze są koło nas i w nas, gdy ich tylko sami od siebie nie oddalimy.

Ci mili mi są na odludziu, gdy mam czegoś szukać. Bowiem oni szukali — i znaleźli. Jeden szukał Boga i znalazł. Drugi w pielgrzymstwie swem szukał Wolności — i znalazł. Tedy obaj pouczyć mogą — jak szukać, by znaleźć. Odkąd św. Paweł znalazł Boga, tak pouczał: „Choćbym posiadł dar proroczy, choćbym posiadł wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność, i choćbym miał wszystką wiarę, tak iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał, niczembym nie był“. Więc miłość jest tem, co przydane jakiejkolwiek wartości, dopiero wartością ją czyni — i bez miłości drogi się nie znajdzie.—Zaś Pielgrzym polski, który nie dał sobie nałożyć kajdan, pouczał: „Strzeżcie się w pielgrzymstwie utyskiwania, narzekania i powątpiewania. Grzechy to są“. Więc drogą do wolności, a może i wolnością samą jest hart ducha. Nic to dziwnego, bowiem hart ducha — to wola. Z najcięższej niewoli — niewoli bezwładu — ona to nas wyzwala, prąc od czynu do czynu. Wolny jest, kto jest mocen z siebie czyn wyzwolić.

A obaj — święty Pański i pielgrzym polski — zgadzają się z tem, że nie masz wolności, gdy jest ona udziałem jednych, nie zaś wszystkich. Pielgrzym poucza: życzycie-ż li sobie

wolności, życzcie-ż jej i innym. Święty zaś mówi tak: „będąc wolnym od wszystkich, sam siebie uczyniłem niewolnikiem wszystkich, abym ich wyzwolił...“

Elementarne to rzeczy, podstawowe. Po co się o nich rozpisuję? Wspominaliście mi kiedyś, że macie dużo znajomej młodzieży uczącej się. Chciałbym do niej trafić a przypomnieć, iż uczyć się trzeba nie tylko w akademji, lecz i u świętych Pańskich i pielgrzymów polskich.

(1917 r.).

* *
*

III.

JUBILEUSZ MARZENIA *).

Trzysta lat upłynęło od chwili, kiedy w otwartą naoścież furtę do galerji typów ogólno-ludzkich weszła, wprowadzona przez poetę i myśliciela hiszpańskiego, postać, budząca zdumienie, najdziwniejsza z tych, jakie kiedykolwiek miano tam oglądać. W ciągu tych trzech wieków, przy cichym szeleście odwracanych kart historji myśli, wchodziły różnemi furtami coraz nowe postaci i zebrał się pod wieczno-trwałemi stropami — cudnem dziełem genjuszu literatury—cały tłum nieśmiertelnych. Lecz i w tłumie całym nie zatarł się, owszem — na przedzie zawsze stoi, zawsze pcha się do pierwszego szeregu trzystuletni szlachetka z Manszy, który dotąd jeszcze nie zrzucił z siebie szczątków swej zardzewiałej, rycerskiej zbroicy. Cienki i wysmukły, jak tyczka, już zdaleka zwraca on ku wam twarz zawiędłą i chudą, z gorejącemi oczami o rozszerzonych, błędnie zapatrzonych źrenicach — patrzy się i nie widzi was, lub widzi może w jakiejś urojonej postaci, bo i dziś, jak przed laty, rzeczywistość przesłaniają mu chaotycznie skłębione mgły jego marzenia.

Dziw — mówi sobie widz zadumany, objęty uroczystą powagą tej galerji, pełnej szelestu niewiędnących liści myśli i uczuć

*) Rzecz ta, napisana z okazji 300-letniego jubileuszu Cerwantesa, drukowana była w swej znaczniejszej części w «Ogniwie» w r. 1905. Ponieważ leży w płaszczyźnie tych myśli i przypomnień, z których powstał *Dom Cedrowy*, więc uzupełnioną tu podaję.

wszechludzkich — dziw, mówi, że wieki — wieków trzy — nie utkało temu szlachetce całuna grobowego, ani pyłem strupieszenia go nie przysypało. Żyw jest. Zdaje się—że to wczoraj było, przed świtem, gdy to dosiadł on swego ostrokościstego rumaka i niepostrzeżenie wymknął się z domu. Szkapa rżała, nabierając w nozdrza aromat poranku i rosą orzeźwionej łąki, a szlachetka drżał, jak dziecko, z radości, iż uchodzi przed prozą życia, przed sytą, zaspaną prozą, łażącą po jego domu w nocnym czepku, pantoflach i zapotniałym kaftanie, przed prozą, która mu przekładała:

„Zostań w domu! Po co wałęsać się po świecie! Nigdzie nie znajdziesz bielszego chleba, niż z naszej pszenicy, nigdzie ci lepiej nie uścielą łóżka!“

Ale i za wrotami swego domu postrzega — w cichym poranku, „nad cichemi polami Montielu” —rozpostartą szarą powszedniość, nieznużenie, co dnia, powtarzającą te same dźwięki i zawieszającą przed oczami te same obrazy. Furczą, jak co dnia, skrzydła wiatraków; słychać nawoływania pasterzy i beczenie owiec; do gospód zachodzą na łyk wina zwykli ich goście, mulnicy; drogą jedzie balwierz, „obsługujący dwie wioski“; przeciąga gromadka kupców; truchcikiem, na mułach podąża dwu mnichów, osłaniających się parasolami. To znów spotyka się kondukt, mający przystojnie pogrzebać któregoś z parafjan. Dalej—policjanci prowadzą okutych złoczyńców, którzy „będą służyli królowi hiszpańskiemu na galerach“. Od wioski nadciąga procesja, obchodząca pola z modłami o deszcz — i tak, bez końca... To było wczoraj, to powtórzy się jutro. Z niewidzialnej sieczkarni sypie się równo pocięta sieczka—powszedniość. Jedzcie ją i potem układźcie się, jak muły, a zwolna jasnem się wam stanie, że w gruncie rzeczy tylko o tyle miejsca dla siebie na świecie ubiegać się warto, ile trzeba, by z jednego boku na drugi się przewrócić.

„Śpij ty, jeśliś się urodził do spania — szydzi Don Kichot ze swego giermka“. Sam zaś—czuwa i od nasennego działania codziennej dawki powszedniości broni się marzeniem. — Skłębiają się nad nim chmury; zawleczony niemi widnokrąg staje

się terenem nadzwyczajności; przestwór rozbrzmiewa dziwnemi głosy. Oto po chmurze, jak z urwiska przepaści, stacza się ucięta głowa wielkoluda; powiewny obłok przybiera kształt smukłej kobiecej postaci; gdzieś rzęży pokonany ciemięzca, skądciś płyną słodkie podziękowania wybawionej księżniczki. Szlachetka dygocze ze wzruszenia — gdybyż to on był jej wybawicielem! Ucichło — on wciąż słucha i znów zadygotał... W jakimś zaułku życia znów coś skomli, ktoś płacze... To ważna chwila, to chwila, co rozstrzygnie, czy szlachetka z Manszy stanie się nieśmiertelnym i wszechludzkim. Don Kichocie — czyś ty czuły tylko na spazmy księżniczek, gdy te cudniejsze od zorzy w aksamity się ubiorą i pereł a złota na siebie nakładą? Don Kichocie — czy słyszysz — to już nie urojenie — teraz skomli nędzny chłopczyna, nielitościwie przez majstra surowcem smagany, a teraz pojękiwa jeszcze nędzniejsza istota, złoczyńca, którego wloką, by szedł służyć królowi hiszpańskiemu na galerach? Pobiegł, pobiegł szlachetka na ratunek, wymachując swą wielką spisą... A potem, gdy na niego sarkano, gdy mu wyrzucano, że zwolnił łotrów, którzy teraz łupią podróżnych:

„Widziałem — wykrzyknął wielkim głosem — widziałem ich, gdy szli nawleczeni na łańcuch, jak ziarna różańca..."

Na przestrzeni trzech stuleci — wymieńcie, czyli z czyich ust wyrwał się krzyk, w większej niż ta głębinie duszy ludzkiej zrodzony? — „Niech sami czynią pokutę"... Zaprawdę, te słowa wyprzedziły swój czas nie tylko o te minione trzy wieki, lecz i o całą, jeszcze wymierzyć się nie dającą przyszłość...

Umiał marzyć Don Kichot, jak dziecko, złaknione nadzwyczajności, umiał marzyć — jak każdy poeta. Snuł sobie i rozpowiadał czarodziejskie, roziskrzone, złociste bajki. Oto marzy mu się jezioro śród skalnych urwisk, pełne wężów, żmij, jaszczurek, padalców. Z głębi wód zaklętych słychać ciche wołania. Rycerz skacze w odmęty, przebywa je i staje na przecudnej łące, umajonej kwiatami, obok wdzięcznej dzieweczki, z uwięzi czarów wyrwanej... I tak dalej, i tak dalej snuje się połyskliwa nić marzenia. — Jednem z najpiękniejszych jest jego marzenie „o złotym wieku". Noc zapadła; otoczony gronem prostaczych

postaci, zasmolonych pastuszków, przy blasku roznieconego ogniska. Don Kichot, po wieczerzy, z garścią orzechów w ręku, wysławia ten wiek miniony, wiek szczęśliwy, „kiedy nie znano jeszcze dwu złowrogich wyrazów *moje* i *twoje*, które teraz cały świat rozdarły“. Marzy o zdrojach czystych i rzekach rwących, o zasobach słodyczy, jakie pszczoła „bez żadnej opłaty“ każdemu oddaje; marzy o tchnieniu pokoju, przyjaźni i zgody, jaka opływała ludzi w czasach, gdy to „ostry lemiesz jeszcze nie śmiał drzeć świętych wnętrzności matki naszej, ziemi, bo ona sama z siebie hojne na całem swem ogromnem łonie wydawała plony“; marzy o otwartości „dusz prostych i zacnych“, o dziewczętach, „którym towarzyszyła niewinność, bezpiecznych od swojej i cudzych chuci“...

Ojczyzna Cerwantesa, a z nią cała ludzkość obchodzi niezwykły jubileusz. Jubileusz — marzenia! Świętem jest prawo człowieka do marzeń. Człowiek wymarzył religję, poezję, sztukę; tworzył światy w swym, nigdy nie mającym się skończyć i nieraz tragicznym wysiłku, by rozepchnąć ciasne granice powszedniego bytu. Ale są marzenia, co kołyszą do snu, i zaś inne, co są wołaniem o czyn. Są marzyciele, którzy w niemej kontemplacji cierpień ludzkich płaczą, i są inni, wartownicy i w potrzebie mściciele, którymi każdy dosłyszany krzyk wstrząsa do głębi i zniewala biec na ratunek. Gdyby Don Kichot należał do pierwszego z tych rodzajów, dawno, w całun spowinięty, prochemby się rozsypał.

Nie mamy prawa wyrzucać mu bezpłodności marzeń. Owszem—one były i są płodnemi. Cóż, gdy nie marzenie i rwące jego śladem zapalne, huraganowe uczucie, ocaliło go przed pospolitą klęską, przed wpływami powszedniości i sytej, szlafrokowej prozy, która pustoszy dusze ludzkie stałem usiłowaniem, by oswoić nas i pogodzić z tem, co ona w sobie mieści! Dźwięk, powtarzający się co dnia, łacno staje się czemś uprawnionem; obrazy, oglądane co dnia, wydają się nam naturalnemi i pozyskują prawo bytu. Niech do monotonnych szmerów powszedniości wplącze się—jęk lub płacz i niech co dnia się powtarza, zaniechamy nawet pytania, kto cierpi, dlaczego cierpi i czyby

mu nie można ująć cierpienia. Niech tam wplącze się słaba nutka radosna i stale w jednej mierze się powtarza — ani zapytamy, czy z piersi, skąd ona pochodzi, nie dałoby się dobyć tonu wyższego, pełniejszego, czystszego.

Dobry rycerzu z Manszy — za to, żeś czuwał i nie dawał się uśpić powszedniości, lecz i z marzeń swych nie uczyniłeś sobie kołysania do snu; za to, żeś, rojąc o uciśnionej księżniczce, nie zatykał uszu na jęki prawdziwe i cierpienia, jakiemi wezbrała od brzegu do brzegu rzeczywistość; żeś pobiegł ku chłopczynie smaganemu i tym, co byli „jak nawleczone ziarna różańca...“; za to, żeś był huraganem czynu, zrywającym się, jak czujna straż, przy pierwszem zawołaniu o pomoc—za to przetrwasz, przetrwasz... I stanie się, że z twej starej zbroicy ludzkość odmucha pyły i źdźbła śmieszności i na twe wychudłe ramiona zarzuci ci purpurę, o której roiłeś jako o nagrodzie za ocaloną królewnę. Twoją ocaloną królewną — słodką, białolicą, cudniejszą od zorzy—jest Marzenie, to, które podejmuje człowieka na nogi i obudza żądzę czynu!

(1905 r.).

* *
*

IV.

O PRZYJACIELSTWIE Z ZA STYKSU.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Jak to zwykle bywa, pierwszy list pociąga za sobą drugi. Drugi znów czegoś nie dopowie i otworzy drogę trzeciemu... Jest to bezwątpienia najzwyklejszem stwierdzeniem najogólniejszego prawa w świecie — prawa płynności wszystkiego, co żyje. A myśl żyje i zdaje mi się, że jest daleko istotniejszym, czyli bardziej realnym wyrazem życia, niż mózg, w którym powstała, lub lepiejby powiedzieć—w którym wydaje się, iż powstała. Dlaczego wydaje się tylko, iż tam powstała? Sądzę, że dla tej prostej przyczyny, że ruch może się tylko przetwarzać i występować w różnych postaciach, ale nie może zostać wstrzymany, nie może być i nie mógł nigdy być *bezruchem*. Początki i końce narzucają się naszemu pojmowaniu rzeczy dlatego, że wzrok przyzwyczaił nas do form przestrzennych, zaczem i myśl wzwyczaiła nas do wyobrażania sobie wszystkiego w ograniczeniu początków i końców, czyli w ograniczeniu czaso-przestrzennem. Ale dość pomyśleć świat, jako ruch przetwarzający się, aby te okulary spadły z nosa. Ponieważ w powszechnem drganiu wszystkie cząsteczki, drganiu temu podległe, są od siebie zależne, są związane wzajemnem na siebie oddziaływaniem, przeto niemożliwem jest znieruchomienie chociażby jednej z nich. Gdyby komu udało się jakąkolwiek cząsteczkę jakiegokolwiek bytu uniezależnić od innych, a więc znieruchomić — bo niezależnością jej od innych, wprawionych

w powszechne drganie, może być tylko jej nieruchomość — tedy wistocie stwierdziłby możliwość początków i końców, i stwierdziłby tak niezbicie i namacalnie, że w tymże momencie przestałby sam istnieć i wraz z nim cały świat! Gdzie bowiem wszystko jest z sobą związane, wszystko trzyma się za ręce i wszystko drga, tam wstrzymanie jednej cząsteczki lub jednego momentu ruchu musi pociągnąć za sobą to, iż—wszystko stanie. Tymczasem widzimy, iż — wszystko płynie. A przeto zawsze płynęło i zawsze płynąć będzie.

Płyną formy, płynie — treść ich. By zostać postrzeganą, treść musi uzyskać formę. Dla nas świat jest bezlikiem form postrzegania jego treści, w żadnym jednak momencie nie możemy sobie powiedzieć, że ogarnęliśmy już wszystkie formy postrzegania treści świata. Historja myśli poucza nas, że każdy dzień w żywocie ludzkości przynosił jej i przynosi nowe formy postrzegania tej treści niewyczerpanej, a napływającej do naszej świadomości dwiema drogami: drogą postrzegania przy pomocy pięciu zmysłów zewnętrznych i drogą postrzegania przy pomocy bezliczbowej ilości zmysłów wewnętrznych, nie posiadających narządu zewnętrznego, lecz wyraźne ośrodki, przystosowane do odbierania pewnych wrażeń. Na pierwszej z tych dróg uświadamiam sobie takie formy postrzegania treści, jak drzewo, kamień lub mózg, wyjęty z czaszki ludzkiej; na drugiej—takie, jak myśl, która w pewnym swym momencie była żywem drganiem owego mózgu, lub zacność czynu człowieka, w którym ta zacność żywem tętnem drgała, a który dziś leży przede mną w postaci preparatu anatomicznego. Ten preparat anatomiczny jest obecną, czasoprzestrzenną, materjalną formą postrzegania owego człowieka, a rozpamiętywana przeze mnie zacność jego czynu jest formą postrzegania, niezależną od czasu i przestrzeni. W tej formie i dziś, i jutro, i za sto lat, i za tysiąc lat ten człowiek może być postrzegany w świadomości nieskończonego szeregu ludzi, czyli w nieskończonym szeregu takich aparatów spostrzegawczo-poznawczych, które reagują na zacność, w których zacność ludzkiego czynu zdoła wystąpić jako wyraźne zmysłowe czucie, równie istotne jak to, jakie odbiera zmysł

dotyku przy dotknięciu np. ciała gorącego. Wszelkie formy postrzegania, jakąkolwiek drogą przenikają do naszej świadomości przy zachowaniu warunku normalnego, niewypaczonego chorobą funkcjonowania właściwego aparatu postrzegawczo-poznawczego, są dla nas realnemi formami postrzegania świata i jego treści. Jeśli preparat anatomiczny jest czemś realnem, to dlaczegóżby zacność czynu nie miała być czemś realnem? A jeśli idzie o preferencję oddawaną jednym formom postrzegania przed innemi, to oczywiście przeniosę nad inne tę, która pozwala mi postrzegać człowieka w postaci niezniszczalnej w tym samym momencie, kiedy ten sam człowiek w przestrzeni występuje jako pewna ilość materji organicznej, objętej rozkładem i bardzo niemile pachnącej. Tymczasem — zacność zawsze mi pachnie i pachnie bardzo miłe, a myśl, po upływie tysiącoleci, nieraz bywa żywszą, jędrniejszą, więcej blasku roznieca i rzeźwiejszą jest, niż w tym czaso-przestrzennym momencie, kiedy— jak to mówią — zrodziła się w czyimś umyśle. Oczywiście, mówiąc o narodzinach myśli, ulegamy nałogowi myślenia kategorjami czaso-przestrzennemi. Gdy niema i nie może być końców, tedy niema i nie może być początków. Czemże więc w stosunku do owej myśli był umysł, o którym się mówi, że ją *zrodził?* Silnym reflektorem, który snopem swego światła wykrył *istnienie* prawdy i dał jej myślową formę postrzegania; był bardzo czułym, przewrażliwionym aparatem spostrzegawczo-poznawczym, na który to istnienie, ta treść, nieuchwytna dla oka lub węchu, zdołała zareagować.

Myśl nie jest ani *moją*, ani *Waszą*, ani niczyją; jesteśmy tylko reflektorami, które, zależnie od stopnia doskonałości aparatu postrzegania i poznawania, mniej lub więcej dokładnie oświetlają jakiś moment w biegu myśli, w jej wiecznem bezpoczątkowem i nieskończonem płynieniu. Stąd gdy uda mi się zahaczyć jakąś myśl, ta ciągnie za sobą drugą i trzecią. Bo to jest płynienie — istotne, nie zaś w przenośni. Stąd też po pierwszym moim liście musiał nastąpić drugi, po nim musi nastąpić trzeci, o ile nie nastręczy mi się inny sposób uzewnętrznienia myśli — i to zjawisko skończy się w postrzeganiu

czasoprzestrzennem dopiero wtedy, gdy myśl wyjdzie poza ten krąg światła, jakie na jej bieg rzuca mój umysłowy reflektor. W rzeczywistości zaś nie skończy się nigdy; w owym momencie bowiem pochwyci jej bieg inny reflektor — i tak bez końca. Prawdzie niema końca; bo niema końca treści, a prawda jest poznawaniem treści świata.

Chciałbym tu jeszcze określić stosunek wzajemny tych reflektorów umysłowych, jakie mam na myśli. Zależne w swym ustroju i funkcji od mnóstwa czynników indywidualnych, kształtujących umysłowość ludzką, muszą one znacznie odbiegać od siebie w różnicach indywidualnych, z czego wynika, że prześwietlając naszemi reflektorami jakąś treść, Wy i ja nie otrzymamy ściśle jednych i tych samych wyników postrzegania i poznania. Cóżby to znaczyło? Że są dwie prawdy—wasza i moja? Wtedy żadnaby nią nie była. Prawda jest jedna — a lubo bezdenna—jest niepodzielna; jest — jak wola — niedającym się rozłożyć pierwiastkiem Boga, który jest niedającym się rozłożyć pierwiastkiem Bytu. Powiedziałbym tedy, że różnice naszego postrzegania i poznania, zależne od właściwości indywidualnych, nie są jakościowe, lecz ilościowe. W głąb bezdenną Prawdy wasz reflektor sięgnąć może głębiej, mój — nie tak głęboko, skutkiem tego mój podać może wyniki postrzegania powierzchownego, wasz – głębszego. Ale dwu prawd—nie stworzymy, choć, ulegając nałogowi czaso-przestrzenności, mówimy nieraz o prawdach w liczbie mnogiej; mamy wtedy na myśli kolejność i ułamkowość jej obszarów, występujących w krążku światła, jakie na nią reflektory myślowe rzucają.

A nas pociągają prawdy głębokie, nieprawdaż? A jaki urok tkwi w tych, co jak gwiazdy mrugają do nas przyjaźnie z oddali wieków! I to nie miałoby być żywem, istnością realną! Więc istnieniu gwiazdy, występującej w względnie bardzo niedołężnym aparacie wzrokowym, nie zaprzeczę, choć mi ją blask słoneczny zasłoni, lub choćbym nawet zaniewidział. A bytowi, który stwierdzam najsubtelniejszemi, najbardziej wyczulonemi, najgłębiej w treść bytu sięgającemi zmysłami — mam zaprzeczać — bo tak się Balaamowi podoba! Wolę tedy

być z oślicą jego, która odrazu Anioła postrzegła, niż z nim, skoro postrzegł Anioła dopiero wtedy, gdy dostał od niego prztyczka w nos!

* *
*

Ale wracam do tego, od czego zacząłem — do tych listów moich... Skąd się biorą; jaka realna przyczyna zmusza mnie, nakłania lub zachęca do nudzenia Was sążnistemi epistołami? Może nie jedna. Pobudka do pisania takich listów, będących próbą uzewnętrznienia myśli, jest pewnie taka sama, jaką ma rozmowa—jest to potrzeba uzyskania jak największej objektywności w roztrząsaniu rzeczy z siebie wydobytych, potrzeba odepchnięcia się od siebie, by móc siebie widzieć wespół z kimś i sprawdzić — czy widzimy jedno. Każdy posiadacz reflektora umysłowego chce przekonać się, jak wygląda wrażenie, przez ten reflektor odebrane, w oderwaniu od niego i przeniesieniu do innego reflektora. Ale rozmowa jest dla mnie mało dostępna; nie wiem dlaczego — mówię nie to, co chciałem powiedzieć, nie tak, jakby należało powiedzieć — i w rezultacie uczuwa się co? Zniechęcenie i do siebie — słuszne — i do interlokutora— niesłuszne, bo skądże mógł wiedzieć, co mu chciałem powiedzieć! Ta nieudolność — pewnie to wynik mego samotnictwa. Wy je rozumiecie. Nigdy nie byłem nieprzyjacielem ludzi, owszem — zawsze przywoływałem ich sercem. Ale ustami odpychałem. Nie mogłem przezwyciężyć jakiejś obawy, od dziecka mi właściwej (opisałem ją w „Mojej biografji"), obawy przed dotknięciem twardych, drewnianych dłoni i dlatego nastawiałem jakieś sztuczne kolce, jak jeż, broniąc się niemi. Dziś się to, co prawda, zmieniło; gdyby nawet w trepkach drewnianych chciał kto po mojej duszy spacerować, byłoby mi to obojętne, owszem— spaceruj i bierz stamtąd co chcesz, gdy znajdziesz coś godnego uwagi! Ale kto wie, czy sztuczne kolce nie wrosły na dobre. Dość, że rozmownym chyba już nigdy nie będę. A uzewnętrzniać się trzeba — więc piszę.

Jednak — ma samotnictwo i dobre strony. Pierwszą już wymieniłem w poprzednim liście—potrzeba ciszy i względnego

bezludzia, by coś z siebie wydobyć — dla ludzi. A drugą jest nabywana w samotnictwie łatwość obcowania z ludźmi — nieprzestrzennymi. Któregobyś nie przywołał, przybiegnie każdy tak szybko, jakby z ciebie samego wypłynął, jakby w twojej własnej głębi na przywołanie czekał — i zaraz ci jest bratem, dobrą znajomą duszą, zaraz się z tobą spoufali i nigdy żadnych przeciw tobie kolców nie wystawi, bo ich nie ma, a twoje wtedy — odpadną.

Tak oto, kiedyś, w wiejskiem ustroniu wpadła mi książeczka na bibulastym z dawnych lat papierze, w r. 1828 drukowana: bardzo naiwnie skreślony „za pozwoleniem Zwierzchności" opis życia i spraw mego świętego imiennika, Feliksa z Cantalicium. Na wstępie autor, kapucyn, wymieniony tylko, jako X. Wiator, zamieścił słowa Pawła Apostoła: „Co jest głupiego w oczach świata, to wybrał Bóg, aby zawstydził mądrych, a co jest małego w oczach świata, wybrał Bóg, aby zawstydził mocnych Aby się nie chlubiło żadne *ciało* przed jego obliczem. Aby kto się chlubi—*w Panu* się chlubił". Po tych słowach poczynała się prosta, raczej sercem, niż talentem prowadzona opowieść o zrodzonem w r. 1513 dziecięciu „rodziców cnotliwych, pobożnych i pracowitych", wieśniaków, stanowi rolniczemu poświęconych. Podrósłszy, dziecko to pasało „zwierzątka, które dzielą pracę z człowiekiem, krają skibę ziemi, aby wydała chleb pożywny". I dzieckiem — dużem i dobrem dzieckiem został do zgonu; naiwnie rozkochany w Bogu, lgnął bądź do tego, co niewinne, a więc nadewszystko do dzieci, które tem samem mu odpłacały, zastępując mu tłumnie drogę, gdy ukazał się na ulicy — bądź do tego, co przez zasmucenia i niedolę oczyszcza się — a więc do ubogich i opuszczonych. Żyjącym „w wygodach, majątkach i rozkoszach" czynił „usługi pobożne", gdy zobowiązali się, iż nie będą zapominali o kalekach, sierotach i ubogich. Nie doczytałem tej opowieści do końca. Bo i po co, gdy już przy pierwszych jej słowach zeszli się—żywi, milsi i wymowniejsi od zadrukowanej bibuły: i sam świątobliwy mój imiennik, i jego biograf „X. Wiator", i dostojny autor Listów *ad Romanos*, a z niemi—rzecz bardzo naturalna—

przyciągnął legjon ich powinowatych i krewnych, „chlubiących się w Panu“, nie zaś w ciele, które gdzieś tam już zbutwiało. Bardzo miłe towarzystwo — zacne, poczciwe, serdeczne — jakbyśmy z sobą beczkę soli zjedli, a teraz społem zasiedli sobie do gawędy na przyźbie, w słońcu, przed chatą. Patrzałem w ich głąb: jakieś stare ustroje duchowe, takie dawne, takie niepodobne do naszych, z takiej oddali przybyłe, a niczem nie zaciemnione, przejrzyste naskroś, tak przedziwnie zrozumiałe. Było to dla mnie jakąś zagadką, ale — by ją wytłumaczyć — przybył naraz, nawet nie wołany, jeszcze jeden towarzysz bezprzestrzenny. W czasie — zwano go Cervantes'em. Powitaliśmy go z przyjemnością. „Oto jeszcze jeden poszukiwacz — kwiatu paproci“ — pomyślałem sobie — „co też nam powie?“ — „Głąb ludzka, treść ludzka — powiedział nam — występuje nieraz po setkach i tysiącach lat dopiero. Mówiąc językiem ludzi przestrzennych, należałoby powiedzieć, że wtedy dopiero ta głąb, ta treść zaczyna właściwie swe istnienie. Bo przecież my, póki w ciele, jedni drugich nie widzimy, lub mało co widzimy. By głąb nasza wystąpiła czysta, nieprzesłonięta — musi wszystko, co jest aktualnością, co jest dzisiejszego, zewnętrznego i powszedniego — zbutwieć doszczętnie. Wyobraźcie sobie, że chcąc moim spółczesnym wypowiedzieć *prawdę*, musiałem ją włożyć w usta — *szaleńca*. Gdybym uczynił inaczej, mnieby poczytano za szaleńca i prawdę musiałbym zdławić w sobie“.

Zamilkł i nic nie powiedział o bólu, jaki cierpieć musiał, gdy perły swego genjalnego umysłu, swe najpiękniejsze myśli, swem światłem drążące prawdę, nie mógł wypowiadać w swem własnem imieniu, lecz musiał nadziać niemi śmiesznego szlachetkę z Manszy, podając go za warjata. Tą drogą przemycił swe myśli, swe prawdy do spółczesności, która, nie mogąc zrozumieć, wyśmiała je, ale wyśmiane przekazała potomnym, którzy je — zrozumieli. Kiedyż więc Cervantes żyje naprawdę, swą pełnią, swą głębią — czy przed trzystu laty, czy teraz?

Mili poszukiwacze kwiatu paproci — i Boga — jakże was kocham!

(1917 r.).

* * *

V.

O AKTUALNOŚCI.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Piszecie, że „Resphie" *) należy się ciąg dalszy. Od roku już myślę o książce, któraby była *Resphy* ciągiem dalszym dla jej czytelników, dla mnie—jej zakończeniem. Czyli — że jabym dalej już nie poszedł, tam dotarłbym do dna własnego; dalej, nie mając gruntu pod sobą realnego i pewnego mógłbym tylko fantazjować i, zabłąkawszy się śród abstrakcyj, innych w błąd wprowadzać. Fantazjowanie nie tkwi w naturze mego umysłu, w błąd zaś nikogo wprowadzić nie chcę i nie mogę dopóty właśnie, dopóki nie wychodzę za siebie; szczerym można być tylko w swojem imieniu i szczerość, stąpająca po gruncie własnej duszy, nie może nikogo obłąkać, nie stwarza bowiem dogmatów. W „Mojej biografji" przeszedłem wskroś swojej duszy, która była w tym wypadku dla mnie zwykłem polem doświadczalnem, jawnem i otwartem, a wyniki mego badania każdy mógł sprawdzić łatwo, umieszczając je w polu widzenia swojej duszy. Teraz trzeba pójść dalej, w te przestworza, między te prawdy, które się odsłaniają, gdy się głęboko roztworzy swą duszę. Oczywiście, punkt, przy którym znów się zatrzymam, nie jest jakimś końcem i bądź stać się może punktem wyjścia dla czyjegoś nowego wątku myśli, bądź ostać się może jako

*) Mój zbiorek literacki z r. 1916, zawierający między innemi «Moją biografję» i «Złudę i rzeczywistość» — rzeczy bliskie *Domu Cedrowego*.

punkt, którego czyjeś koła myślowe — choćby w innym zgoła kierunku, w innej strefie myślowej zataczane—nie będą mogły ominąć i będą musiały wciągnąć do kręgu swych pomyśleń. O to też tylko idzie każdej myśli, gdy sądzi się być żywą. To jest jej nieśmiertelność, jej udział w wiekuistym okręgu „wszystkiego, co płynie".

Wypuszczając *Resphę,* nie wiedziałem, czy będzie ona wciągniętą do kręgu polskiej myśli spółczesnej i miałem raczej co do tego wątpliwość. Dopiero od Was się dowiaduję z radością, że książka ta właśnie znalazła się na linji, może na przecięciu wielu linij, po których biegną spółcześnie, w tej właśnie chwili myśli wielu umysłów polskich. To bardzo ciekawy objaw. Wymieniacie nazwiska profesorów i uczonych, którzy dotąd poświęcali uwagę zupełnie innym dziedzinom myśli, a dziś zwracają ją ku odwiecznym zagadnieniom metafizycznym, co nie tak dawno, przed wojną, byłoby poczytane za oddawanie się dociekaniom bezpłodnym i marzycielskim.

Coś więc zaszło, coś takiego, co zmusza do przewartościowania pojęć.

Gdy ludzie, których aktualność nie widzi, lecz oni ją dobrze widzą i treść jej wewnętrzną z troską i niepokojem rozważają,— gdy ludzie ci spółcześnie, nie umawiając się, nie znając się, oś swego myślenia przekładają do jakiejś zaniedbanej przez aktualność dziedziny, — gdy czynią to w takim momencie dziejowym, który nie pozwala na zmarnowanie najmniejszej odrobiny energji, który napiętnuje jako grzech najcięższy wszelkie rozbujanie myśli po szlakach bezpłodnych, lub z tą ważącą się w dziejach aktualnością blizkiego związku nie mających, — gdy na te same szlaki, pozornie od aktualności odbiegające, wkracza — jak mi mówicie — tu i owdzie młodzież, to nie może to być objawem przygodnych skłonności, lecz wyrazem uświadomienia najwyższych, najpilniejszych potrzeb tej właśnie chwili, tej właśnie ważącej się w dziejach aktualności.

Ktoś zatem postrzega, iż to, co dotąd uważał za pilne i aktualne—takiem nie jest, że nasza aktualność czyli splot tych spraw i interesów, które uważamy za podstawę do należytego

zorganizowania życia, jest czemś zawieszonem w powietrzu czy w próżni, czemś zmagającem się zawzięcie z marami, pilnie rozmierzającem grunt, którego niema, wznoszącem pracowicie budowę dla igraszki wiatrów. Bo tak też jest wistocie. To, co skonsolidowało się jako aktualność naszych czasów, w której wymiar sprawiedliwości międzynarodowej dokonywa się zapomocą najbezwzględniejszych zbrodni, wymiar sprawiedliwości plemiennej lub społecznej sprawuje się w rozcietrzewieniu, ani na chwilę nie wahającem się przed wkroczeniem również na tory zbrodni, nie wzniesie nigdy i nie zdolne jest wznieść nic innego nad szałasy. Obali je zawsze pierwszy huk armaty, zdruzgocze bez trudu pierwsza pięść tęga. Obłęd myślenia, widzący świat nawspak, odmawiający bytu realnego rzeczom, które bytu są warunkiem i treścią, doszedł w momencie wojny do form najostrzejszych, wydął się w jakąś olbrzymią banię mydlaną i uroił sobie, że z tej bańki ludzkość nie wyjrzy, że w niej zasklepi się świat — świat wiekuiście żywy, wiekuiście płynny i w swym płynnym okręgu wirujący dokoła osi, którą jest potężna, świadoma, widząca ponad przestrzeń i czas Wola! Prawdziwie, tę wojnę rozumieć można tylko jako wyraz nabolałej potrzeby, by ludzie ślepi czy opętani, chorzy czy pijani wzięli się za bary po to, by z całej siły stuknąwszy czaszką o czaszkę — mogli oprzytomnieć...

Oprzytomniałym czy wytrzeźwionym należałoby odrazu postawić przed oczami całą rzeczywistość bez względu na to, czy jest im miłą, czy niemiłą, bez względu na to nawet, iż może przyczyną ich obłędu lub upicia się była właśnie niechęć do rzeczywistości i chęć zastąpienia jej rojeniem jakiemś milszem czy dogodniejszem. Żywi i widzący muszą żyć śród rzeczywistości i dla niej. Idziemy i iść musimy z otwartemi oczami, dokąd wszystko idzie. Niepodobna zaszywać się w złudy i omamy, by nie widzieć drogi, niewolno uchybiać drogowskazom i rygorom tej drogi, niewolno jej ustawodawstwa powszechnego zastępować odręcznem na użytek chwili i użytek niepowszechny. Niewolno — ponieważ obok naszej wolnej woli, która pozwala nam wędrować na prawo, na lewo, wstecz nawet, przepływa

przez nas i w momencie tego przepływu skrzy się w naszej świadomości zupełnie wyraźnie inna wola — jedna i niezmienna w swym kierunku.

Gdy ludzie nie widzą innego środka do oprzytomnienia nad wzajemne roztrzaskiwanie sobie czaszek, to jest to dowodem, że coś zwichnęło im jasność pojęć, że poprostu—zgubili drogę życia. Nic tedy dziwnego, iż te umysły i serca, które zamętowi pojęć i uczuć się oparły, pracują nad odnalezieniem tej drogi. Drogi zaś nie można odszukać bez światła, przedewszystkiem trzeba rozwidnić życie. Jeśli ludzkość w poszukiwaniu szczęśliwości znalazła sposób jej osiągnięcia w zbrodni, to znaczy, że pogasiła światła lub że to, czem sobie przyświecała — było złudą. A ponieważ przyświecała sobie filozofją, która zagadnieniom metafizycznym odmawiała realnej podstawy i gruntu doświadczalnego, następuje więc nieunikniona reakcja. Poszukiwanie rzeczywistości zwraca się w tę stronę, gdzie dopatrywano złud, gdyż złudą okazało się to, co poczytywano za rzeczywistość. A znaleźć rzeczywistość — to znaleźć światło, znaleźć drogę! To przebudzenie, to odepchnięcie i rozwianie rojeń złowrogich i mar ohydnych! Czas chyba na to. Wojna się skończy—gdyż i zbrodnia wkońcu się wyczerpuje, ale jeśli i wtedy świateł się nie roznieci i będzie się szło przy dawnych ogarkach, to znów zabrnie się do zbrodni. To prawo nieprzełamane, prawo rzeczywistości, które sprawia, że pociemku się nie widzi.

Owóż—i my tu, w Polsce, szukamy rzeczywistości. Wspominacie w liście Waszym, że jeden z profesorów uniwersytetu warszawskiego R. pisze do Was, że może to w Polsce zagadnienia metafizyczne zostaną rozstrzygnięte — dla świata! Daj Boże! Bylebyśmy choć weszli na drogę do tego rozstrzygnięcia, to już byłoby się czego bardzo cieszyć, bo to droga nie samych tylko dociekań, lecz przedewszystkiem—zacności czynów. Boga nie ściągnie się z zaświatów logiką, lecz sercem i czynem.

A co do—dociekań... Wyobrażam sobie pajączka, który zasiadł sobie gdzieś i z wnętrzności swych snuje cienkie, białe nici, przyczepia je do wszystkiego, czego dotknąć może, a długie,

najdłuższe rozsnuwa w bezkresy, usiłując przewlec te niteczki swoje poza przestrzeń i czas, ku wnętrznościom Boga, bo chce go wesnuć w swą siatkę, aby mieć go przytomnym zawsze i zbliska. Gdyż powiedziano o Bogu, że jest to ten, „który tworzy ducha człowieczego we wnętrznościach jego” (Zach. XII, 1). A przeto między wnętrznością Boga i jego stworzenia zetknięcie może i winno być tak bliskie i ciągłe, jak między powietrzem i płucami, które je chłoną.

(1917 r.).

* * *

VI.

O REALIZMIE I POZNAWANIU SIEBIE.

(List do profesora K. K.).

Szanowny Panie! Wdzięczny jestem za pozwolenie gawędzenia listownego. Obawiam się tylko jednej rzeczy, że o ile w mowie bywam wstrzemięźliwy, o tyle w pisaniu mogę nim nie być, a wtedy będziecie, Szanowny Panie, pokrzywdzeni. W przewidywaniu takiego wypadku radbym zgóry zapewnić sobie okoliczności łagodzące i niemi zaskarbić Wasze pobłażanie. A może tych okoliczności poszukamy razem? Czy nie zgodzicie się, Szanowny Panie, iż nieorjentowanie się, kiedy należy postawić kropkę, uważając przedmiot za wyczerpany; że odbieganie od przedmiotu, przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot, poruszanie naraz kilku wątków myśli — są to ułomności naszego myślenia, których przyczyny bardzo daleko sięgają? Treść świata—owe „wszystko—co płynie" i co obejmuje nasza świadomość — płynie dwoma potokami, czy też — wydaje się nam, iż dwoma: potokiem form, postrzeganych zmysłami zewnętrznemi, materjalnych — i potokiem form, postrzeganych zmysłami wewnętrznemi, niematerjalnych. Czy odrębność tych dwu kategoryj form postrzegania jest istotna czy pozorna, czy rozdział pomiędzy niemi jest bezwzględny, czy granica je oddzielająca niemożliwa jest do przekroczenia, czy w pewnych punktach nie następuje dyfuzja tych dwu potoków, przesiąkanie form, czy bezprzestrzenne formy postrzegania nie mogą w skutkach swego działania ujawniać się tak realnie, jak przestrzenne,

czy, słowem, zamiast dwu, niema — jednego potoku, w którym jedna i ta sama pierwocina wszelkiej treści w różnych stopniach swego drgania i osiąganego w tych drganiach napięcia wywołuje różne efekty, te zaś w naszem nawyknieniu do optyki czaso-przestrzennej sprawiają nam złudzenie różnic bezwzględnych, światów, nie dających się powiązać, jak np. świat dębów lub chrabąszczy a świat cnoty lub prawd matematycznych — to są pytania otwarte. Istnienie bezwzględnej odrębności pomiędzy światem materjalnym i duchowym nie jest zgoła pewnikiem, natomiast bezwzględnie pewnem jest, że w żadnym z tych światów niema i niepodobna pomyśleć rzeczy lub zjawiska, które można byłoby odosobnić i ująć jako całość, zamkniętą w sobie i niezależną od innych rzeczy i zjawisk. W każdym z tych światów wszystko, cokolwiek postrzegamy, wiąże się z wszystkiem innem, w tym świecie postrzeganem. Treść tych światów, występująca w naszej świadomości pod postacią nieskończonej ilości form postrzegania, jest siatką, w której każde oczko powiązane jest z innemi. Tym powiązaniom w żadnym kierunku niema końca.

Otóż znaleźliśmy poszukiwaną okoliczność łagodzącą, która jeśli nie usprawiedliwia, to tłumaczy, dlaczego czasem tak trudno jest zorjentować się, kiedy można lub należy postawić kropkę. Niema przedmiotów, które możnaby doskonale okropkować. Niema momentu, w którymby można było powiedzieć, iż o danym przedmiocie powiedziane zostało wszystko, co może być o nim do powiedzenia, gdyż niemożliwem jest wyczerpanie wszelkich jego powiązań w siatce treści powszechnej. Kropki są tylko rzeczą umówioną pomiędzy nami, odpowiadającą naszemu postrzeganiu w ułamkach czasu i przestrzeni. Każdy ułamek, każdy fragment treści — okropkowujemy, nie dlatego, abyśmy poczytywać go mieli za całość, lecz dlatego, żeby nam nie uciekł z przed oka lub z pamięci, żebyśmy, badając jego powiązania, mogli zawsze znaleźć go na tem samem miejscu, żebyśmy mogli powracać do niego, a powracać po to, by stwierdzić, czyśmy go dobrze okropkowali, czyśmy się nie dopuścili błędu w technice postrzegania tego fragmentu. W ten

sposób — oko okropkowuje w ułamku przestrzennym jakiś przedmiot, np. dąb; pamięć okropkowuje jakieś zdarzenia; nauka okropkowuje poszczególne gałęzi wiedzy; w ten sposób myślowa świadomość nasza okropkowuje nasze wewnętrzne czucia takie, jak cnota, miłość, piękno, wola i t. d. Wszystko to należy do techniki postrzegania czaso-przestrzennego. I możemy sobie powinszować, iż intelekt nasz do techniki tej należycie się przystosował i w niej się wyćwiczył. Z chwilą jednak, gdy tenże intelekt zechciałby w nas wmawiać, że gdzieś coś się skończyło, że w jakiemś miejscu siatka się urwała i dalszych powiązań niema, trzeba go wtedy bezwarunkowo przywołać do porządku i nawet jego własnemi czaso-przestrzennemi argumentami. Że pole naszego widzenia intelektualnego nie jest ograniczone jakąś zamkniętą figurą geometryczną, lecz jedynie bokami kąta otwartego, tego niezbicie dowodzi postępowy rozwój intelektu, który sprawia, że boki tego kąta coraz bardziej się rozsuwają, czyniąc kąt bardziej rozwartym, czyli pole widzenia — szerszem, i jednocześnie wydłużają się—czyli pogłębiają widzenie. Przed każdym kątem otwartym leży nieskończoność i zachodzi ona i poza boki jego — czas i przestrzeń — ograniczające w dwu tych kierunkach pole widzenia. Poszerzanie i pogłębianie pola widzenia osiągamy przez doskonalenie naszego aparatu spostrzegawczo-poznawczego. Gdy oku naszemu przydamy teleskop, pole to pogłębia się w kierunku przestrzennym widzenia wielkoustrojów; gdy przydamy mu mikroskop, sięgamy w głębie drobnoustrojowe. Gdy pamięci naszej przydamy historję, otrzymamy pogłębienie pola widzenia w kierunku czasu. Przydając naszemu widzeniu myślowemu narządy wewnętrzne, z pomocą których odbieramy czucia takie, jak cnota, miłość, piękno, wola i t. d.—możemy pogłębiać i poszerzać pole widzenia w bardzo różnych kierunkach, jaknajswobodniej przekraczających czaso-przestrzenność; uprzytomniając zaś sobie siatkowe powiązania wszystkiego, co jest—a dla nas *jest* to wszystko, co odbija się w naszej świadomości, niezakłóconej chorobą—musimy w momencie, kiedy intelekt udaremnia nam powiązanie materjalnych form postrzegania z duchowemi, ostrzec go: „Balaamie, bądź

ostrożny i nie bij swej oślicy za to, że spostrzegła coś, czegoś ty nie dostrzegł, bo któż ci może zaręczyć, że oślica nie posiadła jakiegoś zmysłu, któregoś ty nie posiadł — lub że nie zachowała jakiegoś zmysłu, który ty — utraciłeś! Okoliczność, że nie postrzegłeś Anioła, może wynikać z niedoskonałości twego aparatu postrzegawczo - poznawczego i nieroztropnem byłoby z twej strony na tej okoliczności fundować pewność, że Anioł nie może ci dać prztyczka w nos. Bowiem i cnoty nie postrzegasz w żadnym futerale, a jednak cnota może wydać zacny czyn o skutkach, najzupełniej wymiernych w czasie i przestrzeni! Niech ci to da do myślenia".

Świadomość nasza w stanie zdrowia jest zwierciadłem, w którem odbija się to, co jest. Przewodnikami, doprowadzającemi do naszej świadomości odbicia tego, co jest, są zmysły. Istnienie rzeczy, występujących w polu widzenia czasoprzestrzennego, stwierdzamy bezpośrednio; istnienie zaś rzeczy, w tem polu niewystępujących, stwierdzamy w ich skutkach. Dąb jest dla mnie istnieniem realnem, ponieważ mogę go widzieć, obmacać, owąchać; cnota zaś dlatego, że doświadczam jej skutków pozytywnych, wynikających z jej obecności, i negatywnych, wynikających z wyeliminowania jej z życia. Prawidłowo funkcjonująca świadomość jest bardzo dobrem poręczeniem realności istnienia zarówno dębu, jak cnoty. To zaś—w zestawieniu z powiązalnością wszystkiego, co jest, stanowi znów bardzo dobre poręczenie, że niema dwu światów, dwu potoków istnienia, dwu siatek, dwu treści, iż jest — jedno, jedno, jedno... To jedno różniczkuje się w miljardach miljardów form postrzegania, a gradacje tego postrzegania wywołują złudę rozdwajania się światu, potoku, tętna, treści — na materjalne i niematerjalne.

Ale poręczenie choćby najsolidniejsze czyjegoś istnienia nie jest jeszcze jego unaocznieniem. Poręczenie jest natury logicznej, unaocznienie—zmysłowej. Z tego powodu Balaamowi należy się jednak wyrozumiałość, może on bowiem, machnąwszy ręką, powiedzieć: „A—niech tam! Wszystko mi jedno, niech-że sobie istnieją powiązania form materjalnych z niematerjalnemi, niech sobie będą aniołowie, których postrzega oślica, gdy ja ich

nie postrzegam, ale dopóki takiego tworu sam nie zobaczę, nie powącham, nie posłyszę, a przynajmniej nie pomacam, dopóty będzie on dla mnie tylko znakiem zapytania, czarną, niczem niezapełnioną luką w mojem postrzeganiu, poznaniu i świadomości. Będzie dla mnie niczem!" — Bardzo słusznie, ale, kochany Balaamie—koniecznie trzeba przejąć się trzema rzeczami, trzema prawdami lub prawami, jak będziesz wolał je nazwać: 1) że nigdy i z nikim, nawet z oślicą, spierając się, nie trzeba argumentować kijem — jakeś to próbował w owem pamiętnem wydarzeniu, opisanem w Piśmie Św.—gdyż ten sposób dyskutowania niesłychanie potęguje kompromitację twoją w wypadku, gdy wyjdzie na jaw — jak to właśnie nastąpiło wówczas — że oślica przewyższa cię przenikliwością, mądrością, a nawet zacnością; potrzeba — gdy idzie o logiczne ujęcie rzeczy — posługiwać się argumentami logicznemi, gdy zaś idzie o zmysłowe ujęcia, argumentami zmysłowemi czyli należy badać, zestawiać, porównywać zmysłowe sposoby postrzegania rzeczy; 2) że trzeba nakładać okulary tylko wtedy, gdy są potrzebne, ponieważ nałożone wtedy, kiedy nie są potrzebne, nie tylko nie rozjaśniają rzeczywistości, lecz przeciwnie, zaciemniają ją w sposób czasem komiczny, czasem potworny, a zawsze opóźniający poznanie tej rzeczywistości; nie trzeba zatem upierać się przy czaso-przestrzennem wywoływaniu rzeczy, które w tej perspektywie ukazać się nie chcą, lecz — skoro istnienie rzeczy stwierdzimy w skutkach jej działania — próbujmy podejść do niej bez okularów, może wtedy tajemnica—jaką pozornie rzecz taka się otacza — da się rozwiązać w sposób jak najprostszy — i 3) że wszelki narząd powstaje i kształtuje się drogą ewolucji, która przystosowuje go do czynności, jakie ma spełniać, do potrzeby, której ma czynić zadość. Potrzeba jest to dążenie do czegoś, więc utożsamia się z wolą, pierwociną wszelkiego ruchu i czynu. Ponieważ wszelkie takie określenia są w stosunku do ich treści tylko fragmentaryczne, przeto powiedziałbym, że wola jest poczęciem narządu, a potrzeba — jego rzeźbiarką, rękodzielniczką. Człowiek chciał wedrzeć się do świata wielkoustrojów; powstał teleskop; chciał wejść między mikrokosmy—

powstał mikroskop; chciał zdobyć prawdę — powstała nauka; chciał posiąść nieśmiertelność, a z nią Boga, a z nim wszelki byt bezprzestrzenny — powstał cudowny zmysł, cud cudów — miłość! Tak, Balaamie — doprawdy nie wiem, jak to się stać mogło, dość, że twoja oślica kochała Anioła, a tyś go nie kochał; ona go postrzegła, ty nie. Skąd jednak bezwzględna pewność, iż kochała? Takie pospolite, ordynarne, kłapouche stworzenie! Pewność wypływa z tego, że—uklękła. Pamiętasz, Balaamie, jak to było? Naprzód oślica z drogi zboczyła na rolę, później — gdyś ją smagał i zmuszał do postępowania po drodze—przycisnęła się do płotu, aby otworzyć Aniołowi przejście, wreszcie w najciaśniejszem miejscu, nie bacząc na razy, jakich jej nie szczędziłeś—uklękła.—Co to znaczy? Że swojem postępowaniem ujawniła *cześć* i *uwielbienie* komuś oddane. A cześć i uwielbienie są to, kochany Balaamie, najistotniejsze, rdzenne atrybuty miłości. A miłość jest to zmysł, który w nierównie prostszy sposób wiąże nas z Bogiem, niż np. teleskop z jakąś daleką gwiazdą, wiąże nas w sposób doskonalszy, bo bezpośredni, w sposób, jakiego właśnie pożądasz—namacalny. Wraź to sobie w pamięć, Balaamie: oślica postrzegła, bo kochała; ty nie postrzegłeś, boś nie kochał.

I na to — niema rady. Doprawdy — niema i nie może być rady. Topograficzne szczegóły na powierzchni księżyca zareagują na siatkówkę oka i wystąpią w naszej świadomości, gdy do oka podstawimy teleskop. Inaczej — nic z tego! Bóg wystąpi w naszej świadomości, gdy go z zaświatów przyciągniemy miłością. Jest to narząd, jak inne, lecz o wiele od innych doskonalszy. Jest to i teleskop i mikroskop i jakieś macki niesłychanie czułe; jest to bardzo daleko — lecz nie twierdźmy, że najdalej — posunięte zaostrzenie i wyczulenie wszystkich pięciu zmysłów z dodatkiem jednak czegoś nowego, co właśnie nadaje jej cechę i właściwości zmysłu odrębnego, który można posiadać, a można i nie posiadać.

Posiądź go, Balaamie — a przejrzysz. Lepszej rady, doprawdy, nikt ci nie udzieli.

* * *

Gdzieś daleko się zapędziłem, muszę zatem obejrzeć się wstecz. Zacząłem od wspólnego z Wami, Szanowny Panie, poszukiwania przyczyn ludzkiego gadulstwa czyli tej rozlewności myśli, która, pragnąc owładnąć odrazu jak największym obszarem treści, płynie kilkoma naraz strumieniami, mającemi treść tę zagarnąć jak w ramiona. A zabiegłem aż do Balaama i wdałem się z nim w gawędę! Okazuje się jednak, że od właściwego przedmiotu nie odbiegłem — tym zaś jest *Dom Cedrowy*. Wczoraj w rozmowie podałem Wam odręczny szkic architektoniczny tego Domu; szkic ten Was zainteresował; pragnąłbym bardzo zainteresowanie to podtrzymać we własnym interesie, a raczej w interesie racjonalnego budownictwa. Racjonalnem będzie to, które oprze się na twardych, niewzruszonych, realnych podstawach. Stąd niezmierną wagę przypisuję temu, aby sprawą budowania Domów Cedrowych zainteresować umysły, wyćwiczone w naukowem, a więc ścisłem myśleniu i uzyskać ich pomoc—jeśli nie przy samej budowie, tę bowiem należy wykonywać bezwzględnie samemu, to przynajmniej przy dobieraniu, ubijaniu, że tak powiem, gruntu pod tę budowę. Czynność tę winien wykonać intelekt w sposób dla każdego intelektu przekonywający, a więc—doświadczalny. Niewiadomo, czy Balaam wzbudzi w sobie miłość, ale w każdym razie trzeba mu wytrącić argumenty logiczne.

Nie mogę się rozstać z Balaamem. Bo też wistocie (zdaje mi się, że gdzieś już o tem wspominałem) ta opowieść biblijna, jeśli nie jest prawdziwą, to jest znakomicie pomyślaną. Jest to pierwsza próba — a przynajmniej jedna z najdawniejszych — poglądowego wykładu metafizyki doświadczalnej. Próba doskonała (a pomyślcie, Panie, że to było przed tysiącami lat!), bo odrazu trafiająca w sedno. Jedno bowiem z dwojga — albo zagadnienia metafizyczne są bzdurstwem i marą, wylęgłą w niedołężnych lub chorych umysłach, albo istnieje jakiś zmysłowo-doświadczalny sposób stwierdzenia ich realności. Opowieść biblijna za podstawę dla metafizyki doświadczalnej bierze istnienie specjalnego zmysłu, na który byty bezprzestrzenne reagują tak, jak na pospolite zmysły reagują byty, występujące w ograniczeniu

przestrzennem, a więc — wzbudzają szereg afektów, wyrażających się nazewnątrz w szeregu czynności, logicznie z sobą powiązanych, wykonywanych tak, jak byłyby wykonywane pod wpływem bodźca, dostrzeganego w czasie i przestrzeni. Zmysłem takim opowieść obdarza zwierzę i czyni przytem bardzo ważne — z punktu myślenia ścisłego — zastrzeżenie, że to zwierzę przed opisanym w opowieści wypadkiem nie ujawniało takich właściwości, którym możnaby przypisać jego niezwykłe zachowanie się na drodze. Nie ujawniało uporu, nie ujawniało złości, których dopatrywał się Balaam w oślicy, gdy ta pomimo razów uparcie skręcała z drogi na pole, lub przyciskała się do płotu, lub gdy w miejscu, gdzie nie można się było rozminąć, uklękła. Oślica nie chciała uczynić Balaamowi na złość, nigdy mu na złość nie czyniła, powodem jej postępowania nie była krnąbrność, upór, lub chorobliwe zboczenia; wszystkie te subjektywne wpływy, mogące wypowiadać się w jej czynnościach — opowieść starannie usuwa, podaje nam zwierzę, będące w normalnych warunkach fizycznych i psychicznych, umiejętnie przygotowuje grunt dla doświadczenia metafizycznego, usuwając możliwość działania bodźców ubocznych. W takich oto warunkach na to zwierzę reaguje jakiś bodziec, niedostrzegany przez Balaama, a więc bezprzestrzenny, i wywołuje u oślicy szereg czynności, następujących po sobie, logicznie z sobą powiązanych i odpowiadającym zmianom w zachowaniu się bodźca. Gdy Anioł ukazał się w pewnem oddaleniu, oślica skręciła z drogi na rolę; gdy ukazał się na drodze, idącej pomiędzy dwoma płotami, przycisnęła się do płotu; gdy wystąpił w wąskiem przejściu, gdzie nie można się rozminąć — uklękła. Teraz wyobraźmy sobie, że nie Anioł, lecz ukazuje się na drodze jakaś żywa w znaczeniu czaso-przestrzennym istota, wzbudzająca u oślicy afekty czci i uwielbienia, np. jakiś jej dawny pan, którego dobrze zachowała w pamięci i dla którego takie właśnie afekty żywiła; zachowanie jej byłoby w najdrobniejszych szczegółach — takie same. Słowem, mamy w tej opowieści dobrany zespół warunków realności doświadczenia metafizycznego. W tych warunkach postępowanie oślicy daje

się wytłumaczyć jedynie posiadaniem zmysłu, czyli ośrodka mózgowego, zdolnego odbierać wrażenia od bodźców bezprzestrzennych! Że jest to zmysł specjalny, którym nie wszystkie żywe istoty są obdarzone, wynikałoby z tego, że Balaam nie reagował na obecność Anioła, dopóki ten nie ukazał mu się w postaci człowieka. Powiedziećby można, że w tej opowieści występuje wręcz zadziwiająca umiejętność w skomponowaniu idealnego przykładu doświadczenia metafizycznego, z daleko jednak większą pewnością powiedziałbym, że autor jej dbał o metafizykę tyle, co pies o piątą nogę, natomiast niewątpliwie robił spostrzeżenia nad zwierzętami, lub zbierał takie spostrzeżenia od innych — i że naówczas postrzegano już u zwierząt wiele ciekawych objawów, świadczących o znakomitem zaostrzeniu i wyćwiczeniu niektórych zmysłów, oraz że też zmysły u człowieka już naówczas uległy stępieniu. Bo nie widzę powodu, dla którego człowiek pierwotny nie miałby posiadać zmysłów zewnętrznych tyleż wyostrzonych, co koń, osieł, pies.

Lecz opowieść biblijna wyraźnie napomyka o istnieniu zmysłu wewnętrznego, wiążącego świadomość istoty przestrzennej z bytami bezprzestrzennemi, mało bowiem danych przemawia za tem, aby Anioł obecnością swą zareagował na wzrok, węch, lub słuch oślicy. Wprawdzie powiedziano tam, że oślica „*ujrzała* Anioła Pańskiego z mieczem dobytym w ręku", ale oczywiście może to być mowa tylko o widzeniu wewnętrznem, myślowem, o odczuciu obecności Anioła, ponieważ niepodobna przypuścić takiego przytępienia aparatu wzrocznego u Balaama, aby występująca na pustej drodze jakaś pokaźna zapewne figura, wymachująca mieczem, mogła być przezeń odrazu niepostrzeżona!—Dalej opowieść wskazuje nadto pierwiastki, w jakich uzewnętrznia się funkcja tego zmysłu: oślica ujawniła cześć i uwielbienie dla przedmiotu, który zareagował na ów zmysł.—Cześć i uwielbienie są to kategorje najzupełniej dostępne zwierzętom i w nich, podobnie jak w człowieku występują jako atrybuty miłości. Uczucie, jakie miewa pies dla człowieka—jest wręcz *kultem*. To nie jest przywiązanie, to jakieś *oczarowanie* istotą człowieka; jest to jakiś dziwny stan psychiczny, w którym ośrodkiem,

słońcem życia psiego staje się człowiek; człowiek sobą zasłania psu cały świat; pies uwielbia człowieka, daje się unieść jakiemuś potężnemu porywowi tkliwości, która — takie odbieram wrażenie — rozkuwa jego osobowość, wyzwala ją po to, by przykuć do osobowości człowieka; postrzega się momenty, kiedy pies żyje człowiekiem, kiedy, patrząc w oczy człowieka, przelewa w niego swą osobowość, jakby jaki byt bezprzestrzenny. Mówię to z doświadczenia, gdyż miałem niegdyś rodzinę psów w trzech pokoleniach — ojców, synów i wnuków — które dla mnie i nieżyjącej już żony mojej takie właśnie ujawniały uczucia. Gdy dziś te uczucia rozpamiętywam, wydają mi się one jakiemiś nadczłowieczemi. Chyba w mało jakiem sercu człowieczem może zakwitnąć coś podobnego. A gdy zakwitnie, to chyba przedmiotem takiego uczucia nie może być — człowiek, raczej tylko jakiś byt bezprzestrzenny: idea, ojczyzna, Bóg! — Nieraz mawiałem do żony, iż wyobrażam sobie trzy gradacje w postrzeganiu Boga: pierwsza — to uzmysławianie Boga uczuciowe, wyczuwanie go bez udziału intelektu, jak u dzieci, lub przy niedokładnem ujmowaniu intelektualnem, jak u wyznawców wiary, męczenników, świętych i t. d.; na drugiej — gdzie intelekt ujmuje Boga jako abstrakcję, jako konstrukcję logiczną z zupełnem wykluczeniem uzmysłowienia, tam Bóg podstawia dostępniejszą dla uzmysłowienia, a bardzo godną kochania — Ojczyznę *), i naówczas

*) W broszurce «O duszę Polski» (1921 r.) pisałem (str. 8): «Wprawdzie śród kościelnych sakramentów nie znajdujemy sakramentu «połączenia z Ojczyzną», ale to zapewne dlatego tylko, iż owych siedmiu udzielają kapłani, a więc ludzie, sakramentów zaś Ojczyzny udziela Bóg. On w imię Ojczyzny chrzci duszę w momencie, gdy stary młyn ojcowski poczyna klekotać nad dzieckiem melodje ojców i dziadów. Jemu to spowiadają się biedne serca, osłabłe, zwątpiałe i zwątlone, gdy im ciężki krzyż Ojczyzny. On krzepi je, rozgrzesza i pokuty wyznacza; imiona nadaje, oleje święte nakłada; kapłanów, proroków i wodzów wyznacza i ostatnie namaszczenie daje na żywot wieczny wiernym dzieciom, które nie kłamały Ojczyźnie. A które nie kłamały Ojczyźnie, tedy i Jemu nie kłamały, to są i Jego dzieci wierne. Bo gdy ktoś nie widzi Boga, Bóg stawia przed nim Ojczyznę i pyta: «A to — widzisz?» — Dla kogo On jest mistycznością, tego wyprowadzi na rozłogi wiejskie i pod szumiące stropy borów sosnowych, prowadza po cmentarzyskach, groby przy nim rozkopuje, każe przeszłości dzień po dniu przepływać przed nim i pyta: «A to jest ci mistycznem?» — Kto jego nie może wyczuć i dotknąć dłonią, temu każe położyć rękę na sercu w piersi mu bijącem i wtedy pyta: «A to czujesz? Bicie twego własnego serca — czujesz? Każde drgnienie twego serca, jak i każdy wzlot myśli jest od Ojczyzny twojej, przeze mnie postanowionej. Masz li co zacnego w sobie, Ojczyzna ci to dała, ode mnie pobrawszy. Chcesz nieśmiertelności — w Ojczyźnie ją pozyskaj! Chcesz-li do Mnie — przez Ojczyznę trafisz!»

kult dla Ojczyzny jest poniekąd równorzędny kultowi boskiemu; wreszcie na trzeciej — u zwierząt, którym niedostępne jest pojęcie Ojczyzny, Bóg pozwala uwielbiać człowieka, jak nas uwielbiają te oto miłe nasze czworonogi. To ostatnie założenie moje było charakterystyczne, jako określenie napięcia uczuć, wypełniających zacne psie serce, ale niemniej winienem dodać, że było z gruntu fałszywe. Bowiem zwierzęta—jak to w następstwie stwierdziłem u moich psów mają, — jeśli nie pojęcie, to, co ważniejsze, poczucie ojczyzny, a powtóre—to założenie nie uwzględnia u zwierząt możliwości bezpośredniego ujmowania bytów bezprzestrzennych, na co wskazują od czasów opowieści o oślicy Balaamowej setki innych opowieści o przeczuciach u zwierząt *). Przeczucie—u kogokolwiek zostałoby w drodze ścisłego badania stwierdzone — dowodziłoby możliwości oddziaływania na jakiś ośrodek zmysłowo-postrzegawczy rzeczy (wypadków) przyszłych, czyli tych, które w optyce czaso-przestrzennej jeszcze nie wystąpiły, a więc poprostu mówiąc—bytów bezprzestrzennych.

Dopóki nad temi rzeczami nie zostaną przeprowadzone ścisłe badania według tego idealnego schematu, jaki podaje opowieść biblijna, dopóty metafizyka doświadczalna nie wejdzie między nauki ścisłe. Ale ja ani myślę czekać na to, lubo nie myślę też zrywać z poczuciem realności, gdyż wtedy moje dociekania, moja budowa Domu Cedrowego przestałaby Was, Szanowny Panie, interesować — i słusznie: mary, urojenia —

*) O tych rzeczach mówiłem już na innem miejscu tej książki. Tu przypominam, co powiedziałem we Wstępie, iż książka ta powstała z pism różnoczasowych. — Układając je w jedną całość *Domu Cedrowego*, mogłem oczywiście powykreślać ustępy, powtórnie omawiające jeden i ten sam przedmiot. Nie uczyniłem tego rozmyślnie. Oczka prawdy nie mają samoistnego znaczenia i nabierają znaczenia dopiero we wzajemnem powiązaniu, jak oka siatki. Stąd, chcąc jedno z tych oczek okropkować, uczynić zeń jakiś punkt orjentacyjny, drogowskaz przy dalszych dociekaniach, potrzeba dochodzić do niego wielokrotnie, aby ujawnić jak największą ilość powiązań danego oczka z innemi. Te nawroty, te okrążania są nieuniknione. W biegu prostolinijnym tylko wypadkiem można złowić jakąś prawdę; chcąc zaś metodycznie zmusić ją niejako do wystąpienia, chcąc zapobiec, by nie wymknęła się nam którędyś bokiem, trzeba nad obranem miejscem zatoczyć wiele kół, wiele razy. A szło mi w tej książeczce nie o to, by wpoić komuś pewne prawdy, lecz by pokazać ten proces myślowy, który przyprowadził mnie do tego, co dziś poczytuję za prawdę. Na widoku mam zawsze zachętę do pracy, nie zaś pouczanie.

interesują tylko psychjatrów. Ja chcę—a skoro raz chcę, to nie może mi się już odechcieć (wola wszystko może i o wszystkiem stanowi, tylko nie może odmienić lub zniszczyć siebie samej)—ja *chcę* pobudować mój Dom w czasie i na przestrzeni mego osobniczego żywota. Nie wątpię, że to chcenie, będące wyrazem ruchu, którego nic na świecie zniszczyć nie zdoła, lecz który może się przetwarzać—nie opuści mnie i po zakończeniu osobniczego żywota, gdy przestaną być formą, postrzeganą w czasie i przestrzeni; w czem jednak wówczas będzie się to chcenie wyrażało, w jakiej formie postrzegania zdoła się uzewnętrznić — to bardzo mało mnie wzrusza, powiem nawet — wcale mnie nie interesuje. Byłbym wistocie okazem psychjatrycznym, gdybym, przyjechawszy do Rzymu dla obejrzenia galerji sykstyńskiej, trapił się, że w tym samym momencie nie mogę oglądać wodospadu Niagary. Co ma wodospad Niagary do galerji sykstyńskiej! Gdy przyjadę nad Niagarę, zobaczę ją. Gdy będę bytem bezprzestrzennym, jakoś potrafię sobie radzić i może osobliwą będę znajdował przyjemność w tem, żeby jakiego Balaama pociągnąć za ucho lub za nos. Ale tymczasem muszę sobie radzić w czasie i przestrzeni.

Otóż *chcę* zbudować Dom w momencie, kiedy na fali płynącego Bytu wystąpiłem w okropkowanej formie czasoprzestrzennej, określonej pewnem ludzkiem mianem — i powiadam, że nie mam zamiaru czekać na to, aż ludzie uporają się z doświadczeniami metafizycznemi. Nie mam zamiaru, bo nie mam potrzeby, bo moja własna dusza jest dla mnie polem doświadczalnem najzupełniej realnem — powiedziałbym nawet, że jest najwyższą realnością doświadczalną. A i dla Was, Szanowny Panie, taką być musi, gdy ją—tę rzekomo moją duszę—umieścicie w polu swego widzenia, a więc we własnej—rzekomo—waszej duszy, co jest najzupełniej możliwe, gdy nasze narządy zmysłowo-postrzegawcze i poznawcze są sobie podobne i gdy nasze psychiki nie zostały zakłócone czynnikami chorobowemi.— Gdyby moja dusza była naprawdę moją własną, gdyby była zamkniętą w sobie całością, gdyby była mikrokosmem, zawieszonym w doskonałej próżni, gdyby stała, nie zaś płynęła

z wszystkiem, co płynie — a to wtedy, przepraszam, nic realnego nie mógłbym na niej zbudować, bo wszystko, cobym zbudował, byłoby mojem, jedynie mojem subjektywnem wrażeniem. Gdybym wyprowadził z postrzeżonych w tym mikrokosmie faktów jakieś prawo, to prawo tyczyłoby się tylko mnie, jedynie mnie, a co gorsze — byłoby nie prawem, lecz złudzeniem, bo i te fakty byłyby złudzeniem i ja—ten pyszny z swej samoistności kosmos—byłbym złudzeniem. Poręczeniem realności mego bytu nie jest moje zamknięcie w kształcie czasoprzestrzennym, moja osobowość i moja osobowa świadomość, lecz jedynie moje powiązanie z wszystkiem, co jest. Samoistność oczka w siatce jest dziecinnem złudzeniem. Oczko jest—dlatego, że jest siatka. Jednak, chcąc wyczuć siatkę, trzeba sunąć dłonią od oczka do oczka.

Ja jestem oczkiem prawdy, jednem z oczek prawdy. Nie mogę wyskoczyć z siebie, ale nie mogę też pominąć siebie w poznaniu prawdy. Wszystko zaczynać muszę od siebie, do wszystkiego iść skroś siebie. W nieskończonej ilości punktów mego pozornego obwodu, w nieskończonej ilości powiązań moich z innemi oczkami, a przez nie znów z innemi—znajduję nieskończoną ilość dróg do poznania prawdy. Nie mam więc potrzeby czekać, aż ktoś poczyni doświadczenia z oślicą lub zmyślnym psem lub zmyślnym Balaamem, gdyż doświadczenia, które poczynię w sobie, są najdoskonalej realnemi właśnie dlatego, że nie jestem mikrokosmem, że nad *moją prawdą czuwają powiązania oczek prawdy powszechnej*.

Tedy — mam poznać siebie. Nie lękajcie się, Szanowny Panie, abym od tego punktu rozpoczął pisanie tych kilkuset tomów, tej nieskończonej ilości tomów, jakąbym musiał napisać, chcąc wyczerpać swoją treść. Wyczerpać swoją treść — to wyczerpać treść świata, odbitą w naszej świadomości. Że zaś przed najciaśniejszym nawet, lecz zawsze otwartym kątem naszego widzenia leży nieskończoność, przeto wyczerpać siebie — jak i nieskończoności — nie można. Nie będę się o to kusił. Przypomnę Wam tylko, Szanowny Panie, iż w „Mojej

Biografji" podjąłem kilka wycieczek po swojej duszy. Do nich Was odsyłam. Tutaj spróbuję jeno ująć tę właściwość mojego umysłu, która w tej części budowy Domu Cedrowego, jaką wykonywa intelekt, nie jest pozbawiona znaczenia, a nawet stanowi jedno z rzeczowych poręczeń realności tej budowy.

Mam na myśli głęboko we mnie tkwiącą nieżyczliwość, niechęć—powiedziałbym wstręt myślowy i uczuciowy — do wszelkiej abstrakcji. Jest ona dla mnie wyobrażeniem bezwładu, bezruchu, bezczynu — to znaczy tego jedynego, co całą duszą, całem istnieniem mojem nienawidzę. Mam-ci i ja nieco fantazji. Gdybym jej nie miał — pełzałbym; ponieważ potrafię lecieć i nawet ulatywać bardzo wysoko — więc ją mam. Mogę tedy pozwolić sobie ulatywać, jak Ecclesiastes nad wszelkim czasem — nad czasem rodzenia i czasem umierania, nad czasem płaczu i czasem śmiechu, nad czasem miłowania i czasem nienawidzenia—i nad wszelką przestrzenią, lecz nigdy nie odlatuję, nie zdolny i nie mocen jestem odlecieć od Bytu. Muszę czuć w sobie i koło siebie—Byt, prawdę, coś, co namacuję. I Ecclesiaści nie lecą w próżni. Mogą lecieć nad Wszystkiem, lecz widzą to Wszystko; dlatego wzlatują wysoko, by więcej objąć Wszystkiego; nigdy zaś po to, by stracić kontakt z Wszystkiem i zatopić się — w abstrakcji.

Abstrakcja jest wymysłem Balaama, który tak rozumuje: „Skoro ja nie postrzegam Anioła, tedy jest on abstrakcją". A oślica mu na to dobrotliwie: „Cóżem ci uczyniła, żeś mię bił już po trzykroć? Azaliżem ja nie oślica twoja, na którejś jeździł aż do czasu tego? I czylim kiedy czyniła ci na psotę?" A on rzekł: „Nigdy!" Wtedy „otworzył Pan oczy Balaamowe, że obaczył Anioła Pańskiego, stojącego na drodze i miecz jego dobyty w ręce jego. Tedy skłoniwszy się, pokłonił mu się twarzą swoją" (4 Mojż. XXII—31). Mógłby mu się i wpierw pokłonić, korona-by mu z głowy nie spadła; i nie potrzeba było utrudzać Pana, by mu oczy otwierał, wystarczyłoby, gdyby miast kopać oślicę, kopnął swój własny wymysł — abstrakcję.

Upewniam Was, Szanowny Panie, że nigdy nie uda się Wam pochwycić mnie w zażyłym stosunku z jakąkolwiek abstrakcją. To jest osoba, która budzi we mnie niesmak. Zapytajcie jakiego artysty, czy byłby zdolny flirtować z osobą, któraby budziła w nim niesmak. Nie jestem zarozumiałym, ale jestem szczerym i dlatego mówię o sobie z całą skromnością, że jest we mnie coś — z artysty.

Tu stawiam kropkę po to, by znów do tego miejsca kiedyś wrócić i stwierdzić, że — żadnej kropki nie było.

(1919 r.).

* * *

VII.

A F O R Y Z M Y.

Gdy człowiek przechodzi przez wąską a wysoko umieszczoną kładkę, niepotrzebna mu jest wtedy tabliczka mnożenia; wystarczy mu pewne oko i pewna noga. Gdy człowiek buduje Dom Cedrowy, wystarczy mu zacne serce i płynąca zeń zacność czynu; bez aforyzmów doskonale się obejdzie. Ale gdy zechce tę budowę postrzegać intelektem, jako konstrukcję logiczną, a więc nieuniknienie posługiwać się zmuszoną wyrażeniami czaso-przestrzennemi—bez aforyzmów się nie obejdzie. Co to są aforyzmy? Okruszki, pyły prawdy, któremi intelekt — bądź gdy jest leniwy i nie chce mu się pracować metodycznie, bądź gdy sam sobą się znudzi—lubi zatykać luki, szpary, nieszczelne domknięcia myśli lub jej niepowiązania, z których niedyskretnie wyłażą — wątpliwości.

W przewidywaniu, że i mój intelekt, pracujący nad czaso-przestrzennem postrzeganiem mego Domu Cedrowego, może w jakim momencie zleniwieć, zjałowieć lub znudzić się sobą— postanowiłem nazbierać całą torbę aforyzmów — i mieć je od wypadku. Myśl gdzieś się nie domknie, wyniknie wątpliwość— od czegoż sakwa podróżna! Sięgam — i dobywam aforyzm. Naturalnie nikt nie może żądać, aby do takiej sakwy wrzucone aforyzmy miały się z sobą wiązać. Przeciwnie — raczej nie powinny się wiązać z sobą. Jeśli zaś wystąpią gdzie ich powiązania, to nie będzie skutkiem premedytacji, lecz jedynie tego, że prawda nawet w okruszkach ujawnia dążność do powiązania swych oczek w sieć jedną a nieskończoną.

*   *   *

„Wszystko płynie" — powiedziano. Dobrze powiedziano. Powiedział to filozof, ale podpowiedział mu Bóg. Płyną w wieczystej zmienności formy postrzegania treści. Gdybyście zdołali dowieść, że jakiśkolwiek moment, cośkolwiek w świecie, poczynając od obrotów ciał niebieskich, kończąc na życiu mrówki, lub życiu myśli ludzkiej, lub życiu cnoty ludzkiej — kiedykolwiek się powtórzyło, to stwierdzilibyście — skończoność rzeczy, a więc zaprzeczylibyście płynności wieczystej tej rzeczy. Nie stwierdzicie, nie zaprzeczycie! — Dwa momenty powtórzone dowodziłyby, że coś biegło po linji okręgu koła i przybiegło do punktu, w którym już raz było, zamykając okrąg koła, czyli zamykając swe istnienie w okręgu koła. Wtedy wistocie mielibyśmy rzecz nie płynącą, lecz zamkniętą w czasie i przestrzeni, skończoną — a więc nieruchomą. Gdzieżeście coś podobnego widzieli? Gdybyście zaś przypuścili, że przybiegłszy do punktu, w którym już raz była, rzecz pobiegnie dalej po tym samym okręgu, to mielibyście świat, wiecznie kręcący się wkółko, a efekt tego kręcenia się wkółko byłby taki sam, jak gdyby świat—stał. Istnieje ewolucja, a więc niema kręcenia się wkółko. Płynie, wszystko płynie... Wszelki moment był poprzedzony jakimś innym momentem, a więc wyłonił się z wieczności — i po każdym momencie następuje inny, a więc każdy moment zapada w wieczność. Nic się nie powtarza. Niema początków, niema końców. Niema rzeczy, skończonych w przestrzeni i czasie, bo—niema przestrzeni, ani czasu. To są tylko umówione znaki myśli, przecinki i kropki, które nasz intelekt stawia na płaszczyźnie swego postrzegania; to są momenty, w których nabiera tchu—lecąc w nieskończoność i bezczasowość.

* * *

Moi Państwo — gdy weźmiecie cyrkiel do ręki i kawałek papieru, możecie wykreślić na papierze bardzo ładne kółko — i drugie kółko—i trzecie... Ale życie—życie płynne, a płynne dlatego, że jest życiem — nie wykreśla żadnych kółek. A jednak, skoro jest płynne, czyli jest w ruchu, tedy ruch ten odbywa się po

jakiejś linji. Po jakiej? Moi Państwo — życie wszelkie, w jakiejkolwiek formie spostrzec je zdołacie, biegnie po linji spiralnej — spiralnej — spiralnej... Ale nie chce mi się teraz o tem mówić. Dziś—jeszcze nic dobrego nie uczyniłem. A wy—czyście dziś już zrobili co dobrego? Może też — nie. Zatem poczekamy, aż uda się nam dokonać czegoś dobrego — choćby to miał być czyn najpospolitszy, byle dobry, a wtedy będziemy się mogli wziąć do ćwiczeń intelektu. Bo—czy tam linja okręgu, czy linja prosta, czy spiralna — bzdurstwo to wszystko wobec jednej łzy otartej.[1]

* *
*

Mylimy się, sądząc, że między wolą i czynem jest jakaś odległość, a na tym dystansie—coś, co jest już trochę więcej, niż wolą, lecz jeszcze nieco mniej, niż czynem. Przedewszystkiem to coś byłoby niewyraźne, tymczasem w świecie realnym wszystko jest wyraźne, tylko nasze postrzeganie bywa zamazane, zwłaszcza wtedy, gdy w rzeczach realnych dopatrujemy się abstrakcji. Otóż—wola i czyn są to momenty zupełnie wyraźne, gdy zaś wyraźnem jest również i ich powiązanie z sobą, przeto te momenty następują po sobie bezpośrednio. *Vacuum* żadnego nigdy i nigdzie niema. I trzeba wziąć pod uwagę, że wyrażenie „następują" jest jednym ze znaków, któremi okropkowujemy nasze postrzeganie. Właściwie każdy moment *stapia się* z momentem następującym, podobnie jak jest już stopiony — z poprzedzającym. Wola i czyn — to jedno. Tu właśnie odnajdujemy formułę nieśmiertelności, formułę powszechnej jedności— i formułę życia. Jest nieśmiertelność—ponieważ w powiązaniu momentów przeszłość, teraźniejszość i przyszłość stapia się w jedno.—Jest powszechna jedność treści, czyli nie może być odrębnej treści w postrzeganiu form materjalnych i postrzeganiu form duchowych, ponieważ z powiązanych momentów żaden nie może się oderwać i polecieć luzem dla wytworzenia własnej autonomicznej treści.—Jest życie, ponieważ gdyby go nie było, to z dwu pierwszych formuł wyniknęłaby doskonała nieruchomość treści, a stąd niemożność jej postrzegania; żeby postrzegać

treść nieruchomą, potrzebaby być całą tą treścią, czyli Bogiem— lub wpatrzeć się wiecznie w jeden jej punkt, a to znaczyłoby tyle, co nie widzieć nic. Skoro coś widzimy, zatem treść żyje, drga, przesuwa się przed nami, płynie. — Oczywiście, gdy płynie — nie może się powtarzać — stąd trzecia formuła stwierdza znów pierwszą, a wszystkie trzy stwierdzają coś jednego. Co? Wieczystość drgającej treści. Więc co to jest świat? Drganie. Co to jest Bóg? Treść.

* * *

Człowiek jest formą postrzegania treści żywej, bogatej, obfitej, urozmaiconej, bo zaczerpniętej z bezkresnego oceanu, któremu na imię Bóg. Ale Bóg nie bierze — a przynajmniej nie ma potrzeby utrudzać się braniem udziału w powstawaniu poszczególnych form postrzegania. Formy te powstają, wynurzają się jako momenty treści i płyną na ogólnych zasadach, jakiemi rządzi się przyroda. Zasady te Bóg pomyślał; pomyślenie jego było chceniem; chcenie czynem, który postrzegamy w jego drganiu i nazywamy przyrodą. Stąd wynika, że zasady, jakiemi rządzi się przyroda, nie mogą być innemi, niż są, bowiem Bóg swój Dom Cedrowy budował nie z jakichś niewiadomych, lecz z rzeczy wiadomych, danych, z tych, jakie w nim, w jego treści tkwiły; dał więc to, co mógł dać. Ani mniej, ani więcej. Niema dwu treści, więc nie mógł Bóg wziąć czegoś z poza siebie. Ale zato w tej jedynej treści jest ruch, drganie, płynienie, a więc wszelka możność — doskonalenia się! I siebie możemy doskonalić, i wilka możemy udoskonalić. Nie możemy tylko niczego przeskoczyć. Przeszkadza temu formuła spoistości, powiązania momentów. Stąd doskonalenie się czegokolwiek, czy tem czemś będę ja, czy wilk, czy *ustrój społeczny*, może się dokonać tylko drogą ewolucji...

* * *

Wszelki epos rodzi się nie z prawdy, lecz ze złudy. Prawdą się staje, doskonaląc się, w pełni rozwoju; wypływa zaś zawsze z rojeń, marzeń, mytów, klechd, baśni, legend, z wyolbrzymienia

rzeczywistości lub ze skarlenia rzeczywistości. By artysta odważył się na to, żeby rzeczywistość brać i podawać za rzeczywistość, potrzeba, by posiadł wysoką kulturę umysłową i zdołał zupełnie opanować technikę artystyczną. A jednak tej właśnie odwagi życie domaga się od nas, domaga się natarczywie. Dla wyeliminowania z naszego życia najszkodliwszej, najbezczelniej szkodliwej złudy, jaką jest wszelka abstrakcja życiowa, potrzeba wcześnie, bardzo wcześnie przyuczać się do tego, by rzeczywistość brać za rzeczywistość i podawać za rzeczywistość. Powiem wam wprawdzie, najmilsi państwo moi, że wcalebym się nie spierał, gdyby mnie kto chciał przekonywać, iż cały świat postrzegany, te miljardy miljardów form postrzegania treści, które przesuwają się przez pole naszego widzenia wzrokowego i myślowego — są jedną złudą. Mniejsza o to. Niech to sobie będzie złudą lub nie. Jeśli świat jest złudą kinematograficzną, to w każdym razie bardzo mądrze przystosowaną do pewnego zgoła już niezłudnego, praktycznego, realnego celu — do postrzegania treści czyli Boga. On nie jest złudą. Ja i wy—możemy być złudą. Bóg—nie. Bo i dla wywołania złudy jeszcze potrzeba czegoś, co nie jest złudą. Czemuż więc nie mielibyśmy się zgodzić, że czas, przestrzeń i świat w nich opływający—jest bardzo mądrze pomyślanym przyrządem, wyświetlającym nieskończoną filmę kinematograficzną, na której Bóg wyfotografował nieskończoność swej treści. Czy nasze wrażenia wzrokowo-myślowe poczytamy za realność, czy za złudę, to rzecz trzeciorzędna; ważnym jest skutek tą drogą osiągany; ważnem jest, że tą drogą poznajemy niewątpliwą rzeczywistość—rzeczywistość Boską. Niechże więc świat będzie sobie złudą, ale ta złuda ulega pewnemu ładowi i porządkowi, płynącym z mądrej Treści. W tej złudzie—niema dowolności i bezprzyczynowości, podobnie jak na ekranie występują nie dowolne obrazy, lecz te i w tej kolejności, w jakiej idą na wyświetlanej filmie.

W bajkach, baśniach i t. d. tkwią bardzo mądrze, ale czasem zbyt głęboko ukryte ziarnka prawdy, a z nią i pierwiastki ładu i porządku przyrodzonego. Żeby je wydobyć, potrzeba

rozwikłać czasem bardzo skomplikowany węzeł złud. Złud obrzydliwych, bo bezprzyczynowych i wywracających przyrodzony ład i porządek rzeczy. Praca tego rozwikływania nie zawsze łatwą bywa nawet dla umysłów wyćwiczonych w myśleniu krytycznem. Zanalizowanie jakiegoś mitu lub klechdy to wcale trudna robota.

Idzie mi o to, że takiej roboty myślowej nie możemy narzucać dziecku, zato sobie powinniśmy narzucić obowiązek i wdrożyć się do obowiązku wychowywania dziecka tak, by tylko rzeczywistość brało za rzeczywistość, a więc musimy tylko rzeczywistość podawać mu za rzeczywistość. Więc zdaleka, jak najdalej trzymać je od złud. — O! jak źle jest pozwalać dziecku obcować ze złudami! Później zaprzyjaźni się z abstrakcjami i przejdzie przez życie—takie cudne, tak mieniące się ślicznościami roziskrzonej, boskiej rzeczywistości—nie zaznawszy tej rzeczywistości! Więc dotkliwszej krzywdy dziecku nie można wyrządzić. Przecież w dziecku jest szalony rozpęd, żądza jak najprędszego ogarnienia, wchłonienia w siebie jak najwięcej rzeczywistości, jak najwięcej poznania; dziecko radeby wchłonąć w siebie odrazu cały świat, więc bierze za rzeczywistość wszystko, co wpada w pole jego widzenia wzrokowego i myślowego. I oto wpływają do jego umysłu dwa strumienie—jeden strumień rzeczy i ich skutków, powiązanych z sobą przyczynowo w sposób codziennie postrzegany—i drugi, rzeczy powiązanych z sobą w sposób, przeczący pierwszemu; postrzega but zwykły, a dowiaduje się o—siedmiomilowym; postrzega pagórek piaszczysty, a dowiaduje się o szklanej górze; postrzega ptaka o zwykłem ptasiem opierzeniu, a dowiaduje się o ptaku — złotopiórym; ani mu się śni, żeby z ropuchy mógł się zrobić człowiek lub odwrotnie, a dowiaduje się, że tak bywa. — Krzywda, jaką bajki wyrządzają dziecku, wynika z tego: 1) że na rozstawanie się ze złudami, na burzenie mar, na wyplątywanie pajęczynek prawdy z grubych węzłów kłamstwa dziecko bezpłodnie zatraca potem pewną ilość energji, co u naszych, przewrażliwionych dzieci musi wywoływać zdenerwowanie; 2) że powodują bardzo szkodliwe afekty, np. strach i 3) że wywołują wczesną skłonność do sensacji.

A tymczasem świat wezbrał bezbrzeżną powodzią śliczności, przecudnie z sobą powiązanych prawami przyrody. Śmiejmy się wesoło z dociekań, czy spływające w tej powodzi formy postrzegania są realnemi, czy złudnemi, bo — tak czy owak — przegląda przez nie jedyna niekłamana rzeczywistość — Bóg. Ku temu światu i przezierającej przezeń słodkiej i słonecznej rzeczywistości — Bogu, dziecko tem chciwiej, tem żądniej, tem tkliwiej wyciąga swe ramiona, że w niem żywy jeszcze jest i czuły zmysł — który dorosły zatraca — zmysł bezpośrednio, pomijając formy postrzegania przestrzennego, wiążący dziecko z Bogiem. Dziecko kocha Boga w prostocie serca, a my targujemy się z Bogiem, obiecując mu naszą miłość, gdy zechce wystąpić przed nas w osobie, jak anioł przed Balaamem!

Gdy dzięki omyłce lub niedozorowi dziecko skosztuje trucizny bajki i będzie domagało się nowej dawki, powiedzmy mu z Konopnicką: „Czy kto widział złote róże? Czy kto był na szklanej górze?"—i natychmiast przystąpmy do opowieści o tem, jak „w bok Kruszwicy żył Piast w cudnej okolicy..." lub o jednym z cudów codziennej rzeczywistości.

Nie tułałoby się wtedy tyle abstrakcyj po świecie, a Bóg byłby naszym codziennym posiłkiem i wytchnieniem.

* * *

Niekłamanego w nas jest tyle tylko, ile jest w nas boskiego.

Ale własnego nie mamy nic — chybaż jedno: Cierpienie.

* * *

Rzeczywistość ma dwie strony: pozytywną — dobro i negatywną—zło, lub lepiejby powiedzieć: rzeczy mają swe cienie. Cień nie posiada cech bytu pozytywnego—to tylko zasłonięcie światła. Cień, jako zjawisko przestrzenne, jest postrzegany; jako pojęcie, jest abstrakcją. Gdy zaś ktoś mnie ukrzywdzi, czyli gdy odczuję namacalne skutki zła, nie nazwę go abstrakcją. Ładna mi abstrakcja taki Wilhelm II lub Trockij! Jakże to więc rozumieć, że zło jest tylko przeczeniem dobru, jest cieniem, abstrakcją, gdy przynosi skutki dotkliwie pozytywne. Zapewne, to trudno zrozumieć. Ale trzeba zrozumieć.

Poza Bogiem, który nie może być jednocześnie Szatanem, niema i nie może być żadnej rzeczywistości. Nie może być dwu rzeczywistości. To absurd. Wszystko zatem, co przybiera postać drugiej rzeczywistości, jest oczywistą złudą. Musimy się z niej jakoś wywikłać.

Mówimy, że zło jest aktywne, a więc—jest. Ale w czemże wyraża się jego aktywność? Gdzie? Kiedy łotr swojem postępowaniem umniejszył choćby na jotę wartość zacnego czynu? Łotr przeciwstawia się zacności, dmucha na nią, ale nie może jej zgasić; rzuca się jej pod nogi, chwyta ją za poły, utrudnia jej płynienie. Ona jednak płynie i przepływa nad nim, jakby go nie było. Tak—spokojnie i cicho—płynęła nad oprawcami chrześcijan zacność poniewieranego przez nich Krzyża. Tak nad oprawcami Polski—spokojnie i cicho—płynęła jej Wolność niepożyta, święta i zacna.

Gdybyśmy wznieśli się na tę wysokość, na której płynie się ponad „czasem miłowania i czasem nienawidzenia", ponad „czasem wojny i czasem pokoju", widzielibyśmy z tych wyżyn dzieje ludzkie jako jeden, nieprzerwany potok jasności. Z tej wyżyny nie dostrzeglibyśmy cienia, jaki na czas miłowania rzucał czas nienawidzenia, a na czas pokoju—czas wojny. Bo to były cienie tylko. Światło jest; to jest—rzeczywistość. Ale ciemności wcale niema; to jest tylko negacja, nieobecność światła. Gdy światło idzie przed siebie — ciemność się rozsuwa, ginie jak mara. Gdy dobro idzie przed siebie, zło rozsuwa się, ginie jak mara.

A Dobro idzie przed siebie, płynie jak wszystko, co idzie z Rzeczywistości—Boga.

* * *

Gdzieś wspomniałem, że Twórca świata nie potrzebuje brać udziału w poszczególnych aktach tworzenia form postrzeganych w wywołanym przezeń świecie, dość, by dał tworzywo, rozedrgał je i pchnął szlakiem ewolucji. Tworzywem jest własna jego treść; pchnięciem—jego wola; życiem—ruch; ewolucją—przetwarzanie się ruchu. To już są wszystkie czynniki potrzebne

do tego, by powstały te miljardy miljardów form postrzegania, które zowiemy światem. Ponieważ treść tych form czerpana jest ze źródła niesłychanie bogatego i nieograniczonego czasem i przestrzenią, przeto najpospolitszem zjawiskiem jest, że treść przelewa się poza swą formę postrzegania, nie umieszcza się w niej. Ot — myśl np., czy umieści się kiedy w słowie, które jest zewnętrzną formą jej postrzegania? Nigdy; zawsze coś się przelewa poza tę nędzną foremkę. Albo weźcie siebie samych: tego, co stanowi waszą treść, nie zdołacie żadną miarą wtłoczyć w tę formę postrzegania, która — ograniczona w czasie i przestrzeni — siedzi, dajmy na to, w tej chwili na fotelu i czyta tę książkę. Przecież nie urodziliście się na tym fotelu z tą książką w ręku; wasza przeszłość — pozornie zaginiona gdzieś w czasie i przestrzeni — jest zawsze żywą, zawsze przytomną częścią waszej treści; nie opuszcza was nigdy, choćbyście jej nie postrzegali. Gdy jej nie postrzegacie, ona czuwa w zacieniu podświadomem — ale jest zawsze. A przeszłość waszych ojców i matek, dziadów i prababek — gdzieżeście ją podzieli? Ona jest w was, zawsze jest. Tego łańcucha żadna moc nie rozerwie, bo wola jednego nie może — nie może zawrócić wstecz. A wyście powstali z Woli.

Ja oto siedzę w tej chwili i spisuję te jałowe refleksje (wszystkie refleksje są mniej więcej jałowe, tylko czyn nie bywa jałowy) i myślę sobie, czy nie lepiejbym zrobił, gdybym poszedł do lasu, zrąbał sosnę, porąbał ją na drobne szczapki i poroznosił je do nieogrzanych chat. Teraz zima. Rozgrzałoby się jedno, drugie dziecko, jeden, drugi dorosły. A moje refleksje kogo rozgrzeją! Więc zapytuję siebie, jakie licho zmusza mnie do roboty, która jest mniej wartą, niż zrąbanie sosny? I oto postrzegam małego chłopczyka, może siedmioletniego; gdzie? bo ja wiem — niby bardzo daleko, niby tuż, bliziutko — siedzi pochylony nad Biblją z ilustracjami Dore'go i przygląda się rycinie, wystawiającej Balaama z jego oślicą. Balaam trzyma w ręku kij podniesiony, a oślica uklękła przed mglistą zjawą — Aniołem. Chłopczyk bardzo się nad tem zamedytował. I — ponoć medytuje dotąd. I ponoć to on mną rządzi, on mi dyktuje,

co mam robić. Malec z bujnym włosem, naiwny i głupiutki, a ja stary, łysy i nadziany doświadczeniem życiowem, a jednak – muszę się go słuchać. Bo i on był już wtedy komuś posłuszny, a tego łańcucha posłuszeństwa Woli nikt nie rozerwie. Nawet wola sama.

Wszystko idzie z Woli, z nieskończoności i w nieskończoność zapada. Gdzież wy, mili moi, widzicie czas i przestrzeń? Wytrzeszczam oczy, ale nic takiego nie widzę! Ze mnie widać też jest Balaam, ale jakiś przenicowany, na wywrót...

* *
*

Pełno jest ludzi, którzy nie lubią zamykać drzwi za sobą. Nie lubią, nie chcą, czy nie umieją. Każda przejażdżka w tramwaju lub wagonie poucza, jak wiele jest takich ludzi u nas. Czy tylko u nas — nie wiem. Postrzegłem, że największy odsetek śród nich stanowią ci, którzy w zamknięciu drzwi za sobą widzą coś dla siebie ubliżającego. „Jakto, ja mam drzwi za sobą zamykać — słyszane to rzeczy! Dlaczego niema ich zamknąć tamta pani, która widocznie obawia się przeciągu; dlaczego niema ich zamknąć kto inny — lecz koniecznie ja? Paradne sobie!" Tak — dużo jest ludzi, którzy nie lubią drzwi za sobą zamykać i dużo jest drzwi, przez nieuważne trzaskanie niemi zdezelowanych.

Pewnego razu byłem w jakimś lokalu publicznym — gdy się nie mylę — był to zajazd żydowski w jakiemś małem miasteczku. Drzwi do izby źle się zamykały. Każdy, kto wchodził, trzaskał niemi; drzwi odskakiwały i pozostawały niedomknięte. Wszedł mały żydziaczek i zamknął za sobą drzwi wolno, z widocznem usiłowaniem, aby je domknąć szczelnie. Ale ledwie odszedł parę kroków — otworzyły się. Wrócił tedy, popatrzył na drzwi, popatrzył na podłogę, czy tam niema czegoś, co utrudnia zamknięcie; znów zamknął drzwi i postał przy nich chwilę, żeby się przekonać, czy już się nie otworzą. Ledwie jednak odszedł parę kroków — otworzyły się. Wielce tem zastanowiony, wrócił jeszcze raz, medytował, kręcił głową, oglądał drzwi ze wszystkich stron, jeszcze raz zamknął — i obserwował, co będzie. Ale teraz wpadł nowy gość, trzasnął drzwiami, te odskoczyły i nie zamknęły się. Malec stał i wodził

okiem od niezamkniętych drzwi do gościa, który zaniedbał je zamknąć. Widocznie był niezadowolony, iż ktoś popsuł jego czynność, i namyślał się, czy jeszcze raz ją powtórzyć. Ale dał już za wygraną i odszedł od drzwi.

Ktoś powiedział, że Żydzi są to żyjące liczebniki. Oto np. pełen wagon Żydów — czy to pasażerowie zwykli? Nie, to podróżujące, jadące na jarmark liczebniki. To cały wagon ścierających się z sobą bezkrwawo liczebników. Funt po tyle, kwarta po tyle; wczoraj zarobiłem tyle, jutro zarobię tyle — i tak bez końca. Taka liczebnikowa organizacja jest jednostronna, a przeto wadliwa. Ale z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę, że matematyka lubi i umie szczelnie zamykać za sobą drzwi. Bardzo szczelnie. Wobec tego więc, że śród nas jest takie mnóstwo ludzi, którzy drzwi za sobą nie zamykają i nie zamykają drzwi nie tylko w zewnętrznym toku życia, lecz i w toku swego myślenia — które skutkiem tego bywa chaotyczne i chętnie w zamykaniu drzwi wyręcza się abstrakcją — należałoby z dzielnym a zacnym naszym realistą Prusem wołać: matematyki, matematyki, więcej matematyki... Uszczelniać myśli, a lenistwa w myśleniu nie osłaniać — abstrakcją!

* *
*

Myśli nasze nie potrzebują paszportu dla przekroczenia granic czaszek i mózgów, przez które przepływają. Rozlewność ich jest nieskończona, to jest nieograniczona żadnym ułamkiem przestrzennym. Tem ci bardziej ambicja nasza powinna czuwać, byśmy tych myśli w momencie przepływania ich przez nasz mózg — nie zanieczyścili, nie obdarzyli jakim złośliwym mikrobem. Bo konieczność poddawania ich następnie kwarantannie byłaby bądź co bądź przykrą dla nas kompromitacją.

* *
*

Bóg z treści swej, przez jej zróżniczkowanie, wydobył świat. Niechże człowiek przez scalanie momentów świata odtworzy Boga. Bez wątpienia uczyni tem zadość życzeniu Boga, bo skoro świat jest formą postrzegania treści Boga, zatem Bóg chce być postrzeganym, chce być poznanym. Gdyby chciał być

tajemnicą, nie wydobywałby z siebie świata. Zamknąłby się w swym majestacie i samotności, a obecność Jego miałaby ten sam skutek, co i nieobecność. Niktby Go nie postrzegał. Ale rzecz dziwna— każdemu dziecku, każdej istocie prostej, szczerej, dobrej, a nie wiedzącej o swej dobroci, może każdemu ptaszęciu i miłemu kwiatkowi udziela się On bezpośrednio w poufałem obcowaniu. I tak było od wieków. Od wieków również—intelekt scala i syntetyzuje, a przez niedomknięte drzwi prawda mu się wymyka, a napływa złuda. Jeszcze raz—uszczelniać, uszczelniać myśli...

* *
*

Szczerość w pracy — to poręczenie jej nieśmiertelnej użyteczności.

* *
*

Balaamie! nie jest moją ambicją, aby ci dać odpowiedź na wszystko, o cobyś pytał, ale jest moją ambicją — wyprowadzić cię na taką drogę, byś sam sobie dawał odpowiedź na wszystko, o czembyś wątpił. Na świecie niema wątpliwości — ani nawet pola dla nich. Wszystko — albo jest, albo nie jest. A wątpliwość umieszcza się pośrodku, rozdziawia usta — i nie wie, za czem się opowiedzieć! — Balaamie, nie rozdziawiaj ust — to bardzo brzydkie nawyknienie.

* *
*

Ja nie głoszę prawd nowych. Te wszystkie — starsze od świata! Ale gdy postrzegam, że Balaam stoi tyłem do prawdy, trącam go dyskretnie, by zwrócić jego uwagę, iż pozycja taka jest nieprzyzwoita. Przed prawdą trzeba stać frontem—i patrzeć na nią, w nią i przez nią. Przez nią—tak! Bo niema miljonów prawd, ani nawet dziesięciu, ani—dwu; jest jedna, ale przepływa przed nami światem, to jest wstęgą momentów, to jest wstęgą miljardów form postrzegania treści, czyli tej prawdy. A ponieważ niema ona wymiarów czaso-przestrzennych, więc na moment nie można patrzeć tylko jako na moment, lecz jeszcze jako na skrót perspektywiczny innych momentów. Każdy z postrzeganych momentów treści coś nam mówi sam przez się, a prócz tego

przemawia do nas temi wrażeniami, jakiemi przemawia do nas luneta. Wskazuje nam palcem—nieskończoność. Więc chyba dobrze mówię, że trzeba patrzeć na prawdę, w prawdę—i przez prawdę. A stać do niej — twarzą.

Można nie wierzyć w Boga, ale i wtedy trzeba zachowywać się wobec Niego z uszanowaniem!

* * *

Tylko silny potrafi się przyznać do słabości lub znużenia; tchórz i niezdara nigdy tego nie uczynią.

* * *

Chcecie leku uniwersalnego? Jest. Pokarm, posiłek, środek odżywczy, krwiotwórczy, myślotwórczy, orzeźwiający, osłoneczniający, pocieszający, słodki i tkliwy, dobry i piękny, przecudnie kolorowy i wciąż mieniący się, odetchnienie, wypoczynek, ozdrowienie — co tylko chcecie... Jak się nazywa? Przyroda. Ale prócz tego ona może być—waszą pomocnicą, doradczynią, tłumaczką was samych przed wami samymi, tłumaczką rzeczy, które są w was, i tych, które wydają się wam, że są zewnątrz was; może być waszą wieszczbiarką i wytłumaczy wam w sposób niesłychanie prosty wasze sny i wasze przeczucia. A jeszcze prócz tego—gdy ją poprosicie—będzie czujną strażniczką nad każdą waszą myślą, ona to nauczy was zamykać drzwi, uszczelniać myśli, wypychać za drzwi — abstrakcję; zachęci was do poufalenia się tylko z rzeczywistością. Ona was nauczy wylewać myśli w piękną formę, bo sama w bezmiarze swej prostoty i skromności jest bezmiarem piękna. A jeszcze prócz tego — to już wam powiem do ucha — nikt lepiej od przyrody nie dopilnuje waszej cnoty. Tak, tak — nikt tego nie uczyni lepiej, skromniej, bardziej po matczynemu, niż przyroda, ta sama przyroda, w której kogut publicznie, w biały dzień, zaczepia kurę na podwórku... Nigdy się nie zarumienicie tak szczerze, z takim wstydem i pomieszaniem, jak wtedy, gdy w momencie pokusy spocznie na was spojrzenie — uważne, proste, szczere, jak wzrok waszego sumienia—spojrzenie przyrody.

Pan Bóg wypuścił człowieka—nagiego, głodnego i zatrwożonego jak małe dziecię i powiedział doń: „Nie bój się, głuptasku, obok ciebie idzie — przyroda, a ja się na was patrzę. Nic ci się nie stanie". To właśnie powinna mówić matka swemu pisklęciu, gdy je wypuszcza z zagrody domowej, gdy je poczyna przyuczać do samodzielności. Ale człowiekowi czasem na złe jakoś wychodzi samodzielność od Boga uzyskana. Za daleko odbiegamy od zagrody domowej, od przyrody—tedy i od Boga. Gdybyśmy z naszych dłoni nie wypuszczali dłoni przyrody, nie byłoby śród nas ludzi, którzy nie kochają Boga. Bo potrzeba kochania Boga jest potrzebą całej przyrody — i tej, co jest pieściwą, i tej, co jest groźną — i tej, co się śmieje, i tej, co łka — i w momencie narodzin i w momencie śmierci. Nie jest ta potrzeba obcą tygrysowi i jastrzębiowi, równie jak jagnięciu i gołębicy, posępnej górskiej przepaści równie jak roześmianej dolinie, wichrom burz i nawałnic równie jak słodkim, majowym tchnieniom. Wszystko Go kocha, wszystko kładzie Mu się u nóg ciche i uspokojone, wszystko patrzy Mu w oczy ufnie... A na nas — z wyrzutem, że my jedni Odeń daleko! Biedne Balaamy!

* * *

Chciałem w tem miejscu wypisać pewien aforyzm, w mojem mniemaniu—bardzo ozdobny i kwiecisty. Byłby niepoślednią ozdobą tej książki! Ale niech będzie mniej ozdobną a prawdziwszą—i dlatego, zamiast aforyzmu, podam tu pewien wypadek. Drastyczny... Przykro mi do tej książki wprowadzać wypadki drastyczne, ale gdy to jest nieuniknione — a jest nieuniknione dlatego, że ów wypadek posłuży nam w jakiemś miejscu do uszczelnienia myślowych argumentów — więc cóż poczně... Powaga Domu Cedrowego powinna wypadkom drastycznym odejmować cechę sensacyjności.

Były sobie, tu w Warszawie, przed kilku laty — trzy nieletnie prostytutki. Spotykaliście je wieczorem niedaleko rogu dwu najludniejszych ulic. Spacerowały, trzymając się pod ręce i prowadząc głośną rozmowę, którą zwracały uwagę przechodni.

Latem jakoś ich się nie widywało, częściej zimą. Im większe były mrozy, im droższy węgiel—a przy węglu drożeje i wszystko inne — tem uporczywszem stawało się ich krążenie w pobliżu rogu dwu najludniejszych ulic. Ubrane były licho i niepozornie, ale każda do stroju swego nie zaniedbała dorzucić jednego jakiego gałganka, czy łachmanka—jaskrawego. Gdy kto chciał zawrzeć z niemi znajomość, mrugał na nie — wtedy skręcały w mniej ludną ulicę lub wchodziły do jakiej bramy.

Najmłodsza z nich — idzie mi właśnie o najmłodszą— miała trzynaście lat, gdy poczęła krążyć opodal owego rogu, a czternaście i pół, gdy opuściła ten posterunek życiowy, uległszy jakiemuś wypadkowi, który pociągnął za sobą jej śmierć. Dwie pozostałe wyrosły, dojrzały i odmieniwszy—zdaje się skutkiem surowszej reglamentacji prostytutek — sposób życia, zniknęły z horyzontu ludnych ulic. Ową najmłodszą — gdy była u początku swego niedługiego zawodu—ajent policyjny zaaresztował rankiem wychodzącą z podejrzanego hotelu, gdzie—jak stwierdził—spędziła noc w towarzystwie jakiegoś osobnika. Odprowadził ją do właściwego urzędu; poddano ją oględzinom lekarskim; okazało się — że nie utraciła niewinności. Wywiązała się kłopotliwa sytuacja, bo dziewczyna kategorycznie zażądała, żeby jej wydano legitymację prostytutek: „czarną książkę“. — Temu żądaniu odmówiono. Sprawdzono u kogo i gdzie mieszka. U jakiejś obcej baby. Rodziców, krewnych, opiekunów—nikogo, ani poświeć. Lecz miała przy sobie trzyletnią siostrzyczkę. — Podejrzewano babę, dającą im przytułek — że wysyła dziewczynę na ulicę, tego jednak nie stwierdzono. — Sprawa pozostała w zawieszeniu do czasu —bo ja wiem do jakiego czasu—pewnie do czasu, gdy sytuacja się wyjaśni i przestanie być kłopotliwą. Ale sytuacja się nie wyjaśniła. Po upływie pół roku inny agent zaaresztował ją i przyprowadził do tegoż urzędu; lekarz stwierdził u niej przymiot, lecz jednocześnie stwierdził, że nie utraciła niewinności.

Upłynął jeszcze rok. Dziewczyna uległa jakiemuś wypadkowi, zawaliło się na nią jakieś rusztowanie, czy coś podobnego. Pogotowie ratunkowe dostarczyło ją do szpitala; tu umarła i tu trzeci i ostatni raz—przy sekcji jej zwłok—stwierdzono, że nie utraciła niewinności.

Jej dwie nieodstępne towarzyszki wyjawiły teraz jej tajemnicę. Uczęszczała do hoteli, udzielała się rozpustnikom, ale uparła się, żeby nie przekraczać granicy tej, jaką jej koleżanki przekraczały już na wstępie. Co dla tamtych było wstępem, dla niej — pozostało epilogiem, którego oszczędziła jej śmierć. — W głowie poprostu się nie mieści, jaką moc forteli i wybiegów, przebiegłości i zaciętości rozwinąć musiało to dziecko, żeby ujść żądzy tych, którzy, kupując ją i mając ją w swem ręku, w miejscu bezecnem, czuli się w prawie czynić z nią, co zechcą. — Ponuro brzmiała opowieść jej koleżanek. Z rąk mężczyzn, rozzłoszczonych jej manewrami, wychodziła nieraz poturbowana, posiniaczona, poszczypana; jeden potężnie ją ugryzł; inny — lubo nic nie wskórał — jednak zdołał obdarzyć ją przymiotem. Postępowała rozmaicie; jednych oszukiwała fortelami, od innych wypraszała się łzami i prośbami, z innymi jeszcze — szamotała się do upadłego. Gdy ją opuszczały siły — krzyczała, a stojące na czatach pode drzwiami dwie jej towarzyszki wszczynały hałas; wtedy administracja hotelu, w obawie, by nie zeszła policja, corychlej wyrzucała wszystkie trzy na ulicę. Uciekały wtedy, śmiejąc się do rozpuku, i były w siódmem niebie — bo honorarjum było naprzód pobrane. W ten sposób postawiła na swojem: miała pieniądze, płaciła regularnie komorne, utrzymywała swą małą siostrzyczkę i ocaliła to, co uparła się — by ocalić. Ale — poco? Wie chyba o tem śmierć, która tę małą nędznicę zabrała tak zbrukaną, tak oblepioną błotem... — A jednak niewinną!...

* * *

Można — powiadam — nie wierzyć w Boga, ale i wtedy wypada wobec Niego zachowywać się z uszanowaniem. Czemu nie uchylacie nakrycia głowy, gdy przechodzicie koło świątyni? Czy dlatego, że nie jesteście pewni, iż On tam jest? Ależ — kochani — czyż to nie mieliście ojca i matki, ani dziecka swojego, ani nawet kochanki, o którą bylibyście zazdrośni? Świątynię wystawia się temu, co święte; czyli-ż to nic nie mieliście świętego? Biedni; któż was tedy tak ogołocił, tak obnażył,

tak opustoszył i podeptał, że jesteście mniej, niż pył, zdeptany nogami na drodze, bo i ten jest częścią przyrody, która cała klęczy u Jego nóg!

* * *

Zło jest jak ocean, dobro jak skała; zło jest jak ciemność, dobro jak światełko. Zatknijcie światełko na skale, a wszystko, co zbłąkane na bezdrożach oceanu i w bezdrożach ciemności przeczenia – odnajdzie swą drogę. Bowiem rzekł Ojciec, wypuszczając dzieci z domowej zagrody: „Idźcie, a nie bójcie się. Ja patrzę na was. Lecz nie zapominajcie, że tu—dom wasz!"— Każdy, kto choć cośkolwiek, choć jedno, jedno w sobie ocali i dla ocalenia tej rzeczy poniesie męczeństwo, wróci — choćby błotem cały oblepiony (boć na bezdrożach błoto!) — wróci do Ojcowskiej zagrody.

* * *

Kiedyś, w chorobie—kiedy mi się już zdawało, że wielkie jakieś skrzydła łopoczą nademną do dalekiego lotu — pisałem do mego przyjaciela w te słowa: „Sięgnąłem w mojem życiu— ale to już prawie że na jego schyłku—po najwyższe szczęście i dostojeństwo człowieka... Po — ojcostwo! I oto dwoje niewinnych istot wyzłociło jesień mego nędznego życia, zielenią swych świeżych listeczków umaiło spróchniałe drzewo i szczebiotem ptasząt rozgwarzyło moją dziką samotność. To—moje dzieci. Wybacz mi, Boże — kochałem je tak zazdrośnie, że jak stary brytan szczekałem w duszy na każdego, byle kto śmiał spojrzeć na nie!

„Ale już mało mam nadziei, bym je zdążył odchować. Wiecie-ż, co tedy robię? Mówię sobie, że wola wszystko może i wiara (czyli prawda)—wszystko może; więc zbieram wszystkie rozproszone we mnie chcenia, wszystko, w czem dostrzegam pierwiastek woli, i wszystką swą wiarę, a powiadam: chcę i będę czuwał nad dziećmi nawet z za grobu. I niech-że wtedy kto mi je ukrzywdzi, uproszę taką karę na niego, o jakiej jeszcze na ziemi nie słyszano! A niech kto da im dobre słowo, uproszę,

że życie majem się temu rozkwieci. Bowiem wszystko na świecie może być darowane, ale krzywda, uczyniona dziecku— nigdy! I nie rozkwieci się maj temu, ani mu nie zapachnie, kto choć jednego dziecka nie przygarnął. Bo one są od Ojca, który patrzy na nie i żąda, by wszystkie wróciły do zagrody domowej“.

* * *

Dobrze to wszystko — ale o czem to ja mówiłem? Acha, o uszczelnianiu myśli...

„Uszczelniać myśli! Zgoda — powiada Balaam — będę je uszczelniał, ale — jak to robić?“ — Patrz, kochanie — tłumaczę mu — widzisz tę oto siatkę? Twoje myśli powinny być tak powiązane, jak oczka tej siatki!

Balaam coś mruczy, jest niezadowolony. Przyglądam się uważnie jego zakłopotanej minie i — sam uczuwam niezadowolenie. Z siebie. Prawdziwie kłopotliwa sytuacja! Skoro kto bierze się do tego, by pouczać innych, powinien być zawsze z siebie zadowolony; gdy nim nie jest, gdy sam sobie nie rad i sam sobie odmawia aprobaty, to cóż dopiero mają powiedzieć inni! — Odprowadzam tedy poczciwca na stronę i powiadam: „Balaamie, uczyń mi przysługę i zapomnij o tem, co przed chwilą mówiłem!“—Uścisnął mi rękę rozpromieniony. Jak mało potrzeba, aby przywrócić komuś dobry humor!

O cóż tu idzie? O to, że porównania są bardzo wyśmienitym środkiem wyłożenia rzeczy, ale trzeba zachować ostrożność. Zgoda, iż trafne porównanie — jędrne, żywe — może czasem zastąpić cały, długi wykład. Ale w tem sęk — żeby było żywe, nie zaś martwym schematem! Skoro moje porównanie zamiast rozpromienić Balaama, natchnąć go życiem, energją—pognębiło jego psychikę, tedy nie było — żywem. Muszę to zbadać.

Porównałem proces uszczelniania myśli do powiązania oczek siatki. Wziąłem zjawisko czasoprzestrzenne, by dać zmysłowe wyobrażenie innego zjawiska, którego treść—w mojem mniemaniu posiada wszelkie cechy realności, zupełnie niezależnej od czasu

i przestrzeni. Prawda była, jest i będzie bez względu, czy ją postrzegamy, czy nie. Ziemia kręciła się dokoła swej osi i dokoła słońca już wtedy, gdy ludzie byli najmocniej przekonani, że to jest nieruchomy pępek świata. Prawda jest w treści czegoś, czyli poprostu jest treścią i jak wszystko, co jest z Treści — z Boga — pragnie być postrzeganą. Skoro prawdę ujmuję myślą, tedy myśl jest formą postrzegania prawdy. Forma ta jest zbliżona do form czaso-przestrzennych, ujmowanych jak np. siatka — zmysłami zewnętrznemi, jest zbliżona, ponieważ jak one występuje w pewnym narządzie spostrzegawczo-poznawczym. W podobnych sobie narządach, przy podobnych sobie okolicznościach, prawda będzie ujęta — naturalnie fragmentarycznie — w formie jednej i tej samej myśli. I siatka we wszystkich, podobnych sobie narządach wzrokowo-poznawczych wystąpi jako siatka, nie zaś pomidor. Nie było przeto błędem porównanie logiki do powiązania siatkowego. Ale cóż z tego! Balaam wyobrazi sobie, że zwiąże sieć, złowi nią prawdę i schowa do kuferka. Gdy zaś schowa — to już pożegnajcie się z nią! Balaam posiada pełno wykwintnych ubrań, garniturów odświętnych, że proszę patrzeć — i nigdy ich na siebie nie wkłada; wszystko to mole jedzą w kuferku. — Jeśli zaś nie schowa do kuferka, to zrobi jeszcze gorzej. Powiem mu: Uszczelniaj myśli! — on zaś tak je uszczelni, że zrobi z nich paczkę ściśniętą i twardą jak kula, którą można komu rozbić głowę — ale nic więcej; albo wytworzy z nich doskonałe koło, szczelnie zamknięte, usiądzie na niem i powie z triumfem: „Już wiem wszystko!“ — a będzie wtedy bardziej ciemny, niż jego oślica. — Dlatego prosiłem go, żeby zapomniał, co mu mówiłem.

Może lepiej byłoby powiedzieć, że siatkowe powiązania uzmysławiają nie — poznanie prawdy, lecz metodę nauk ścisłych, które, dzięki tej metodzie, stają się ścisłemi. Ale wtedy mój Balaam — jest on pełen dowcipu, gdy idzie o pozbycie się jakiej roboty myślowej — zawoła: „Bogu dzięki! Więc *ja* nie potrzebuję uszczelniać myśli, bo to zadanie uczonych, uprawiających nauki ścisłe“.

Balaamie, tak—ty nie jesteś uczony, Kopernik zaś był nim. Ale gdyby od Adama i Ewy—wszyscy myśleli chaotycznie, to skądby się mógł wziąć Kopernik; przecież i on przyszedł na świat drogą naturalną, nie zaś—z samopoczęcia! Kopernik mógł się zjawić dlatego, że właśnie od Adama i Ewy poczynając człowiek ujawniał dążność do myślenia ścisłego, ale takie myślenie utrudniała mu niesłychana mnogość form postrzegania, napływających do pola jego widzenia, napływających tem obficiej, im szerzej otwierał oczy—im więcej *chciał* ogarnąć oczyma. Gdy prócz oczu, osadzonych w czaszce, poczęło mu przybywać dziesiątki aparatów wewnętrznego widzenia—już nie mógł sobie dać rady z nawałą wrażeń zmysłowych i umysłowych.

I wtedy—począł wiązać oczka.—Kopernik umiał je wiązać!

To samo bywa z dzieckiem. To samo będzie z tobą, Balaamie, gdy — zechcesz. „Sezam“ — to wola.

* * *

Cośby może rzec o — popularności i rozgłosie. To tylko niemiłe, że aforyzmy, tego przedmiotu dotyczące, nasunęły mi się ze źródła może nazbyt osobistego. Ale mniejsza o to. Jakieś źródło zawsze musi być, a to — mam pod ręką.

Moje książki nie mają popularności i zapewne jej nie pozyskają. Niepowodzenie wynika z przyrodzonego porządku rzeczy, konsekwentnie powiązanych, więc zapewne powodem niepowodzenia jest nie co innego, jak omyłka. Albo ten się myli, kto napisał książkę, albo w środowisku, do którego się dostała, panuje jakiś błąd, opierający się prawdzie. W pierwszym wypadku książce, będącej omyłką, nic nad to nie można życzyć, by nikt jej nie postrzegł; w drugim — trzeba czekać, aż książka prawdziwa, może wsparta innemi prawdziwemi, zdoła rozerwać pierścień błędu—co prędzej, czy później zawsze nastąpi.

Nieskażonej zacności Polak i kryształowej czystości poeta nasz W. Gomulicki o mojej „Resphie” parę razy bardzo przyjaźnie się odzywał. Nazwał tę książkę dobrą—pewnie dlatego, że sam był dobry bardzo. Lecz w liście do mnie pisał: „Nie mam nadziei, by ta książka zyskać mogła popularność”.

Nie mam pojęcia, jakiebym odbierał wrażenia w podróży na księżyc i również nie mogę sobie wyobrazić, czegobym doznawał, gdyby książki moje były rozrywane, a moje nazwisko — na ustach wszystkich; możeby to mnie ogromnie przejęło, możebym gorzej sypiał, możebym schudł, a może i utył. Nie wiem. Natomiast wiem, że brak rozgłosu nie wpłynął ujemnie ani na mój sen, ani apetyt, zaś dodatni wpływ miał niewątpliwie, gdyż utrzymał mnie w skromnem o sobie mniemaniu, a to mi było wielce pomocnem przy dalszej pracy, gdyż zmuszało mnie do— niedowierzania sobie, a więc do tego, czego Balaam tak nie lubi — do uszczelniania myśli, do pilnego i ciągłego kontrolowania i myśli i uczuć swoich, słowem, do staranności — przy budowie Domu Cedrowego.

Tyle dość—o człowieku, który napisał książkę, ale o książce mam wiele więcej do powiedzenia. Mój Balaamie—nieodstępny mój towarzyszu, przebywający jednocześnie i we mnie i gdzieś, zewnątrz mnie—powiedz mi, kochanie, co to jest—teleskop? Jest to kombinacja kawałków metalu i szkła. Zgoda. Zgoda i na to, że dziki mieszkaniec Nowej Zelandji, któremuby pokazano teleskop i armatę, powiedziałby, że teleskop jest to armata, przeznaczona do strzelania w górę, a przeto nieszkodliwa. Lecz i na to trzeba się zgodzić, iż użyty przez astronoma jest nie tylko nieszkodliwym, lecz cudownym przyrządem, wręcz cudownym, lampą Aladyna, która rzuca snop światła w nieskończoność wielkoustrojową. — A teraz powiedz mi, Balaamku, czy mgławicowe światy mlecznej drogi lub pierścienie Saturna przestaną istnieć, gdy teleskop się popsuje lub gdy astronom pojedzie ad patres? Nie. Naturalnie, że nie. Istnienie tych światów lub pierścieni jest prawdą, wyrwaną z nieskończoności i zupełnie niezależną od istnienia teleskopu i astronoma. A kto tę prawdę wyrwał nieskończoności— teleskop, czy człowiek? Człowiek przy pomocy teleskopu.

Doskonale, Balaamku, doskonale; widoczna, że się ćwiczysz i bierzesz do serca moje doskonałe rady. Więc jeszcze jedno pytanie. Gdybyś ty był — tylko nie obrażaj się, proszę cię, kochanie—gdybyś był wyznawcą fetyszyzmu, cobyś wolał mieć za przedmiot twego kultu — teleskop, czy mózg człowieka?

Wahasz się. Bardzo naturalnie—gdyż teleskop jest w niektórych swych częściach świecący i przynajmniej nie obraża powonienia, gdy mózg ludzki — oglądaliśmy go wczoraj w prosektorjum — sprawił na nas obu takie wrażenie, że zawołaliśmy unisono — uprzątnijcie tę obrzydliwość, bo nam się niedobrze robi! Kult wymaga ołtarza; nie można na ołtarzu umieścić przedmiotu, kwalifikującego się jedynie do prędkiego zakopania w ziemi. Lecz i przed teleskopem—klękać, z jakiej racji! Jest tu więc, Balaamku, jakieś nieuszczelnienie myśli. Musimy powiązać z sobą— nieskończoność i tkwiącą w niej prawdę z teleskopem i mózgiem, a to powiązanie utrudnione jest okolicznością, że nie teleskop był wynalazcą mózgu, lecz raczej mózg wynalazcą teleskopu, chociaż teleskop jest przedmiotem trwałym i względnie estetycznym, zaś mózg jest nietrwałym i wstrętnym.

Spróbujemy jeszcze takiej drogi: czy to teleskop postrzega oddalone ciało niebieskie, czy człowiek? Człowiek. A czy mózg jego, położony na miseczce, będzie postrzegał Syrjusza? Nie. Zatem realizacja prawdy, wyrwanej z nieskończoności, uzmysłowienie jej, ukształtowanie jej w postaci „formy postrzegania“ następuje nie w teleskopie i nie w mózgu, lecz w czemś, co jest rezultatem zespolonej i w ściśle określonych warunkach odbywającej się czynności tych dwu przyrządów, mianowicie, gdy teleskop będzie należycie ustawiony, mózg zaś osadzony w czaszce i żywy. Nazwijmy to coś — świadomością. Zatem świadomość jest lusterkiem, w którem odbija się prawda, realizuje się w miljardach form postrzegania, realizuje się jednocześnie jakościowo i ilościowo. Odbicia są słabe, mętne, jaśniejsze, jasne, bardzo jasne. Świadomość goryla obejmuje więcej prawdy i jaśniej ją ujmuje, niż świadomość salamandry; świadomość Balaama—wybacz, przyjacielu!—więcej i jaśniej, niż goryla; świadomość uczonego—więcej, niż świadomość Balaama; świadomość zacnego — więcej, niż uczonego. Najwięcej prawdy wchłania i najjaśniej ją ujmuje — świadomość człowieka mądrego i zacnego razem. To wzrastanie jakościowej i ilościowej realizacji prawdy w świadomości postępuje równocześnie z doskonaleniem przyrządów odbiorczych — głównych, zasadniczych czyli

mózgów, i wtórych, przydanych czyli teleskopów, mikroskopów, wag i t. d.

Czy już teraz obracamy się śród pewników, Balaamie? Czy prawda jest pewnikiem, czy świadomość jest pewnikiem, czy mózgi i teleskopy — są pewnikami? Zanim odpowiesz na to pytanie, Balaamie, weź pod uwagę, że na świecie nic nie chodzi samopas, wszystko w powiązaniu, i pewników, któreby same przez się były pewnikami, niema. Niema pewników samopas biegających; one stają się pewnikami w swojem powiązaniu. Prawda jest pewnikiem w powiązaniu ze świadomością, mózgiem i teleskopem; świadomość jest pewnikiem tylko w powiązaniu z prawdą, mózgiem i teleskopem. Mózgi i teleskopy są pewnikami jedynie w powiązaniu ze świadomością i prawdą. Z tego łańcucha wyjmij tylko jedno ogniwo, a reszta rozleci się, a raczej rozpłynie się w niepewność — lub jeżeli wolisz — w niepostrzeganie, co zresztą na jedno wynosi.

Czy ta formuła, Balaamie, nie daje ci odpowiedzi na wiele pytań? Np., od czasu twej przygody z oślicą, która postrzegła Anioła, gdy ty go nie postrzegłeś, dręczyło cię pytanie — czy jest Bóg? Jakże Go ma nie być, skoro tkwi w tym łańcuchu? On jest Prawdą, Treścią — jest tem, co *jest*. — Następnie, martwiła cię perspektywa śmierci, osierocenia twej zacnej żony i miłych dziatek. Ależ nie osierocisz ich, kochanku; twoja świadomość jest formą postrzegania twojej treści, że zaś jest związana z prawdą, nieskończoną w czasie i przestrzeni, przeto i ty nie możesz się skończyć w czasie i przestrzeni, nie możesz wyskoczyć z łańcucha Bytu i nie możesz na własną rękę utopić się w Nicości. Ale tobie bardzo przykro, że po śmierci nie będziesz miał nosa, oka, ręki, że nie będziesz mógł robić użytku z teleskopu. Dziecko z ciebie, doprawdy! Przecież sam powiedziałeś, że teleskop jest to kombinacja kawałków metalu z kawałkami szkła, a mózg jest to cuchnąca obrzydliwość. Jeden i drugi zasługuje na uwagę tylko jako — narząd, rozumiesz? — narząd, wiążący nas ze świadomością czyli życiem z jednej a prawdą — z drugiej strony. Wymieniłeś tu dwa narządy, ale ich jest setki i wszystkie coraz się doskonalą i coraz więcej ich przybywa.

Za wiele wymagasz ode mnie, gdy chcesz, żebym ci zgóry powiedział, jakie narządy powiążą cię ze świadomością i prawdą po twej śmierci, dość, że jakieś cię powiążą, muszą powiązać i ze świadomością czyli życiem i z prawdą, skoro raz tkwisz w tym łańcuchu. Dlaczego przed wynalezieniem teleskopu nie żądałeś od nikogo bliższych szczegółów, dotyczących Drogi Mlecznej, Saturna, Jowisza? Bo udzielenie ich było wtedy niemożliwością. Dlaczegoż ode mnie żądasz niemożliwości: wskazania ci przy pomocy jakiego narządu będziesz po śmierci postrzegał mnie i twoją żonę i tego, z kim ona — niestety, przygotuj się do tego, Balaamie — zawrze powtórny związek małżeński? Ja tylko, opierając się na rzeczywistości powiązania wszystkiego, co jest, upewniam cię, że taki narząd posiędziesz; opierając się zaś na prawie powiązania rzeczywistości, na prawie jej płynienia, na prawie doskonalenia się i ewolucji — mogę z dużem prawdopodobieństwem twierdzić, że ten narząd będzie subtelniejszy od mózgu nawet z przydatkami: teleskopem i t. d. Raczej więc nade mną ubolewaj, nade mną, twoim przyjacielem — że ja cię stracę z oczu, gdy umrzesz, ale tego ubolewania nie posuwaj znów zbyt daleko, bo i ja się nie rozrzewniam. Przypomnij sobie oślicę—czyż ona—choć żyjąca— nie posiadła zmysłu, który powiązał ją z Aniołem? A ty nawet nie jesteś Aniołem, tylko najzwyklejszym Balaamem, ja zaś — dlaczego mam być koniecznie gorszy od oślicy! Nie zasłużyłem na to, żebyś mi ubliżał — i twierdzę, że ja już posiadłem ów zmysł i właśnie pracuję nad tem, żeby go rozpowszechnić. A już niech inni pracują nad tem, żeby ten zmysł—ten narząd— doskonalić, aby odbicia przezeń wrażane w świadomości były coraz jaśniejsze, coraz wyraźniejsze. Trzeba iść wciąż tak, jakeśmy dotąd szli—od salamandry do goryla, od goryla—wybacz— do Balaama, od niego do Kopernika, do Mickiewicza i t. d.

Pozostało jeszcze jedno pytanie, które ci psuje humor, Balaamie. Ty jesteś uczciwym człowiekiem, chętnie to przyznaję i zawsze gotów jestem serdecznie uścisnąć ci dłoń; masz trochę rdzy na intelekcie — ale to nie twoja wina. Otóż rozumiem udrękę, jaką ci sprawia przypuszczenie, że formuła

nierozerwalnie wiążąca, przez narządy, prawdę ze świadomością, Boga z życiem—i wytwarzająca z tego związku Rzeczywistość, że formuła ta tak prosta, a więc tak ponętna—może zapewnić nieśmiertelność nie tylko tobie, mój poczciwcze, lecz i takim osobnikom, jak Wilhelm II lub Trockij. Przecież to fenomena, które zapowietrzają świat, cuchną gorzej, niż padlina i mogą nie tylko życie uczynić niemiłem, ale i nieśmiertelność niepożądaną—w ich towarzystwie!—Balaamku, dziecinko moja najdroższa—niech cię uścisnę za tę twoją zacną ambicję; setny chłop z ciebie i zawsze będziem w zgodzie—teraz i po śmierci. Ale nie trap się, kochanie, Wilhelmem. Nie mogę ci powiedzieć, jakiemi drogami zejdzie on w Niebyt, ale głowę dam sobie uciąć, że niecnota nie będzie towarzyszem zacnego. To właśnie poręcza formuła Rzeczywistości. W tej formule tkwi Bóg, zatem tam nie ma miejsca na satrapę pruskiego lub moskiewskiego.—A jeżeli jeszcze zostanie ci jaka wątpliwość—to myśl, Balaamie, myśl, uszczelniaj myśli. Trudno, ja nie mogę wszystkiego za ciebie pomyśleć, nie miałbyś wtedy żadnej zasługi...

* * *

...Uściśnijmy się, Balaamie,—i żegnaj! Oto jest miejsce, w którem możnaby postawić kropkę! Ale tu przypominam sobie, że zaczęliśmy mówić o książce i zaszliśmy aż do Boga, a nie skończyli—o książce. Zwykła to kolej rzeczy. Czegokolwiek dotkniesz, mój bracie, a będziesz to snuł w logicznych powiązaniach, zawsze a zawsze zajdziesz aż do Boga. I czegokolwiek dotkniesz, a będziesz nić swego myślenia wyciągał po linji prostej—nigdy niczego się nie dowiesz, gdyż nie będziesz mógł w polu swego widzenia dojrzeć punktu, skąd wyszedłeś. Skoro zaś nie możesz cofnąć się wstecz — na co nie pozwala prawo płynienia—musisz z konieczności linję myślenia *wygiąć* spiralnie. Wtedy znów ujrzysz—punkt wyjścia. Nie wrócisz wprawdzie do tego punktu, ale przepłyniesz koło niego i tu pocznie się nowy skręt linji spiralnej. Tak płynie Wszystko.

I wykreślając linję spiralną, przekonywasz się, że nie odbiegłeś—jak to mówią—od przedmiotu. Zaczęliśmy od książki,

przeszliśmy do teleskopów, potem gdzieś bardzo daleko — a teraz, patrzcie—książka znów jest pod ręką. Bo książka to także rodzaj teleskopu, a w każdym razie jeden z narządów wtórych, przydanych, o których mówiliśmy. Rozważana nie jako narząd—czemże jest? Pozszywanemi ćwiartkami papieru, tak niepraktycznie przykrojonemi, że w każdą nie więcej, niż ćwierć funta rodzynków zawinąć można. A rozważana jako narząd — toć to cud. Wolałbym już ją mieć swym fetyszem, niż teleskop! W siatce powszechnych powiązań jest ona powiązaniem dwu świadomości, czasem nadzwyczaj ścisłem, niemal że ich stopieniem w pewnym momencie w jedną. Przypomnijcie sobie którą z miłych wam książek.

Do pewnej pani, ubolewającej nad niepopularnością moich książek, pisałem: „Każdy żywy umysł, zwłaszcza młody, jest w pewnych momentach podobny do stosu. Są w nim wszystkie pierwiastki do wytworzenia płomieni. Książka wtedy bywa zapałką. I kto z nas, proszę pani, troszczy się o niedopaloną i rzuconą w kąt zapałkę. Ja przynajmniej—nie. Dość mi wiedzieć, że moja książka zapaliła choćby jeden jedyny stos. Toć ten stos — to już nie jedna, lecz miljardy zapałek; ile w nim iskier, tyle nowych stosów rozgorzeć może i rozgorzeje na pewno, bo one na to tylko czekają. — Wielbię, gorąco wielbię piękno żywego płomienia, lecz to, co wzbudziło ten płomień— tylko szanuję. Gdy ktoś powiada o książce — dobra, tedy on sam dobry; gdy powiada: piękna — tedy w jego głębi żywie piękno. Książka jest tylko reflektorem, który znienacka prześwietlił piękną, żywą głębię. Taki reflektor bywa czasem niesłychanie użyteczny. Głębie dusz ludzkich są czasem takie senne, tak czasem zasępione lub wstydliwe, lub do otchłani przepaścistych i czarnych podobne—że rzucić w nie snop światła częstokroć znaczy tyle, co—wyzwolić je! Wtedy reflektor jest przyrządem czy narządem, godnym wielkiego poszanowania. Ale uwielbienie należy się tylko Żywemu i Prawdziwemu. Są to — wtórne nazwy Boga!”

* * *

Rany się leczą i uleczą, ale ta, jaką nam zadaje własny nasz błąd—nigdy! Nawet pod plastrem późniejszej cnoty i dobrych uczynków — boli, boli, boli...

* * *

Miałem trzy nauczycielki—Matkę, Biblję i Przyrodę. Poza tem byłem tylko samoukiem, czyli uczyłem się sam w sobie, próbując postrzegać. Gdy co było mi za trudne, mówiłem sobie, że przecież każda nauka jest niczem innem, niż umiejętnem, metodycznem skupieniem spostrzeżeń w danej dziedzinie i ta skarbnica stoi otworem dla każdego, kto chce pytać. Przeto—pytałem. Ale gdybym skończył trzy uniwersytety i dwie akademje, nie byłbym kim innym, niż samoukiem. Bo nauka nie była przędziwem, które brałbym z zewnątrz dla wewnętrznej przeróbki, lecz mojem własnem, w które wplatałem nici obce. A to wielka różnica.

Z serca radziłbym wam postępować podobnie. Uważcie, że od matki, choćby to była ciemna, prosta kobieta, zawsze się czegoś nauczycie. Gdyby nauczyła was tylko jednego wyrazu: *mama*, to już i ten wyraz był dla was pierwszym uchwytem świata, formą postrzegania treści i to w jednym z najpiękniejszych, najjaśniejszych i najtkliwszych jej momentów. Za to, że pierwszy błysk naszych oczu był ku temu cudnemu i czystemu momentowi, winniśmy matce czystą i głęboką wdzięczność.—Potem—od Biblji zawsze możecie się czegoś nauczyć; od przyrody zawsze możecie się czegoś nauczyć. — Potem możecie przybierać tylu nauczycieli i takich, ilu i jakich zechcecie, lecz niech nie oni za was przędą, sami prządźcie. Prząść własną naukę, to prawo i obowiązek przyrodzony, powtórzenie prawa ewolucji powszechnej. Prawda, iż gdy ja swego przędziwa nie uprzędę, to ktoś wykona to za mnie. To również poręczone jest prawem ewolucji.

Ale dlaczegoż ja tej ewolucji nie mam być świadomym uczestnikiem, nie zaś niewolniczym satelitą jej tylko? Wszystkie dane we mnie założone, mam drzewa cedrowe — a domubym nie budował! I dlaczego miałbym go budować malutkim

i ciasnym, na własnej tylko treści, kiedy za podstawę mogę mieć ogrom ogromów—powszechność. Nie zadowala mnie dom, w którym będę widzem i uczestnikiem malutkiego obiegu własnej ewolucji. Chcę być w ewolucji mgławic, słońc, ziem, prawdy, cnoty, sprawiedliwości, miłosierdzia—wszystkiego! Ale od postrzegania do obecności daleko. Być obecnym znaczy to treścią być obecnym.

Więc o obecności nie rozstrzyga sama myśl. Myśl może postrzegać i powiadomić mnie o obecności mojej w treści słońca, prawdy i cnoty, ale wtłoczyć mnie w tę treść nie zdoła. Będę postrzegał ziemię, ale nie będzie mnie w ziemi; będę postrzegał miłosierdzie, ale nie będzie mnie w miłosierdziu. Zatem nad myśl bystrą, uczoną, lotną, śmiałą, jest coś uczeńszego, lotniejszego, śmielszego; jest jakaś nauka nauk, czy potęga potęg. I nieraz ją już wymieniałem, lecz zawsze nieśmiało, zawsze odkładając mówienie o niej.

Bo mówić o niej, to — mówić z nią. — Mówić zaś z nią, to—mówić usty w usty z Panem Panującym. O, jak wielkiej wtedy trzeba ciszy dokoła i — w sobie.

Mówiłem, że słowa są jak płachty do zawiązania góry, aleć są i takie, co — jak chusteczki do zawiązania słońca.

Takiem jest *wola*. Już ją zwałem osią świata, już — mocą tworzenia, już — równowagą, już — światłością. Bo do tego ogromu z którejkolwiek strony podchodzę, widzę go innym i inne miano dać mu muszę *).

* *
*

Dobre jest wyrażenie „iść gęsiego" czyli sznurem, jak gęsi kroczą. Ale gdy w ten sposób wypuścimy myśli — na poszukiwanie prawdy, to nic nam nie przyniosą. Wyobraźmy sobie, że prawda jest kulą, tedy myśli, kroczące „gęsiego" w jednym oczywiście kierunku — bo to już prawo inercji — okrążą uroczyście tę kulę dokoła raz, potem drugi raz i t. d., czyli myślenie będzie kołowacizną, ta zaś nigdy nie symbolizuje — poznania. Gdy prawdę wyobrazimy sobie jako płaszczyznę, tedy

*) Ten fragment Domu Cedrowego był drukowany w «Nowej Gazecie» 1917 r., pod nagłówkiem *Nauka*.

myśli, w gęsim ordynku idące, wydepczą na niej tylko wąziutką ścieżynkę, po której obu stronach będą zalegały obszary—niewiadomości. — Niema zatem innej rady—dla zdobycia poznania trzeba iść — ławą myśli. Będzie tu wtedy może więcej nieco zamieszania i potrącania się myśli, ale też na pewno coś się — przyniesie!

* *
*

Nawet najlepiej bronione twierdze zawsze ktoś wkońcu zdobywa, tylko takiej niepodobna zdobyć, która wcale się nie broni, np. twierdzy, ukazującej się nam w fata-morganie!

Intelekt nasz—ten poczciwy, użyteczny, lecz czasem trochę naiwny Balaam — oddawna zapalczywie szturmuje do... zagadnień metafizycznych i jakoś nie postrzega, że tej twierdzy nikt nie broni, że to jest tylko złuda, która powstała dzięki temu, iż rzeczy, występujące jak najwyraźniej w polu zwykłego widzenia gołem okiem, chcemy obejrzeć — przez teleskop. To na nic się nie zdało. Odrzućcie szkła i szkiełka, spójrzcie gołem okiem, spróbujcie dotknąć — sercem i przekonacie się, że żadnej twierdzy, murów, wałów, ani nikogo na nich niema, że jest przed wami skromna i tak prosta prawda, iż każde dziecko z największą łatwością ją ujmuje. Na imię jej — Bóg.

Sprawa zatem tak się rozwiązuje, iż za rozwiązanie zagadnień metafizycznych nikt nagrody nie otrzyma. Jeśli zaś komu ma przypaść chluba pierwszeństwa w rzekomem ich rozwiązaniu, to chyba tylko — oślicy Balaamowej!

* *
*

Tu mógłbym napisać—*koniec*, że jednak nie idzie mi o wtłaczanie komuś, o sugestjonowanie prawd, ale o wspólne ich znajdywanie, przeto dla zespolenia naszych zabiegów myślowych winienem jak najdalej posunąć uzewnętrznienie procesu myślowego, który mnie do takich, nie zaś innych wyników doprowadził. Więc mam jeszcze wiele do powiedzenia.

* *
*

VIII.

MATEK NASZYCH DOMY CEDROWE.

Daleko łatwiej jest zjawiska, w naszem postrzeganiu odbiegające od siebie, np. dąb z jednej, a cnota z drugiej strony, podzielić na odrębne i niepowiązane z sobą światy, niż wyszukać powiązań między niemi, lubo logika wszystkiego, co istnieje, co tak czy owak stwierdzamy, logika naszego mechanizmu postrzegawczego, logika praw, którym ulega nasza świadomość, wszystko—wskazuje, że powiązania te istnieją. Skoro świadomość ludzka zdołała ująć dwa odrębne byty — dąb i cnotę, to już niema słusznych powodów do przypuszczenia, iż ujęcie ogniw, wiążących te byty — a wszystko jest powiązane — jest niemożliwością. Ileż to zjawisk, bardzo od siebie dalekich, jużeśmy powiązali, dzięki udoskonaleniu techniki postrzegania i jej narządów—od mózgu poczynając, aż do ostatnich wynalazków, ułatwiających badania doświadczalne. Mimo to, woleliśmy pójść drogą najmniejszego oporu i produkty naszej świadomości podzieliliśmy na dwa światy — materjalny i duchowy — z wszystkiemi takiego podziału konsekwencjami. I o to właśnie idzie, że — z konsekwencjami! Bo gdyby ten podział miał znaczenie tylko metody naukowej, manewru, ułatwiającego prowadzenie badań w każdym z tych światów oddzielnie, zanim te badania doprowadzą do powiązania tego, co wydaje się niepowiązalnem, gdyby, słowem, ta sprawa obchodziła tylko grupę uczonych — a! to mniejsza. Lecz ona drga życiem, wylewa się na olbrzymią arenę życia — i w takiem lub innem postawieniu staje się regulatorem stosunków życiowych, z niej wypływa taka lub inna etyka. Nie Wilhelm II, lecz ten nieszczęsny dualizm

postrzegania sprowadził na świat tak niepojętą klęskę, jak miniona wojna, dualizm, który — w imię drobnych ułatwień intelektualnych — pozwolił sobie cnotę potraktować, jak abstrakcję, a armatę, jako rzeczywistość. Tutaj Balaam spisał się tak, że wart tych cięgów, jakie wymierzył swojej oślicy. Ale walcząc przeciw panowaniu kija, nie wolno się kijem posługiwać.

* * *

Formuła Rzeczywistości— którą na innem miejscu wyłożyłem, a której ani myślę podawać za mój wynalazek, stara jak świat i przed-świat, a trwała jak poświat — stwierdza wręcz przeciwnie, że właśnie zło — nie znające innych argumentów nad kij, armatę — Sybir, więzienie — zło, jako negacja, jako wielkość powstająca poniżej zera, powstająca w nieobecności czynnego dobra, zło, będące cieniem rzeczy, nie zaś rzeczą, — posiada cechy abstrakcji, gdy cnota jest wyrazem rzeczywistości namacalnej i trwałej. — Skoro wystawimy sobie prawdę i naszą świadomość w stosunku tym, w jakim jest rzecz do lustra *),

*) Jeszcze raz przypominam i jeszcze wiele razy będę przypominał, że porównania bardzo ułatwiają nam uprzytomnianie sobie bytów bezprzestrzennych — byle nie posuwać porównań tych zbyt daleko, do dosłowności, bo wtedy, zamiast ułatwić, zagwoździmy myślenie. Skłonność do tego zagwoździania jest wyrazem inercji Balaamowej, wyrazem upodobania do spoczynku, do pójścia drogą najmniejszego oporu, do uniknięcia fatygi. Jest to przejaw negatywny, odpowiadającą mu zaś pozytywną Rzeczywistością jest Wola — wyraz prężnej potęgi, która ani na chwilę nie może się znaleźć w spoczynku i popycha nas właśnie do — przezwyciężania trudności. Otóż — posłużenie się porównaniem jest jednym ze sposobów przezwyciężania trudności myślowych, w trakcie jednak posługiwania się tym sposobem nasz Balaam usiłuje przyczepić nam zaraz ciężką kulę, którąby znieruchomiła myśl, obezwładniła ją. Gdy postrzeganie bezprzestrzenne ułatwiam sobie postrzeżeniami przestrzennemi, mój Balaam natychmiast poczyna mi doradzać, żebym to ułatwianie posunął do najdalszych konsekwencyj, czyli do utożsamienia rzeczy porównywanych, co oczywiście pociągnęłoby za sobą absurd; ten zaś upoważniłby Balaama do machnięcia ręką, powiedzenia, że wszystko to jest zawracaniem głowy— poczem poszedłby spać. Tego nie można dopuścić. — Gdy porównam świadomość do lustra, Balaam powie, że lustro jest to kawałek martwego szkła i powstające w niem odbicia są też martwe—więc o czem tu mówić! Tymczasem, gdy rzecz żywą, lecz nie bryłowatą, porównywam do bryłowatej, to jeszcze przez to nie odbieram jej życia. Mówiąc o prawdzie i świadomości, mówię o dwu momentach żywego bytu, a dla ułatwienia *intelektualnego* ich postrzegania (można postrzegać również — czuciem) wiążę je w takim stosunku, jaki wiąże nos Balaama z lustrem, w którym Balaam się przegląda. Postępuję tak, bo intelekt nawykł do bryl, płaszczyzn, linij.—Czucie nie wymaga porównań; kto kocha prawdę, nie potrzebuje koniecznie narysować jej sobie w formie prostokąta lub kółka, lub wyobrazić w postaci rzepy lub dojrzałego pomidora.

widzimy, iż prawda — zawsze jedna i niezmienna, jak jednym i niezmiennym jest Syrjusz wobec wszelkiego kalibru teleskopów, lunet i ócz ludzkich, na niego zwróconych — odbija się w nieprzeliczonej ilości luster, lusterek, lustereczek, a nawet najzwyklejszych kawałeczków szkła, równie jak w każdej perełce rosy; odbija się w świadomości salamandry i goryla, Balaama i jego oślicy, Dawida i Ezechiela, św. Augustyna i Emanuela Kanta, Fidjasza i Matejki, astronoma i poety, marzyciela i Edisona, męża stanu i szewca, który mu buty szyje. Ani jakościowemu, ani ilościowemu różniczkowaniu się tych lusterek nie możemy postawić granic. Adam Mickiewicz był wielkim umysłem i wielkiem sercem, był lustrem, które ze znanych nam może najdoskonalej odbiło ten moment prawdy, jakiemu dajemy miano świadomości narodowej—lecz twierdząc to, zawsze winniśmy dodawać: „ze znanych nam“—czyli gradację doskonałości przeprowadzamy zawsze tylko śród form postrzeżonych, nie czyniąc nigdy granicy postrzegania granicą istnienia. Odległość między ziemią i gwiazdą jest wymierna, ale gwiazda będzie najodleglejszą tylko dopóty, dopóki nie odkryjemy bardziej odległej—czyli nieskończoność jest niewymierna. Świadomość salamandry jest bardzo ograniczona, ale to wcale nie przesądza, by kamień lub dąb nie miały żadnej świadomości.—Pamiętajmy—co przy każdem użyciu porównania pamiętać należy, że łańcuch powiązań, łączących waszą świadomość z jednej strony ze świadomością salamandry, dębu, kamienia, z drugiej—ze świadomością Mickiewicza dawną, której ślad został w jego pismach, i obecną, która buja gdzieś w bezczasie i bezkresie—nie może być uzmysłowiony w zczepieniu ogniw w jednym kierunku coraz to mniejszych, w drugim—coraz to większych: z jednego końca pierścioneczki coraz to mniejsze, z drugiego—obręcze! Taka byłaby konsekwencja Balaamowego myślenia, które nie powinno być waszą logiką. To, co nazywamy wzrastaniem lub umniejszaniem świadomości — jasnością lub zmąceniem lustra — wynika ze zmian *jednocześnie* jakościowych i ilościowych, a taką jednoczesność dość trudno uzmysłowić w odniesieniu do form bryłowatych, gdyż zmiany, w bryle zachodzić mogące, przyzwyczailiśmy się

postrzegać *albo* w kierunku jakości, *albo* w kierunku ilości. Jednak, gdy wyobrazimy bryłę ostygającą, która przez ostyganie kurczy się, a jednocześnie na skutek zmian natury chemicznej modyfikuje się i jakościowo — nie będziemy dalecy od trafnego porównania. Na wszystkiem, na wszystkiem odbija się nasz czaso-przestrzenny sposób postrzegania, ale że na pewno nie jest jedynym, gdyż nie wyczerpuje Bytu, występującego w lustrze naszej świadomości — przeto godziwem i słusznem jest wyłamywanie się w pewnych momentach z reguł tego sposobu, tego jednego—ze sposobów! W perspektywie czaso-przestrzennej szereg postrzegań, ustawionych od goryla do salamandry, ameby, dębu, kamienia ujmujemy jako uwstecznienie, a szereg, ustawiony w przeciwnym kierunku od goryla do Mickiewicza i świadomości bezprzestrzennej — jako ewolucję. Ależ to są wrażenia perspektywiczne! Niech sobie sporządzę cokolwiek inną lunetę—już te wrażenia bardzo się zmodyfikują. Ale Prawda się nie zmodyfikuje. Ona zawsze — jak Syrjusz! Nie on przystosowywa, przykraiwa swój byt do ócz i teleskopów, lecz oczy i teleskopy muszą się doskonalić, by spostrzegać go mogły w jego całej świetności. A dokonywa tego Wola, czasem zwana Potrzebą — dźwig wszystkiego, co płynie, istota ruchu i czynu. Ona to wytwarza i narządy wzrokowe i teleskopy i żywe lustra świadomości — i wynalazczości jej niema kresu. Nie martwmy się więc tak dalece naszą nieznajomością narządów, jakiemi będziemy się posługiwali po śmierci. O tem Wola już pomyślała, my zaś o tem pamiętać mamy, że z tą Wolą, pra-Wolą musimy sprząc własną. Ten bowiem, Kto nas wypuścił z Ojcowskiej zagrody, dał nam w owym momencie—*samodzielność*—pozwolił nam odbiegać od siebie, a lekkoduchom nawet zaginąć. Gdyby nas miał prowadzić na sznurku — nie moglibyśmy stać Mu się miłymi; miłym ten Mu się staje, kto—samodzielny i własną wolę mający — zatęskni do domu i sam powróci. Nie trzeba, bracie, marzyć o nieśmiertelności, lecz trzeba poprostu — chcieć jej. A chcąc jej, trzeba odważnie, po męsku powiedzieć sobie, że trwać może tylko to, co *jest*—czyli to, co jest pozytywnem w twojem postrzeganiu prawdy,

nie zaś jej negacja. Tedy człowiek zacny, choćby nie marzył o nieśmiertelności, choćby nie uświadamiał sobie chcenia swego tej nieśmiertelności, ma ją już—i wróci do domu miłego i domowi temu miły będzie.

Mówiłem—o gradacji doskonałości i że o żadnym stopniu jej nie można powiedzieć, iż jest najwyższy, bo każdy wypada z *zestawienia* form postrzegania, podlegających ewolucji. Ale do tej mętnej ludzkiej perspektywy czasoprzestrzennej wpadło ongi zdarzenie, które nie daje się *zestawić* z innemi. Cóżby to mogło być? Prawo powszechnej jedności, prawo jednej woli, jednej prawdy, jednej rzeczywistości — wskazuje nam, że zdarzeniem, które z żadnem innem nie daje się zestawić, koło którego usuwa się grunt do porównań, może być jedynie ta właśnie jedna wola, jedna prawda, jedna rzeczywistość. Czyli — sam Bóg.

W tym moim ubogim Domu Cedrowym dotąd nie wymieniłem imienia Chrystusa. Teraz, w tem miejscu wymienię to Imię, aby potem i więcej tego nie czynić. Bowiem On to powiedział, że żaden sługa nie może dwom panom służyć, zatem—jeśli budowa Domu Cedrowego jest robotą zacną—tedy Chrystus na nią patrzy, a w czyjejś obecności o tymże rozprawiać i może jeszcze o niego spierać się — nie przystoi; brakby to był uszanowania.

Czemuż to Chrystusa nie można z innem zdarzeniem *zestawić?*

W każdym z nas jest coś boskiego, coś z prawdy, coś z rzeczywistości, coś z treści, w istnieniu swem niezależnej od czasoprzestrzennych form postrzegania, i właśnie to, co w nas jest boskiego — jest w nas prawdziwem i rzeczywistem. Lecz z naszej *samodzielności* wynika to, że płynący w nas pierwiastek jedynej Woli i jedynej Prawdy musi na swą rękę pokonywać opór, jaki każdy ruch wzbudzony pokonywać musi, opór bezwładu, bezczynu, kwietyzmu, senności, opór negacji i mroku, opór—zła. Ten nasz czyn wewnętrzny, to nasze usiłowanie, by nie dać zagasnąć światełku, które w nas rozniecono, ta walka—tak często tragiczna—odbywa się *bezwzględnie w każdym z nas* — z różnym skutkiem, w różnych formach postrzegania — ale w każdym z nas, równie w św. Pawle, jak w najnędzniejszym rzezimieszku, najplugawszej prostytutce. Ale —

nie odbywała się w Chrystusie. *Nie miał w sobie z czem walczyć.* Przez czasoprzestrzenną perspektywę dziejów ludzkich przepłynął jako niczem nie zmącona i dlatego skromna, prosta Prawda, jako niezachwiana, w żadnym momencie nie załamująca się Wola. Nie można powiedzieć, iż był najdoskonalszym, gdyż usuwa się od zestawień i porównań, ale można powiedzieć, iż był Doskonałością. Spłynął jako — Nauka serca i zacności — i w tej nauce, otwarłszy przed nami głębie niezrównanie piękne, czyste a bezdenne, powiedział nam o Prawdzie tyle, ile jedynie prawda sama o sobie zdolna powiedzieć. Świecił cały, świecił całym sobą, nie było w Nim zakątków nieprzejrzystych, zacieni, zakamarków duchowych, przytułków mroku. Nie było w Nim miejsca na mrok — i dlatego nie był człowiekiem. Nie będąc człowiekiem, a będąc zacnością — mógł być tylko Bogiem. Tu niema dwu możliwości, tylko jedna prawda. „Ten był prawdziwie Bogiem" — oto jedynie, co można powiedzieć Faryzeuszom i tępogłowemu Balaamowi, którzy, nie uprzytomniając sobie, co jest Wola, i Prawda, i Zacność, zapytują — czyliż On był Bogiem? — Dla zacnych i nieskrzywionych był w jednym momencie początkiem i końcem metafizyki; nie kto inny, ani co innego, lecz On — prawda skromna, prosta, niezmącenie przejrzysta — tkwi *w tem miejscu*, na którem w mniemaniu intelektu, zapominającego o zrzuceniu okularów, wznosi się rzekoma twierdza zagadnień metafizycznych. A gdzież jest to miejsce? W sercu! „Królestwo Boże wewnątrz was jest!"...

... Ja moje okulary stłukłem — za co Bogu dziękuję; zreparuję je, gdy będą mi potrzebne. Uczyń to samo, Balaamie!

* * *

Pierwsze przejawy zmysłu (czucia) bogopostrzegawczego u człowieka, bardzo wyraźne również i u zwierząt — to groza i zachwyt — dwa wrażenia bardzo siebie bliskie, w świadomości ludzkiej występujące jako cześć i uwielbienie — zasadnicze pierwiastki kultu, a nazewnątrz, w czynnościach człowieka — występujące w obrządkach kultu. Ryk burzy budzi grozę; pieszczota słońca — zachwyt; jedno i drugie z tych wrażeń ma ten skutek, iż każe

nam ugiąć kolana, pochylić się i pokłonić się czemuś lub ku czemuś wyciągnąć ramiona. I oto mamy już i wewnętrzną istotę kultu i zewnętrzne, obrzędowe jego przejawy. Poręczeniem doskonalenia się tego zmysłu, jak i każdego innego była wola, czyli potrzeba coraz wyraźniejszego, coraz jaśniejszego postrzegania; postrzegam mało, chcę postrzegać więcej; wyjrzałem przez szczelinę—chcę wyjrzeć przez okno; wyjrzę przez okno—chcę wyglądać tak, by mi nic nie zacieśniało pola widzenia, a więc chcę wyjść na przestwór; wyjdę z izby na przestwór—chcę iść w przestwór, a potem — za przestwór; gdy dotknę czegoś niewyraźnie, zaraz zechcę omacać to ze wszystkich stron, potem wziąć w rękę, pogłaskać, obejrzeć, owąchać, wsłuchać się w to. Tak było i jest—i z psem, i z dzięckiem, i z człowiekiem pierwotnym, i z człowiekiem cywilizowanym, i z filozofem, i z szewcem. To jest istota ewolucji, tego kunsztu, który wytworzył wszystkie narządy nieskończonego szeregu: komórka, mózg, oko, teleskop i t. d. W doskonaleniu się jakościowem i ilościowem zmysłu bogopostrzegawczego — z czcią i uwielbieniem związała się wiara, a miłość weszła w rdzeń tego zmysłu i zarazem stała się formą jego postrzegania; stąd w naszym języku, urabiającym się pod wpływem wyobrażeń zmysłowych—miłość jest właściwą, trafną,—bo dobrze, głęboko ujmującą charakter, całokształt tego zmysłu — nazwą jego.

Gdy człowiek po raz pierwszy ukląkł, zdjęty zgrozą — zmysł bogopostrzegawczy w nim się kształtował; gdy z zachwytem wyciągnął ramiona ku jakiemuś dobroczynnemu zjawisku — zmysł ten doskonalił się; gdy uwierzył—w momencie tym zmysł skrzepł, umocował się w jakimś ośrodku, począł się stawać narządem; gdy człowiek uczuł gotowość oddania życia za wiarę swą, posiadł ów zmysł i jego narząd — w pełni. Bo wówczas już — kochał; nie tylko drżał, nie tylko bił pokłony, nie tylko wierzył—lecz kochał. Posiadł zmysł i narząd przedziwnie subtelny, który pozwalał mu nie tylko postrzegać Boga czuciowo, lecz bezpośrednio się z Nim wiązać, być z Nim w kontakcie codziennym i nieprzerwanym.

Lecz wola i potrzeba drgała i prężyła się dalej. I tu zaczęła się tragedja. Postrzegając i ujmując Boga zmysłem i narządem wewnętrznym, człowiek zapragnął Go mieć śród form postrzegania czasoprzestrzennego, a więc — wziąć go do ręki, pogłaskać, wsłuchać się w niego. Gdyby się był uważniej wsłuchiwał w siebie, byłby łacno postrzegł, że wokół już uzyskanego narządu czucia bogopostrzegawczego, za sprawą tegoż narządu — miłości, powstaje cały pierścień wtórnych narządów wewnętrznych, ściśle odpowiadających zewnętrznym—oku, uchu i t. d. Powstaje np. widzenie wewnętrzne; mógłby je nazwać tęsknotą, tą, która przywodzi mu przed oczy daleką zagrodę domową lub daleką w czasie i przestrzeni twarz miłą. Powstaje słuch wewnętrzny, który sprawia, że w człowieku coś gra i śpiewa, choć wokół cisza—a nawet tem głośniej i dźwięczniej gra i śpiewa, im większa cichość wokół. Jak-że znane są te narządy artystom i poetom — a jednych i drugich śród ludzi pierwotnych było daleko więcej, niż śród nas. Gdyby zatem— jak powiadam — człowiek równie bacznie patrzył w siebie, jak poza siebie, i sobie się przysłuchiwał nie mniej uważnie, niż dźwiękom z zewnątrz, to już oddawna ugruntowałby się w pewności, że obok zasadniczego zmysłu bogopostrzegawczego — miłości, który pozwala mu się wczuwać, wtulać się w Boga, posiada już szereg innych, które pozwalają mu obejmować Go widzeniem myślowem, wsłuchiwać się w płynące w Nim lub z Nim melodje—i że—skoro doskonali się jakościowo i ilościowo wszystko—przeto i tych zmysłów będzie przybywało, i te zmysły będą się wysubtelniały. Ale nie może to nastąpić bez woli, bez wyczuwanej potrzeby tego doskonalenia. Niema wtedy majstra, któryby wytworzył nowy narząd lub wycyzelował już posiadany. — Gdy człowiek zapragnął wyczarować obraz Boga nie w sobie, lecz *poza sobą*, w polu widzenia, słyszenia i dotykania czasoprzestrzennego, jedyne wtedy, co mógł uczynić, to ulepić sobie — bałwana. Ulepił go i począł się przed nim kiwać; tysiąclećmi całemi kiwał się przed nim gorliwie, zmieniał zewnętrzny wygląd bałwana, dawał mu różne nazwy, pochlebiał mu wszelkiemi środkami, głaskał go, stroił, przybierał i wciąż

się przed nim kiwał. Gdy jednak bałwan ani jednem skinieniem mu nie odpowiedział, w złości dziecinnej i niedorzecznej rozbił go, a w głupocie oślepłej i głuchej zawołał: „Niema nic!” Nastąpił tragiczny moment umilknięcia woli w człowieku. Pamiętajmy, iż człowiek—wypuszczony z ojcowskiej zagrody—otrzymał samodzielność; jakaś wola, wola powszechna i jedyna pchnęła go na jego własne i samodzielne tory; gdyby biegł wciąż na pasku woli Boga, taki moment umilknięcia woli wydarzyćby mu się nie mógł, ale nie mógłby też człowiek, wiedziony na pasku, wytworzyć dziejów własnych, dziejów ludzkich. W owym najtragiczniejszym z całych dziejów tych momencie Balaam—nie ten prostacki Balaam, co ulepił czterogłowego Światowida, lecz Balaam, mający już wyćwiczony umysł, Balaam uczony, Balaam filozof — na jasnej nici postrzegania Boga wszystkiemi czuciami i zmysłami wewnętrznemi — zawiązał węzełek. A jednocześnie dotknęło go bardzo przykre kalectwo; na nosie wyrósł mu naprzód guzik, potem guz wielkości małego kartofla, wreszcie poczwarna narośl przed samemi oczyma i ta tak mu zwęziła pole widzenia, że tylko z boków, skośnem wejrzeniem, mógł coś dojrzeć. Zakłopotany tem, począł do wąziutkich tych szczelin przykładać najrozmaitsze przyrządy optyczne, czego skutek był taki, iż w jego świadomości, zamiast odbicia prawdy, powstały odbicia najniedorzeczniejszych złud. Wtedy, rozzłoszczony, nazwał ten galimatias własnego wyrobu—metafizyką! I machnął ręką. Odtąd ludzie upośledzeni najrozmaitszego rodzaju guzami i naroślami, jedna od drugiej obrzydliwszemi, poczęli przystępować do układania przepisów pożycia ludzkiego. Rzezimieszkowie wzięli na siebie opracowanie zasad prawa własności; prostytutki i homoseksualiści—zasad moralności płciowej; jakiś inny kaleka opracował kodeks więzienny; znów inny—prawo międzynarodowe, inny znów—ślepy i głuchy, obłudny, fałszywy i głupi—założył szkołę dyplomacji i t. d. Patrząc na tę ordynarną hecę, filozof niewątpliwie cierpiał, niewątpliwie czuł odrazę do plugastwa—ale nie miał odwagi rozwiązać węzełka, nie mógł się zdecydować na operację narośli. Bał się bólu, bo nie rozumiał wartości cierpienia. Przytem miał—ambicję! Próbował tedy dróg pośrednich, próbował tłumaczyć

homoseksualistom, pijakom, katom, dyplomatom, że chociaż Bóg i cnota to abstrakcje, jednak praktykowanie cnoty nie jest pozbawione strony utylitarnej, a nawet powabu; wstrzemięźliwość płciowa tudzież w napojach i pokarmach sprzyja zdrowiu i t. d. Bardzo naturalne—iż go wyśmiano; praktycznie zużytkowano jego pouczenia w pomyśle urządzania balów i rautów na cele dobroczynne i zaopatrywania katów we fraki i białe rękawiczki. Ale pijak otwarcie powiedział, że cnota nie ma smaku, wódka zaś ma, i że woli wódkę i w następstwie chorobę, niż zdrowie bez wódki. Inni powołali się na inne rzekomo realne wartości—i o te wartości wszyscy w dalszym ciągu walczyli kijem, armatą, ustawą, ukazem i t. d. — Konsekwencja omyłki, która byłaby komiczną, gdyby nie wyciskała morza łez, konsekwencja umieszczenia teleskopu pomiędzy intelektem i sercèm i skutki guzika na nosie rozsnuwały się w fatalnym a nieprzerwanym łańcuchu; siła przed prawem, podbój, uciemiężenie, walki klas i walki narodów... By nie patrzeć na to, filozof, jak struś, chował głowę pod własne skrzydło, ale wtedy dręczyły go — mary! Przyszła wojna, po wojnie paskarstwo, kołowacizna partyjna, nowe komedje i szachrajstwa dyplomatyczne... I tak ma być wkółko? Dosyć! — Miarka przebrana! Chirurg nie djabeł; Balaamie — idź do chirurga!

* * *

A jednak miło jest pomyśleć, że mimo wszelkie guzy i narośle intelektu — cnota jest jak była, i zacność — jak była, i Bóg — jak był. W zaciszach serc, w zaciszach skromnej zacności, w zaciszach kościołów, poezji, sztuki—prawda nic na jasności nie straciła. I powiadam, że gdybyśmy na dzieje ludzkości spojrzeli zwysoka, widzielibyśmy płynący jasny potok. Gdzieżby jednak podziać się miała obfitość zła, widzianego tu, na dole — zła rozwielmożnionego i zda się naskroś przesycającego naszą aktualność? Lecz powiedzcie—widział-że kto ciemność? Przecież ciemność — to nic. Nie postrzegamy ciemności, lecz nieobecność lub zesłabnięcie światła. Dzieje tworzy dobro, nie zło — które nic stworzyć nie może; a ponieważ dobro świeci

i dobro jak było, tak jest—więc dzieje nasze świeciły i świecą jasnym potokiem, przed którym ciemność ustępuje, ustępować musi. Homoseksualiści i prostytutki, kupczące sobą z amatorstwa, oprawcy i dyplomaci, paskarze i wodzireje partyjni — to nawet nie nawóz dziejów, to — próżnia, a w niej roztańczone dręczące mary. Od nas samych — bylebyśmy wolę trącili i przemówić jej dali — zależy, by te mary pierzchły. Zamiast dręczyć się korowodem widziadeł — zająćby się jakąkolwiek robotą! Robota jest zacnością, jest budowaniem Domu Cedrowego — niepożytego, jest tworzeniem dziejów. Obróćcie się wstecz, a zobaczycie nieprzerwany łańcuch czynnych, prężących się rąk, które coś sobie z dłoni do dłoni podają. To budowniczowie Domu Cedrowego; uważnie popatrzcie; jestem pewny, że śród nich znajdziecie waszą matkę, bo jeśli nieszczęściem wielkiem wasz ojciec był dyplomatą lub wodzirejem partji lub satrapą, katem czy oprawcą, słowem — człowiekiem kłamstwa, to matka wasza miała na pewno choć jeden moment szczerości, która wprowadziła ją między budowniczych. Tym momentem— było macierzyństwo. Ojcom może się czasem przytrafić to, że będą kłamali nieprzerwanie, od wyjścia z dzieciństwa, w którem prawda nie była im jeszcze niemiła—aż do zgonu i nawet przy zgonie będą kłamali i sobie, i ludziom, i Bogu. Ale kobieta, która została matką, w tej jednej chociaż chwili kłamać nie mogła, była sobą, nie odgrywała komedji; na tę jedną chwilę musiała odrzucić pozę i draperje—i chociażby całe życie miała wysłane różami kłamstwa, w tej jednej chwili musiała przejść po cierniach — i zajęczeć — i dać świadectwo prawdzie i dla niej ucierpieć; w tym jednym i może jedynym momencie była człowiekiem prawym i prawdziwym. To też Prawda trwa i płynie raczej przez matki, niż przez ojców. Dlatego to Matkę Boga zowiemy nadzieją świata, bo nadzieja—w prawdzie czyli szczerości. Dlatego to Polska, w której rdzeniu duchowym najgłębszym tkwi miłowanie prawdy, taką czcią płonęła do Matki Boga i w swej Rzeczypospolitej ją uczyniła Królową. Dlatego to obrona Częstochowy jest wieczystym symbolem obrony naszej wolności i nadzieją, że i z obecnej najcięższej, cięższej

nad moskiewską i pruską i austrjacką niewolę — z niewoli ducha jeszcze zdołamy się wyzwolić.

Tedy nie zaprzyjcie się nigdy matki waszej, bo gdybyście to uczynili, to w tymże momencie już bylibyście nicością, jużby bezpowrotnie przepłynęło nad wami wszystko, co żywe i płynie. A gdy matki się nie zaprzecie, która z bólem rozdartych wnętrzności was wydała, tedy nie zaprzecie się i ojczyzny, i prawdy, i Boga—i do ojcowskiej zagrody będzie wam zawsze powrót otwarty. Bo gdyby was klucznik wpuścić nie chciał, tedy wasza matka upomni się, a Matka Boga wstawi się—i będziecie wpuszczeni.

* * *

Niech-że wam nie będzie dziwnem, że i ja, gdy odwrócę się wstecz i z szacunkiem i miłością wyjrzę ku zastępom budowniczych, niezmordowanie budujących w wiekach powszechny Dom Cedrowy, szukam tam bliskiej, miłej twarzy i zacnej dłoni matczynej. W łańcuchu tych pracowników, od pokolenia do pokolenia, jedne dłonie coś drugim podają; czyjaż dłoń miałaby mnie moją cząstkę podać, gdy nie matki?

W „Mojej Biografji” *) opisałem stosunek, jaki mnie łączył z matką, tu więc powtarzać tego nie będę **). Sięgnąć jednak muszę do pewnych niepodanych tam szczegółów z mego życia. W naszym domu bigoterja czuć się nie dawała, ale zwyczajowa obrzędowość religijna była przestrzegana i zostawiła mi kilka

*) Zamieszczona w zbiorowej książce przez Artura Górskiego wydanej p. t. «Godło» (1917 r.) i w moim zbiorku literackim p. t. «Respha» (1916).

**) Jednak muszę to powiedzieć, że «Moja Biografja» jest niejako pierwszą częścią tego oto «Domu Cedrowego»; rzeczy te wzajem się uzupełniają w wielu momentach. I tu muszę przytoczyć jeden ustęp z biografji, dotyczący stosunku mojej Matki do religji, gdyż może mi być potrzebny do lepszego powiązania tego, o czem dalej mówić będę. Pisałem tam: «Stosunek jej (Matki mojej) do religji i katolicyzmu budził we mnie zawsze — nawet w tej dziwnej, przemijającej, dziś wręcz niezrozumiałej dla mnie samego epoce, kiedy zaliczałem siebie do bezwyznaniowych — szacunek i zajęcie. W katolicyzmie widziała jakąś kolosalną, niebotyczną potęgę duchową i intelektualną, przerastającą ciasne pojęcie wyznania, pełną prężnych, żywych pierwiastków, zdolną do wyłonienia zarówno Czynu, jak i Marzenia — subtelnego, lotnego, bezkresnego. Mówiła, że nie może być pochlebniejszego dla polskiej duszy zbiorowej świadectwa nad tę jej zdolność i potrzebę wchłonienia w siebie tej przedziwnej potęgi, zrośnięcia się z nią; proces ten — mówiła — nastąpił w najgłębszych warstwach duszy narodu i ktoby zbadał drogi jej ciążenia ku katolicyzmowi, sięgnąćby musiał do jądra duszy polskiej. Żaliła się, iż takie ciekawe, głębokie zagadnienia leżą odłogiem».

z co najmilszych wspomnień. I wigilijne wieczerze, i wielkanocne święcenia stołu, skromnie zastawionego — i niedzielne bywania z matką u Kapucynów (w Lublinie), w tej kaplicy po stronie lewej, gdzie to strop był (nie wiem, czy jest jeszcze) niebiesko malowany, a rzęsiście posiany gwiazdkami—i te, także po lewej stronie (czy dziś jeszcze istniejące?) stare, ciemne malowidła, a na nich jakieś płomienie—pożaru czy piekieł, już nie pamiętam,—i odwiedziny Grobu wielkanocnego w odwiecznych zaciszach kościoła Dominikańskiego lub jakichś małych kościołkach, czy to na Kalinowszczyźnie, czy jakiemś innem przedmieściu,— czy wreszcie mały, ciemny wizerunek Chrystusa, zawieszony nad mojem łóżkiem dziecinnem — wszystko to rad odgarniam z zacieni przeszłości i — całuję. A o owym małym, ciemnym wizerunku—to chciałem powiedzieć, że mi na długie lata jakoś z oczu zaginął. Dom matczyny (ojciec mnie odumarł, gdy miałem cztery lata) opuściłem bardzo młodo, lat kilkanaście mając — i już do niego nie wróciłem, bo i nie było do czego wracać. Ubogie gniazdko nasze kogo innego przytuliło, a my rozeszliśmy się po świecie. Otóż, gdy dom swój opuszczałem, matka przeżegnała mnie—i tyle, ale owego ciemnego obrazka, który, przez całe dzieciństwo nad mojem łóżkiem zawieszony, bywał mi przytomny we wszystkie ranki i wieczory—nie dała mi. Dobrze zrobiła! Takich rzeczy nie wydaje się z domu. Byłbym to gdzie zawieruszył, zaprzepaścił, jak nie jedno może zaprzepaściłem z rzeczy, z ojcowskiej zagrody pobranych — i potem miałbym gorzki wyrzut. Czyniłem go sobie już i z tego powodu, że tak mało o tym obrazku pamiętałem. Przez lat czterdzieści zgórą nawet nie zapytałem nikogo, co się z nim stało. Jednak uczuwałem czasem jakiś brak i męczyłem nieraz swą pamięć pytaniem, co to takiego kiedyś widywałem stale, codziennie, zaraz po obudzeniu. Czasem z mgieł, z zakątków pamięci, tej pamięci, co to z biegiem czasu staje się jak strych mnóstwem niepotrzebnych rupieci załadowany, śród których jednak czasem znajdzie się jaki cenny drobiazg—wynurzał się mały chłopczyk, co rano uważnie wpatrujący się w coś. Coby to było? Jakaś plamka, jakiś ciemny prostokącik nad łóżkiem; jakieś pół twarzy,

występującej z ciemnego okolenia, i w niej oczy, tak szczególnie przykuwające uwagę tego dziecka...

Matka moja umarła przed kilkunastu laty, zdala od swego rodzinnego Lublina, w tych stronach Podola, gdzie hula teraz swywola bolszewicka. Byłem wtedy zdala od niej i dotąd nie byłem na jej grobie. W jakieś lat dziesięć po jej śmierci, od siostry mojej, już po wojnie ze stron tamtych przybyłej, otrzymałem, jako puściznę po matce, mały pakiecik. Była tam książeczka, przez nią napisana i wydana w r. 1878 p. t. „Kobieta w rodzinie” *); był rękopis, już bardzo starą i drżącą ręką pisany, p. t. „Trzy listy do syna” — i ciemny obrazek, bardzo stary, trzy na cztery cale wymiaru, na płótnie tekturą podklejonem malowany, bez ramek. Na nim do popiersia odmalowana głowa z twarzą, występującą z ciemnego, rdzawego okolenia włosów, o wyniosłem czole i oczach, które nie dziw, iż zastanawiały dziecko. Bo i teraz zastanowiły mnie, przykuły do siebie, równie jak dziwny w sfałdowaniu policzków ku ustom spływający wyraz. To świat jakiś cały, to otchłań, to coś—przed czem można całe życie spędzić, rozmyślając! — A! jeżeli tak za życia wyglądał, to już za pierwszem Nań spojrzeniem można było poznać w Nim — Boga!

Z książeczki, którą potrochu zacząłem sobie przypominać, przedewszystkiem wpadło mi w oczy kilka zdań i fragmentów ze Wstępu. Owoc „pracy, zastanawiania się nad życiem” — i „przekonań wypróbowanych i niezachwianych” ma służyć ta książka rodaczkom autorki „do jasnego i zdrowego pojęcia powołania swego i do zrozumienia, na czem prawdziwa wartość kobiety zależy i w czem ona jedynie prawdziwe znaleźć może szczęście”. — Zakończenie *Wstępu* tak brzmi: „A teraz pobłogosław mej pracy czysty duchu mej matki, który i z poza

*) Dopiero po otrzymaniu teraz tej książki uprzytomniłem sobie w pamięci, że pomiędzy pisaniem jej a wydaniem kilka lat upłynąć musiało. Pisać ją Matka moja musiała, gdy miałem zaledwie lat sześć; tytuł utkwił mi w pamięci dlatego, że bywałem niezadowolony, iż ta praca odciąga Matkę ode mnie. Pisała wieczorami czy nocą, przy świetle nisko, na drążku metalowym opuszczonej dawnego typu lampy olejnej; ja już wtedy leżałem w łóżku i wyczekiwałem przez długie czasem godziny, by przyszła usiąść przy mnie, bo byłem przyzwyczajony usypiać, trzymając ją za rękę.

grobu czuwasz pewno nade mną w mojej niedoli wdowiej. Tyś była aniołem stróżem mojego dzieciństwa, przewodniczką lat młodych, moją siłą w dniach próby i światłem w wątpieniu. Tobie winnam każdą myśl szlachetną, każde lepsze uczucie, które się kiedykolwiek zbudziło w mojej duszy. Twoim radom, natchnieniom, przeczuciom — z taką wiarą dawałam się zawsze prowadzić; prowadź więc i moje pióro, podsuwaj wyrazy; niechaj i ta praca, tak jak wszystko w mojem życiu, dokona się za twojem dobrem natchnieniem" *).

Ładne to jednak słowa; nie mówi przeze mnie ambicja synowska, lecz to coś, co jest we mnie z artysty; zaś, jako człowiek, budujący ze starych, starych bierwion, z ojcowskiej zagrody uniesionych—Dom Cedrowy, powiadam, że takie same słowa winienbym we wstępie tej mojej książki wypisać. Tak to te rzeczy od dłoni do dłoni pokolenia sobie podają. Od matek do matek przechodzą i od matek synom się dostają — czasem w starym, pociemniałym obrazku.

Na ostatku począłem czytać owe „Trzy listy", które starość już drżąca, u grobu, niewymowna, już byle jak wiążąca słowa, starość zacnej matki Polki, synowi w testamencie podała. Ale był tu list tylko jeden, a w nim zapowiedź następnych; czy napisała je, czy nie zdążyła już — nie wiem. Może nie napisane za życia, teraz—szeptem nocy cichych do uszu mi podaje. Bo postrzegam, że ten list jej—to mój własny Dom Cedrowy, tylko w jakimś innym momencie widziany, w jakimś innym momencie swego powstawania.—Przedrukuję go tu, lecz pamiętajcie, że to nie pisze literatka, lecz jedynie człowiek dobrej woli, staruszka, której ostatnie myśli wybiegają ku temu, jak zagrodzić drogę— złu. Onaby rada swą starością drżącą położyć mu się na drodze, by ją poterało — byleby młodości i Polski nie dotknęło!

* * *

*) Pomimo, że ta książka i w stylu swym i poziomem swej skromności i prostoty niezmiernie odskakuje od spółczesnych książek, pokrewnego przedmiotu, czyli sprawy kobiecej dotyczących, a raczej—dlatego właśnie, że tak odskakuje — noszę się z myślą przedrukowania jej dla użytku spółczesnej Polki.

Zapytujesz mnie, Synu mój, co czynić, żeby dzieciom prawdziwe szczęście zapewnić w przyszłości; piszesz, że jest to pytanie, które nieustannie umysł Twój zajmuje i niepokoi. Nie dziw. Szczęście dzieci toż to zwykła troska rodziców, a dla wielu z nich, szczególniej dla tych, którzy już żadnych osobistych nie mają pragnień ani nadziei, to jedyny cel życia, dążności i usiłowań. Ale czyż jest w mocy ludzkiej szczęście prawdziwe, doskonałe dzieciom zapewnić?

Jeżeli przez staranne i rozumne wychowanie damy im zdrowie fizyczne i moralne, jeżeli, nie szczędząc ofiar, otworzymy przed niemi skarbiec wiedzy niewyczerpany, z którego umysł, chciwy nauki, czerpać może dowoli; jeżeli postawimy je w możności sięgania po zaszczyty i sławę; jeżeli zapewnimy im dobrobyt, wygody i przyjemności, które za pieniądze mieć można, — czyż to będzie wszystko, czego oni kiedyś zapragnąć mogą, i czyż ich to zabezpieczy od nieprzewidzianych zmian losu, od niespodzianych gromów, które ze szczytu pomyślności zepchnąć mogą człowieka na samo dno nędzy i niedoli ludzkiej? Chyba — nie. Zapewnić dzieciom szczęście nie jest w naszej mocy; próżno kusić się o to. Lecz zahartować ich ducha przeciw wszelkim możliwym życia udręczeniom i dać to wszystko, co im w złej godzinie umocnieniem, otuchą, pokrzepieniem, pociechą być może, co ich od zniechęcenia, upadku, rozpaczy zachować potrafi — oto co uczynić jest naszym obowiązkiem.

Jak to uczynić?

Umysł ludzki, dziwnie jakiś chwiejny i w takich błąka się ciemnościach, że zamiast coraz jaśniej widzieć przed sobą drogę ludzkich przeznaczeń, coraz trudniej człowiekowi trafić na nią i coraz częściej ustępuje z niej dobrowolnie, ze zniechęceniem, zwątpieniem i bezsilną rozpaczą. Przecież nigdy jeszcze nie było tyle samobójstw, ile ich się trafia dzisiaj, i to we wszystkich warstwach społecznych, w każdym wieku i stanie. Któraż matka lub ojciec nie zadrży, śmiertelną trwogą zdjęty, czytając w pismach takie częste doniesienia o samobójstwach młodzieńców i dziewcząt, czasem nieledwie dzieci, którym powodem do odebrania sobie życia była nieszczęśliwa miłość, a czasem nędza, a czasem nawet taki błahy powód, jak nieuzyskanie promocji do wyższej klasy w szkole. A ileż to samobójstw z niewiadomej przyczyny; czego się tam domyślać można — jakiego bólu rozpaczy, zwątpienia... Straszne to są zagadki, a choć nieodgadnione, wielką wkładają odpowiedzialność na społeczeństwo, które zakłada kolonje letnie dla słabowitych

dzieci, urządza komitety sanitarne dla walki z cholerą lub dżumą, otwiera wzorowe szpitale i sanatorja, a dla zapobieżenia najstraszliwszej zarazie, która nie tylko fizyczną, ale moralną śmierć roznosi, nie ma żadnych zaradczych środków.

Dlaczego tak jest?

Zapobiec szerzeniu zarazy mogliby tylko ci, co wychowują młode pokolenia; ich to obowiązkiem jest wskazać jakąś gwiazdę przewodnią, drogowskaz.

Taką gwiazdą przewodnią nie może być nic innego, jak tylko religja, wiara silna i głęboka, którąby każdy prawem dziedzictwa na świat z sobą przynosił, którąby później matka tchnieniem swojem w jasny rozżarzyła płomień, którąby ojciec przykładem swoim i rozumnem utwierdził słowem, i któraby, choć stłumiona wpływem świata, prędzej czy później, szczególniej w ważnych, krytycznych chwilach życia, zbudzić się musiała w duszy.

Tylko wiara może mieć moc gojącą wszystkie rany dzisiejszego społeczeństwa; niema jej żadna inna filozofja, ani też dzisiejsza etyka, o ile nie jest oparta na Słowie Bożem. Przeciwnie, nigdy może nie okazały się prawdziwsze słowa Chrystusowe: z owoców ich poznacie je, jak zastosowane do tej uczoności, która ignoruje Boga. Postrzegać przed sobą próżnię, nicość, jako ostateczny wynik istnienia! To może prowadzić do rozpaczy! Są osobistości wyjątkowe, które siłą własnego rozumu utrzymują się na powierzchni tych fal pochłaniających, i wierząc w swoje wyższe, choć ziemskie tylko posłannictwo, pracują wytrwale, ścigając upatrzony, błędny jakiś ognik, który ich łudzi pozorami prawdy. Dla tych życie ma wartość i powab,—do czasu, dzięki szczęśliwym okolicznościom i warunkom, w jakich los ich postawił. Ale dla pospolitych ludzi, dla zwykłych inteligencyj i dla tych, którym życie nie płynie tak łatwo, pozostaje tylko jedno z dwojga: albo godzić się z koniecznością i nie sięgać wcale myślą poza obecną chwilę, lecz starać się wyzyskać ją, o ile się da, ku zadowoleniu choćby najniższych instynktów, albo idąc za głosem szlachetniejszych pożądań, buntować się ciągle przeciw tak smutnemu przeznaczeniu lub wkońcu uciekać szlakiem samobójców, z małodusznym strachem przy pierwszem niepowodzeniu, przy pierwszej ciężkiej próbie, jakich nam tak wiele przynosi życie...

Trudno się nawet dziwić temu. Gdyby, nazywając człowieka najdoskonalej uorganizowanem zwierzęciem, stawiało go się rzeczywiście na właściwym mu gruncie, gdyby on rzeczywiście był zwierzęciem najdoskonalszem i najsilniejszem, byłoby

pół biedy, ależ on pod względem fizycznym jest najsłabszą, najniedołężniejszą, na największe cierpienia i niebezpieczeństwa skazaną istotą, a w dodatku, on sam jeden ma świadomość swego nędznego istnienia i nędzniejszego jeszcze końca. To już nazbyt straszne, a przytem tak nieprawdopodobne, że z pozytywisty może uczynić sceptyka, który będzie wątpił nie tylko o tem, co dotąd było dla niego naukowo dowiedzioną prawdą, ale stanie mu się wątpliwą własna jego niewiara w to, co nazywał przesądem i odrzucał ze wzgardą.

Wszakże stopniowe wyrabianie się pojęć moralnych jest także naukowo dowiedzioną prawdą; tymczasem niepodobna zaprzeczyć, że to wyrabianie się pojęć moralnych nie jest wcale dochodzeniem jakichś prawd nowych, nieznanych, jest tylko coraz lepszem zrozumieniem moralności Chrystusowej, nad którą lepszej i doskonalszej nikt pewno nie wymyśli. Zczasem wszyscy, co z moralności chcą zrobić naukę, powstałą z obserwacji, którą, jak każdą inną wiedzę, ciągle uzupełniać i doskonalić trzeba, przekonają się, że to, do czego oni doszli taką długą i zmudną drogą stopniowego postępu, było przed wiekami już głoszone przez Chrystusa. Uprzedził On blisko na 2.000 lat wyrobienie się tych pojęć moralnych, które teraz dopiero zyskują prawo obywatelstwa. On pierwszy nauczał, że ludzie są sobie równi, są sobie braćmi, że jeden drugiego krzywdzić, ani ciemiężyć nie powinien, a dopiero niewiele dawniej, jak przed stu laty, te hasła równości, wolności, braterstwa ludzie głosić zaczęli, i to jeszcze nie w duchu miłości chrześcijańskiej, bo brocząc we krwi niewinnej, w imię tych haseł, z dziką nienawiścią i zemstą przelanej. On pierwszy kazał Piotrowi schować miecz do pochwy i nie wydobywać go nawet dla Jego obrony, a dopiero w naszych czasach widzimy przyjaciół powszechnego pokoju, zwołujących kongresy dla obmyślenia sposobów, jak zapobiec tym krwawym wojnom, które z taką zaciętością toczą się na całym świecie. On przebaczył jawnogrzesznicy, gdy się nie znalazł nikt bez grzechu, coby pierwszy kamieniem na nią rzucił, a dopiero teraz niektóre państwa karę śmierci usuwają ze swego prawodawstwa.

Tak samo genezą dzisiejszego determinizmu nie sąż słowa Ukrzyżowanego: Boże! przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią.— Ale Boski prawodawca powiedział także: Od każdego, komu wiele dano, wiele żądać będą—i te drugie: Bóg odda każdemu wedle zasług jego—a determinizm czyni człowieka nieodpowiedzialnym za czynności jego i zapewnia mu zupełną bezkarność.

Ludzie mylą się w ten sposób, często łudzeni pozorami prawdy.

Tak samo prawdziwem w zasadzie, a fałszywem w zastosowaniu jest to pojęcie prawidłowości i szeregu nieuniknionych następstw, przyczyn i skutków, zarówno w przyrodzie, jak i w historji narodów. Może to być, że każdy wypadek nie jest wynikłością ślepego trafu, ale skutkiem jakiejś przyczyny i przyczyną dalszych skutków, nie idzie jednak zatem, żeby pierwszą przyczyną tego szeregu przyczyn i następstw nie miał być Bóg, a zgodziwszy się raz na istnienie Boga, który, jak mówi Buckle w swej Historji Cywilizacji: „Tak mądrze świat urządził, że ani jeden kamień od czasu założenia tej wielkiej budowy nie został ruszony z miejsca", czyż można Mu zaprzeczyć wpływu na sprawy tego świata? Zdawałoby się, że Buckle jest wielce religijnym, twierdząc, że wiara w Opatrzność jest przesądem, dowodzącym nie tylko ciemnoty ludzkiej, ale także w wysokim stopniu uwłaczającym Bogu, bo jest spotwarzeniem Wszechwiedzącego utrzymywać, że cały ustrój wszechświata nie mógłby istnieć, gdyby ta sama Mądrość nieustannie nad nim nie czuwała. W takim razie, mówi on, Bóg mógłby być przyrównanym do nieudolnego mechanika, który zbudowaną przez siebie maszynę nieustannie przerabiać i poprawiać musi. Jakże mylna, a zarazem obłudna jest ta mniemana obrona mądrości Stwórcy. Przyznawszy Bogu Wszechwiedzę, należałoby Mu przecież przyznać i Wszechmocność, a z pojęciem Wszechmocności Boga nie zgadza się wcale pojęcie tej powszechnej, systematycznej, nigdy niezbaczającej, zgóry wytkniętej prawidłowości, to konieczne i nieuniknione następstwo wypadków po sobie idących. Bo choć ta maszyna toczy się równo, prosto, bez przerwy, ale żeby ten wielki mechanik nie mógł jej w biegu zatrzymać, nie sprowadzając bezładu ruiny, tego niepodobna przypuścić. Kometa na niebie, burza na morzu, trzęsienie ziemi, morowa zaraza—wszystko to wynika zapewne z przyczyn naturalnych, i nie koniecznie za karę Bożą powinno być uważane, ale żeby nie było w mocy Bożej wpływu tych przyczyn odwrócić, powstrzymać, zniweczyć, temu uwierzyć trudno. A człowiek, gdyby naprawdę to, jakim się stanie, dokąd dojdzie, czego dokona, miało być skutkiem jakichś odległych, niezależnych od niego przyczyn, odgrywałby wtedy strasznie smutną rolę kołka w płocie, kółka w maszynie, coby mu wtedy było po życiu takiem zależnem, a przytem tak pełnem bólów, cierpień i nędzy?

W tym całym wszechświecie wszystko tak mądrze jest obmyślane, rzecz każda w tak odpowiednich do celu postawiona warunkach, że i człowiek gdyby takie tylko miał przeznaczenie, powinienby przynajmniej nie mieć wcale świadomości swego istnienia, bo ta świadomość byłaby wtedy straszną krzywdą mu wyrządzoną. Wobec takiego przeznaczenia, takiego zgóry wytkniętego toru, nie mógłby on, naturalnie, mieć własnej woli, ani być odpowiedzialnym za swoje czyny, więc też determinizm jest logicznym bardzo wynikiem pojęcia prawidłowości i nieuniknionego następstwa przyczyn i skutków w przyrodzie i całym ustroju społecznym, a jednak determinizm jest poglądem, na który zgodzić się niepodobna, naprzód dlatego, że jest dla dobra ludzkości szkodliwy — a potem, chociaż zapewnia człowiekowi bezkarność i upoważnia go do największych zbrodni, nie daje mu żadnej kompensaty za te cierpienia, których na ziemi tyle przenieść musi. Cierpień tych jest niemało i często przenieść je byłoby nad siły ludzkie bez tej nadziei, że kiedyś szala ich zrównoważona zostanie. Wprawdzie są tacy, co wierzą, że postęp wiedzie ludzkość ku coraz większej szczęśliwości i udoskonaleniu i dla tej przyszłej szczęśliwości poświęcają życie i pracę swoją, ale to niewielka pociecha i dostępna tylko dla małej liczby przodowników wiedzy, a i tym wybranym łatwo tak mówić, gdy siedzą w ciepłym pokoju i mają zapewnione jakie takie wygody życia. Czyby tak samo mówili, drżąc od zimna w nieopalonej stancyjce, na jakiemś poddaszu, lub pod gołem niebem, i nie mając kawałka chleba dla zaspokojenia głodu, szarpiącego im wnętrzności — niewiadomo. Kto wie, czy i im wtedy nie zabrakłoby odwagi do życia i siły do pracy dla uszczęśliwienia przyszłych pokoleń. A nim ta szczęśliwość przyszła będzie osiągnięta, czem dziś krzepić pospolitych ludzi i tych, którzy ciężko pracują i cierpią?

Cóż im zastąpi wiarę w nieśmiertelność i czekające ich lepsze życie po śmierci, i właśnie brak tej wiary dostatecznie tłumaczy tę epidemję samobójczą, która nas przeraża, i zbrodnie anarchistów.

Pokazuje się, że wszystkie tegoczesne teorje, wszystkie twierdzenia, rozumowania i wnioski uczonych, choć się zdają takie jasne, pewne i niezaprzeczone, bo je stwierdzają naukowe dowody, nie zawsze jednak są oparte na prawdzie bezwzględnej, czasem z fałszywych wypływać muszą zasad, czasem są naciągane do postawionych zgóry pewników. Czasem też uczeni w wielkim zapale obalania przesądów zbyt ryczałtowo

podciągają wszystko pod miano przesądu. Niepodobna jednak, ażeby kiedyś błędy takie się nie sprostowały, ciemności nie rozjaśniły, a wtedy nauka przestanie być w sprzeczności z religją. Wtedy np. pojęcie prawidłowości i następstwa, naturalnych przyczyn i skutków, da się z łatwością pogodzić z wiarą w Opatrzność i nadprzyrodzony początek wszechrzeczy. Kto wie nawet, czy to pojęcie następstwa przyczyn i skutków nie znajdzie rychło potwierdzenia w nauce Kościoła katolickiego, który naucza, że na tę wiekuistą szczęśliwość człowiek zapracować musi, że bez jego przyczynienia się Chrystus nawet zbawić go nie może, że to zbawienie jest nagrodą osobistych jego zasług, a więc wynikłością czegoś, co było poprzednio, czyli mówiąc poprostu: jak sobie kto pościele, tak się wyśpi, co i w doczesnem życiu tak często sprawdza się na ludziach. A ten podwójny sąd po śmierci, to odłożenie ostatecznego wyroku do chwili, gdy już wiadomem będzie, jaki zasiew pozostawiło życie nasze, jakie owoce przyniosły czyny nasze, jaką spuściznę pozostawiliśmy potomkom naszym, jakie były następstwa spełnionych przez nas cnót lub występków, czyż nie będzie znowu potwierdzeniem dziedziczności, której uczeni dowodzą na podstawie obserwacji, statystyki i badań fizjologicznych. Niech to sobie będzie naukowo dowiedzioną prawdą, że przyczyną dziedziczności jest komórka nerwowa, która jest przyrządem, notującym w mózgu odebrane wrażenia, że jakieś tam drgania, raz się wytworzywszy, dążą do odtwarzania się coraz dalej i dalej, że w ten sposób rozwijają się w człowieku skłonności dziedziczne i wszystkie tak fizyczne, jak moralne i umysłowe zdolności i popędy w ten sposób przemawia do nas głos przodków, dobry czy zły, stosownie do tego, jakimi oni byli. Zawsze nauka uznaje wpływ tych przodków na dalsze pokolenia, a tem samem wkłada na nich *odpowiedzialność* za to, czem pokolenia te się staną, i tłumaczy, dlaczego ostateczny porachunek nastąpi dopiero wtedy, gdy się już wypełni ten szereg następstw, wywołanych ich myślami, dążnościami i czynami, ich pracą i zasługą, ich cnotą lub występkiem.

Gdy się kiedyś wyjaśnią wszystkie sprzeczności nauki z religją, które z pewnością są tylko pozorne, nikt wtedy nie podpisze wyroku śmierci na największego zbrodniarza, tak samo, jak go nie wydał Chrystus na jawnogrzesznicę, powiedział jej tylko: „idź i nie grzesz więcej“.

Nie zbraknie wtedy ludziom odwagi do życia, nie zlękną się tego jarzma, o którem powiedział Chrystus: Weźmijcie

jarzmo moje, uczcie się ode mnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym, bo jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie”, gdyż nie będą wątpili, że kiedyś „Bóg odda każdemu według zasług jego”, a każde cierpienie, każdą łzę nagrodzi.

O! wiara to skarb nieoceniony, wierz mi, mój Synu, a gdy dzieci twoje będą ją miały od dzieciństwa głęboko wpojoną w duszę, nie będzie dla nich zbyt wielkiego niebezpieczeństwa śledzić za postępem nauki, bo ta ich wiara zupełnie nigdy nie wygaśnie. Więc niech wychowawcy młodzieży nie lękają się wpływu książek i pism, wychodzących z najskrajniejszych nawet obozów, tylko robią swoje, starając się ile możności uczucia religijne szczepić w serca młodych pokoleń, bo zasiew taki nigdy nie przepadnie.

Zresztą dziś nauka daleko mniejszą przynosi szkodę religji, niż wszystkie dawniejsze filozofje, bo bada tylko stałe prawa zjawisk, zajmuje się tylko takiemi zagadnieniami, które naukowo, z matematyczną ścisłością zbadane, wyjaśnione i dowiedzione być mogą, nie wkracza zuchwale w dziedzinę, dla rozumu ludzkiego niedostępną, nie usiłuje zapomocą rozumu wyjaśnić tych wielkich zagadnień, które dla tych, co odrzucają Objawienie, będą zawsze niedostępne i nieujęte. Zajmując się tem tylko, co ziemskie, Boga zostawiając w spokoju — Boga ignorują i może dopiero kiedyś powrócą do Niego.

Twierdzenie Bakona, że mało nauki odwodzi od Boga, dużo nauki prowadzi do Boga, sprawdzi się może kiedyś już nie na pojedyńczych umysłach, lecz na powszechnej wiedzy.

Tymczasem jeżeli się ktoś pokusi targnąć na panującą u wszystkich na świecie ludów wiarę w nadprzyrodzony początek wszechrzeczy, dochodzi do tak potwornych i wstrętnych wniosków, że już przez to samo przestają one być niebezpieczne. Przed kilku, może kilkunastu laty czytałam w „Prawdzie” sprawozdanie z lekcji antropologji, mianej w Montmatre, przez pana Lepange, który twierdzi, że teorja o przeobrażeniu (transformacji) nie zawiera nic, coby się sprzeciwiało wyobrażeniom o początku świata nadzmysłowym, i że dla spokoju ludzkości lepiejby było, gdyby się na tem skończyło, ale że lada dzień z doświadczeń w pracowni chemicznej, wypaść może na jaw tajemnica naturalnego tworzenia, jako dopełnienie logiczne przerodztwa, a stąd wyniknie przepaść dla dzisiejszego porządku rzeczy, bo jeżeli z wyobrażeń o wszechświecie wyłączony będzie żywioł nadzmysłowy, trzeba będzie jednocześnie usunąć

wszystkie konsekwencje, wyprowadzane z tych nadzmysłowych danych. Dzisiejsze zasady ustroju państwowego: równość, wolność, braterstwo, wyszły z Chrystjanizmu; filozofja ostatniego wieku wyparła się Chrystusa, ale konsekwencje Jego nauki zostawiła. Tymczasem dziś, zarzuciwszy wiarę w nadprzyrodzoność, trzeba być logicznym i powiedzieć sobie: niema dobra, ani zła, niema wolnej woli, ani sumienia, więc nie może być moralności, ani prawa. Cnotę dostajemy w spadku po przodkach, a paragrafy ustawodawstwa są jakoby reguły gry w pikietę. Dzisiejsza etyka musi runąć, trzeba będzie stworzyć nową moralność i nowe prawa. Więc w nowym tym kodeksie postanowione będzie, że wojna, uleganie słabszych mocniejszemu jest koniecznością natury, że siła istnieje, a niema pewności, że istnieje prawo, więc zastąpienie siły prawem jest chimerą; że zgubną rzeczą dla społeczeństwa jest poprawianie zbrodniarzy dziedzicznych, zgubną rzeczą jest ułatwianie istnienia słabowitym i kalekom. Mrzonką jest idea równości, bo nieuniknioną jest wyższość pewnych osobników, rodzin, ras, a ta wyższość to konieczny warunek ustroju państwowego.

Taki to jest postęp, któremu wiedza drogę toruje! Zdaje się, że idąc dalej w tym wstecznym kierunku, ludzkość dojdzie zczasem do ludożerstwa. Jest to nawet bardzo prawdopodobne. Zwiastunami takiego ostatecznego końca są już może dzisiejsi moderniści, dekadenci, secesjoniści i inni. Dla tych wszystkich nadludzi nie istnieje nic, prócz miłości i to w najlichszym gatunku. Zaspokojenie bydlęcych instynktów i walka o byt, to jedyne cele życia, a wiarołomstwo, podstęp, zręczne omijanie prawa, spekulacja, a w razie potrzeby siła pięści—to najprostsze drogi, do niego wiodące. Chowanie pokoleń do tego uzdolnionych, to zadanie dzisiejszej etyki, a ci, którzy tę nową moralność propagują przykładem i pismami, poprzemieniali nawet znaczenie wyrazów. Np. uczciwość nazywa się głupotą i słabością charakteru, oszustwo—umiejętnym obrotem kapitału i t. d. Czyż to wszystko nie zdaje się zapowiadać tej ruiny, która, według przewidywania p. Lepange, zagraża ludzkości?

A jednak można chyba spać spokojnie i nie troszczyć się o wyniki naukowych badań, bo prawdy, których nas nauczył Chrystus, księgi święte i wiekopomne dzieła mędrców, Duchem Bożym natchnionych, pozostaną z pewnością niewzruszone na zawsze. Żaden też pewno kaznodzieja katolicki nie potrafiłby wymowniej bronić religji, jak to uczynił p. Lepange na swej lekcji antropologji. Nie trzeba nawet zbyt silnej wiary, dość

jest mieć choć trochę szlachetniejszą naturę, niż ją widać po swych przodkach odziedziczył uczony francuski, żeby powrócić do tego Chrystusa, którego się zaparli filozofowie dawniejsi, a ignorują tegocześni uczeni. Czytając te ich pisma, nie niepokój, nie zwątpienie ogarnia człowieka, ale przeciwnie, uspokojenie pewne, bo się widzi, że wierzenia nasze mniej są zagrożone, niżby się zdawało. Przedstawione we właściwem świetle, te wszystkie badania naukowe, doświadczenia, twierdzenia i wnioski przestają być niebezpieczne, bo prowadzą na takie bezdroża, któremi umysł ludzki nigdy nie dojdzie do zamierzonego celu. I te wszystkie nowe prądy i kierunki nie mają także przed sobą żadnej przyszłości. Ileż ja już w mojem życiu widziałam tych nowych prądów i kierunków, które przeminęły, pozostawiając po sobie tylko to, co jak w pozytywizmie było stałe, trwałe, niezaprzeczone, i mogło stanowić pewien dorobek duchowy. Naturalizm np. miał rację bytu, bo miał cel wysoce humanitarny, wykazując w takiem jaskrawem świetle wszystkie rany i nędze społeczne. Moralności też żadnej chyba nie przyniósł szkody, pomimo tego wielkiego oburzenia, z jakiem odzywano się zawsze o Zoli. Był on czasem niesmaczny, ale właśnie dlatego, że występek i brud każdy przedstawiał w takiej wstrętnej nagości, nie mógł, nie powinien był zgorszyć nikogo, a jeżeli zgorszył, to zawsze mniej, niż taki idealista, jakim był Renan. Dzisiejsi nadludzie przeciwnie, wszystkie występki i brudy malują jasnemi barwami i na wyżyny podnoszą swoich bohaterów, przypisując im same tylko nikczemne i już prawie nie ludzkie instynkty, zapalając wyobraźnię czytelników trawiącemi płomieniami, a oryginalność, do której dążą, posuwają aż do odrzucania nie tylko takich form, które się zgadzają z zasadami estetyki, ale i ze zdrowym rozsądkiem. Że pamięć tej całej gromady nie przejdzie do potomności, to zdaje się niewątpliwe. Pomimo tego chorobliwego zdenerwowania, które jest cechą naszych czasów, mało liczą adeptów. To dowodzi, że społeczeństwo nasze nie składa się jeszcze z samych tylko histeryczek i warjatów, i że nie brak u nas ludzi myślących i czujących zdrowo, trzeźwo i uczciwie — więc obałamucić nie daje się tak łatwo.

Najbardziej jednak pocieszającym objawem jest to, że indyferentyzm religijny nie jest już dziś taki powszechny, jak przed kilkunastu laty, nawet postępowe pisma nie manifestują go zbyt ostentacyjnie. Między socjalistami także nie wszyscy są ateuszami; zczasem, da Bóg, przekonają się, że mogliby

stanąć na pewnym i trwałym gruncie, tylko oparci na nauce Chrystusa, który był najpierwszym na świecie socjalistą. Można być prawie pewnym, że umysł ludzki, szukając trwałych podstaw dla życia, a nie przestając badać pierwszych przyczyn wszechrzeczy, będzie musiał uznać nieudolność swoją. Poznawszy wszystko, co mógł poznać, doszedłszy już do ostatecznych, możliwych dla siebie granic, będzie musiał ukorzyć się przed Tym, który mu te granice zakreślił. Tym sposobem tylko ludzkość uratowana być może od znikczemnienia, od upadku, od rozpaczy. Człowiek nigdy z rezygnacją nie zatrzyma się u tych granic i napróżno usiłując przebić ten napotkany mur graniczny, padnie, jeżeli się ponad niego wznieść nie potrafi.

Zanadto bo też nędzną byłaby egzystencja ludzka, gdyby człowiek poza nią nie widział innej wiekuistej, która wszystkie, choćby najwyższe pragnienia jego zadowoli. Szczęściem, on sam jeden z pomiędzy ziemskich stworzeń umie dopatrzyć się, przeczuć, odgadnąć Boga w Jego dziełach, jeżeli tylko nie zaślepia go pycha. Sam jeden też ma przeczucie i pragnienie nieskończoności. Nic go tu na ziemi zadowolić nie może, zawsze dąży do czegoś nieujętego, tęskni za czemś nieokreślonem, przeczuwa coś nieznanego. Bóg nie byłby wlał człowiekowi do duszy tej żądzy, tej potrzeby, tej tęsknoty, gdyby ona nigdy nie miała być zaspokojona. Płaz, czołgający się po ziemi, nie dostał skrzydeł do lotu. To przeczucie i pragnienie nieskończoności jest jakby instynktem człowieczym. Ten dobry Ojciec, który potrzeby najdrobniejszego robaczka zaopatruje, nie byłby tak okrutnym, żeby jednego tylko człowieka skazać na mękę nigdy nie ugaszonego pragnienia. Dla każdej żyjącej istoty Bóg przygotował jakiś odpowiedni jej żywioł, który potrzeby jej zaspokaja, albo je wytwarza. Kropla wody wystarcza wymoczkom, zaledwie ocean—wielorybom. Człowiekowi potrzeba nieskończoności, człowiek dopiero w wieczności żywioł swój znajdzie i zacznie żyć naprawdę dopiero tam, gdzie wszystko, co przeczuwane, marzone, pragnione, a takie niejasne i nieokreślone, takie nieujęte i nie dościgłe tu na ziemi, osiągnięte nareszcie zostanie. Więc życia, które do takiego celu prowadzi, nie można nazywać egzystencją nędzną. Dla osiągnięcia takiego celu można cierpieć i czekać długo, cel taki wart pracy ciężkiej, mozolnej, pozornie bezowocnej nawet. Ale żeby go doścignąć, potrzeba umieć żyć w pokorze, prawdzie i miłości, a nie w samolubstwie, zarozumiałości i pysze, która człowieka zawsze zaślepia i w błąd wprowadzić może.

Ta nauka, którą człowiek dziś już tak daleko posunął, że odkrył tyle tajemnych sił przyrody, zdołała podnieść zaledwie rąbek tej zasłony, która ją okrywa. Więc z czegoż tu być dumnym? jak nie widzieć niepodobieństwa rozwijania tej mgły, której i po upływie wieków wzrok ludzki nie przeniknie?

Edison uwięził głos ludzki w swojej maszynie, ale nikt nie może się pokusić o to, żeby przedłużyć bicie zamierającego serca, gdy te uderzać przestaje. — A jednak świadomość tej ograniczoności rozumu ludzkiego nie powinna budzić zniechęcenia i pogardy dla nauki, bo zawsze jest ona błyskiem tego światła Bożego, którego wyraźnie dojrzeć jeszcze nie możemy, którego tylko kilka płomyków dał nam Bóg, jakby na zadatek wiekuistej światłości. Szczęśliwi, których one nie oślepiają, a chociaż trochę odsłaniają im prawdę.

O tak, życie z całą swoją nędzą, bólami, zawodami, tęsknotą i bezsilnością, z marzeniami nieziszczonemi, pragnieniami nieosiągniętemi i taką wstrętną pospolitością swoją, piękną i cenną jest jednak rzeczą, bo nas prowadzi tam, gdzie wszystko, co dziś zakryte jasnem, wszystko, co dziś nieujęte, uzyskanem zostanie. Życie — to droga, często ciężka i udręczeń pełna, często jednostajna, bezbarwna i nużąca, a jednak na niej ustawać nie wolno, narzekać się nie godzi, ale iść trzeba śmiało, wytrwale, ochoczo, bo każdy krok postąpiony, każdy trud poniesiony, każdy ból przecierpiany zbliża nas do celu i zapłacony nam będzie sowicie. Stać na miejscu, opuścić ręce i ziewać z nudów, lub szamotać się rozpaczliwie, złorzeczyć losowi i samowolnie schodzić ze stanowiska — to niegodne rozumnego człowieka. Człowiek, godzien zwać się człowiekiem, powinien umieć żyć bez zniechęcenia i rozpaczy, powinien wśród najsroższych nawet doświadczeń umieć cierpieć i pracować, nie tracąc siły, męstwa i wiary, i zawsze z nadzieją patrzyć w niebo, tę przestrzeń bez końca, będącą symbolem jego pragnień nieskończonych, jak wieczność.

Takiej mądrości staraj się, Synu mój, nauczyć dzieci twoje, a zapewnisz im najpewniejszy i najbardziej uszlachetniający warunek szczęścia na ziemi. Jak tego dokazać, o tem pomówię z tobą w następnym liście.

* * *

Po przeczytaniu tego listu powiedziałem sobie: zatem — założenia nasze są jedne i te tame. Podwalina Domu Cedrowego jest odwiecznie jedna; zasadniczych różnic pomiędzy budowaniem mojej Matki i mojem—niema; są pozorne sprzeczności i niedociągnięcia myśli, łatwe do usunięcia, gdy uwspólnić punkt widzenia.

Osią obaw i udręki mojej Matki było pytanie, czy uznawana przez nią nadprzyrodzona ingerencja Boga do spraw ludzkich może ulec zaprzeczeniu, czy zatem etyce chrześcijańskiej, będącej w Jej mniemaniu wyrazem tej ingerencji, może być odjęty charakter objawienia Boskiego, objawienia Prawdy o sobie—i czy determinizm nie zdoła zmechanizować człowieka. A te pytania w moim Domu Cedrowym sformułowałem innemi słowy tak: Czy istnienie świata wielkoustrojów lub drobnoustrojów jest zależne od istnienia teleskopów lub mikroskopów—czy nie? I na to pytanie wspólnie z Balaamem daliśmy już odpowiedź ponoć jedyną, jaką dać można.—Obok tego zasadniczego pytania postawię teraz uboczne. Czy Archimedesowi udało się znaleźć punkt oparcia za ziemią dla dźwignięcia ziemi, czego wtedy mógłby dokonać z największą łatwością — czy też mu się nie udało?

Skoro Archimedesowi owego punktu znaleźć się nie udało, tedy i mnie nie uda się zajść za Boga. Mogę iść do Boga, czyli poznawać Go; wyszedłem z Jego treści i do tej treści mogę wracać środkami, z tejże treści uzyskanemi, i drogami w niej otwartemi. Ale nie mogę zalecieć za Boga i zobaczyć Go w oderwaniu ode mnie i całego świata, gdyż aby to osiągnąć, należałoby znaleźć archimedesowy punkt oparcia za Bogiem, czyli być drugim Bogiem. A dwoistość jakiegokolwiek bytu, dwu bogów, dwie wole, dwie treści — to absurd, rzecz nosząca śmierć w samej sobie, siebie unicestwiająca—czyli *nic*. Nie mogąc zalecieć za Boga, nie mogę zobaczyć Go jako mechanizm w działaniu i stwierdzić naocznie, co mechanizm ten może i czego nie może zdziałać. Logika zaś, rozsądek zdrowy bynajmniej nie obstaje przy tem, by ten, kto pomyślał prawa przyrody, miał tem samem pozbawić się możności swojej ingerencji

do biegu rzeczy przyrodzonych. Gdy kto rozumnie pomyślał prawa ładu i porządku rzeczy, ten *nie potrzebuje* potem myśleć i troszczyć się o każdy moment w biegu ich, ale *nie potrzebuje*— nie znaczy to, że *nie może.* Sądzić można raczej przeciwnie. Gdyby tu szło o sprawy i działania czysto mechaniczne, to nakręcenie maszyny i puszczenie jej w ruch nieodmienny byłoby zrozumiałe i celowe, ale bezwzględne zmechanizowanie praw życia wątpić należy, by mogło leżeć w rozumnym pomyśle. Wypuszczając nas ze swej zagrody, Bóg każdemu z nas dał pewien stopień samodzielności. Dlaczego miałby siebie jej pozbawiać? A samodzielność — jest to moc; a Boska samodzielność — jest to Wszechmoc. I ta Wszechmoc bynajmniej nie sprzeciwia się temu, iż Bóg jest wolą jedną i nieodmienną, bo Wola może objąć i umieścić w sobie wszechmoc. Bóg chce być wszechmocnym i tego dość, by nim był. I ja, i wy jesteśmy mocni, lub możemy być mocni, gdy *zechcemy,* w momencie życia naszego, a Bóg jest mocnym w wieczności. Mówiłem na innem miejscu, że nie zdaje mi się, aby wola mogła zgasić samą siebie i że to jest jedna jedyna niemożność, która ogranicza jej wszechmoc — ale bez znalezienia archimedesowego punktu oparcia nie mogę się przy tem upierać. I poco mi to! Nie sąż to tylko logiczne konstrukcje?

Boskość Chrystusa i jego nauki, boskość Prawdy i boskość Zacności stwierdzam środkami najprostszemi, z tegoż Chrystusa, z tejże Prawdy, z tejże zacności idącemi. — Chrystus dał nam siebie, Prawda dała nam siebie, Zacność — siebie. I ja ucałuję Chrystusa, Prawdę i Zacność, gdy *mam w sobie coś zacnego.* I to jest przyrodzony, nie zaś nadprzyrodzony porządek rzeczy; to jest surowa i piękna rzeczywistość, nie zaś abstrakcje metafizyczne. Potrzeba, bym uszanował to, co mi Bóg dał; dał mi zacność—gdy tedy ją uszanuję—stwierdzę jej boskość, lecz gdy ją poniewieram, to tem jeszcze jej boskości nie zdołam zaprzeczyć. To nie są sprawy rozumowania, tylko czynu. Nie trzeba się kiwać, jak Żyd na pokucie, lecz — czynić, zacnie czynić — i tyle!

A determinizm! Miły Boże, — byłoż się czego dręczyć! Mamusiu kochana i święta moja—byłaś kobietą, a kobiety dręczą się byle czem. I to jest zrozumiałe: kobieta dręczy się byle czem, bo uświadamia sobie lub czuje wielkość i świętość swojej misji, misji matkowania wszelkiej prawdzie—więc drży, by łotr lub głupiec nie skaził prawdy. Ale to płonna obawa— i determinizm wcale nie jest straszny. Jest to niewłaściwie użyty przyrząd optyczny, sam przez się zgoła niewinny i w pewnym momencie użyteczny.

Oto stoi przede mną butelka z wódką odkorkowana — i kieliszek. To jest fakt bezwzględnie realny. — Wódka wywołuje bardzo pożądane sensacje — to jest drugi fakt realny. A trzeci jest ten, że uczuwam w tej chwili bardzo silny pociąg do nalania sobie i wypicia kieliszka wódki i temu pociągowi właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, nie doświadczam żadnej niedyspozycji, przy której wódka byłaby przeciwwskazana, nie zrujnuję się, gdy sobie pozwolę na ten kieliszek i t. d. No — i co dalej? Otóż to, że najspokojniej zakorkowywam butelkę i śmieję się i z wódki i z Balaama, który mi przekłada, że *muszę* się napić, ponieważ: 1) wódka jest dobra i sprawia mi satysfakcję i 2) ponieważ mój ojciec pijał ją obficie, dziad jeszcze obficiej, a i pradziad za kołnierz nie wylewał. Absurd, Balaamie! Ty, kochanie, dopóty będziesz się narażał na śmieszność, póki nie stłuczesz swych okularów i nie zoperujesz swej narośli.

Lub — inne zdarzenie. Bardzo mi się spodobała cudza żona — a i ona, zdaje się, nie — od tego. Balaam — triumfuje. Teraz to już fatalizm, teraz to już siła, której niepodobna się przeciwić; prędzej ziemia wyskoczy ze swej orbity, niż wy oprzecie się fatalności, która popycha was do siebie! — Głupstwo, Balaamku, wierutne. Ja ci powiem co lepszego. Gdy człowiek ma egzemę, uczuwa wtedy tak piekielną chęć podrapania się, że trzeba być nadczłowiekiem, aby móc się temu oprzeć. Że zaś drapanie w tym wypadku pociąga za sobą ujemne skutki, tedy kto ma egzemę, a nie jest nadczłowiekiem — niech każe sobie skrępować ręce. Komu zaś wpadła

w oko cudza żona, niech idzie na szosę i niech cały dzień tłucze kamienie, niech to powtórzy i drugiego dnia, ale sumiennie, nie pokładając rąk; trzeciego dnia już żadne niebezpieczeństwo cudzemu statkowi małżeńskiemu nie będzie groziło.

No, ale zbrodniarze urodzeni? Obarczenie dziedziczne? Moi państwo — patologja nie jest gałęzią etyki, nauki o zacności. Etyka nakazuje wprawdzie litość, miłosierdzie dla upośledzonych, dla paralityków, dla ludzi z guzami i naroślmi—i jednych oddaje pod opiekę lekarzom, innych pod opiekę właściwych instytucyj społecznych, ale nie pozwala na to, by opaczne skłonności kalek miały ważyć przy ustalaniu zasad spółżycia ludzkiego. Ustaliła je Prawda i Zacność. Kto pomyślał zasady przyrody, ten pomyślał i zasady etyki. My zaś, przy wypuszczaniu nas z zagrody ojcowskiej, otrzymaliśmy *samodzielność*. Możemy tedy wykręcać się do Prawdy tyłem i zacność poniewierać. Ale nie godzi się tego czynić.

Świat jest piękny i promienny. Nie stwarzajmy ciemności, bo w wszechświecie była ona *niczem*, my dopiero usiłujemy przydać jej byt, którego nie miała i mieć nie może.

* * *

IX.

JESZCZE O MYŚLOWYCH WIĄZANIACH DOMU CEDROWEGO.

(List do profesora K. K.).

Szanowny Panie! Ciągnę dalej nić, którą kiedyś wspólnie snuć poczęliśmy.

W budowaniu myślowem, mającem sięgnąć do Treści, mającem odsłonić jakiś obszar Treści odgadywany, przypuszczany, namacywany, lecz zasłonięty przed okiem widzenia myślowego—nie widać ani ograniczeń, ani kresów, początków, ani końców. Lecz cóż nam poręcza, że takie budowanie bezczasowe i bezprzestrzenne nie jest beztreściwem rojeniem? Owóż, wiele przemawia za tem, że już powstający w nas impuls do poszukiwania zasłoniętego obszaru Treści jest zgoła wystarczającym dowodem realnego bytu tego obszaru. Co jest rodzicem tego impulsu? Bądź—intuicja czyli podświadome namacywanie jakiegoś realnego bytu, bądź—logika—czyli niepostrzegane, lecz z postrzeganych rzeczy lub pojęć logicznie wysnuć się dające ich następstwa; bądź jedno i drugie. Powiedziałbym poprostu, że treść *chce* być poznaną czyli postrzeganą; prawda chce być poznaną czyli postrzeganą; Bóg chce być poznanym i postrzeganym. Przypuścić, by treść istnieć mogła dla siebie, prawda dla siebie, Bóg dla siebie—bez dążności (czyli—*woli*) do uzyskania formy postrzegania jest to absurd, któremu przeczy rzeczywistość, czyli rzeczywista mnogość form postrzegania. Skoro treść uzyskała już te nieskończone szeregi form postrzegania, które nazywamy światem, i skoro w tej ich mnogości nie znajdujemy jednak odpowiedzi na pewne nasze pytania, czyli luki w naszej organizacji poznawczej, to te pytania, te impulsy poznawcze

same przez się mówią o istnieniu jakichś obszarów treści, które z jakichś powodów nie uzyskały jeszcze rzeczowych lub pojęciowych form postrzegania. Impuls, skłaniający nas (a czyni to nieprzeparcie, nieubłaganie, z mocą przymusu niemal fizycznego, z mocą, która może zdruzgotać umysł, duszę, lecz nigdy nie pozwoli wyłamać się z linji) do szukania treści, stanowi dowód jej istnienia i formę postrzegania jej woli, jej chcenia, by była poznana. Jeśli buduję Dom Cedrowy, to nie dlatego, że tak mi się przywidziało, lecz dlatego, że pewna treść chce być postrzeganą, czyli Dom Cedrowy chce, by go zbudowano. Być może, że okażę się partaczem; w takim razie ta wola poszuka sobie innego budowniczego; ale ja będę umierał albo w przepychu Domu Cedrowego, albo pod gruzami nieudolnej budowli. Jest to uścisk na życie i śmierć. Ale raczej — na życie. Impuls poznawczy jest wyrazem właściwego człowiekowi zmysłu poznawczego; gdy jest szczery, gdy nie powikłają go jakieś zboczenia duchowe, gdy—broń Boże—nie stanie się on wyrazem zmysłu nie poznawczego, lecz oszukańczego, który nakłania ludzi do fabrykowania prawd, potrzebnych dla jakichś celów praktycznych — to wyniki pracy, po linji impulsu tego podjętej, nigdy nie są bezowocne. To, co dla mnie będzie gruzami domu, dla innych posłużyć może za fundament. Szczerość pracy—to poręczenie jej nieśmiertelnej użyteczności.

Owóż, mówię, że budowanie myślowe — jeśli takie miano damy nowym zdobyczom treści—wytwarzanie form postrzegania dla treści niepostrzeganej lub wytwarzanie doskonalszych (t. j. prostszych, bardziej zrozumiałych, bardziej z sobą powiązanych) form treści postrzeganej—musi się obywać bez takiego planu czasowo-przestrzennego, jaki architekt sporządza, mając pobudować dom. Plan jest tu zastąpiony impulsem. Impuls ten — bądź intuicyjny, bądź logicznie wypływający z faktów wiadomych — wskazuje tylko jakąś linję, a na tej linji jakieś punkty, jakieś ośrodki, które nas przyciągają, lecz bynajmniej nie poręcza, by te punkty i ośrodki miały być istotnym celem budowania. Architekt wie, co zbuduje, ja — nie wiem.

Wiem, iż jakiś impuls wprawia w pewnym kierunku moją myśl w ruch prawie tak nieprzeparty, jak nieprzepartą jest siła, powodująca obieg ciał niebieskich. Mówię — *prawie*, ponieważ nie wątpię o mojej samodzielności — czyli możności przeciwstawienia się temu impulsowi. Tylko—po cóżbym się miał mu opierać, skoro moja myśl jest żywa, a ruch jest i objawem życia i jego potrzebą. Mówię sobie tedy, że impuls, wprawiający w ruch moją myśl, powstał na skutek jakiegoś przyciągania, którego ośrodek leży na linji impulsu, że zaś nie chcę być bryłą, która leci, nie wiedząc sama dokąd i po co, przeto usiłuję pochwycić jakiś znak, jakiś wyraz sensu w tym biegu, chcę do siły, unoszącej mnie, dodać, bądź przeciwstawić jej mój świadomy wysiłek. Dopomaga mi w tem i intuicja i logika i oto formułę tego przyciągającego ośrodka (w danym moim konkretnym wypadku) podaję w słowach: tym ośrodkiem, celem, zadaniem jest potrzeba ustalenia stosunku optyki czasoprzestrzennej do treści, postrzeganej przy pomocy tej optyki, i takie zsyntetyzowanie różnych form postrzegania rzeczowych i pojęciowych, by tkwiły one w jednej treści, z różnych momentów i poziomów czerpanej, słowem — by różnice pomiędzy człowiekiem, dębem, jaszczurką, cnotą, występkiem, zadaniem arytmetycznem ująć nie jako różnice treści, lecz — drgań tej treści, by postrzegane były tak, jak postrzegamy różnice drgań fal głosowych, świetlnych i t. d. Podając taką formułę, nie zastanawiam się i wcale nie potrzeba, bym się zastanawiał nad tem, czy ktoś wystawił już podobną formułę i co zdziałał dla jej uzasadnienia. Zupełnie wystarczającym, a nadto nieprzepartym powodem do poszukiwania dowodów jej prawdziwości jest to, że mi się narzuciła. Chociażby sto razy już była wystawiona i dowiedziona. Ta okoliczność, że pewna formuła narzuciła mi się, jako ośrodek przyciągający moją myśl, dowodzi — albo, że jednak coś w tej formule nie zostało dowiedzione, a w tym wypadku dowiedzenie tego będzie stanowiło istotny, objektywny cel pracy myślowej w kierunku otrzymanego impulsu, albo—jeżeli wszystko w niej dowiedzione zostało—to narzucenie się formuły danej występuje tylko jako

ten subjektywny czynnik, który sprawia, że poddaję się ruchowi nie jak bryła, lecz jak istota myśląca. Tu zatem jeszcze raz powtórzyć trzeba, że w ośrodkach przyciągających nas niema nic, coby poręczało, że to one właśnie są objektywnym celem popychającego nas ku nim impulsu. Może — gdy zechcecie — rozważymy to w zmysłowem wyobrażeniu, co jest ciekawe ze względu, iż pokaże, że impuls pcha nas po linji spiralnej *), nie zaś po linji prostej. Posługiwać się będziemy sposobem, używanym dla dowiedzenia kulistej bryłowatości ziemi. Gdyby ziemia była płaszczyzną — mówiono nam we wstępnej klasie — to na morzu daleki, pojawiający się na widnokręgu (w polu naszego widzenia) okręt widzielibyśmy odrazu cały, malutki ze względu na oddalenie, lecz cały; tymczasem spostrzegamy naprzód wierzchołek masztu i t. d. Nie zawsze jednak nauczyciel nasz dodawał, że czarny punkcik, zauważony na widnokręgu, jest tylko znakiem, sygnalizującym obecność jakiegoś przedmiotu, czegoś realnego, postrzeganego, ale coby to mogło być, tego dopóki przedmiot zasłonięty jest wypukłością bryły lub — gdy mowa o linji — krzywizną łuku — wiedzieć nie możemy; ów czarny punkcik może być wierzchołkiem masztu, szczytem latarni morskiej, ostrym wierzchołkiem góry i t. d. *Tam jest jakiś przedmiot wyniosły* — oto wszystko, co możemy powiedzieć. Gdybyśmy się znajdowali na płaszczyźnie, to przedmiot ów — wystąpiłby w polu naszego widzenia odrazu cały; jeśliby nie wystąpił dość wyraźnie, to naszemu narządowi wzrokowemu przydalibyśmy okulary, lunetę.

W kosmicznym obiegu myśli przyciągające ją z oddali punkty świetlne są to szczyty dalekich prawd, sygnały niepostrzeganej treści, zasłoniętej krzywizną łuku naszej spiralnie skręconej drogi. Gdyby te latarnie morskie leżały na płaszczyźnie, postrzeglibyśmy je odrazu całe; do rozpoznania ich szczegółów wynaleźlibyśmy jaką lunetę myślową — i tyle.

*) Że linja ta nigdy nie może się zamknąć czyli utworzyć okrąg koła, lecz wytwarza okręgi, przebiegające obok siebie (nakładające się na siebie), a więc linję spiralną — gdzieś indzie już mówiłem.

Człowiek miałby wszystko dane, wszystko położone przed sobą, tylko—zbieraj, systematyzuj, kolekcjonuj. Odkryć myśl ludzka nie czyniłaby żadnych, wzrastałaby tylko ilościowo, nie zyskując nic na głębi. Na szczęście tak nie jest. Gdy wpleciona w olbrzymie, wirujące okręgi kosmosu myśl człowieka owinie się koło wielkich mrowisk Drogi Mlecznej, by potem opleść żywe mrowisko w lesie, u stóp sosny, a potem jak nić nanizać na siebie prawdy matematyczne, a potem jeszcze zatoczyć śmiałe kręgi we własnym subjekcie, to, czyniąc to wszystko, dąży—lubo nie prostolinijnie, lecz z niezachwianą pewnością—do Boga, do Treści, do rozwiązania wielkich zagadnień Bytu, których jądra dusza ludzka bezpośrednio nieraz dotykała i dotyka, lecz spragniona jest widzenia ich intelektualnego. Zataczając te wielkie kręgi, myśl poprostu idzie krok za krokiem śladami Boga, więc musi dojść do niego. Odwija to, co on zawinął, a raczej czem się owinął, więc musi dosięgnąć jego jądra. I bezwątpienia jest to największem życzeniem Boga. Dlaczego? Bo z niezachwianą pewnością twierdzić możemy, że w jądrze Boga obok innych pierwiastków (jeśli tylko pierwiastki te nie sprowadzają się do jednego) musi tkwić potrzeba budowania, twórczości, czynu nierozerwalnie złączonego z Wolą. Świat istnieje, czyli jest czynem, nie mógł zaś powstać bez woli, gdyż wszelki czyn jest formą postrzegania woli. Gdyby tej woli, której formą postrzegania jest świat (czyn), nie było w Bogu, świat-by nie istniał; treść zaspokajałaby sama siebie i nie dążyłaby do tego, by być postrzeganą. Skoro świat istnieje, to już z niezachwianą pewnością wiemy, że Bóg chce być postrzeżonym, a powstający w nas impuls do szukania prawd jest tylko stwierdzeniem tej pewności. Lecz dotrzeć do postrzegania Boga, nie odwinąwszy tych okręgów Bytu, które pozwijał — niema sposobu. Dotknąć Boga bezpośrednio, jest bardzo łatwo; każdym dobrym czynem, każdem poświęceniem, każdem drgnieniem szczerej miłości dotykamy Go, lecz nie postrzegamy—bo żaden dobry czyn, żadne prawdziwe poświęcenie, żadna szczera miłość — siebie nie postrzega. Boga dotyka poufale dziecko, dotyka Go starzec, o którym mówią, że

zdziecinniał, dotyka uznojony robotnik, dotyka każdy ptaszek, każda najwątlejsza roślinka, i ten dotyk uszczęśliwia ich, ale oni Boga nie postrzegają właśnie skutkiem bezpośredniości ujmowania Go. Dziecko i starzec uśmiechają się, sami nie wiedząc czego— to Bóg się uśmiecha; robotnik, ocierając uznojone czoło, nie wie, że potem jego ocieka sam Bóg; również ptaszek nie wie, skąd bierze się jego śpiew wesoły, a roślina—skąd jej zapach; uśmiechają się, śpiewają, pachną, są szczęśliwe — i tyle. — Do postrzegania zaś Boga — jedna jedyna droga — *przez wszystko*, włączając w to wszystko i nasz subjekt. Odwijać mrowiskowe skupienia ciał niebieskich i żywe mrowiska leśne, odwijać subtelne zwinięcia prawd, odwijać własny subjekt... Nie może być w nas założone inne jądro, niż te, co w Bogu, bo inaczej nie moglibyśmy zaspokoić potrzeby i woli Boga, aby był postrzegany, a więc i naszem jądrem jest wola—czyn. Bóg chce, byśmy Jego własny świat jeszcze raz sami zbudowali, tylko z innej, niż On sam, zabierając się do tego strony. I wistocie, w ten właśnie sposób ludzkość buduje swój Cedrowy Dom postrzegania Boga.

Budowanie Domu Cedrowego polega na odsłanianiu treści niepostrzeganej i stwarzaniu form jej postrzegania. Praca ta, nieumieszczająca się w czasie i przestrzeni, nie wymaga planu czasowo-przestrzennego. Plan zastąpiony jest impulsem. Kierunek drogi po linji spiralnej wskazują drogowskazy, wyłaniające się bądź intuicyjnie, bądź logicznie, bądź logiką wspierając intuicję. Drogowskazy te mają znaczenie bądź celu objektywnego, bądź subjektywnego czynnika, czyli świadomej zachęty. W jednym i drugim wypadku wyniki pracy myślowej, dokonanej w kierunku szczerego impulsu, niewypaczonego przez anomalje umysłowe lub uboczne względy jakichś korzyści doraźnych—zawsze są użyteczne, zawsze są istotnem budowaniem. Badacz nie wie, co osiągnie; bardzo być może, że osiągnie nie to, co zakładał, lecz każdy krok, postawiony przezeń na linji spiralnej — właśnie dlatego, iż jest okrężna, nie zaś prosta — musi mu odsłonić nowy widnokrąg, da mu w zysku nowy obszar treści i to stanowi niezaprzeczony, realny, objektywny

wynik jego budowania, pozytywną korzyść, z jego pracy płynącą. Nawet gdyby wyniki, przezeń osiągnięte, okazały się powtórzeniem rzeczy znanych już, to i wtedy sposób, w jaki je osiągnął, może się okazać faktem nowym, mającym objektywną wagę dla innego badacza, filozofa lub psychologa. Nawet, gdyby mu figla spłatała jego nieuwaga lub wręcz omyłka, to i wtedy praca jego miałaby rzeczową wartość dla badacza zboczeń myśli, a gdyby fałszował swą pracę dla celów utylitarnych, zajęłaby ona uwagę badacza stosunków społecznych, historyka i t. d. Nie chcąc lub nie mogąc bezpośrednio przyczynić się do pobudowania Domu, przyczyni się—pośrednio, bez względu na ubóstwo swych środków umysłowych lub złą wolę. I to jest najlepszym dowodem, że Dom Cedrowy musi być zbudowany. Spółdziałamy temu wszyscy, ulegając Woli rozumnej, ulegamy zaś, ponieważ, postrzegając jej rozum, nie widzimy potrzeby robienia w tym wypadku użytku ze swej samodzielności i opierania się tej woli.

Dom Cedrowy buduje się z myśli, uczuć, czynów. W budowaniu myślowem, czyli samopostrzegającem widzimy trzy momenty: 1) kierunek (impulsywny); 2) sposób budowania (mechanikę pracy myślowej) i 3) sposób podawania wyników pracy, czyli wytwarzania dostępnych dla innego umysłu form postrzegania tych wyników.

Gdy uczynię krok naprzód po łuku impulsu myślowego, w kierunku przyciągającej mnie z oddali drogowskazowej latarni morskiej, już postrzegam coś nowego, nową treść. Spostrzegam—to znaczy w tym wypadku: zdaję sobie sprawę z jej istnienia, lecz nie znaczy jeszcze, bym ten nowy obszar, który wszedł w pole mego widzenia myślowego, już objął w posiadanie, uczynił go moją własnością. Do tego jeszcze daleko. By objąć go w posiadanie niewzruszone i móc mu nadać formy postrzegania, dostępne i dla każdego innego umysłu—cóż robię? Oto zakładam na tym obszarze—częścią nieświadomie, ulegając prawom myślenia, częścią świadomie, kierując się własną wolą i doświadczeniem—kilka lub wiele, zależnie od obszaru, który mam zaanektować, ognisk, ośrodków, w koło których skupiać się będą ciążące ku nim myśli. Mówić o rozkładzie tych ognisk

i terenów niemi zajętych byłoby to wprowadzać sprawę na drogę geometrycznych wyobrażeń, co jest niebezpieczne dla żywej samodzielności myśli. To jest coś żywego, co układa się tak, jak mu dogodniej. Jednak zauważyłem w sobie pewną skłonność do uzmysłowień geometrycznych; niekiedy jest mi ona użyteczną, jak np. w przytoczonem wyżej uzmysłowieniu spiralnego biegu myśli, lecz upieranie się przy tym sposobie wytwarzania form postrzegania poczytałbym za szkodliwy objaw nałogowego posługiwania się optyką czaso-przestrzenną. Jest to instrument tyleż użyteczny w jednych, co zawadliwy w innych wypadkach.—W praktyce myślenia mam wrażenie, że te ogniska myśli same układają się tak, by się jak najlepiej uszczelnić i tym sposobem wypełnić cały obszar, otwarty dla mego postrzegania. Gdy to nastąpi, pozostaje już tylko zsyntetyzować te rozrzucone ogniska—i oto dany obszar stał się moją własnością. Mogę iść dalej, jestem w posiadaniu jednej myślowej cegiełki do Domu.—Nie zawsze jednak sprawa jest tak prostą. W dążeniu do dalekich drogowskazów ideowych skłonni jesteśmy do wybierania z nowych obszarów treści tego tylko lub głównie, co wiąże się z naczelną, aprjoryczną ideą, a pozostawiania w cieniu wszystkiego, co z nią w bezpośrednim związku nie jest. W tem tkwic może wielki błąd, bo ów daleki drogowskaz może nie być celem objektywnym, lecz tylko subjektywnym czynnikiem zachęty do myślenia, a w tym wypadku dobór postrzeganej treści, dokonywany na podstawie tego czynnika, może mieć ten skutek, że otrzymamy wprawdzie jakąś konstrukcję logiczną, lecz nie mającą podstaw rzeczowych. Będzie to budowanie w próżni i z niego cegiełek Domowi nie przybędzie. Dla uniknięcia tego błędu usiłuję nie poddawać się zbytnio sugestji drogowskazu i uważnie przeglądać każdy nowo pozyskany obszar treści w przypuszczeniu, że tam jednak znaleźć się może coś, co z większą mocą przyciągnąć mnie zdoła, niż moje założenie aprjoryczne.

Drugie źródło powikłań może być następujące. Myśl, jak wszelkie życie, porywając się do biegu, pokonać musi pewien bezwład, gdy to jednak nastąpi — nabiera rozpędu żywiołowego; wydaje się wówczas, że wszystko, co dokoła było dotąd

senne, odrętwiałe, nieruchome — naraz zaczyna drgać, zewsząd tryska życie i myśl. Ma to ten skutek, że główny tok naszej myśli bywa wówczas napastowany mnóstwem myśli wtrętnych, tłoczą się one ze wszystkich stron, następują z boków, przegradzają drogę. Tkwi w tem niebezpieczeństwo wręcz odwrotne, niż w poprzednim wypadku, niebezpieczeństwo, iż uzbieramy mnóstwo materjału rzeczowego, lecz nie zdołamy ująć go w konstrukcję logiczną. Wtedy nie będzie to budowanie, lecz—usypywanie kupy rzeczy. Rada w tym wypadku dość trudna. Nie ulega wątpliwości, że skoro nasunęły się w logicznie rozwijającym się procesie myślowym, myśli te—są potrzebne. Mogą być przedwczesne, lecz w pewnym momencie będziemy ich poszukiwali i bez nich budowa nie będzie mogła postąpić. Wiele z nich zasługiwać może na to, by rozdmuchać z nich samodzielne ogniska, rozwinąć w osobne kręgi myślowe. Pewien drukarz tak mi radził: „Daj pan swój główny tok myśli garmontem u góry, a owe wtręty petitem na dole; w ten sposób — w suterynie uzbiera się pewien zapas materjału, z którego w odpowiedniem miejscu będzie się brało na górę, co potrzeba". Rada wcale nie do odrzucenia, lecz tyczy się raczej podawania pisemnego wyników myślenia, niż samego myślenia, w którego przebiegu tylko własny zmysł orjentacyjny wskazać może, co czynić z myślami wtrętnemi. W każdym razie lepszy nadmiar myśli, niż ubóstwo. Niech sobie myśli będą u góry, niech będą u dołu, z boku; niech zabiegają drogę — byle ich była obfitość i byle dobrze je przemyśleć.

Rozważałem dotąd budowanie myślowe, czyli te, które do pewnego stopnia daje się schematyzować. W gruncie rzeczy jednak oddzielić go od budowania uczuciowo-czynnego niepodobna, więc i w schematyzowaniu zachować trzeba jak największą powściągliwość i ostrożność. Budowanie myślowe tak się poniekąd ma do uczuciowo-czynnego, jak postrzeganie do treści. Z myśli waszych Domu Cedrowego nie pobudujecie, lecz możecie z nich porobić—okna. Myślą odwijając zwoje Bytu, odwijacie tylko zwoje form postrzegania, nie mogąc tknąć treści, uczucie zaś i czyn, będący formą jego postrzegania, dotykają jej bezpośrednio, sobą. W uczuciu i czynie odbywa się wnętrzne, istotne

budowanie, które już żadnemi schematami objąć się nie pozwala. Chcesz poznać cierpienie—cierp; chcesz poznać miłość—kochaj; chcesz poznać czyn dobry—czyń go; chcesz budować Dom Cedrowy—żyj. A chcesz-li go widzieć—myśl! Myśl daje Domowi temu jego zewnętrzne obleczenie, budowniczym wnętrza jest *życie*. I oto dlaczego „ostatniego słowa”, tego wielkiego ostatniego słowa, tak tęsknie przez ludzkość od tysiącoleci oczekiwanego, nikt wypowiedzieć i nikt usłyszeć nie może, bo przybywa ono na usta wtedy, gdy te usta zamyka *śmierć*. Póki drga życie, każdy moment przysparza jakiejś nowej treści—więc nie może zabrzmieć ostatnie słowo! A śmierć—przelanie się do treści niepostrzeganej—jest cichością bez słów i postrzegania, dopóki treść nowych form postrzegania nie przybierze. Nie trzeba jednak zbyt tragicznie brać do serca tej niemożności posłyszenia—ostatniego słowa; owszem, raczej cieszyćby się z tego. Niema ostatnich słów, bo niema końców. Przed każdem ostatniem słowem jest pełno przedostatnich, więc ostatnie odsuwa się coraz dalej, coraz dalej, aż ginie w nieskończoności i my czujemy się tem, czem jesteśmy wistocie—nieskończonością bezczasową.

Zapytacie może—gdy budowanie polega na tem, że—oto, cierp, pracuj, kochaj, czyń dobrze—słowem, żyj, to poco myślowe budowanie Domu Cedrowego? Impuls myślowy, wola treści by była postrzeganą—wszystko to może bardzo piękne, ale nam, zwykłym śmiertelnikom, wydaje się nieco dalekie, nie leży to w polu naszej codziennej potrzeby. — A czy światło dzienne mieści się w liczbie waszych codziennych potrzeb, mili śmiertelnicy? Mieści się, nieprawdaż? Owóż—budowanie myślowe jest to zbieranie rozstrzelonych myśli w potężne, słoneczne ogniska, których światło rozwidnia, nasyca jasnością życie. Chodzić w jasności, nie w mroku—to jest potrzeba codzienna i powszechna.

* * *

X.

O CZŁOWIEKU OBCYM.

(List do S. S.).

Panie! Sprawiliście mi wielką boleść; skąd-że te przypuszczenia czarne! Tyle w Was było zawsze prostoty i jasności, a wybieganie myślą po śmierć, zabieganie jej drogi — to już jakieś skrzywienie. Ani się ważcie umierać! Czyście nikomu niepotrzebni? Mnie—bardzo, a temu małemu przyjacielowi Waszemu, który—gdyście nas odwiedzili, tak odrazu do Was przylgnął — jeszcze więcej. Zatem — to już powód do zostania tu z nami; raczej nawet—obowiązek zostania.—Lecz jeśli nieskończoność tak bardzo Was już nęci, tedy uprzedzam Was, że mnie *tam już* zastaniecie, choć wcale nie myślę jeszcze o zamówieniu dla siebie klepsydry. Cały sekret, iż od świętej pamięci stłukłem okulary czasu i przestrzeni—i za Syrjuszem poczynam sobie może śmielej jeszcze, niż we własnej izbie, a z nieboszczykami bywam tak poufały, jakbym miał dziś wieczorem zejść się z nimi na czarną kawę.

Wasz mały przyjaciel jakiś bledziutki, a maleńka—o której powiedzieliście, że będzie kiedyś bardzo ładna, moja stokrotka—niedomaga. Gdyście od nas wychodzili, drogi Panie, czyście gdzie koło progów naszych nie zauważyli jakiej podejrzanej figury? Jakiej staruchy bezzębnej, a złośliwie spoglądającej? Jakiej—złowróżbnej Ananke? Bo czasem mi się zdaje, że gdzieś ktoś aż parska ze złości, patrząc na moje tak późno nabyte, a tak wielkie szczęście! Ale kpię — ze staruchy. Nikt mi Julci nie zabierze, bo gdy trzeba będzie—razem popłyniemy; nigdy—zosobna!

Coby Wam opowiedzieć? Wczoraj wieczorem byłem tu, obok nas, u Kapucynów na majowem nabożeństwie. Piszecie, że niedomaganie sercowe w łóżku Was trzyma. Ależ to nieprawda, to Wam się chyba tak tylko zdaje! Wyście wczoraj byli tu ze mną; któż, gdy nie Wy, był ze mną na tem odwiecznem święceniu Wiosny i Zacności i Tkliwości. Jak pachniał bez, prawda? Ile go tam naniesiono. A serca ludzkie jak pachniały! Ot, zapach łąk, cudna woń rozkwitłego maju, a roznosił ją wieczny i wieczyście odnawiający się poryw ludzkiego serca ku dobru i pięknu—ku Bogu. Z za Syrjusza lecąc, snuło się po kościele kapucyńskim cichutkie a wdzięczne granie i śpiewanie... To było ładne, prawda? — Po powrocie do domu — jakże mocno ucałowałem Juleczkę — i było mi, jakbym słońca się napił lub otarł się o szatę Bożą! Rzekłem tedy do starej Ananke: „Stałaś się tak małą, że już cię wcale nie postrzegam; nad tobą jestem gdzieś—niewymierzenie!” Powiedzcie, kto takie skrzydła przypina? Starość? Niech będzie błogosławiona—nigdy nie byłem młodszy.

Coby Wam jeszcze powiedzieć? Czekajcie — dla rozweselenia Was w chorobie opowiem jeden kawał. Będzie to opowieść — o człowieku obcym *).

* *
*

Kiedyś na jesieni—a miałem już tych jesieni wtedy za sobą szereg długi—wypadło mi odwiedzić dogorywającego w szpitalu znajomego z lat dawnych. Te odwiedziny poruszyły we mnie wiele wspomnień.

Przeszłość—to popielisko, co zazdrośnie osłania tlące pod niem iskry, gdyż rozgrzebane zgasnąć mogą. Albo—to jeziorko senne, czasem pleśnią zasute, co w podświadomem zaciszu duszy

---

*) Gdy kolega mój S. S. list ten mi zwrócił — dla wydrukowania go w Domu Cedrowym—nie miałem nic lepszego do roboty, jak «Opowieść o człowieku obcym» przerobić, czyli ująć w formę bardziej literacką. Niewątpliwie S. S. powie, że to jej wyszło na niekorzyść — gdyż w tej przeróbce utracić mogła znamiona bezpośredniości. I pewnie będzie miał słuszność. Uległem swej manji poprawiania, przerabiania, ulepszania—często może złudnego. W tem brzmieniu, w jakiem tu ją podaję, rzecz ta była drukowana w «Tygodniku Ilustrowanym», 1921 r.

żyje sobie swojem własnem życiem i, nie troszcząc się o bieg rzeczy nowych, chowa i pieści te, które przestały być rzeczami, a stały się widziadłami, zasnuwa się w nie i cicho śni sen życia wstecz. I nie lubi jawy i rozbudzeń. A oto życie budzi te ucichłe wody i wstrząsa niemi, aby ten sen nie przeszedł w martwotę. I gdy w ich cichość wpadnie jakiś kamyk, a po zastygłej powierzchni rozbiegną się koła, to ni stąd, ni zowąd wpada zaraz drugi, rozlecą się nowe koła, zbudzą się uśpione rusałki i topielice wspomnień, fala zadrga i naraz do głębi się rozkołysze. Spada wtedy wrażenie, jakby ktoś szarpnął koła życia wtył i wepchnął je z powrotem w wyżłobiny ich dawnej drogi, aby ją jeszcze raz przebyły. Właśnie coś podobnego i mnie owym razem spotkało.

Szpital położony był na krańcu miasta. Tu już rozstępowały się gdzie niegdzie gromady domów, a w wyłomach między niemi przeglądała przestrzeń otwarta, skąd dolatywał—czy tylko zdawało się, że nozdrza pochwytują dolatujący stamtąd powiew jakiegoś innego powietrza. Zalegały tu jakieś pustkowia, trochę — co prawda, osowiałe i niepowabne, tchnące melancholijnością obrazu, który już nie jest miejskim, a jeszcze jest dalekim od wyzwolenia w rozłogach wsi. Dzień był ładny i zachciało mi się wracać pieszo.

Był to kawał drogi. By dać nogom wypocząć, wstąpiłem po drodze do jakiejś kawiarenki. Poprosiłem o czarną kawę i szklankę wody. Służby nie było tu widać. Za skromnym bufetem siedziała niemłoda kobieta, pochylona nad kawałkiem papieru, na którym kreśliła ołówkiem zdaje się jakieś rachunki. Podniosła się, usłyszawszy moje żądanie, i wyszła do sąsiedniej izby czy kuchenki, do której wiodły drzwiczki oszklone.

Miejsce to było nader skromne i nawet ubogie; kilka stolików, ceratką nakrytych; krzesełka trzeszczące, gdy na nich siadać, i jakieś chwiejne; na ścianach parę pospolitych oleodruków, rozwieszonych po obu stronach lustra, naprzeciw którego usiadłem: na bufecie parę doniczek z kwiatkami i tacki z jakiemś pieczywem; w oknach firanki białe — ot i wszystko.

Gdy po chwili skrzypnęły czy brzęknęły szkłem gdzieś za mną owe drzwiczki z szybkami, nim jeszcze głowę w tę stronę odwrócić zdążyłem, już mi zaciężył kładący się na mnie wzrok czyjś uważny, pilnie wpatrzony i dlatego ciężki i niepokojący. Poczułem go i natychmiast przyszła mi myśl, że los na dziś przygotował dla mnie całą garść kamyków ku zmąceniu zaciszy przeszłości. Jakoż kobieta, zmierzająca ku memu stolikowi z tacką i dwiema szklankami, była znów — człowiekiem z przeszłości, już drugim tego dnia. Trzeba było zdobyć się na rezygnację i z tem się pogodzić. Poznałem ją w momencie, gdy oczy nasze się spotkały i w jej wzroku, pilnie we mnie wymierzonym, naraz coś jakby cofnęło się i zmieszało. To spojrzenie cofające się, usiłujące umknąć w jakąś głąb swoją—było spojrzeniem z przed lat trzydziestu, czy więcej i może jedyną ocalałą z owych czasów pamiątką.

Powstałem. Odebrałem z jej rąk tackę.

— To pani?!

— To pan!

— Dziwny, dziwny traf...

Jednak coś wyraźnie przytłumiało nam mowę, te kilka słów wydobyło zdziwienie, ale więcej ich jakoś nie przybywało — a oczy zamiast ogarnąć się wzajem tak przyjaźnie, jak oczy dobrych znajomych po długiem niewidzeniu — skręcały w bok. Przez chwilę staliśmy w milczeniu o krok od siebie, wreszcie ona cofnęła się i, jakoś cicho stąpając, powróciła na swe miejsce za bufetem, pochyliła się nad papierem i wzięła ołówek do ręki, ale po chwilce obróciła twarz ku oknu, wsparła łokieć na krawędzi stołu i, podparłszy dłonią podbródek, zapatrzyła się w okno.

Przeżywaliśmy moment udręki. To, co nazywamy trafem, czasem złośliwym, nadprogramowym figlem życia, jest zazwyczaj jakąś koniecznością, nieuniknionem następstwem tego, iż życie nasze — jak zda się wszystko w świecie — wykreśla linję wijącą się, spiralną, a wężowe zwoje żywota układają się jedne na drugich, jak zwoje długiego sznura. Wszystko, co biegnie po zwojach linji spiralnej, musi w pewnym momencie przebiec

choć raz jeszcze koło miejsc, w których już kiedyś, kiedyś było — i spojrzeć oko w oko przeszłości.

Wtedy to wydaje się nam, jakby coś wstecz szarpnęło koła życia. Po zwojach linji spiralnej wraca natura co rok do swych przeżyć, wracać do nich musi i człowiek, czasem we wspomnieniu z dobrej woli zbudzonem, czasem—w wymuszonem.

Ale przeżywać przeszłość w myśli, a potknąć się na jawie o spopielały jej szczątek, to rzeczy różne, niekiedy boleśnie różne! To właśnie czuliśmy, gdy na jesieni, już chłodem zwarzonej, potknęliśmy się o szczątek—naszej wiosny i naszej winy.

Trzeba było z tem skończyć. Podszedłem do bufetu i wymieniliśmy trochę pytań i wiadomości o sobie. Opowiedziała mi o śmierci swego męża, o losach swych dzieci, o swojem dzisiejszem położeniu. I ja jej coś niecoś o sobie. Ale to wszystko jakoś rwało się, zająkiwało, nie szło z wewnętrznej potrzeby mówienia, lecz z jakiegoś przymusu, że trzeba przecież coś gadać do siebie i o sobie. Wreszcie postrzegłem, że najlepiej wistocie zrobi nam milczenie i wróciłem do stolika. A ona — do swego zapatrzenia w okno.

I otóż — wypłynęły zbudzone rusałki wspomnień, okoliły jakąś postać i w nią się zapatrzyły. A nie była ta postać zwodniczem, jak one, mamidłem wód, lecz z ciała i krwi tworem żywym i uroczym — młoda, ognista, jakby w ponsowości róży skąpana, o piersiach, co — jak w pieśni biblijnej — były „jako dwoje bliźniąt, młodych sarniąt”, o ustach pełnych „wonności polnych jabłuszek”. I wtedy wszystko pachniało dokoła, bieliło się, różowiło, płonęło. Opalił nas odwieczny płomień—czemuż był dla nas płomieniem grzechu...! Tak—nie umieliśmy, nie zdołaliśmy rozniecić z niego ogniska—i od zalanego przez szarugę życia odeszliśmy w różne strony. A dziś do tegoż miejsca przywiedzeni, nad zimnem popieliskiem stanęliśmy w zadumie.

Kawa była cieczą niezwykle burą i cierpką. Wolałem już pić moją przeszłość daleką, choć także nie samą słodyczą płynęła.

Gdym się tak zamedytował, wszedł cicho drugi gość i usiadł naprzeciw mnie. Postrzegłem go prawie że niespodzianie i rzuciłem nań niechętne spojrzenie, iak natrętowi, ale po czasie

oswoiłem się z jego figurą. Człeczyna był szary, stary, wyblakły i zgaszony, a na tyle uprzejmy, że, zasiadłszy nad swą kawą, pewnie nie mniej od mojej cierpką, nie odezwał się wcale i nie mącił naszego zadumanego duetu. Siedział tak, iż w polu widzenia miałem twarz jego na jednej płaszczyźnie z twarzą właścicielki kawiarni. Oplotłem tę parę jakąś wspólną niteczką, przenosiłem wzrok z niej na niego, skojarzyłem z sobą te dwie jesieni. Zresztą, wszystko troje odpowiadaliśmy sobię wiekiem.

Tak. Kiedyś, o jednej godzinie wydzwonił się nasz maj życia; zatkwitł cudny, wiśniowy sad naszej młodości i zapachniał nam biały, uśmiechnięty, promienny i płomienny, radosny i miłosny, czysty i świąteczny — bo młodość, nawet grzesząc, nie wyzbywa się czystości, nawet w upadku zachowuje coś świętego. Jest szczera, ona jedna jest szczera w tem, co czyni i za czem idzie, a to jest najdroższą, najczystszą i najrzadszą z świętości ludzkich...

Z różnem uczuciem na nich patrzyłem. Na nią — jakbym o pół wieku od niej był starszy i miał prawo dłonią pogłaskać oszroniony włos tej głowy, smutnie na ręku wspartej.

„Moje ty biedactwo! — myślałem — zabrakłoby światu diamentów, gdybym niemi mógł ci oddać za tę chwilę, kiedy piłem z tobą maj życia, kiedy giełaś mi się w rękach jak trzcina, radowałaś mi oko różowością winnego grona, muskałaś mi skronie wiaterkiem oddechu i parzyłaś usta usty. Razem wznieśliśmy czarę i razem stłukli wypitą, ale tej chwili dość mi było, by przejrzeć twą duszę. Miłość przeleciała przez nią snopem światła i wdarła się w jej skrytości — i wtedy to policzyłem wszystko złe i dobre twoje, a jeśli ten rozgrzesza, kto przejrzał skrytości serca, tedy to ja cię rozgrzeszę. Jeśli zaś spółwinnemu rozgrzeszać nie godzi się, tedy wezmę na siebie cały ciężar winy, byleś ty bezgrzeszną za furtkę śmierci przeszła. I w cichej głębi snu wiecznego rozepnę ci białe widziadło — nasz sad wiśniowy w kwieciu i majową czarę młodości!"—Tak myślałem, patrząc na nieruchomą, jakby zastygłą głowę, której oczy uparcie wypatrywały czegoś za oknem...

Ale osobnik, który między nas trzeci wtargnął, ten obcy—im pilniei mu się przyglądałem, tem więcej mi się nie podobał. Próżno wparłem w niego oczy tak zaciekle, że powinny były nawskroś go prześwietlić. Zgaszona twarz nic zgoła powiedzieć mi nie chciała ani o jego maju, ani o jego jesieni. To zaś, co nic nie mówi—jest mi niezrozumiałe, a co niezrozumiałe—jest mi obce, co obce—niemiłe. „Jakież licho go tu przyniosło—pomyślałem—i czemuż stąd go nie uprowadzi!”

Lecz żadne licho uprowadzić go z przede mnie nie mogło, gdyż to było tylko odbicie mojej osoby w lustrze.

* * *

Ściskam Was bardzo mocno. Odzyskujcież zdrowie. Mijaliśmy się, drogi Panie, nieraz i tracili siebie z oczu w czasie i przestrzeni, ale zdaje mi się, że coś nas łączy nierozerwanego i urągającego śmierci...

* * *

XI.

W SUROWEJ SZKOLE.

Surową szkołą jest nieszczęście — ale szkołą, nie zaś tylko szafotem. Czem ogień dla stali, tem są dla ducha ślepe a zawzięte, głuche i zapalczywe uderzenia rozpętanych potęg losu. Rana będzie koło rany i miejsca już zda się nie zostanie dla nowych ukąszeń, a patrz — ze skrzepu krwi powstaje na ciele pancerz tak twardy, iż na nim zjadliwe kły losu się wyłamują. Otoś utracił oko — lecz drugim nie przestajesz ścieżek prawdy szukać; oba ci wyłupiono, a już myśl twoja, rozpraszając mroki ślepoty, całuje dalekie świtanie sprawiedliwości. Oto ci ucięto rękę—drugą ujmujesz swój sztandar; krew ci utoczono wszystką, pobielały twe usta, śmierć wyławia z nich ostatnie tchnienie. Cóżeś szeptał? Skargę, — czy żale? „Czyńcie dalej dzieło moje" — ten jest twój szept ostatni. Boś w surowej był szkole.

I dzieło jest dalej czynione bez wytchnienia.

Przychodzą nowe zastępy i dobrowolnie kołaczą do zapartych posępnych wrót, nad któremi widnieje napis:

„Tu uczą się cierpieć".

Przed kim otworzy swe podwoje ta surowa szkoła, ten albo żyw z niej nie wyjdzie, albo wyjdzie — człowiekiem. Którzy ominęli ją z zaciśniętem od strachu sercem, których ona za godnych wstępu nie uznała—ludźmi nie są i nie będą. Nie masz człowieka bez cierpień. I więcej — nie masz człowieka, jeśli otwarte dla cierpień łożysko jest tak wąskie i płytkie, iż płyną niem tylko własne, osobiste zgryzoty. Świat, w którym się

rodzi *człowiek*, jest przestrzenią zupełnie wolną, nie znającą przegród, zapór, podziałów—przestrzenią, w której duch może uczuć całą moc swej prężności i roztrzaskawszy nikczemne korytko, do jakiego ściekają kropelki uczuć, upragnień i zawodów jego, jako jednostki — obcować, ogarniać, spółczuć z wszystkiem, co żyje.

Jeśli taki świat cię nęci—nie łudź się, byś mógł doń wejść ominąwszy progi surowej szkoły. Tam ci powiedzą, iż zdolność odczuwania bólu i rozkoszy daną ci jest, byś z niej uczynił most dla łączności z wszelką inną żywą istotą. Kłamią, którzy mówią: przetrząsnęliśmy oczami głębie dusz ludzkich tak samo, jak wnętrze ciała ludzkiego. Kłamstwo! Ból i rozkosz nie jest do poznania poza nami; musimy własną duszę pogłębić, olbrzymio pogłębić, by w niej obrazy innych dusz wystąpić mogły.

Jest na uboczu, zdala od jasnych, roześmianych radością życia dolin, do których tłoczą się żądni szczęścia — studnia głęboka, niezbadana, tajemnicza, o której dziwne krążą opowieści.

Ciekawi, oparłszy się na zrębie, zatapiają wzrok w głąb przepaścistą, ciemną, zionącą stęchłym zaduchem; jedni widzą— lub zdaje im się, że widzą — ogniki, tańczące po czarnej powierzchni wody, inni — jakieś kształty skłębione i dziwaczne; znowu inni przysięgnąć gotowi, iż głosy a raczej wycia przeciągłe, stłumione i żałośne stamtąd wychodzą. Ach, jakżeż mało wiedzą o tajemnicach studni ludzie, którzy ją badają, oparci o zrąb jej, wystający nad ziemię!

I ci niewiele więcej się dowiedzieli, którzy z zachowaniem tysiącznych ostrożności, na sznurach, opuścili się, pobrawszy z sobą latarki. Cóż widzieli? Blask ich latarki uczynił jeszcze bardziej nieprzeniknionym mrok pod niemi; dostrzegli tylko na przegniłych ścianach studni nieco mchu i pleśni, którą pokazywali potem ze śmiechem: Oto tajemnica!

Bracie mój, jeśli, stanąwszy nad tą studnią, sercem przeczułeś, że ona wiedzie do pieczar niedoli ludzkiej, jeśliś odgadł, iż tam gdzieś, w zimnem i stęchłem podziemiu, męczą się żywi— wiem, bracie mój, co uczynisz, choćbyś był sam, bez pomocy,

choćby nie było dla cię sznurów ratunkowych — skoczysz bez namysłu, z otwartemi oczami.

I oto nogi twoje zapadły w grząskie, ohydne mokradło, pociągające cię coraz głębiej; straszliwa woń rozkładu tamuje ci oddech, w pomroce widzisz potwory, ohydy i widma, splotami wężowemi duszące ludzi; na własnej piersi uczuwasz lepkie i wstrętne dotknięcia—to macki głowonogów nędzy i występku. Spoglądasz ku górze—tam, nad otworem studni, skrawek błękitu niebios. Ileż szyderstwa i natrząsania się w jego czystości i jasności! Czujesz wreszcie, iż giniesz, ręce twe w kurczowem, strasznem napięciu wpijają się palcami w śliską ścianę studni. Usta twe, wtórując chrapliwym głosom, kłębiącym się w ciemności, roztwierają się okrzykiem: Ratunku!

Bracie mój, gdy ty powrócisz na promieniejące radością życia polany, powiem tobie:

Wierzę—iż poznałeś Wiedźmę-Niedolę i jej ciemne królestwo; tak, teraz wierzę ci, iż je poznałeś.

(1905 r., w „Ogniwie").

* *
*

XII.

NA STRAŻY NIEPRZESPANEJ.

(Do mego synka, Olesia).

Kochany Olesiu! Gdy to piszę, masz zaledwie siódmy rok, i teraz ta książka byłaby dla ciebie niezrozumiałą, chociaż pewny jestem, że rzeczy, o których tu piszę, nie są ci obce, bo je nosisz — w serduszku. Nie czynię ci też z niej upominku; weźmiesz ją kiedyś, gdy zechcesz, gdy będzie ci potrzebna; weźmiesz ją, jak każdy, komu będzie potrzebna. Jednak chcę ci powiedzieć, że lubo nie dla was wyłącznie ją napisałem, lecz wy—ty i Julcia—sprawiliście, żem ją napisał; byliście dla mnie trąceniem woli. Patrząc na was i myśląc o latach, które mnie już uciskają, i że niebawem może od was odejdę, powiedziałem sobie, że muszę napisać tę książkę, aby mój syn i moja córka mogli ją znaleźć pod ręką, gdyby im była potrzebna, a z niemi — i synowie i córki innych ojców.

Zaglądając do twego serduszka, cieszę się, iż Ten, z czyjej zagrody wszyscy idziemy, nie upośledził cię; mając z Jego ręki zacność w sercu, już nie zaznasz ubóstwa i nędzy, byleś nie roztrwonił tego, co ci dane. Ale i mnie byłoby miło dać ci coś od siebie. Ubogi mój skarbiec, dziecko moje — przyjmij oto tę skromną — o skromnym i cichym człowieku opowieść.

* * *

Lato nasze czasem dziwnie przedwcześnie ginie, a bywa to zazwyczaj za sprawą owych nieszczęśników, siedmiu umęczonych synów św. Felicyty, bo istotnie w tym czasie, około połowy lipca, zdarza się okres deszczów i chłodnych wiatrów, które niekiedy z krasy lato odmuchują. A następuje to zawsze prawie w sposób jednaki. Zaczyna się od jakiejś długiej, rozwlekłej burzy, mało grozy, zaś wiele nudy i osowienia mającej. Godzinami zbiera się „na coś”, godzinami grzmi i mruczy coś zdaleka. Powietrze odrętwiałe, przyduszone, senne; chmury nieruchliwe, rozlane, szare, w jednem tylko miejscu, gdzieś z południa nieco czarniejsze i stamtąd dochodzą właśnie te odgłosy długich, zaspanych przygotowań, te turkoty leniwie toczących się wozów. Burza zbiera się też dopiero w nocy, długa, nudna, uprzykrzona. Uspokaja się wreszcie; słychać już tylko chlapanie deszczu za oknem, lecz po godzinie ciszy — znów ta sama historja. Burza wraca, jak złośliwa przekupka, która zapomniała dodać kilku wymysłów. Turkoczą znów armaty zapóźnione, robi się hałas, którego nikt już nie słucha. Noc mruczy do rana. A nazajutrz—leje, na trzeci dzień pada, na czwarty—pokropuje. Potem chłodno i wietrzno. Liścia otrząśniętego wiele, zieloność jakaś zmieniona i czuć, że choć słońce sierpniowe odzyska swą moc, lecz jędrna, soczysta, roześmiana i w sobie zaufana krasa lata—już nie wróci. Coś uleciało, coś przywiędło, przygasło w duszy przyrody. Może jeszcze nastąpić długa pogoda i może będzie cudna, cicha, miękka i pieściwa. Ale to już będzie—jesień, zmierzch, rezygnacja.

Tak właśnie było pewnego roku, kiedy mieszkałem latem na wsi, u Madziaka. Była taka rozchlapana, nocna burza, którą słyszałem przez sen, budząc się od czasu do czasu ze zniecierpliwieniem. Potem deszcze, potem dni chmurne, kiedy od rana do nocy przewalały się po niebie niewyczerpane zwały chmur. Gnały te gromady jedne za drugiemi, śpieszyły się, odęte i obrzękłe pędziły jak zadyszane, coś jak wojska uciekające, jak tłumy zaniepokojone, spłoszone, po coś biegnące — coraz nowe, nowe, a do siebie podobne, wszystkie szare. Któregoś dnia już się wypogadzać zaczęło, ale zachód znów był złowróżbny,

choć w swej czerwoności i w rozpłomienieniu jakiemś posępnem bardzo dla oka wspaniały.

Leżały nad zachodem nieruchome, jakby na postoju, i stłoczone prawie w jedno warstwy chmur zbite, pod niemi zaś smuga jasna, w którą z za tej ciemnej opony zlewało się coraz bardziej jarzące światło, uścielając ukrytemu jeszcze za chmurami słońcu łoże iskrząco wypolerowane. Ledwie wychylił się skrawek słońca, gdy wybuchła na niebo jakby olbrzymia łuna pożarowa i w jej ogniu naraz więcej, niż pół stropu zachmurzonego stanęło. Na szary bór sosnowy, co w cichości przedwieczornej już sobie do snu przysiadł, znagła padł ciemny, iście krwawy blask. Zakrwawiły się po wzgórzach wrzosowiska, rdzawe, wielkiemi plamami rozpełzłe mchy i krzaczysto rosnąca dębinka. A w chmurnej oponie nieba, od spodu rozświetlonej, wystąpiła naraz jej głąb wielka, która wpierw wcale postrzegać się nie dała.

Nie była to już stłoczona i w jedno zbita masa. Widziało się teraz chmury zawieszone jedne nad drugiemi, w pokładach, warstwach, zwojach. Dołem zwieszały się małe, ozłocone chmurki; nad niemi większe, gęściejsze w pozłocie pociemniałej, a wyżej zastygły zwały posępne, ciemnokrwawe. Przestwór rozgłębił się cicho i dostojnie—i ta głąb poważna zdawało się, iż mówi: „Co warte widzenia i dociekania ócz waszych, póki głąb sama wnętrza swego nie rozewrze!"

Pamiętny mi ten zachód dla jego piękności i dlatego, iż była to istotnie jedna z tych chwil, kiedy jakaś łuska opada z oczu, kiedy błysk może posępny lecz wspaniały prześwietla coś w oponie tajemnic i rozłamie się jedna z pieczęci niebieskich.—I dlatego jeszcze, że kojarzy mi się w pamięci z rychłą potem śmiercią Madziaka.

Chorzał Madziak już od zimy, zdaje się, na nerki. Z początku leczył się i miesiąc jakiś przebył w szpitalu w mieście, ale nie doznawszy polepszenia, wypisał się, by żonie kosztów próżno nie przysparzać. Latem zmagał się ze słabością, ale robić już nic nie mógł i tylko krowę pasał po rowach i odłogach.

Żniwo w tym roku sprawiono bardzo wcześnie i gdzie niegdzie udało się nawet sprzątnąć z pola przed ową słotą.

W żniwie Madziak żadnego już udziału w tym roku nie brał, nawet patrzeć nie szedł. Madziakowa z córką i Wiktorkiem sami sobie wystarczyli. Ciężkie wtedy czynił wrażenie Madziak na tych, co go znali, jako robotnika na roli niesłychanie zabiegliwego. Chodził on koło gruntu ze starunkiem największym, z jakiemś napięciem uwagi i troskliwości; robił zapamiętale, z pasją i jakąś cichą, wewnętrzną radością; jej to odblask skromny wybiegał mu na twarz, gdy po trudzie dziennym legł gdzie na miedzy swojej, pod gruszą.

Teraz na bezczynnego przykro było patrzeć, a i on unikał oczu ludzkich.

Kiedyś, w te żniwa, już bez niego sprawiane, odezwał się do swego Wiktorka, któremu już czternasty rok szedł:

— Przyglądałeś się, zaprawiałeś się przy mnie—to dobrze. Pójdziesz już sam za pługiem, nie pierwszyzna ci będzie.

— E, tato się może jeszcze poprawią. Felczer cosik powiadał, że byle mu rubla tylko dać...

— A jużci! Właśniem dla niego naszykował! Gdy ty orkę zaczniesz, ja już nie będę żył.

Pomilczawszy, dodał z frasunkiem niejakim, głowę ołysiałą trąc:

— Pamiętaj, staraj mi się, bo jak co nie tak, to ani się opatrzysz, że cię lunę przez łeb.

— A jakże to, kiedy tato mają być w grobie?

— Głupiś! Umrę, ale zawdy tu będę u miedzy naszej, od strony Szymańskiego.

I wychudłą ręką wygrażając komuś, pomruczał:

— Nie rozorze mi jej, nie!

Chłopak zmilczał i zamarkocił się, a potem w domu półgębkiem opowiadał, że tato jakoś nie do rzeczy gadają. I wzdychał. Żałował ojca, ten bowiem żadnych w domu nie sprawując rządów, nigdy palcem dzieci nie tknął i rzadko nawet, by je skrzyczał.

Madziak był drugim mężem Madziakowej. Pierwszy, nazwiskiem Wałęda, był to raczej łyk podmiejski, nie zaś chłop— i człek zgoła innego, niż Madziak, pokroju. Gospodarkę swą na dziesięciu morgach marnego gruntu ważył sobie lekko, a gotówki nieco mając, brał się — do interesów. Coś kupował, sprzedawał, jakichś dostaw dla wojska się podejmował, kupczył końmi, świńmi, sianem, owsem; znały go jarmarki i miasta; w domu gościem bywał. Ale grosza nie marnotrawił i Wałędzina z jego ręki raz po raz do swych skrytek tajemniczych pieniądz złoty i srebrny chowała. Gospodarkę swą, syna nie mając, zdał Wałęda na rzetelnego parobka.

Był nim Madziak. Zasiedział się u nich już lat kilkanaście i takim się na roli postawił gospodarzem, że gdy Wałęda zmarł, wdowa bez wahania i z aprobatą wsi całej podniosła Madziaka w godności do stopnia męża. W gruncie rzeczy nic się prawie nie odmieniło. W polu samorządnym gospodarzem był już wpierw, a w domu jak był parobkiem bez głosu, tak nim i pozostał. Rolę naczelną w chacie wobec dzieci i nawet w reprezentacji nazewnątrz — zachowała baba dla siebie. On do niej zawsze mawiał: „wy, matko“, gdy ona na niego: „ty, ociec“. Rzadko występowali razem, nawet w niedzielę do kościoła rzadkie zdarzenie, by razem pojechali. Że to jakoś dla oka ludzkiego było nijako, więc Madziakowa z tego powodu parę razy go nawet strofowała, ale odpowiadał jej jedno, że domu bez opieki zostawiać nie można. Albo on, albo które z dzieci— ktoś zostać musi, a dzieciom kościoła opuszczać nie należy. Dała mu tedy pokój, bo przyjęła za zasadę, by we wszelkich sprawach, krom pieniężnych, słuszność mu przyznawać i woli jego nie krępować.

Gdy przyszła niedziela, zaprzęgał konia, usłał siedzenie, okrywał je derką, wręczał bat Wiktorkowi i, wsadziwszy żonę i córkę, od Wiktorka starszą Kasię — wyprawiał ich. A gdy wyprawił i w domu sam z Burkiem pozostał, posłyszeć było można wydobywające mu się z piersi długie westchnienie ulgi. Snać ta chwila samotności i ciszy była mu bardziej, niż kościół, potrzebna.

Bywało — powygląda za niemi, póki wózek nie zniknie na zakręcie, w olszynce; potem zawrze wrota i spuści psa z uwięzi, łańcucha mu nie odpinając, bo zły był pies, jak szatan, a wypadłszy na drogę, łacno by kogo mógł pokaleczyć. I z nim do izby idzie. Pomodli się chwilę niedługą, ukląkłszy. Potem przy stole siądzie i głowę na ręku wesprze. A pies swoją na kolana mu położy i patrzy nan okiem złagodniałem a mądrem, patrzy pilnie i raz po raz wzdycha lub coś pomrukuje po piesku.

Potem Madziak, wciąż na łańcuchu Burka wiodąc, pochodzi po obejściu, tu i owdzie zajrzy i pójdzie sobie za dom, miedzą od strony Szymańskiego, do głębokiej brózdy, która jak rana czerwienieje w tej miedzy, opodal starej, kopiastej gruszy dzikiej.

A była tej brózdy historja taka. Szła tędy miedza ongi dość szeroka, ale Szymański co roku coś z niej przyorywał, wreszcie zostało pasemko tak wąskie, że stopy na niem nie postawić. A kiedyś w tem tu miejscu i to pasemko pługiem zajął i nawet coś niecoś na stronę Madziakową zaleciał. Prostując granicę, Madziak rozkopał tu głęboką brózdę, na której spodzie odsłonił się pokład jakiegoś czerwonego piasku. Odtąd ta brózda rozczerwieniona, z kilkoma na jej dno zwalonemi wielkiemi kamieniami, granicę w tem miejscu wskazuje.

A nad nią—grusza. Tu, w cieniu nisko a szeroko rozpostartych konarów, lubił Madziak legnąć sobie, mając psa u boku. Stąd chatę było widać — taką miłą, tak zacisznie i przytulnie osiadłą śród brzóz, śliw i wisien, że okoby się z nią pieściło a pieściło. Ale Madziak nie ku niej patrzał; brał on w swe oczy rozradowane całe to, na pólka pokrajane, długie pasmo ziemi, koło której bez mała lat jakieś trzydzieści chodził z dbałością, troską i myślą nieustanną, jak matka lub raczej jak dobre dziecię koło matki, jej życzenia uprzedzając, w oczy naglądając.

A pies drzemał, czy tylko udawał, bo raz po raz głowę podnosząc, bystro a srogo wokół się rozglądał. Łańcucha Madziak z ręki nie wypuszczał. Z psem nie przelewki były, gdy się wyrwał. Złości jego i zawziętości różneby znaleźć powody; główny—oczywiście—uwięź jego; potem—drażnienie się z nim

nawiedzających Wiktorka chłopaków, a podsycały jego dzikość i srogość obfite od czasu do czasu krwawe, mięsne biesiady, bo zwyczajem we wsi było do padliny puszczać psy nocą. Wracały nadedniem obżarte, opchane, ziejąc zakrwawionemi pyskami.

Czuł Burek każde drgnienie trzymającej łańcuch ręki. Owóż, gdy czasem z za opłotków niedalekich wychyliła się długa, tyczkowa postać Szymańskiego, ręka zaraz folgowała. Pies pomykał. Z pyskiem przy ziemi, ogon podwinąwszy, milczkiem, ale z szatańsko wyszczerzonemi zębami, rwał na wroga, tylko kurzyło się za nim i łańcuch po brózdach szczękotał. A Szymański, jak chart, przesadzał opłotki, drąc się w niebogłosy:

— Ludzie, olaboga! Szatan się urwał! Z kłonicami na dzikiego zwirza! Bić-zabić!

Gdy czuł się już bezpiecznym w swej zagrodzie, długo jeszcze wykrzykiwał:

— Czekaj, czekaj, ja ci kiedy dogodzę! Sprawię ci ja łaźnię! Hycel z tobą poigra. Jakem Szymański, hycla na was naprowadzę!

Pies wracał wolno, prychał, jakby mu coś niemiłego do nosa naszło, a w jego oczach, głęboko osadzonych i srogich, roztliły się wtedy iskierki humoru i rozbawienia.

I pod wąsem Madziaka snuł się uśmiech.

...Ale oto — słabość go zmogła. Słota długotrwała, chłody — kres mu przyśpieszyły.

Ostatni raz widziałem go na nogach chudziutkiego jak szkielet. Wlókł się z trudem. Poszliśmy razem miedzą. U brózdy czerwonej usiadł; rozgadał się trochę, pytał mi się, co w świecie słychać. Ale gdym mu zaczął coś opowiadać, nie słuchał, zapadłszy w odrętwienie. Naraz odezwał się:

— Gdyby matka i Wiktorek chcieli mnie posłuchać, toby mnie nie taszczyli po próżnicy do Okuniewa na cmentarz, tylko tuby pochowali. Ale jak to głupim głowom przełożyć!

— Dlaczego tu, panie Madziaku?

— Bo jakbym w bróździe leżał, nie ważyłby się ów psubrat miedzy zaorywać. Ale wszystko jedno, ja tu i tak będę!

Rozmowę ostatnią miałem z nim śród szczególnych okoliczności. Był tam u nich przy stodole przybudowany stary chlewek. Zczasem Madziak nowy postawił, a ze starego, gdy deski zeń powypadały, została tylko mała szopa kryta, pod którą pług trzymano, bronę i coś jeszcze. Wychodzę któregoś ranka na podwórze — a chłodno było, ziąb prawie. Patrzę — i oczom nie wierzę — w starym chlewku, na rozpostartej na ziemi słomie, pod kożuchem leży Madziak. W głowach ma pług, w nogach — bronę. Żal mnie zdjął i głęboka uraza do Madziakowej, iż do takiej poniewierki chorego, gasnącego człowieka mogła dopuścić. Ale Madziak jakby dorozumiał się moich myśli, nie dawszy mi przemówić, wyrzekł pierwszy:

— Ja sam tak chciałem. Kazałem, no i musieli mnie tu przenieść. Przecie i mnie się posłuch jakiś należy.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Bo mi tu bardzo dobrze. Powietrza nie brak, a w nocy, powiadam panu, że tu daleko weselej, niż w chacie. Gwiazdy mrugają do mnie. Świt widzę. A Burek całą noc kroku ode mnie nie odejdzie. Wsunął-ci mordę pod kożuch i te nogi opuchłe mi lizał.

Zdaje się, że po policzku łza mu wolniutko płynęła, ale nie śmiałem patrzeć na twarz jego natarczywie.

— A i jeszcze jedno powiem, boć choremu to nie wstyd do tego się przyznawać. Takem osłabł, że już i czucia nie mam. Rozumie pan? Wszystko mam przy sobie zawalane. Śmierdzę. I miałbym w izbie, gdzie Matka Najświętsza w obrazie, taki zaduch swoją osobą robić!

... Zaprawdę, wart był ten człowiek, żeby gwiazdy z toni niebieskiej przyjaźnie doń mrugały, a pies lizał jego puchlinę...

Umarł i pochowali go — w Okuniewie.

Alem widział taką rzecz jeszcze. Urwał się kiedyś Burek z łańcucha i poleciał na brózdę. Tam leżała wbita przez deszcze w piasek jedna z tych szmat brudnych, któremi Madziak nogi chore owijał i którą tam za tej ostatniej pewnie bytności zgubić musiał. Pies owąchał ją i zawył. Potem w czerwonem dnie brózdy począł zażarcie kopać pazurami—ale ustał, położył

się, pysk wsparł na ziemi i westchnął, ogonem parę razy poruszywszy, jakby znalazł to, czego szukał. Ten pies wiedział, że Madziak nie na cmentarzu w Okuniewie leży, lecz tu, u miedzy, na straży wiecznej i czujnej. A gdyby i temu psu polskiemu kazano tu czuwać, teżby czuwał i swej straży nie przespał...

Myślę, że u wszystkich miedz polskich, dokąd jeno sięga ta ziemia krwią lub potem swych synów zlana, kładą się oni po śmierci. Groby ich puste; oni rubieży polskich strzegą. I dlatego—ziemi tej, ducha, kultury, Ojczyzny naszej nie zdobędzie i nie potera nikt.

— — — — — — — — — — — — — —

...Pamiętaj o tem, synku mój, dla ciebie-ć to ta opowieść. A zczasem, swojemu ją powtórz.

* * *

XIII.

Z LOTU PTAKA.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Zapytujecie o *Dom Cedrowy* — co się z nim dzieje, czy go piszę. Drodzy Moi—sprawa tak się ma. Opisanie Domu Cedrowego, jak i każdego innego—z drzewa, cegły, kamienia — jest rzeczą drugorzędną, czynnością wtórą. Najważniejsze—to dom pobudować; opisywać go, czyli dawać mu formę postrzegania w słowie można dopiero później, gdy jest już wykończony. Jeśli nie przystępuję do opisu lub nie kończę go, to dowód, że i domowi pewnie wiele brak. Ale list Wasz, Wasze przypominanie i naleganie, Wasza zachęta—sprawiły to, że powiedziałem sobie, iż memu Domowi—którego zresztą nie mam prawa nazywać moim, ponieważ przede mną już tysiące do niego ręce swe przyłożyły — nigdy końca nie będzie; i śmierć tym końcem nie będzie; i nigdy o tem, co zdziałam lub napiszę, nie będę mógł powiedzieć — oto rzecz skończona! Zawszeć to będzie fragment, ułamek, moment. Jeśli ten moment — jako czyn — będzie momentem zacności, a jako pisanie — będzie momentem prawdy, tedy pochwycą go serca i umysły prawe i snuć będą dalej wiekuistą i bezprzestrzenną sieć prawdy, sieć życia! Prócz Waszego nalegania, woła na mnie jeszcze i kto inny. Dzieci moje. Maleństwa. Czy to ja już doczekam czasu, gdy będę mógł mówić z niemi usty do ust, sercem do serca i być przez nie zrozumianym i powiedzieć im wszystko, cobym powiedzieć im chciał! Więc trzeba, trzeba—

pisać, choć to nigdy słowa żywego nie zastąpi!—W tym liście do Was, drodzy moi, spróbuję — z lotu ptaka popatrzeć na zręby myślowe Domu Cedrowego.

* * *

Pisanie Domu Cedrowego zacząłem od przypomnienia marzeń Dawida. Owo — raz jeszcze ku temu momentowi nawracam. Przyszło mi pewnego razu na myśl, iż budowa wymarzonej przezeń siedziby królewskiej zaczęła się nie wtedy, gdy na rozkaz króla Hirama zwieziono cedry z Libanu i zeszli się rzemieślnicy, z Tyru przysłani, lecz — daleko wcześniej. Może już wtedy, gdy nawet szałasu dla ukrycia się nie mając, tułał się jeszcze po pustyni nieuznany pomazaniec Pana, samotny śród gór i przepaści, pod gwiaździstym namiotem i gdy za harfę miał tylko własną duszę. Tak mi się zdaje. Nie na gruncie odmierzonym, lecz w przepastnej, bezprzestrzennej głębi duszy poczyna się wszelka budowa. Marzenie—to już budowa. Żadna bez niego powstać nie może. Każda zanim spoczęło na niej oko cielesne, już była widziana okiem marzenia. Wszystkie na świecie budowle są zaklętemi w jakiś kształt marzeniami. Marzenie stało się wewnętrzną treścią budowy, ta zaś jest tylko jego zewnętrznem obleczeniem. I weźcież pod uwagę, że to obleczenie (forma postrzegania treści) jest rzeczywistością, jest tem, czem jest, czem chciało je mieć Marzenie, tylko *dzięki swej treści wewnętrznej* i tylko dla tych, którzy swoją treścią wewnętrzną, *swojem marzeniem zdołają tamte ująć.* Katedra Nôtre-Dame dla prostackiego umysłu wcale nie jest katedrą Nôtre-Dame, chociażby mu się nawet podobała jako wielka i ozdobna kupa cegieł czy kamieni. Sobą, t. j. katedrą Nôtre-Dame staje się dopiero w tym umyśle, który zdoła wczuć się, wżyć się w to czyjeś Marzenie, co zastygło w tych murach.

A religje, a filozofje—czemże są, gdy nie skupieniami marzeń, których treść wewnętrzna zastygła w jakiejś formie? I znów ta zewnętrzna forma skupienia, systemat, jest tem, czem jest, czem uczyniło go marzenie, tylko dla tych, kto w nie wczuć się lub wmyśleć zdoła.

...A więc—marzenie o domu cedrowym wypłynęło z treści Dawidowej i stało się treścią domu cedrowego, która stanowi o jego rzeczywistości, a przeto i sama już była rzeczywistością wówczas, gdy jeszcze cedry nietknięte szumiały pieśnią królewską na Libanie. Treść zaś Dawidowego domu cedrowego będzie zrozumiana, wyczuta, ujęta tylko przez tego, czyja treść poziomowi Dawidowej odpowie. Dla prostaka, gapia i nieuka zaklęte w murach katedry marzenia nigdy niczem innem nie będą, jak usypiskiem cegieł, a tęsknoty Dawidowe, w psalmach rozsnute—obfitością słów niepotrzebnych i niezrozumiałych.

O Panie Panujący, ku któremu Dawid wołał: „Tyś jest Bogiem!”—czyliż już z tego wzniesienia nie sięga oko w Twoje bezkresy? Nie rozstępuje-ż się przestrzeń, nie kurczy się i nie maleje złuda czasu? Czyliż nie stajemy się przytomnymi chwili, gdy w Twojej treści powstawało marzenie o wielkim domu cedrowym? Czyliż nie twe marzenie stało się domu tego treścią, dom zaś jej obleczeniem? A więc dom twój cedrowy, w którego przedsieniach słońca za kaganki są, jest tem, czem jest, tylko przez ciebie i pókiś ty w nim! I przeto tyś był rzeczywistością — przed światem! I przeto Ciebie ująć zdoła tylko ten, kto uszanuje w sobie i uchowa pierwiastki Twojej treści — zacność, prawdę i wolę...

* * *

Śród rzeczy smętnych — jedną z najsmętniejszych jest wszelka rudera, ruiny, siedziby opuszczone, świątynie, w których nikt się już nie modli, wszelka niezamieszkałość ongi zamieszkiwana; kształt czegoś, co utraciło swą treść. Ileż-to takich ruder spotyka się po drogach życia, wszędy, gdzie zamieszkiwał człowiek lub jego myśl, lub jego wiara, lub jego miłość... O smutne, puste groby, domy—które ktoś wznosił, myśląc, że wznosi je z cedru lub kamienia, na niepożytość wieczną, a—oto co z nich... Wejdziesz do takiej przydrożnej rudery—dziwna niesamowitość... To okien nie ma, to szybki zmętniałe, to progi poosuwane, pleśnie, pająki, rdze. Ktoś tu mieszkał, tkał życie, myślał, czuł, cierpiał, cieszył się — i coś z tego wsiąkło

i zostało—i teraz czołga się tu jakaś melancholja—jakieś ręce wychudzone wyciągają się z kątów, wyciągają się do ciebie nieśmiało, obejmują cię, przyciskają, chcą zatrzymać...

Zaprawdę — nie dajcie się tu zatrzymać, ale i nie mijajcie tych ruder, ruin domów i świątyń. O świeża, młoda myśli, myśli przyszłości! Nie omijaj ich! A wchodząc, obnażcie głowy! — i dłonią miękką popieśćcie te starce, przemówcie do nich i wysłuchajcie ich lamentów. Lecz czegoż one chcą? Czy żeby podeprzeć ich ściany i progi poomiatać, czy żeby rozwalić je doszczętnie, czy żeby cegły z nich wyjąć i użyć do nowych budowli, czy w muzea je zamienić? Nie wiem. Jabym napisał na nich: „Święte" — uchylił głowy i — szedł dalej.

* * *

Pewnego razu odkopał chłop kamiennego bałwana. Zeszli się ludzie dla oglądania; był śród nich człek uczony, co orzekł, że to jest słowiański czterogłowy Światowid. Wtedy jeden z obecnych obnażył głowę, lecz gdy inni spojrzeli nań z uśmiechem, zawstydził się i nakrył ją. Słabego to był ducha człek. Tamci, co z niego podrwiwali, byli to tylko głupcy lub gbury, on zaś gorzej—bo słabego był ducha, co znaczy, że postrzegał prawdę, lecz nie miał hartu i nie stał twardo przy tem, by dać jej świadectwo—czyli wyparł się prawdy. A co tu było prawdą? Że ów Światowid był dla Słowian świętym bogiem, bogiem bogów; do niego modlono się—rozumiecie? I w momencie, kiedy pług chłopa zawadził o ten kamień, zleciała tu z przestworzy zamierzchła przeszłość słowiańska, zleciała i w tem miejscu kołem pouklękała, podczas gdy wy staliście z nakrytemi głowami, jak prawdziwe bałwany. Klęczeli starce, sędziwe niewiasty, hoże dziewoje, młodzieńcy, dziatwa, całe szeregi pokoleń, których łzy i krew i błagania i zaklęcia niegdyś do stóp tego kamiennego bożyszcza się słały. Te pomarłe pokolenia już od wieków w rozradowaniu i wiośnie pływają sobie w jasności i prawdzie Chrystusowej, lecz przybiegły tu i poukękały wkoło kamiennego Światowida, ponieważ był on jednym z tych granitowych stopni, po których na ołtarz słowiański wszedł

Chrystus. Oni wszyscy niegdyś błądzili, ale szukali—rozumiecie?—szukali Boga, tęsknili do Niego, wyciągali ręce ku Niemu, nie mogli żyć bez Boga. A wy?... Na kolana!

* * *

Nie wynoście się nad czcicieli Świadowida i Żywji i Jesse—jasnego boga jesieni — i wiośnianej Dziewanny i Łady uroczej lub posępnej Marzanny. Ci nie byli bałwochwalcami, bynajmniej nimi nie byli. Czcili moce wielkie, wyniosłe, wspaniałe, wyczarowane ich wyobraźnią i sercem, czcili jakąś wielkość, którą poza sobą postrzegali. A wy kogo? Siebie. Otóż to jest bałwochwalstwo—prawdziwe, bez przenośni. Siebie okadzacie, sobie schlebiacie, siebie wielbicie i sobie niesiecie ofiary. Lecz patrzcie-ż—oto kamień, przed którym uchylały się kolana i głowy naszych praojców, przetrwał jeszcze do dziś, choć oni dawno się już prochem rozwiali, a z tego, co wy czcicie—cóż przetrwa?

* * *

Owszem — jedno przetrwa. Właśnie to w was przetrwa, coście w sobie splugawili. Przetrwa—potrzeba kultu, potrzeba miłowania czegoś nadewszystko, potrzeba uwielbienia czegoś. Przetrwa — ponieważ ta potrzeba była w was darem boskim, którego nic na świecie, nawet potęga śmierci zniszczyć nie zdoła. Gdy tedy wiatr rozwieje wasz pył, pyły tego, coście wielbili, okadzali, czemu schlebialiście i ofiary czynili, pozostanie z was jednak—na wieczność i wieczyste łaknienie—ta splugawiona potrzeba kultu. Będziecie nicością pożądającą. Będziecie ramionami, wyciągającemi się w próżni—ku próżni. Kochaliście samych siebie, zostaniecie tedy — sami z sobą! W pustce, w opuszczeniu i osamotnieniu. Będziecie pragnęli ruchu i czynu; wokół będzie bezruch i bezwład i milczenie. Zawołacie—nawet echo wam nie odpowie. Będziecie jako usta, spieczone wiecznem pragnieniem. I poznacie okropne słowo, najstraszniejsze ze słów, jakie myśl i mowa ludzka wytworzyć zdołała—słowo *nigdy! Nigdy* nie wróci to, coście w sobie zmarnowali i roztrwonili.

To będzie waszym Hadesem, waszem piekłem, waszą karą — karą — karą...

* * *

Któryż dom jest cedrowy, na niepożytość i wieczność — a który na stoczenie robactwem, na pleśń i pajęczynę i rdzę? Ten jest dom cedrowy, do którego wejdzie Wola. Bo Wola sama wchodzi—a bałwana wnoszą. Do któregoż domu weszła Wola, sama—jako zawżdy sama wchodzi, nie na rękach wnoszona? Do tego, co go zbudowało chrześcijaństwo. Tam wszedł On, a wszedł z dobrej woli, lubo ta wola wiodła Go na mękę. Nie masz, nie było i nie będzie innego Domu Cedrowego! Ten nie może przepłynąć, gdyż ogarnął — wszystko, co płynie.

* * *

Obawa śmierci była jednym ze znakomitych i silnych czynników rozwoju i cywilizacji, jednym z węgłów religji, filozofji i moralności, jednym z regulatorów życia społecznego i politycznego, jednym z wpływów fizycznych i moralnych, które poręczają trwanie rodziny, gatunku, rasy, ludzkości. Ale tak było i być musiało na niższych szczeblach rozwoju. Strach bywa hamulcem i bodźcem dla dzieci, dla dzikich, dla bezskrzydłych, dla uwięzionych, dla wszelkiego rodzaju i gatunku niewolników. Wolność już nie zna strachu. Nie zna go lot! Może na ziemi przed wzlotem uczuwa lotnik niepokój, ale i to wątpliwe, bo gdyby się bał, nie poleciałby. Lecz gdy wzleci, niema już w nim zgoła miejsca na strach, zajmuje go motor, czynność, ruch. Leci! Może—gdy coś się popsuje i on spada w śmierć — na sekundę zaciśnie go trwoga, lecz czasu już na nią niema, zresztą zaciśnienie to tylko fizycznej natury.

Zatem, w wolności znika strach. Lecz gdzież się podział? To, co było jakimśkolwiek czynnikiem rozwoju, co płynęło z płynącemi rzeczami, nie może się zapodziać, może się tylko przekształcić. Obawa śmierci na niższych szczeblach rozwoju przekształca się na wyższych w pewność trwania! Otóż to właśnie, pewność trwania może w dalszym rozwoju ludzkim spełniać taką samą rolę, jaką na niższych szczeblach spełniała obawa śmierci. Tylko ten czynnik mniej będzie widocznym, bo pewność trwania subjektywnie jest tem właśnie uspokojeniem, jakie uczuwa lotnik, gdy już wzleci. Pewność trwania

usuwa myśl o trwaniu i pozwala na oddanie się wyłączne czynności, ruchowi. Tem więc słuszniej, że to ruch, nie co innego, jest *trwaniem*.

A dlatego jest ruch trwaniem wiecznem, bo nie odbywa się w kole—któreby go zamknęło, lecz po linji spiralnej.

* * *

Ogromne są stropy domu cedrowego, ani myśleć, by móc je ogarnąć odrazu, choćby cudnem okiem wewnętrznego widzenia... Aleć do ogromów to właśnie tęskni się. Wpłyniemy tam sobie cichym lotem myśli i będzie nam ona krążyła pod najgórniejszemi ze stropów tak długo, tak uparcie, aż głosem się odezwą stropy, a zasklepienia przeświecać zaczną. Boć jest w nich treść wewnętrzna nie po to, by tkwić tam miała sobie cicho, znieruchomiała i senna, lecz—by ją inna wzięła, by rozlać się w innej i wieczystym strumieniem spłynąć mogła.

Do domu cedrowego tyle jest wejść, ile w świecie rzeczy—tych, co się widzi, i tych, których nie widzi się i rękoma nie dotyka. Myślałem sobie — gdybym tak wziął za przewodnika wolę, czy doprowadziłaby mnie ona tam, dokąd dojść chcę? Bez wątpienia. A gdybym wziął—myśl? Bez wątpienia. A gdybym wziął — chrabąszcza? Bez wątpienia, byłby i on tem zaczepieniem, tą nicią, która wciągnęłaby mnie w obieg wszechrzeczy, daleko poza punkt, gdzie tkwię w przestrzeni i czasie, i doprowadziła ostatecznie tam, dokąd dojść chcę. Dokąd-że to? Chcę dojść do takiego miejsca, bym mógł cały ten obieg wszechrzeczy i w nim siebie—widzieć, nie wyobrażać sobie, lecz widzieć — cały dom cedrowy i jego treść wewnętrzną, boską i — gdyby można — to i Boga poza jego cedrowem zamieszkaniem, jako treść bez zewnętrznej formy postrzegania, jako zaródź wszelkich domów cedrowych.

Jest to trudne dlatego, że rzeczy, w których się tkwi, gdzie się jest zanurzonym,—tych się nie widzi, nie widzi jedynie dla braku perspektywy. Ale to nie może stanowić trudności nieprzezwyciężonej. W każdym z nas—zbadajmy jeno siebie — odzywa się gdzieś z ukrycia jakieś wątpienie, niedowierzanie

przestrzeni i czasowi, pytanie—nie sąż to złudy—może nieuchronne, niezbędne, niczem nie zastąpione na pewnych stopniach postrzegania, do pewnej wysokości naszych wzlotów, ale wyżej—zawada jeno i zmącenie widzenia. Gdyby to złudy były, muszę je zniszczyć i wtedy obejdę się bez perspektywy. Gdy to mi się nie uda, muszę skupić się w moc tak wielką, by samemu odepchnąć się od rzeczy, w której jestem zanurzony, samemu swoją mocą wytworzyć perspektywę, która się przede mną schowała. Możliwe-ż to? Na innem miejscu pogawędzim sobie o woli i jej celu, o tem—jak wola i jej cel wzajem się przyciągają, a tu powiedzmy sobie za pewne, że gdy jeno wyślemy dokąd naszą moc, już na jej spotkanie biegnie stokroć większa; ledwie wyciągniem ramiona, już ci ktoś nas bierze w swoje; ledwie poskarżym się, że nam ciemno, już ci dłoń jakaś łuski z oczu naszych strząsa. Pomyślmy, drodzy, możliweż to, by Bóg nie chciał widzieć nas u siebie i w sobie, nas, cośmy z treści jego? Ależ On naszego chcenia wygląda... Idźmy więc.

I czegokolwiek się uchwycimy — bądź woli, bądź myśli, bądź chrabąszcza, bądź jakiegokolwiek momentu, punktu czy cząstki wszechbytu, zawsze dojść musimy do Boga, czyli do treści — z której to wszystko się bierze.

* *
*

Nie mogę myśleć inaczej, niż tak, by rzecz pomyśleć odrazu całą, potem zaś szczegóły jej i powiązania umacniać i dorysowywać. Oczywiście, przy tem umacnianiu, wiązaniu i dorysowywaniu rzecz się rozrasta, zarysu pierwotnego trudno dopatrzeć, ginie bowiem w czemś większem, jak ginie z oczu szkielet w swem mięsnem obleczeniu. Technika budowania takiego wymaga wielokrotnych nawrotów. Jest to dość naturalne, gdyż lot myśli ulega prawu okrężności, które stąd—być może — wynika, że myśl dąży do poznania. Poznać jakiejś rzeczy bez widzenia jej z wszech stron nie można, widzieć ją zaś w ten sposób można tylko w obiegu dokoła niej. Nie inaczej postępuje ptak—najszlachetniejszy z symbolów myśli—

gdy wypatruje swej zdobyczy i nad miejscem, gdzie mniema, iż jest ukryta, zatacza koła.

Ta jednak jest różnica przepastna, iż zając upatrzony będzie próbował uciec przed orłem, prawda zaś, której wypatrujemy, sama idzie na nasze spotkanie równie stęskniona, by ją poznano, jak my do jej widoku.

W wewnętrznem budowaniu myśli czem też są—słowa?— Myśl biegnie przed słowem na ogromnej i niewymiernej odległości. Słowo nigdy nie bywa jej początkiem i zawsze tylko śladem, pamiątką po niej. Te ślady, pamiątki, miejsca, gdzie myśl przebywała, te punkty jej odepchnięcia się wzwyż — wytwarzają perspektywę ewolucji myśli i są formą jej postrzegania. Ale jak nikłą, jak względną, jak ciasną! Gdy zestawimy słowo z treścią, będziemy w tem położeniu, jak gdyby nam wypadło w płachcie zawiązać górę — lub lepiej — zawiązać rzekę. Słowa to tylko sygnały myśli.

Sygnalizacja pojęć i myśli zapomocą znaków dźwiękowych czy pisemnych doprowadza nas do ciekawych wniosków. Słowo swój skutek prosty, bezpośredni i właściwy — skutek, jakiego oczekujemy — odnosi, gdy w ośrodku, do którego jest skierowane, wywoła taki sam — jakościowo i ilościowo — wstrząs, takie same drganie intelektualne, jak w ośrodku sygnalizującym. Wtedy dopiero jest tem, czem być ma—sygnałem porozumienia się różnych — w pojęciu osobowem — treści. Moja osobowość—a lepiej powiedzmy: moja treść, występująca w optyce czaso-przestrzennej w osobowej formie postrzegania—może jak najenergiczniej sygnalizować swe myśli pod adresem słupa telegraficznego bez żadnego zgoła efektu. Nawet na trąbienie moje — nie odpowie. Jednak trzeba zastrzec, że krasomówstwo, do słupa skierowane, nie odnosi jedynie skutku właściwego, skutku, jakiego oczekujemy od słowa, nie można bowiem twierdzić, aby nie odnosiło żadnego, gdyż fale dźwiękowe, przechodząc przez drzewo, wytwarzają kontakt pomiędzy drganiem intelektu, w którego skutku powstało słowo — dźwięk, a cząsteczkami drzewa. Ale, oczywiście, nie jest to to, o co mi szło. Ja prawię do słupa o logarytmach lub cnocie — słup

ujawnia doskonałą obojętność. Co prawda, z takąż drewnianą obojętnością będzie w tym samym wypadku milczał doskonały matematyk, bardzo przytem cnotliwy, lecz nie znający języka, w którym do niego przemawiam! Słowa moje podziałają na niego prawie tak, jak na słup; przy ich pomocy pewien kontakt z odmienno-językcznym jegomością uzyskam, ale z pewnością nie będzie to to, o co mi szło. Gdy z temi samemi słowami—logarytm i cnota—zwrócę się do osobnika, władającego moim językiem i cnotliwego, lecz ciemnego w rzeczach matematyki, tedy części przemowy mojej, dotyczącej cnoty, wysłucha on z uznaniem, o logarytmach zaś słuchać będzie obojętnie lub wcale słuchać nie zechce. Wreszcie, łotr, wyćwiczony w matematyce i rozumiejący po polsku—w sprawie logarytmów będzie mi przytakiwał, ale namawianie do cnoty sprawi na nim taki sam skutek, jak na słupie; gorzej—bo w skutku mojej przemowy może czynnie, a w sposób dla mnie niemiły zamanifestować swą niechęć dla cnoty.—Dla wyczerpania wypadków, najjaskrawiej oświetlających rolę słowa, jako sygnału porozumienia pomiędzy różnoosobowemi treściami (powiedziećby lepiej: pomiędzy różnemi momentami jednej treści) przytoczę dwa jeszcze. Mówić o logarytmach do wstępnoklasisty chybi celu, lecz w kilka lat później—już nie chybia celu. A o cnocie—nigdy nie chybia celu. Nigdy! Nie mamy nigdy prawa powiedzieć sobie, że nie warto mówić o cnocie, bo to chybi celu, lub — że o cnocie mówić do łotra jest niebezpiecznie, bo w odpowiedzi może wziąć kij i wygrzmocić nas. Chrześcijanie nie namyślali się, czy mają mówić o cnocie do tych, którzy lwom odmawiali jadła, aby im lepiej smakowało ciało chrześcijan. Wiadomoż nam, czy ten, kto księdzu Boduenowi wymierzył policzek, nie stał się lepszym, gdy posłyszał: „To dla mnie! A cóż—dla dzieci?” A przecież były to tylko słowa, skromne, proste słowa!

Więc słowo jest zarazem i bardzo nieudolnym i niesłychanie potężnym sygnałem porozumiewania się treści. Wszystko zależy od tego, jakie momenty treści, z jakich jej poziomów wzięte — porozumiewają się z sobą i od umiejętności rzucenia słowa w odpowiednią oczekiwanemu skutkowi głąb, od utrafienia

poziomu, z którym porozumieć się chcemy. Gdyby osoba księdza Boduena i osoba człowieka, który go spoliczkował, były formami postrzegania dwu treści, zaczerpniętych z różnych zbiorników, jedna dajmy na to z boskiego, druga — z lucyperowego — tedy, porozumienie między niemi byłoby bezwzględnie wyłączone. Wtedy dopiero powziąćby można absolutną pewność, że do złego człowieka nie warto mówić o cnocie. Wtedy ani słowo, ani trąbienie, ani śpiew — ten śpiew, co to ułagadzał szalone wybuchy gniewu Saulowego — ani krew, co zraszała arenę cyrków neronowych, ani najgorętsze zaklęcia, ani najzacniejsze czyny—nicby wskórać nie mogły. Wszystko chybiałoby celu. Każdy człowiek chodziłby zosobna w swoim „szklanym dzwonie", bez żadnej możności roztłuczenia go; nic na świecie nie zdołałoby te treści, zróżniczkowane, skostniałe, porozdzielane niedającemi się przekroczyć miedzami — jednoczyć. Tymczasem—wcale tak nie jest. Zarówno wtedy, gdy serdecznym uściskiem obejmiesz brata swego, jak i wtedy, gdy policzkującemu cię nadstawisz drugiego policzka; zarówno wtedy, gdy dziecię uczysz abecadła, a czwartoklasistę logarytmów, a dzikiemu wykładasz zasady wiary chrześcijan — jednoczysz się, jednoczysz się z czemś, co poczytujesz za różną od twojej treść. Sprawiasz, że treści występujące w „osobowościach"—czyli formach, jakie ci podaje czasoprzestrzenny narząd widzenia — poczynają zrazu promieniować do siebie, potem rozchylają się do siebie, potem przelewają się w siebie— i płyną jednym strumieniem.

Bo z jednego—idą. Jest jeden strumień, jedna treść, jedna wola—Bóg. Jest—Dobro. Jest to—co jest. Zło jest negatywem, tem, co przeczy temu, co jest — więc nicością. Przed nią tchórzyć, cofać się — niema żadnej racji — jak niema racji odrzucać logarytmów dlatego, iż są niedostępne dla ucznia wstępnej klasy, lub zaniechać mowy dlatego, że słup jej nie rozumie. Bo i ze słupem wiąże nas jakiś rdzeń wspólnego drgania.—Pewien człowiek—gdy był wielkim smutkiem zdjęty, a nie znalazł śród ludzi przyjaciela — poszedł do lasu, wsparł się o sosnę—i płakał. Nigdybym nie miał śmiałości twierdzić,

że to drzewo, jego łzami rzęsiście polane, było na jego smutek obojętniejsze od ludzi. I wy nie twierdźcie tego—przypomnijcie sobie, proszę, jeno oślicę Balaamową...

Słowo—jak wszelki czyn--lubo nieraz nieudolne, skromne, ciche, nieśmiałe—jest w skutkach swoich nieobliczone. Rozmawiajmy tedy, drodzy moi, i ze słupem, i z sosną, i z pagórkiem, i z rybą—tą, co milczy, gdy ją krajać, i z człowiekiem dzikim lub tępym, i z dzieckiem, i z szaleńcem, i ze zbrodniarzem. Któż z nas wie, jaki skutek nasza mowa w nich sprawi! Wiem-ci ja, żem od pagórka daleko, ale i to wiem, żeśmy z jednej treści, więc jakoś tam moje słowo do niego doleci. Nie śpiewał-że to Dawid o pagórkach, „które tańczą”, o niwach kłośnych, „które wykrzykują radośnie”, gdy oko promienne i dobrotliwe Pana na nich spocznie! Gdy macie słowo dobre a mądre, nie wolno wam czynić zeń sygnału porozumiewawczego dla najbliższych tylko. Owszem—winniście je wykrzykiwać tak głośno, by głębie, ciemne głębie rozstąpiły się na głos wasz—i by słuchały...

* * *

Czegokolwiek dotknę, o czemkolwiek pocznę myśleć, mówić, czy pisać, a będę snuł to myślenie, mówienie, czy pisanie logicznie, tedy — z tej czy owej strony — zawsze podejdę do Boga. Bo wszystkie rzeczy są zwinięte — i gdy którąkolwiek zacznę rozwijać, muszę dojść do Boga, bo z niego każda idzie. Ale gdy negatyw, czyli zło, zacznę rozwijać, tedy z każdym rozwiniętym jego zwojem oddalam się od Boga. Z tego ta niemiła rzecz wynika, że nawet nie będąc złym człowiekiem, gdy wdam się w rozwijanie kłębków zła—mogę się stać mimowoli jego rzecznikiem—i wyrządzić komuś zło. I jeszcze—wynika z tego inna rzecz niemiła, wręcz nawet przykra i oddawna niemało kłopotów przysparzająca artystom. Przypuśćmy, iż jestem artystą i dziś rano ukończyłem chef d'oeuvre mojej sztuki—przepyszną Nanę w bardzo uroczym, lecz zawstydzającym momencie; być może, iż sam przeżyłem z Naną ów moment, co pozwoliło mi w arcytwór mój włożyć wiele szczerości i dzięki

temu mój talent wspiął się na niesłychaną wyżynę. Bo szczerość — to skrzydła talentu! Czy wystawię ten obraz? Nie.

Ukończywszy zrana ten obraz, cieszyłbym się nim, głęboko bym się nim cieszył cały dzień — a wieczorem pokrajałbym go i spalił. Bo gdyby na wystawy chadzała Sztuka sama lub w towarzystwie jedynie swych adeptów i nikt inny — wszystko byłoby w porządku. Ale skoro tak nie jest—trudna rada. — Miły Boże! Uderzmy się wszyscy, ilu nas jest — w piersi i powiedzmy, czy nie przeżywaliśmy chwil, w których nawiedzały nas przecudne i przeponętne wizje, o których jednak wstyd nam było głośno mówić. I to dobrze, że było nam wstyd mówić i że zamknęliśmy te wizje w sobie, jak artysta zamknął w sobie swój śliczny obraz Nany. Ten wstyd przynosi nam zaszczyt. Wstydliwość wcale nie jest na wyłączny użytek dzieci tylko lub pensjonarek. To jest refleks sumienia — przejrzenie się w lusterku w momencie, gdy mamy włosy rozczochrane i twarz nieumytą. Jest to niesłychanie cenne i dla dorosłych — i właśnie dla nich źródło odrazy do samego siebie. Do lusterka trzeba zaglądać! Jest to i obowiązek i zarazem najcenniejszy przywilej człowieka. Czemuż przywileju tego nie posiada wilk lub małpa! A artysta miałby go się zrzekać!? Nigdy temu nie uwierzę, bo gdyby artysta utracił wstyd, to w każdym razie zostałby mu dobry smak, a to — prawie jedno.

* *
*

Powiadacie tak: *„Nudnem byłoby życie, gdyby samą cnotą płynęło; zło wdzięku dodaje nawet i cnocie samej; dobro tylko na tle złego—dobrem się wydaje. Zresztą na wszystko zgoda, ale nam potrzeba—zmiany, zmiany, zmiany!...“* Głupstwa prawicie—i to nawet nie wy sami je prawicie, lecz powtarzacie, jak papugi, co wam ktoś do ucha naszeptuje. Wiem, kto tak naszeptuje. Bezwład i lenistwo. Jakże śmiecie prawić o pożądaniu zmian— wy, miłośnicy kinematografu, czyliż to nie was kijem nawet napędzić nie można do oglądania takiej przecudnej panoramy zmian, jaką jest przyroda? Czyliż to nie wy odwracacie się

z niechęcią, niesmakiem i poziewaniem od korowodów prawd, gdy wam je pokazywać w przyrodzie, w matematyce, w filozofji lub socjologji? Papuzi wasz mózg nie zdolny jest zdać sobie sprawy z bogactwa, zmienności, z cudów płynnej ewolucji świata, ani z tego, ilekroć barwniejsze i bardziej zajmujące jest życie i płynąca zeń nauka od drygających w waszych kinematografach cieni! Cnota, wdzięk, dobro... rozprawiacie o tem z tak dobrą miną i swobodą, jak o wczorajszej herbatce tańcującej, są to zaś rzeczy mniej wam znane, niż góry na księżycu. A cóż to jest takiego nadzwyczajnego ta cnota, wdzięk, dobro—byśmy się na tem znać nie mieli!—powiecie z przekąsem. To jest dla was akurat tak nadzwyczajne, jak zapach perfum dla mszycy. I ja z pewnością nie będę tym, ktoby mszycę zaprawiał do rozpoznawania zapachów perfum, ani was do rozpoznawania tego, co cnota, co wdzięk, co dobro, co piękno. Nie jesteście niemowlętami, ja zaś nie mam składu smoczków i buteleczek do mleka, ani nie wyrabiam leków dla neurasteników, ani narkotyków, ani papki wzmacniającej. Radźcie sobie sami — to jedyna rada uczciwa. Ale głupstw nie prawcie...

* * *

Każdy o czemś marzy... Głodny — zastawia w myśli stół najulubieńszemi potrawami, wyciąga butelkę przedniego trunku i zasiada do długiej, długiej uczty. Zapytany o wątek swego marzenia, mógłby je opowiedzieć z wszelkiemi szczegółami, tylko dwu momentów żadną miarą nie mógłby sobie przypomnieć, ani nam opowiedzieć—kiedy i jak marzenie jego się zaczęło, i kiedy i jak się skończyło.

Pamiętam niektóre ze swych dziecięcych marzeń. Było ich bez liku; najdłuższe — o królowaniu. Nie przypominam sobie—za jakie zasługi, dość, iż wyniesiono mnie na tron. Jak długa to była historja, sądzić można już z tego, że ten król był sobie ongi pospolitym chłopcem, który murarzom podawał cegły i szafliki z wapnem, potem był jakimś strzemiennym królewskim, potem—udał się na wojnę, i tak dalej. Wreszcie

zasiadałem na tronie, królowałem, dokonywałem wielkich czynów. Ale i królowie starzeć się muszą, a nawet umierać. Zestarzałem się tedy, umarłem, wyprawiłem sobie piękny pogrzeb, na którym rzęsiście płynęły łzy ludzkie. Nie był to jednak koniec, bo nie umarłem bezpotomnie. Po mnie wstąpił na tron mój syn, bardzo dzielny młodzieniec, więc—nowa historja. Gdybym nie usnął, znużony tą długą akcją, której wytworzenie bądź co bądź wymaga zużycia pewnej, dość znacznej energji umysłowej, bez wątpienia widziałbym na tronie jeszcze wnuka swego i pra-wnuka. W owe czasy dzieciństwa, zapytany o wątek tego marzenia, mógłbym je opowiedzieć lepiej, niż dzisiaj, ze wszystkiemi szczegółami, z wyjątkiem dwu momentów — kiedy i jak moje marzenie się zaczęło i kiedy i jak się skończyło.

A to dlatego, że postrzegałem owe marzenie w świadomości, wtedy, gdy ono już płynęło, koniec zaś jego zasuwał się gdzieś niepostrzeżenie. Mógł się zasunąć w przyćmioną świadomość snu; że się tam jednak marzenie nie kończyło, dowodem, iż jeśli było bardzo zajmujące, to po przebudzeniu snuło się dalej, od jakiegoś nie dającego się uchwycić momentu do innego, równie nieuchwytnego. Tym innym momentem mogło być np. to, że kazano mi wstawać, zawołano na śniadanie lub do lekcji. Wtedy następowało raptowne zasunięcie się marzenia w zewnętrzną rzeczywistość, bez żadnej jednak możności wskazania momentu, kiedy to nastąpiło, lecz z całą natomiast możnością — a w wielu razach i potrzebą — podjęcia w sposobnej chwili wątku dalszego.—Wreszcie, jako wypadek trzeci — mogło marzenie wyekspirować nie we śnie i nie skutkiem trącenia zewnętrznego, lecz w ten sposób, iż obrazy poczynały blednąć, szarzeć, oddalać się — i zginęły z oczu świadomości, bynajmniej jednak nie zostawiając wrażenia, że — coś się skończyło. Owszem, zostawało wrażenie, że coś tylko się oddaliło i zostawała częstokroć tęsknota, żeby to coś, wykonawszy swój daleki obieg okrężny, powróciło znów do mojej świadomości. — Co do początku, to — sprawdźcie to sami — jest on zawsze taki, jak gdy wchodzicie do teatru w trakcie przedstawienia. Wejście do sali jest mechanicznym punktem,

zaznaczającym pewien moment w waszem postrzeganiu, lecz nie jest początkiem akcji, toczącej się na scenie i przepływającej przed waszem postrzeganiem i świadomością.

Lecz—powie ktoś: „Przepraszam, ja bowiem mogę marzyć dowolnie; powiem sobie, że będę marzył o obiedzie, powiem sobie zgóry, w jakim punkcie zacznie się to marzenie i w jakim ma się skończyć. Otrzymam więc rzecz skończoną”. Ale teraz ja powiem — przepraszam, bo to wcale nie będzie marzenie. To będzie eksperyment myślowy, który trzeba rozważać zupełnie inaczej; trzeba znów uzyskać perspektywę dla widzenia tego eksperymentu, a wówczas i w nim ani początku, ani końca nie dostrzeżemy. Marzenie od eksperymentu takiego różni się swą wyraźną cechą twórczości; jest to najprostsza forma spostrzegania — twórczości.

Towarzyszy mu afekt w bardzo znacznym stopniu napięcia. Marzenie sprawia nam przyjemność; wywołujemy je dla sprawienia sobie przyjemności; powoduje ono wrażenia zmysłowe—głodnemu ślina cieknie, gdy marzy o porcji schabu z kartofelkami, a powonienie jego czuje zapach potrawy. Erotyczne osobniki zmysłowo lubują się w swych marzeniach. Poeta lub artysta, przez którego głowę przepłynęło marzenie jakieś, wizja, mówi: „Ach, jakie to było ładne!”—i całem swem wewnętrznem modleniem modli się, żeby ta wizja — jeszcze wróciła. — Lecz chociażby największy był odskok od marzenia do tego, co postrzegamy nazewnątrz, jednak żaden z marzycieli nie ma pretensji do swego marzenia. Gdy marzenie głodnego o schabie odpłynie, męczarnie głodu w gruncie rzeczy tylko się jeszcze powiększają—i cóż czyni marzyciel? Popatrzy osowiałem okiem na pusty stół, przewróci się na drugi bok i zaczyna marzyć o — gęsi pieczonej, nadzianej jabłkami! — Marzenie rozszerza sferę przeżyć poza to, co objęte jest przestrzenią i czasem.

Tak więc ustalić możemy dość wyraźnie trzy momenty: 1) marzenia nie mają początku, ani końca; 2) zawierają zawsze jakąś płynącą akcję, nigdy zaś nie są znieruchomiałym obrazem — i 3) są zawsze wyrazem jakiejś niezaspokojonej potrzeby, tęsknoty.

*
* *

«Bliskoś Ty jest, Panie!»
(Ps. 119—151).

Są słowa, w których słychać przeciągły grzmot, pełne najwyższego majestatu i grozy. W nich bezpośrednio huczy głos Tego, który „gdy daje słyszeć sąd swój, ziemia się lęka i ucicha”. Takiemi są słowa: *wiecznie* i *nigdy*.

* * *

Świat jest odwieczną i wieczystą ewolucją, płynieniem okrężnem bez początku i końca. Rękojmią *wieczności* jest to, iż żaden moment nie wraca *nigdy*. A, gdybyśmy o tem pamiętali! Chrabąszcze wracają z każdą radosną wiosną, z każdym wracającym słonecznym majem, ale ten, którego zdeptaliście waszą stopą, nie powtórzy się już nigdy. Moment wyrządzenia krzywdy nie wróci i cały korowód dobrych czynów nie zmaże jednego złego, bo nigdy nie zawrócimy do owej chwili, kiedy to można było złego czynu—nie spełnić. Nigdy nie zawrócimy do owej chwili, ale wieczyście, za każdym nowym obiegiem w okręgu świata będziemy koło niej przepływali i za każdym razem ten moment chmurny, posępny i nieprzebłagany zajrzy nam w oczy. Chrabąszcz przebaczy; co mu tam! on już popłynął w słoneczności płynących wiosen i gdzie mu brzeg teraz! Ale — wieczność nie przebacza, przebaczyć nie może, bo momenty płyną i nie wracają nigdy, te zaś, co przepłynęły, trwają wiecznie. Końca im nie może być, bo końców nigdzie niema. Wieczność a moment—to jedno. Poco grzeszników straszyć piekłem, czy nie dość im powiedzieć, że swój czyn będą oglądali—wiecznie! ... Musimy teraz odepchnąć się, by podlecieć pod jeden z wysokich stropów domu cedrowego. Mówimy, iż świat jest wiecznem przekształcaniem się, lecz — czego? — Jednej treści, czy też różnych treści, to jest — czy jest on zawsze tylko przekształcaniem się, czy też bywa w pewnych momentach przeistaczaniem się?

By pod to wysokie zasklepienie podpłynąć, szukałbym wpierw odpowiedzi na pytanie—dlaczego to świat jest płynącą ewolucją, korowodem ciągłych zmian?

Rozumiem, że pytanie to wydać się komu może czczem, jałowem dociekaniem. Dlaczego świat jest ewolucją, to jest takim, jakim jest—pytać o to wydaje się równoznacznem z pytaniem, dlaczego woda jest wodą, lub nos nosem? Świat jest takim, ponieważ nie jest innym, woda jest wodą, ponieważ jest wodą, nie zaś nosem—takąbym usłyszał odpowiedź; może zresztą ktośby jeszcze powiedział tak: świat jest ewolucją, ponieważ gdyby nią nie był, wcaleby nie istniał. Ale i ta odpowiedź nicby mi nie przyniosła. Światby nie istniał! A niechby sobie nie istniał; cóżby to mnie wzruszać mogło; gdyby nie istniał, to i jabym w nim nie tkwił i nie zaprzątałbym nim sobie głowy.

Zatem, bądź pytanie czcze, bądź odpowiedzi czcze. Z pytaniami tak się rzecz ma. Czczemi, jałowemi są tylko te, które, rzucone, nie sprowadzają żadnego odzewu. Odzew daje treść, zagadnięta przez treść. Gdy odzew się jakiś słyszy, pytanie nie było pozbawione żywej treści. Ponieważ powyższe odpowiedzi nie były żadnym odzewem, lecz tylko grą słów bez treści, spróbuję postąpić tak. Jeżeli nastręczy mi się odpowiedź prosta, łatwa, bez wybiegów, forteli i figlików myślowych, to chociaż nie będzie ona pochodziła z jakiegoś skarbca mądrości, lecz ze skromnej treści własnej, jednak nie będę jej lekceważył i zastanowię się nad tem, czy czasem odpowiedź prosta nie jest istotnie sygnałem prawdy.

Otóż odpowiadam sobie tak—świat jest płynącą ewolucją, czyli takim, jakim jest, dlatego, iż jest marzeniem Boga, które pozyskało formę postrzegania. Czy jest to odpowiedź treści—zastanowię się. Jeżeli świat jest postrzeganem marzeniem, to nie może mieć początku, ani końca. Tak sądzę wistocie i inaczej sądzić nie mogę, ponieważ widzę świat; gdyby zaś tylko jedna jedyna, najniepozorniejsza cząstka jego mogła mieć początek i koniec, gdyby w nim był jeden jedyny skończony moment, to moment ten byłby unicestwieniem świata i mego postrzegania. Dlaczegoż to tak? Dlatego, że nie widzę ani jednej cząstki, ani jednego momentu, któreby płynęły odosobnione, w pustce. Wszystkie cząstki i wszystkie momenty zaczepiają się jedne o drugie i płyną. Gdyby najdrobniejsza

z drobin stanęła i jeden jedyny moment skończył się, stanęłoby skończyło się wszystko.

Jeżeli świat jest postrzeganem marzeniem, więc powinienem go postrzegać jako płynącą akcję, korowód ciągłych zmian. Ależ tak jest wistocie.

I wreszcie, jeżeli świat jest postrzeganem marzeniem Boga, to jest on wyrazem jego tęsknoty. Bógby miał tęsknić—i do czego? Ależ do tego, co ja i ty i my wszyscy. Gdy tylko znajdziemy wspólny rdzeń naszej tęsknoty, to ten nie może być czem innem, niż przedłużeniem rdzenia boskiego, bo żadną miarą nie możemy sobie wyobrazić, byśmy mogli być z innej treści, niż boskiej. Wspólnym zaś rdzeniem naszej tęsknoty—co jest? 1) Pragnienie bezgranicznej rozlewności naszego bytu, naszej treści; 2) pragnienie, byśmy tę treść mogli postrzegać; 3) pragnienie, byśmy w swej treści byli postrzegani, a wreszcie 4) pragnienie widoku ciągłej zmiany i naszego w niej uczestnictwa. — Wejdźcie w siebie i powiedzcie, czy tak nie jest. Może nie w jednakiej mocy te cztery momenty występują w waszej świadomości, lecz z każdego jakaś nić cieniuchna, pajęcza snuje się na pewno—nieskończona, mocna, mimo pajęczości swojej — i ciągnie was za sobą. Nici te przeświecają nawet w zewnętrznym splocie naszego życia, w rzeczach pospolitych i powszednich, w upodobaniach, troskach, rozrywkach. Najpospolitszym wyrazem pierwszego z tych momentów jest obawa śmierci i myśl o trwaniu wiecznem. Drugiego—wyobrażanie sobie życia wiecznego w formach zmysłowych, czyli w tej samej formie postrzegania, w jakiej tkwimy obecnie. — Trzeciego — codzienna, nieustająca potrzeba uzewnętrzniania się, przebijająca we wszystkiem—w każdym ruchu, każdem słowie, zwróconem do kogoś, śpiewie, grze, książce, którą piszemy, w każdym czynie. Najsilniej, najdobitniej — zdaje się — drga w całej masie ludzkiej moment czwarty — pragnienie widoku jakiejś ciągłej, przelewającej się zmiany z naszem w niej uczestnictwem—choćby dalekiem, choćby pośredniem, choćby przyczepionem tylko. Jest to to, co wyprowadza nas na spacer za miasto, co wrzuca nas do wagonu, co podprowadza do

afisza teatralnego, co huczy śmiechem na jarmarkach lub w karczmie, co ściąga tłum na odpusty, co prowadzi pielgrzymki i k[illegible]wany, co odbija się w chmurze i fali i całej — jak jest ogrom[illegible] — powszechności — i co jest fałszowane w kinematografie.

I tego nie byłoby — w Bogu? Przeciwnie — właśnie do nas te cztery pierwiastki życiotwórcze przypłynęły od Boga, w którym stanowią pierwiastki światotwórcze. I tych to czterech pierwiastków: 1) pragnienia bezgranicznej rozlewności swej treści; 2) pragnienia postrzegania swej treści; 3) pragnienia, by być postrzeganym w swej treści — i 4) pragnienia widoku ciągłej zmiany i swego w niej uczestnictwa — jest dość, aby świat, jako forma postrzegania boskiego marzenia, był takim, jakim jest — bez początku i końca płynącą zmianą. Czy nasycił tęsknotę Boską? Gdyby nasycił, jużby nie istniał, bo zniknęłaby jego przyczyna.

* * *

Jesteśmy w tej chwili w najdalszym punkcie, do jakiego myśl, jako dany moment postrzegania treści, sięgnąć może. Nie świadczy to jednak o jakimś końcu. W takiej chwili wyraźniej tylko, niż w jakiej innej, postrzegamy, że myśl nie biegnie po linji prostej. Jesteśmy u jakiegoś zenitu, który wprawdzie w okręgu jest takim punktem, jak inne, ale w naszej świadomości występuje jako moment wielkiego skupienia myśli, który powiększa ostrość, umacnia przenikliwość jej widzenia — *przed sobą* i *za sobą*. Zaostrzenie widzenia *przed sobą* sprawia, że w tym właśnie momencie spostrzegamy wyraźniej, niż kiedy indziej, — zataczanie łuku, po którym od jakiegoś zenitu spadamy ku przeciwległemu nadirowi, skąd znów wzniesiemy się do nowego zenitu. Będzie ten nowy zenit momentem zdania sobie sprawy z ewolucji, jaka się odbyła w nowym obiegu, czyli że u nowego zenitu staniemy jako nowa, udoskonalona forma postrzegania treści i będziemy widzieli to udoskonalenie. Praktycznie ma to dużą wagę, gdyż tkwi w tem jeden z pierwiastków ewolucji. Spostrzegamy bowiem naturę

trudności, jakie pokonywać musi nasza myśl, i naturę środków, jakie do pokonania były użyte. Spostrzegamy, u nowego będąc zenitu, iż myśl nasza już była koło tych miejsc i wówczas jakieś zaprzątające ją pytanie nastręczyło jej wielką trudność z takich i takich powodów. Po dokonaniu nowego obiegu trudności te wystąpią w mniej ostrej formie; po następnym jeszcze złagodnieją i t. d. To jest istota ewolucji myśli.

Zaostrzenie u zenitów, równie jak u nadirów, widzenia *wstecz* sprawia, że wszystkie te nadiry i zenity, układając się w linje proste—mówiąc językiem złud przestrzennych *)—tworzą *perspektywę* ewolucji myśli. Po tych linjach widzenie retrospektywne dostrzega treść ewolucji każdego obiegu i wszystkich. A więc znów uczy się i zaprawia do przyszłych obiegów.

Tak zwane zagadnienia metafizyczne, rozumiane jako usiłowanie myśli logicznego ujęcia Boga, są pytaniami zenitowemi. Gdyby myśl nasza biegła po linji prostej, to uderzywszy o takie pytanie, upadłaby z potrzaskanemi skrzydłami, ten zaś upadek zatrułby ją najstraszliwszym z jadów — jadem zniechęcenia i wątpienia. W biegu okrężnym po linji spiralnej ani zniechęcenia, ani niepokoju uczuwać nie możemy. Poprostu niema na to miejsca, podobnie jak w duszy lotnika, gdy leci na swym jedno lub dwupłatowcu, niema miejsca na zniechęcenie i niepokój; pochłania go czynność i ruch. I naszą myśl pochłania czynność i ruch wieczny, bo okrężny. Ale my jesteśmy w lepszych warunkach, niż lotnik; on tylko nie ma obawy, my zaś mamy pewność, iż lot nasz nie może się roztrącić o żadną przeszkodę, gdyż jest wieczny. Stąd *spokój nasz nawet u zenitu.* Wiemy, iż ruch wieczny musi nam przynieść odpowiedź na każde pytanie, gdy tylko będzie to pytanie treści, nie zaś pustego dźwięku. — Pamiętajmy jednak, że u zenitu powinniśmy zaznaczyć czemś bytność myśli, aby w następnym obiegu znów koło

---

*) Innym nie możemy mówić, gdyż język nasz kształtował się pod wpływem złudy przestrzeni i czasu. I nie zachodzi wcale potrzeba wytwarzania nowego języka. W takim nawet bowiem procesie myślowym, który dąży do otrząśnięcia się z tych dwu złud, można doskonale posługiwać się ich językiem, pamiętając, iż słowa tylko sygnalizują treść, zaznaczają pewne momenty płynącej treści.

tego punktu przepływając, móc sobie uprzytomnić, cośmy zdobyli dla rozwiązania zenitowego pytania. Jeśli i teraz jeszcze nie wydaje się nam ono rozwiązanem, płyńmy dalej zawsze z niezachwianą pewnością, iż prędzej czy później odpowiedź w perspektywie zenitów wystąpić musi.

* * *

Świat tedy jest płynącą zmianą. Czy zmianą tylko kształtu, czy istoty, czy jest przekształcaniem się, czy przeistaczaniem? Krócej—czy Bóg może odmienić swą treść? A jest to zarazem pytanie, czy może być wielu bogów, bo przecież z odmianą treści powstawałby za każdym razem nowy bóg.

Zmieniać swą treść, byłoby to może niezłą zabawą! Mam swoją treść; sprzykrzyła mi się — zmieniam ją, potem znów zmieniam — i tak bez końca. Rozrywka równie dobra, jak przyglądanie się ewolucji jednei treści. Cóż, kiedy niemożliwa! Rozliczne ma Bóg potęgi, wielmożny jest i przemożny, włada potęgą potęg — wolą — i jednak jednej rzeczy nie może — odmienić się. Bo niechby go nawet wola doprowadziła do punktu, w którym ma nastąpić przeistoczenie; niechby skupiła się w tym punkcie, w moc taką, żeby przeistoczenie nastąpiło. Ale cóż z tego! Z chwilą *przeistoczenia*, zmiany treści na inną treść, wszystko, co było w dawnej — *zniknęło*. Więc i wola zniknęła—i w swej nowej treści Bóg byłby niesłychanie pomieszany. Wola była jego równowagą. Straciłby ją. Zniknęłaby również pamięć; nie wiedziałby, skąd się wziął i co tu robi. Zniknęłaby tęsknota do zmian. Bóg ziewnąłby i poszedłby spać, czyli przestałby istnieć — i takby się skończyła cała ta impreza.

Treść jest jedna i Bóg—jak o tem mówi każdy katechizm dla dzieci — jest jeden.

Zatem wszystko, co jest, jest z jednej treści. Nic nie mogło odlecieć od niej, bo stałoby się wtedy inną treścią, a dwu nie może być. Całe płynące marzenie, cały olbrzymi drgający dom cedrowy jest z jednej treści. I ja, i słup, i krokodyl, i pagórek, i krajobraz, i cnota, i prawda matematyczna, jako formy postrzegania

pewnych momentów treści—jesteśmy wszyscy i wszystko z jednej treści, żadnym czasem, ani przestrzenią nieograniczonej. Zatem—materja? Jak wszystko jest formą postrzegania treści, która jedynie rozstrzyga o rzeczywistości istnienia.

To znów—jakiś nadir. Uroczysta chwila, gdy postrzegamy, że jakaś forma postrzegania w nas się doskonali. Chwila Dawidowego odpocznienia w domu cedrowym, ale nie – spoczynku.

Rozumiem, że w tem wszystkiem nie mogą odrazu zniknąć jakieś luki w widzeniu, jakieś kąty zamroczone. Pamiętam, jak straszliwie w dzieciństwie bałem się ciemnych kątów, w których miała—według słów mojej niańki—siedzieć jakaś „baba"; widziałem ją obrzydliwą, potworną; wzdrygałem się na myśl o niej. W równym stopniu nękał mnie wstręt do niejasnych, mglistych odpowiedzi. Pamiętam, z jaką rozdrażnioną natarczywością dręczyłem matkę pytaniami ciągłemi, ciągłemi i ciągłemi. A ona delikatnie palcami rozczesywała moje powichrzone włosy, a stokroć delikatniej jeszcze rozplątywała moje powichrzone myśli, potargane pytania. Nie mogę jej niczem odpłacić, memu zgasłemu, kochanemu biedactwu,—więc chciałbym, w jej imieniu, wypłacić się innym, pomagając im — rozczesywać myśli.

Nie odrazu,—ale w tem miejscu spróbuję jeden potargany splot rozplątać.

Wiem, że powie mi ktoś: „Mogę sobie wyobrazić płynienie — postępowe, ale wstecznego — żadną miarą. Mogę sobie wyobrazić wieczną ewolucję, płynienie momentów, przekształcanie się cząstek, ewolucję form postrzegania. Ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby cząstka, przekształcając się, nie ginęła, żeby moment płynął i był wieczny. Więc co się właściwie dzieje z momentem, który odpłynął? Jeżeli odpłynął, a mimo to został i nie może tkwić gdzieś nieruchomie, to musiałbym sobie wyobrazić dwa ruchy, jeden naprzód, drugi wstecz, albo ruch wstęgi na dwóch wałkach w taki sposób, że z jednego się rozwija, a na drugi nawija. Albo muszę sobie wyobrazić ruch i powstające gdzieś odbicie tego ruchu, ślad po nim.—Te zaś wyobrażenia są mi trudne".

Nie przeczę, że trudne. Ale musimy zdać sobie sprawę z natury usług, jakie w ogólności uczynić nam mogą wyobrażenia zmysłowe, nieodłączne od złudy przestrzeni i czasu. Struktura zewnętrznych zmysłów naszych jest taka, iż inaczej, niż w przestrzeni i czasie nic postrzegać nie możemy. Powiedzmy sobie *à priori*, nie upierając się przy tem, póki nie pozyskamy dowodów,—że przestrzeń i czas jest to pomocnicza złuda, niezbędną dla pewnych form postrzegania, zbędna zaś i zawadliwa dla innych — i spróbujmy sobie wyobrazić technikę powstawania tej złudy.

Gdy stanę we wnętrzu okrągłego budynku, na którego wewnętrznej ścianie namalowany jest obraz panoramiczny, nie mogę go objąć okiem odrazu. Obchodzę go dookoła, czyli oglądam w kawałkach przestrzennych i kolejno, to jest w odstępach czasu. Gdy stanę w środku koła i będę się obracał w jednem miejscu, uzyskam rozleglejsze pole jednorazowego widzenia, ale zawsze będą kawałki przestrzenne i czas postrzegania. Gdy usunę się pod ścianę, plecami do niej, będę miał najbardziej rozwarty kąt widzenia; jednem spojrzeniem powłóczystem będę mógł ogarnąć prawie cały obraz, zawsze jednak pewna część, za plecami memi, pozostanie niewidziana i muszę wykonać obrót w przestrzeni i czasie, by tę część zobaczyć. — Gdyby obraz wymalowany był na zewnętrznej ścianie budynku panoramy, jeszcze dobitniej wystąpiłaby konieczność oglądania go w kolejności kawałków przestrzennych. Musiałbym obchodzić budynek dokoła.

Ale teraz zrobię tak. Wejdę do wnętrza, obejrzę obraz uważnie, w sposób, jaki mi będzie najdogodniejszy, bądź obchodząc, bądź ze środka, bądź stanąwszy przy ścianie — potem zamknę oczy. I cóż? Widzę obraz *cały, odrazu*. To samo nastąpi, gdy obejrzę obraz, wymalowany na zewnętrznej ścianie okrągłego budynku. — Zatem patrzenie przez przestrzeń i czas było drogą od widzenia zewnętrznego do widzenia wewnętrznego, obywającego się bez przestrzeni i czasu.

Czy została wam jeszcze złuda przestrzeni i czasu? Naturalnie, że została. Gdybyście mnie upewniali, że tak nie jest,

nie uwierzyłbym, bo złuda przestrzeni i czasu jest nałogiem, przyzwyczajeniem, od którego wtedy dopiero można się nieco wyzwolić, gdy wdrożymy się do innego nałogu, gdy uzyskamy inne przyzwyczajenie — słowem, gdy nastąpi pewna ewolucja w postrzeganiu, która przyniesie nam nową jego formę. Nie mamy się czego niecierpliwić. — To nastąpi. — Że nastąpi — to nam poręcza właśnie prawo ewolucji, prawo wiecznego ruchu, prawo płynącej zmiany, na fali której wypływają coraz nowe, przekształcone i udoskonalone formy postrzegania. Moment nastąpi, ale pamiętajmy, co powiedziano: „*Tysiąć lat w Jego oczach jest jako moment*". Może nie tysiąc, lecz dwa, lecz trzy tysiące lat upłynie, zanim ludzkość wdroży się do tego, by złudą przestrzeni i czasu posługiwać się tylko tam, gdzie jest ona dogodną. Zawsze będzie to tylko moment. Może moment ten spłynie się z innym, kiedy to zmysły nasze nie będziemy mogli liczyć na palcach ręki, bo uświadomimy sobie liczbę ich nieskończoną i wciąż narastającą.

Otóż wyobrażenia zmysłowe są dla nas również złudą pomocniczą. Mówiłem już, że służą mi one do tego, by uzyskać przeświadczenie, że rzecz jakaś nie jest niepodobną do zrozumienia. Zatem, gdy pewne wyobrażenia zmysłowe niczego mi nie ułatwiają, gdy nie mogę sobie wyobrazić ruchu wstecznego lub ruchu, zostawiającego swe odbicie, to winienem natychmiast wyobrażenia te odrzucić, bo nie tylko nie będą mi pomocne, lecz staną się zawalidrogą; poprostu położą się wpoprzek mego myślenia i ja będę tracił energję na obchodzenie przeszkody, którą sam wytworzyłem. — Odrzuciwszy tedy te wyobrażenia, szukam czego innego. I oto tuż, pod ręką, znajduję już nie wyobrażenie rzeczy, lecz rzecz mi potrzebną. A czemże to, drodzy, jest pamięć, gdy nie formą postrzegania ruchu wstecznego, przeszłości, narastającej jednocześnie z przyszłością, ruchomego odbicia ruchu? Gdy zatem retrospektywne widzenie istnieje i posiada taką samą bezgraniczną rozlewność, jak widzenie wprost, to nie rozumiem — gdzież tu jest zagadka? Niema!

I pamięć, kochani, właśnie uprzytomnia nam ową wieczność momentów; jej to dzwon wydzwania pełne majestatu i grozy

słowa *wiecznie* i *nigdy*. A nie można bezkarnie przed dzwonami uszu zatykać. To właśnie zatykanie uszu wprowadziło ludzkość w to błędne, niedorzeczne koło, w którem zamiast rzeczywistości, obieg swój czyni halucynacja, w to błędne koło, w którem stało się możliwem, iż śród ludzkości żył Chrystus, a dziś, po dwu tysiącach lat — żyje prawo, zdobywane armatą, i prawo, za obronę mające armatę! Te skromne, ciche i jakieś nieporadne chrabąszcze ludzkie, które wojna podeptała w okopach — przebaczą i już przebaczyły. I płyną sobie gdzieś uśmiechnięte w słoneczności wiosny. Ale wieczność nie przebaczy! Będzie szedł obieg za obiegiem, będą cicho płynęły tysiącletnie momenty, a za każdym obrotem ten krwawy moment zajrzy wam w oczy ślepiem ponurem, nieubłaganem... I coś nam plunie w oczy — hańbą, hańbą, hańbą...

* *
*

Gdy wszystko płynie—czy i prawda płynie, a jeśli płynie, to czy dziś jest jedną, jutro zaś drugą? Prawda odsłania się, a odsłoniwszy się, wchodzi w nasze życie i z niem płynie. Lubo jedna i niezmienna, jednak płynie. My ją opływamy, a ona w nas płynie. Jak to rozumieć, jak wogóle niezmienność i jedność pogodzić z płynnością?

Jest to jedno z pytań — *zenitowych*. Gdy do takiego myśl w swym okrężnym biegu podpływa, potrzeba obchodzić się z nią — czy to będzie cudza myśl, czy nasza własna—łagodnie i cierpliwie, ponieważ jest to moment krytyczny, w którym można potrzaskać skrzydła myśli lub przeciwnie, odrazu rozwidnić sobie jakąś wielką i piękną perspektywę.

Rzeczą jest nauk ścisłych ustalać w każdym konkretnym wypadku stosunek ciągłości momentów zjawiskowych, np. momentu tarcia łebka zapałki o pudełko i momentu otrzymanego stąd płomyka. Ja tego dla wszystkich poszczególnych momentów świata żadnem prawem uczynić nie zdołam, biorę tę ciągłość, jako podwalinę podwalin pewności i na niej opieram — wszystko wraz z sobą. A więc przedewszystkiem niweczę wszelki dualizm, wszelką możność podzielności Bytu na materjalny

i duchowy, a lubo w tym momencie mojej myśli nie postrzegam biegu owej ciągłości pomiędzy np. dębem i cnotą *), lecz zakładam istnienie tej ciągłości i żądam, by nauki ścisłe ustaliły ją moment za momentem. Przestrzegam je przytem, by—gdzie natrafią na niezwykłe trudności—nie pogardzały pomocą poetów, artystów, nawet dziatek, nawet oślic Balaamowych, ponieważ pogardzając tą skromną pomocą, można się wystrychnąć na dudka.

Owóż skoro niema samodzielności momentów, tedy niema i przekształceń. Jeśli użyłem gdzie wyrażenia, iż świat jest ruchem przekształcającym się, tedy wadliwość tego wysłowienia pochodzi z posługiwania się językiem czasoprzestrzennej złudy, który pociąga za sobą konieczność ciągłych omówień i zastrzeżeń, ciągłej konieczności przypominania, że słowa są tylko sygnałami myśli i że żadnego porównania, ułatwiającego nam uzmysłowienie prawdy, nie można posuwać do najdalszych konsekwencyj. W optyce czasoprzestrzennej moment tarcia i moment płomyka występują jako przekształcenie zjawiska, a żadnego przekształcenia nie było i wystąpiła tylko ciągłość ruchu. Momenty zazębiają się z sobą i na to niema rady. W tem, co nazywamy *dziś*, jest coś z *wczoraj* i coś z *jutra*. Trudno to wam sobie uzmysłowić? Powiedzcie sobie, że to jest łatwo sobie uzmysłowić — i *będzie łatwo*. Bo trudności wystawia bezwład; odepchnąć go — i tyle!

Owóż prawda jest jedną i niezmienną, nie przekształca się, a jednak płynie. Pomogę wam do uzmysłowienia tego jeszcze trochę. Utożsamię prawdę z wolą. Nie będzie to żaden błąd, ani dowolność. Świat w mirjadach swych form postrzegania wypływa z jedności i do niej zmierza i o nią w każdym z różniczkujących się swych momentów—ociera się. Biorę wałek, nasadzam na niego kółko zębate, zaczepiam je o inne kółko i puszczam to w ruch i czy użyję do tego korby, kręconej ręką, czy powietrza, czy wody — zawsze to moja wola ten

*) Proszę odczytać na końcu tej książki «Osiedla Chrystusowe». Wogóle proszę każdego szczerego miłośnika i poszukiwacza prawdy, by tej książki nie czytał na wyrywki, lecz w kolejności jej momentów—całą, lub całą zamknął i wcale do niej nie zaglądał.

ruch wywołała i przepływa przez wałek i wszystkie koła zębate. Otóż gdy umieszczę siebie, jako punkcik na jakiemś kole zębatem, które wprawiła w ruch wola, utożsamiona przeze mnie z prawdą — to będę się postrzegał bardzo trafnie, bylebym w tem porównaniu nie zapominał, że śród żelaznych wałków, kół zębatych, tłoków i t. d. istnieje stosunek martwy, czyli znieruchomiony i ilościowy, w płynieniu zaś „wszystkiego, co płynne", zachodzą stosunki żywe i w każdym momencie jednocześnie *jakościowe* i *ilościowe*. Stąd, chociaż jestem umieszczony jako punkcik na jakiemś kole zębatem, które mnie porwało i unosi—jednak kpię sobie z tego koła, ponieważ posiadam samodzielność, która jest wyrazem mego jakościowego stosunku do unoszącej mnie woli. Do rozważenia tego stosunku jeszcze wrócimy — tu tylko chcę zaczepić jedno koło zębate o drugie i pomiernie ułatwić uzmysłowien e tego, że prawda jest to wałek, około którego my w spiralnych zwojach ruchu myśli opływamy, gdy jednocześnie ta prawda w płynieniu naszem uczestniczy.

* *
*

Ledwie jedną lukę się zatka, już drugą się widzi; ledwie jeden kąt się rozmroczy, tem-ci ostrzej występuje mrok—obok. Nie powód to do zwątpienia, owszem, bodziec — by nie wypuszczać kaganka. Wiemy zapewne, iż mrok ustępuje przed światłem. To dość. Świećmy.

Żeby coś rozmroczyć—trzeba chcieć. Chciejmy, bo to jest to samo, co — świećmy. Wola jest światłością.

Gdy rozważam *wszystko* — jest mi widno, widzę; gdy zaś wezmę do ręki chrabąszcza, znów mnie napastuje mrok. Czemuż-to? Bo *wszystko* widzę poza przestrzenią i czasem widzeniem wewnętrznem, chrabąszcza zaś w przestrzeni i czasie—oczami. Zatem nie mam innego sposobu rozwidnienia, niż ten jeden, by ułożyć mostek pomiędzy chrabąszczem i *wszystkiem*, czyli każdego zosobna chrabąszcza i każdą rzecz wprowadzać w bezprzestrzenność i bezczasowość. To nie jest takie nazbyt trudne. Bo wprawdzie chrabąszcz, którego trzymam w ręku, lub Piotr,

który mnie odwiedził, wydają mi się rzeczami skończonemi, lecz już o chrabąszczach lub o ludzkości nie mogę tego powiedzieć, tem mniej zaś o życiu wogóle. Chociaż jednak nie widzę końca życia, lecz gdybym za pewne uznał jego początek, jużbym uznał i możliwość końca. Gdzie istnieje miedza z jednej strony, tam, chociaż niewidoczna może w danej chwili—istnieje, istnieć może i z drugiej. Niechbym w wirującym okręgu świata znalazł tylko jeden początek, jużby cały mój dom cedrowy runął i to tak, iż nie zostałoby zeń nawet tyle, ile zostaje po bańce mydlanej — kropli mętnej wody!

A szkodaby mi było, więc będę umacniał wiązania. — Możność odsuwania początków już pierwsza daje mi wiele do myślenia. Zatapianie początków w jednym już jest ich odsuwaniem. Człowieka tedy i chrabąszcza bez ceremonji zatapiam w jedności początków, nie troszcząc się wiele o ułożenie drzewą genealogicznego, na którego rozgałęzieniach tkwią obaj, bo to jest rzeczą poszczególnego, metodycznego postrzegania. Uważając kryształek soli i amebę, mówię sobie, że to są formy postrzegania jednej treści dlatego nieco różne, iż sposoby mego postrzegania, badania i widzenia nie dość się zróżniczkowały; gdy to nastąpi, będę widział wszystkie pośrednie i wiążące formy postrzegania; to winno być troską metodycznego i fachowego badacza. Zatopiwszy zwierzę, roślinę i minerał w jedności początków, rozgrzewam ostygłą, czy ostygającą ziemię, wtłaczam ją w słońce, słońce w mgławicę, mgławicę w rozpylenie jakieś. I jednak o coś potrącam. Czy też tylko zdaje mi się, że potrącam? Bo dlaczegoż moment ten nie miałby być analogicznym, choć nie identycznym z tym, jaki był na pograniczu miedzy jakąś amebą i kryształkiem? Wszak i wtedy wydawało mi się, że coś się kończy, jednak pogodziłem się z myślą, iż jest to złudzenie i troskę o wykrycie tego złudzenia złożyłem w ręce badacza. Lecz bądź co bądź za amebą widziałem kryształek, za rozpyleniem nie postrzegam nic. Coby więc właściwie badacz miał tam do badania?

Powtarzam znów. Gdyby myśl nasza biegła po linji prostej, to doszedłszy do mgławicy, a za nią do jakiegoś rozpylenia,

czy czego tam, musiałaby stanąć z wielce zakwaszoną miną i miałaby słuszny powód do wątpienia nie tylko o swojej sile, lecz i o swojem istnieniu. Skoroby był jakiś niepojęty początek, to już za tym początkiem z całą pewnością niema *nic*. Ale wtedy rzeczywistość istnienia czegoś, co w genealogji swej potrąca o *nic*, byłoby bardziej, niż problematyczne!

Jeśli jednak myśl płynie w okręgu—do tego zaś mniemania skłania nas wiele powodów—to postrzegając mgławicę, za nią jakieś rozpylenie, a za niem coś zgoła niewyraźnego, mówi sobie ona, że oto teraz podpływam do jakiegoś mego nadiru. Ponieważ płynę w okręgu, więc i pole mego widzenia płynie w okręgu, czyli iż w danej chwili zasłonięte jest ono łukiem, który mam przebyć. Gdy przepłynę nadir i zacznę się wzbijać ku zenitowi, pole mego widzenia będzie płynęło przede mną i w sposób najłatwiejszy i najbardziej przyrodzony zobaczę to, czego w tej chwili — skutkiem przyrodzonego prawa mego obiegu, prawa wielce doskonałego, jak wszystkie przyrodzone — widzieć nie mogę. Płynienie moje jest ewolucją, zmianą i doskonaleniem się form postrzegania. Nie mogę usunąć się od tej ewolucji, ale nie mam też racji zabiegać naprzód, bo gdy będę usiłował zajrzeć za nadir, to wyobraźnia może mi na poczekaniu wytworzyć jakąś fantasmagorję, gruby błąd, na którego rozpraszanie musiałbym potem *niepotrzebnie* tracić energję, co zawsze jest grzechem.

Otóż pytanie, co jest za nadirem, nie uważam za *realne*. Myśmy nie dopłynęli jeszcze do nadiru; postrzegamy go tylko zdaleka; gdy tam będziemy—rozwidni się. Teraz powiadam sobie jedno. Gdy pomyślę człowieka—jako moment, chrabąszcza—jako moment, mgławicę—jako moment; gdy pomyślę, że każdy z tych momentów jest zarówno początkiem, jak końcem, że wszystkie płyną, żaden się nie powtarza i żaden nie ginie—to jednak mam wrażenie, że mi jest zupełnie widno. Chrabąszcz, któremu nieostrożnie złamałem skrzydełko, nie powtórzy się, ale chrabąszcze powtarzały się i powtórzą się; ludzkość, w której żyję, nie powtórzy się, ale ludzkości mogły się powtarzać i mogą się powtarzać; i świat jest momentem, który się nie powtórzy, ale korowód momentów jest nieskończony w jedną i drugą stronę. To, cobyśmy

określili jako początek świata, byłoby końcem poprzedniego; to, co określilibyśmy jako koniec, byłoby początkiem następnego.

To jest właśnie patrzenie nie przez czas, lecz przez wieczność; nie przez przestrzeń, lecz przez nieskończoność.—Wielce nas w tem patrzeniu wspiera rzecz zgoła nie urojona, bardzo realna — pamięć. Gdyby jej nie było, wątpiłbym, grubobym zwątpił o *Domu*.

Ale pamięć właśnie jest formą postrzegania nieskończoności momentu. Nie idzie o to, czy doskonałą. Bezwzględnej doskonałości nie ma, lecz formy postrzegania uczestniczą w powszechnej ewolucji. Gdybym, rozważając pamięć, dostrzegał tylko jeden szczebel, byłoby źle, a nawet beznadziejnie. Ale poza moją pamięcią indywidualną, wielce nieudolną i wiele rzeczy przeoczającą lub zapominającą, postrzegam pamięć o wiele doskonalszą, nie zapominającą, funkcjonującą uważnie, metodycznie. Jest to nauka.

Nauka jest to pamięć bezosobowa, która w przestrzeni i czasie już bardzo ciasno się umieszcza, już się przelewa. Jest to forma metodycznego spostrzegania nieskończoności momentów w każdej dziedzinie.

Gdzie jest tylko jeden szczebel — jest źle. Gdzie jest ich dwa—może być trzeci, lubo na wielkiej odległości. Ale odległość to nic strasznego, a nawet nic realnego. Pomyślmy tylko, jaka olbrzymia jest odległość między moją indywidualną pamięcią i bezosobową pamięcią nauki...

(1917 — 1922 *).

* *
*

*) Winienem tu dać wyjaśnienie zarówno czytelnikom, jak i S. M., któremu rękopiśmienny fragment, dziś stanowiący rozdział XIII Domu Cedrowego, przesłałem w r. 1917. — We wstępie do tej książki powiedziałem, że w listach, użytych za materjał do niej, nie czyniłem zmian «poza stylowemi i pewnemi zmianami w układzie». Jednak z ręką na sumieniu wyznać muszę, że te «pewne zmiany w układzie» posuwałem dość daleko i że do nich zaliczam to np., iż do rękopisu z r. 1917, a raczej do toku mojej myśli ówczesnej — przybyły w roku 1922 (gdy książkę tę wypuszczam) pewne logiczne jej uzupełnienia i rozwinięcia. Tak np. w tym liście z r. 1917 ustęp, dotyczący «płynienia prawdy», skreśliłem zaledwie przed kwadransem. Jestem pewny, że S. M. nie będzie mnie pomawiał o fałszowanie listów. (Dopisek z d. 4 stycznia 1922 r.).

XIV.

SAMODZIELNOŚĆ I INDYWIDUALNOŚĆ. WOLA I POSŁANNICTWO.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Zachęcacie mnie; dziękuję — bo jednak potrzebna mi zachęta; nachodzi czasem znużenie... Najlepiejby wtedy—do lasu gdzie, w pole, w słońce, w ptactwo—i z niem gdzie polatać, aleć to nie zawsze możliwe. Zachęcając, mówicie mi jednak: „Nie śpieszcie się”. Dużoście mi tem powiedzieli. A wiecież Wy, moi drodzy, jak wiele wogóle Wyście mi powiedzieli? Nie zliczyliście tego, ale ja — zliczyłem i powiem, że Wasz udział w tej książce jest daleko większy, niż mniemać możecie. Zdaje mi się, że jądrem Waszej indywidualności jest szczególny dar zawołania, wezwania. W Piśmie Św. zowie się to mianem prostem, lecz niezwykle pięknem — darem Ducha Świętego. Mojem jest to pisanie, ale Waszem było zawołanie, a jeśli-ć niewiadomo, co z tego ważniejsze, to wiadomo—że nic bez zawołania nie powstanie. I świat powstał na zawołanie; Wola nań zawołała — powstał. Tylko na Wolę nikt nie wołał, bo ona nie powstała, lecz — była!

Chciałem dziś pomówić o rzeczach trudnych, które dla ich trudności ciągle odkładałem. Odkładałem, dopóki nie postrzegłem, że odkładanie, czyli bezczynność nuży i wyczerpuje człowieka daleko więcej, niżby go znużyła najcięższa robota; więc— cóż z odkładania, chyba nadzieja, że tymczasem, w okresie tej

bezczynności (może tylko pozornej, bo czy podobna, żeby w człowieku coś znieruchomiało!), gdzieś tam, w głębi podświadomej — coś dojrzewa! Czy nie może się tak zdarzyć, że coś, z czem świadomości trudno się uporać, zostanie rozsnute i opracowane podświadomie, a potem narzuci się świadomości, jako — rzecz gotowa? Zdaje mi się to zupełnie możliwem: wszelkie *natchnienia* tak właśnie pracują i tak się narzucają. W moim obecnym wypadku to podświadome natchnienie zdaje się, że nie miało wielkiej roboty, jeśli za wynik jej poczytam myśl, która mi się nasunęła, gdym zasiadał do pisania tego listu, myśl taka: Gdy masz przed sobą jakąś dużą trudność — nie łam jej, gdyż w tem możesz i sam się połamać, lecz staraj się ją pokruszyć.

Tak też uczynię. — Chcę mówić o rzeczy bardzo ważnej — o samodzielności, i postrzegam, że rzecz ta z tyloma innemi się wiąże, tyle innych z niej wypływa, a znów ona tylu innych jest następstwem, że omówienie tej rzeczy, wyodrębnienie jej w samodzielny obszar prawdy, jak tego domaga się nasz słownik myślowy, który wyraz *samodzielność* podaje za jeden samodzielny wyraz — napotyka ogromne trudności. Trudności tych jest na kilka pięter. Prawo powszechnego ciążenia w skutku swym nie przynosi tego, by ciała, ciążące ku sobie, miały się chwytać w objęcia i przeciwnie sprawia efekt odpychania ciał lubo te — możnaby rzec, iż wistocie wyciągają ku sobie ramiona. To samo i z myślami, krążącemi nad badanym obszarem prawdy; przyciągają się, ale to przyciąganie w pewnych momentach ma taki efekt, jakby się odpychały. Stąd trudność myślowego okropkowania owego obszaru. Tę trudność spróbuję pokruszyć w taki sposób, że nie będę usiłował gwałtem wiązać myśli, lecz będę je kładł jedne obok drugich, choćby pozornie od siebie odbiegały, a będę tak czynił w tej pewności, iż myśli, logicznie ku sobie ciążące, same się z sobą powiążą. Czemże bo jest logika, gdy nie samowiązaniem myśli, ciążących ku sobie

* * *

Spirytyzm, okultyzm i t. p. jest to obraza nie tyle zdrowego rozsądku, co dobrego smaku. Jest-to *quasi* — uczoność, która próbuje wejść z butami do życia zagrobowego, by tam spacerować, jak po Saskim ogrodzie. Czyż to nie znamy pisarzy, którzy tuczą się nieboszczykami, grzebiąc i majstrując coś nieustannie w duszach zgasłych znakomitości. Nie jest że to mniej lub więcej natrętnem, a więc pozbawionem dobrego smaku nadużywaniem okoliczności, że te nieboraki po śmierci nie mogą wziąć kija i nim się opędzać. Mój Boże! jakby to się Mickiewicz zmęczył, gdyby mu teraz dać laskę jego do ręki! — Dobry smak to sprawia, że człowiek — gdy nawet nie wierzy w życie pośmiertne — uchyla jednak kapelusza przed napotkanym konduktem pogrzebowym i nie zawstydzi się uklęknąć przy grobie. Dobry smak i to sprawia, że kto go posiada — nie zechce zapomocą nogi stołowej rozmawiać nie tylko z osobą, którąby czcił za życia, z matką, kochanką—lecz nawet ze swoim lokajem, bo i w nim uczci powagę śmierci i zagadki pośmiertnej! To też dobry smak — tak bezwzględnie obcy umysłom prostackim, a tak poufale znany artystom — od wieków był, jest i będzie zmysłem nieskończenie subtelniejszym, daleko lepiej i dalej widzącym, niż intelekt przezeń niewspierany. — Gdybyśmy dbali o wyrabianie w dzieciach smaku artystycznego, ileżby mniej *pseudo* uczoności kopciło światło prawdy!

* * *

Przysłowie: *de mortuis aut bene*... musi być młodszem od starej prawdy, że najgorliwiej szuka człowiek tych rzeczy, których wcale nie zgubił. Któż z większem zacietrzewieniem i z większem poirytowaniem szuka okularów, gdy nie ten, co ma je na nosie! Gdy człowiek ma prawdę w sobie, wtedy teleskopem poszukuje jej na niebie.—Cześć dla zmarłych jest jednym z najpierwotniejszych, elementarnych odruchów duszy ludzkiej i właśnie dlatego, że jest pierwiastkiem i że jest powszechną — jest wskazaniem jakiejś prawdy najbliższej. Afekty bezprzedmiotowe są bezcelowemi, dlatego też w porządku

przyrodzonym czyli przyczynowym występują raczej jako — zboczenia; ale gdyby zboczenie miało być powszechnem, tedy nie byłoby zboczeniem. — Ów pierwotny odruch, doskonaląc się jakościowo i ilościowo, sprawił, że człowiek już nie odruchowo, lecz intelektem począł postrzegać zmarłych w postaci lepszej, czystszej, niż byli za życia; wtedy to dopiero mogło powstać przysłowie, zakazujące złosłowienia zmarłych. Ale źle mówię— to nie intelekt, lecz dobry smak jakiegoś artysty starej Romy podał tę maksymę. Od tego czasu—dobrego smaku nam ubyło, a intelektowi przyrosło — uszów, co wytwarza dlań niepożądane podobieństwo.

* * *

Żyć—jest to prząść Boga. Czemu nie — szatana? Dzieci, dzieci! Czemu, gdy trzymacie w ręku kawałek chleba, nie powiecie, że trzymacie wiatr! I czy zdarzyło się wam kiedy, by ten kawałek chleba znikł wam z ręki w sposób nadprzyrodzony? Albo wy go spożyjecie, albo ktoś spożyje; ale też możecie go i — zmarnować! Zawsze jednak chleb — chlebem. Można prząść nić lnianą, nić z włókien rośliny, którą rolnik na żyznej glebie wychował, ale wiatru nikt nie uprzędzie. Pługiem tylko można orać, nie zaś—cieniem pługa!—Powiadacie, że zło jest aktywne, że działa — że przeto jest, a skoro jest — tedy można je prząść, jak przędziecie dobro. A cień uprzędziecie? Żyjecie w czasach kinematografów. Powiedzcie mi, proszę, co tam *jest?* Jest aparat, jest filma, jest dziura, przez którą przechodzi światło, jest ekran, wy jesteście. Ale igraszka cieniów na ekranie nie jest czemś, co jest, lecz jedynie efektem, jaki w pewnych określonych warunkach powstaje z ustosunkowania rzeczy istniejących, naprawdę, moi mili, istniejących — jak ów kawałek chleba w ręku. Gdy trzymam rękę przeciw słońcu — słońce jest, ręka jest — ale cień przez nią rzucany jest tylko efektem. Cień podkreślił światło, jak zło podcienia, podkreśla dobro.

* * *

Przypomniał mi się znów—ni z tego, ni z owego, biblijny mój—Balaam! Kochany Balaamku—co powiesz na to, iż miewam czasem przystępy szczególniejszej tkliwości i wtedy gotów jestem obcałowywać wszystkich na prawo i lewo, bez wyboru. Więc i ciebie, kochanie. I za nic nie chciałbym cię urazić. Owóż powiedz mi, przyjacielu, czy czułbyś się urażony, gdybym w tobie uosobił spółczesną urzędową i uznaną filozofję? Nie. Zatem powiem ci, że gdy kiedy przyjdzie między nami do starcia, ty będziesz zdolen zastawić się jedynie logiką, gdy ja — logiką i życiem; w twoich dowodzeniach będą bez końca, bez końca szumiały słowa, w moich raz po raz—zatętni krew. Filozofja — to pytlowanie, zaś Dom Cedrowy — to cierpienie, tęsknota, czyn. Oczywiście, na każde dziesięć moich argumentów logicznych ty natychmiast wytrzęsiesz dwadzieścia, gdyż to właśnie są abstrakcje, które można mnożyć do nieskończoności, podczas gdy argumenty życiowe trzeba—*przeżyć* i wyczuć, a to nie idzie tak sporo i chyżo, jak pytlowanie. Ale więcej warte, Balaamku, więcej warte...

* * *

Czyżby w mniemaniu Balaama ścisłość myślenia wyłączała polot myśli? Ależ, kochanie, polot myśli jest to jej zdobywczość, to podbój prawdy, zaś ścisłość myślenia—jest to inwentaryzacja zdobyczy, akt, któremu nie natchnienie, lecz sumienność potrzebna. Gdy zinwentaryzuję zdobycz, wtedy powiadam sobie— oto posiadłem taki i taki obszar Prawdy. Biada mi jednak, jeśli wtedy opadną skrzydła mojej myśli. Prawda skończona już nie jest prawdą! Pamiętaj tedy, że ślimak ani arcytworem nie jest, ani prototypem ludzkiej umysłowości. Lecieć to tyleż, co — świecić!

* * *

Prosiłem: „Nie bij konia!", odpowiedziano mi: „abo to on święty!" — Cóż to za racja? Wszak i świętych bito, gorzej — bo plwano im w oczy, gorzej—bo w ich oczach plwano na ich świętości. Ale ty jest-żeś pewnym, że w tym momencie nie uderzyłeś samego Boga, lubo ci się zdawało, że tylko Jego stworzenie bijesz?

* * *

Boicie się śmierci, ale jakimże cudem możnaby umrzeć, skoro życie jest przędzeniem Boga, który jest Bytem i jedyną zmysłową rzeczywistością? Przędąc Boga, przędziecie swą nieśmiertelność. A, więc to wy wcale nie śmierci się boicie, wy boicie się *rzeczywistości?* Na to nic wam nie poradzę, chyba tyle—idźcie sobie do kinematografu; może przyniesie wam pociechę, a może nawet — czegoś nauczy.

* *
*

Był moment, żem się kiwał pomiędzy chrześcijanizmem a socjalizmem. Nie było to ani wahanie się, ani dokonywanie wyboru, boć nie czyni się wyboru pomiędzy rzeczą i czemś, co dopiero powinno stwierdzić, iż jest rzeczą. Ale mniemałem, iż socjalizm zdoła to stwierdzić—i że wówczas da się doskonale pogodzić z chrześcijanizmem. Co zaś stwierdził? Iż tkwi w zamkniętem kole, a przeto jest martwym schematem, jak wszystko, co nie płynie. Dlaczego to mówię, że tkwi w zamkniętem kole? 1) Bo uprawia kołowaciznę, nie wnosi nic nowego, tylko przekłada rzeczy z jednej półki na drugą; co było na pierwszej półce, przełożył na drugą, a co było na drugiej, przełożył na pierwszą; zamiast zrównać obywateli, porobił więcej kategoryj, niż ich było, i ustawił je w porządku odwrotnym do zasług i kwalifikacyj; stąd inteligencja nie tylko iż poszła na szary koniec, ale została bez chleba, aby—jak w państwie Trockich—wymarła i nie mogła przypominać, że człowiek nie powinien dobrowolnie pozbywać się stanowiska człowieka—i 2) powtóre—i to najważniejsze — iż jest samouwielbieniem; wlazł w środek swego koła i każe się czcić! Dziękuję. Niema dwu bogów, pozostanę tedy — chrześcijaninem.

* *
*

Kiedy człowiek traci swoją samodzielność—dar najdroższy, bo wszelkie inne — przyrodzone i nabyte — obejmujący? Gdy pozwoli sobie narzucić uwielbienie czegośkolwiek poza Bogiem. Lecz proszę uważać, co mówię — *gdy pozwoli sobie narzucić*... Jeśli bowiem bez narzucania mu tego uwielbia coś, byle nie

siebie—to niech uwielbia! Gdy powie: Uwielbiam Ojczyznę! — ależ uwielbiaj ją całą mocą, bo Bóg jest w tem, co wielbisz. Gdy powie: Uwielbiam sztukę!—ależ uwielbiaj ją szczerze i głęboko, bo Bóg jest w Pięknie, które wielbisz. Gdy zaś powie: Uwielbiam moją kochankę, zapytam go — czy szczerze? Jeśli powie, że szczerze—to pójdę do Boga, uklęknę i będę prosił: „Panie! — on ją uwielbia, więc kocha, skoro zaś kocha, tedy bliski jest tego, iż przejrzy i zapragnie wrócić do Twojej zagrody. Nie zamykaj jej przed nim, Ty, coś jest Miłością”. Ale nim ja tam pójdę, nim uklęknę i przemówię — pewnie zagroda Ojca już będzie otwarta. Bo bramy niebieskie otwiera szczerość! Cokolwiek kocham szczerze, tedy w tem Boga kocham i Jemu się nie przeniewierzam. A czy można *kochać coś niezacnego?* Jest to takiem samem niepodobieństwem, jak z wiatru uprząść płótno na koszulę. Gdy komuś się wydaje, iż pokochał występek, zbrodnię, brud lub kał życia, jest to dowód, że biedak jest nazbyt zapalonym zwolennikiem kinematografu — a wtedy jedyne, co potrzeba tu zrobić, to ten nienaturalny zapał jego miarkować lub—gdy przybiera cechy szkodliwej manji—leczyć...

* *
*

Cóż zatem jest samodzielnośc? — Moi drodzy,—w udoskonalonej jakościowo i ilościowo postaci jest to cecha, najdobitniej wyrażająca naszą ewolucję, nasze wyjście ze stanu zwierzęcego. Samodzielność — niekiedy wolną wolą zwana — jest to możność zbliżenia naszej woli, czynem wyrażonej, do Woli Boskiej, zbliżenia, a nawet zupełnego z tą Wolą zespolenia. Lecz jest to również możność odbiegania od Woli jedynej, od woli Prawdy. Jest to możność wypicia kieliszka wódki, gdy mam do niego pociąg, i możność powściągnięcia tego pociągu. Jest to możność zdruzgotania czyjegoś szczęścia, życia, wolności, godności, i możność uszanowania tego wszystkiego — i jeszcze możność spółdziałania, dopomożenia komuś do osiągnięcia szczęścia, wolności, godności. Jest to możność powrotu do zagrody ojcowskiej — i możność zaginienia na pustkowiu. Jest to możność wyboru między Bytem i niebytem, życiem i śmiercią.

Geometrycznie rzecz wyrażając, jest to kąt mniej lub więcej rozwarty — kąt postrzegania Woli — woli jedynej — Boga. Byłoby to ze strony człowieka zbytnią śmiałością twierdzić, że kąt ten dla przyrody, poza człowiekiem, jest zamknięty i że zaczyna się otwierać dopiero na wyższych szczeblach świata zwierzęcego, ale jeszcze większą śmiałością byłoby twierdzić, że dość być człowiekiem, by kąt samodzielności szeroko się rozwarł. Wcale nie. Kąt ten u salamandry jest bardzo wąskim, lecz u zbrodniarza — niewymiernie węższy. Zbrodniarz jest to istota niesamodzielna. Pijak jest to człowiek o zwężonym kącie samodzielności. Jegomość, który nie może opanować drżączki miłosnej i dla zaspokojenia swego sentymentu gasi czyjeś szczęście, posiada kąt samodzielności ani na jotę nie szerszy, niż salamandra lub mucha, goniąca za inną muchą.—Samodzielność bywa przygnieciona chorobowemi zboczeniami psychiki lub stłumiona brakiem oświaty. Roztwieranie się kąta samodzielności postrzegamy jako zacność z jej atrybutami—dobrym smakiem, wysoką przenikliwością, która w pewnych momentach nosi miano inteligencji, jasnowidztwem, oczywiście, nieokultystycznym, lecz chrześcijańskim i t. d.

Kąt samodzielności zacność roztwierać może nieograniczenie aż do momentu, gdy kąt znika, samodzielność znika, czyli wola człowieka stapia się z Wolą Boga. Jest to w tem wszystkiem, co płynie — moment najpiękniejszy.

Główną i najważniejszą funkcją, jaką pełni samodzielność, jest *wytwarzanie indywidualności.* To w tem wszystkiem, co płynie, jest momentem najciekawszym, momentem, który sprawia, że świat ludzki i świat powszechny nie może znudnieć, spowszednieć, zjałowieć i zszarzeć, jakby to się stało, gdyby osią i motorem jego nie była Wola, lecz dajmy na to — doktryna! A ponieważ różniczkowanie form w niesłychanej bujności i bogactwie odbywa się na wszystkich poziomach postrzeganej treści świata, powiedzieć tedy, że poza człowiekiem przyroda jest bezwzględnie pozbawiona samodzielności, byłoby nazbyt ryzykownem. Może na innych, nieludzkich poziomach daćby jej trzeba inną nazwę, może w przyrodzie żywej nosi ona miano

naturalnego doboru i odboru, może w przyrodzie tak zwanej martwej nosić ma jeszcze inne miano. To już ustalić — rzecz uczonych, nie moja.

* * *

Gdybyście dzieciom waszym nie rozpowiadali bajek, lecz zabawiali je rzeczywistością i wdrażali do poszanowania prawdy, tedy więcejbyście tem dla ich zdrowia i życia uczynili, niż wszyscy wezwani przez was higjeniści i lekarze razem uczynićby to zdołali.

* * *

Czyliż nie dla prostoty i szczerości Chrystusa — odwróciliście się od Niego? Pewnie, pewnie tak jest. Nie zabawia was, ani schlebia. I wiem—jaką szliście drogą. Naprzód pobłażano waszemu kłamstwu, potem wyście poczęli pobłażać kłamstwu, potem poczęliście się niem bawić, potem zaszczyciliście je swą uwagą, potem poczęliście się kiwać przed niem i sami staliście się kłamstwem. Nicość w nicość was obróciła. Czyliż to nie hańba umierać, by dać świadectwo — kinematografowi, nie zaś prawdzie!

I oto tu tkwi rzecz, która nie może mi się pomieścić w głowie; patrzę na nią i wiary dać nie mogę. Wszak jestem pewny, iż boicie się śmierci, jestem pewny tego. Wątła ptaszyna z całym spokojem zasypia śród ciemności i nocnej grozy boru, a wam w zacisznej izbie, na jedwabiach i śród jedwabi ciemność płoszy sen z oczu; wzdrygacie się od pewnych myśli, zapalacie wszystkie lampy i wołacie: „Kłamstwo, zbaw nas, a gdy nie możesz zbawić — choć zabaw nas!” Niema sumy, którąbyście nie zapłacili, i niema podłości, którąbyście nie uczynili— by ujść śmierci, jednego tylko za nic nie uczynicie—by w sobie światło zapalić i wrócić do cnoty, prawdy i rzeczywistości. Męczennicy kinematografu! Żyjąc śród was, uczuwa się zrazu żal i smutek, wreszcie—obrzydzenie. To właśnie porodziło na świecie — pustelników i samotników. Ale czy tych nie dotknie azrzut: Przecz-że poukrywaliście się, czyliż świecić macie wilkom

lub sosnom? Mogliby jednak odpowiedzieć: „Czemuż to latarnia morska świeci na skale samotnej, zagubionej śród oceanu i ciemności?” Tedy — świećcie, świećcie!

* * *

Kochany Kolego! Muszę nieco odsapnąć. Nie wszystko, co łatwo się czyta, łatwo się również pisze, zwłaszcza, gdy pisze się sercem, zwłaszcza jeszcze — gdy pisze się dla swoich dzieci, z myślą, że oto kiedyś, gdy one wyciągną ręce do Piękna—ktoś może im podać kwiat kłamstwa, gdy będą głodne—nakarmią je chlebem kłamstwa, gdy poproszą o czystą wodę—podadzą im musujący kielich kłamstwa...

Dla—odsapnięcia opowiem Wam jedno zdarzenie. W mojem nieobfitującem w przygody życiu nieraz najdrobniejsze zdarzenie stało się bardzo znaczącem.

Wracałem do Łomży ze świąt Bożego Narodzenia, spędzonych w Warszawie. W nocy to było, po śnieżycy; ostatnią zaś część drogi odbyć miałem autobusem. Ale jeszcze dodać muszę, że w Warszawie nabawiłem się grypy i z tą grypą wracałem. Na jakąś milę z okładem przed Łomżą samochód wpakował się w zaspę śnieżną i zepsuł. Ktoś tam coś długo kręcił, dmuchał, ostukiwał, stękał, klął i obiecywał, że za chwilę wszystko będzie dobrze. Ale w rezultacie trzeba było resztę drogi odbyć pieszo. Było nas kilka osób i dość rzadkim trafem moi towarzysze podróży byli sympatyczni—sama młodzież ochocza, której dobry humor i mnie się udzielił. Poszliśmy raźno. Ktoś zapewnił, że widzi dalekie światełka—pewnie to już Łomża! Nie była to wprawdzie Łomża, ale dobrze jest, gdy w nocnej wędrówce dostrzega się — światełka! Niebawem poczułem, że moi towarzysze zbyt szparko idą, jak na moje, o wiele starsze nogi—i że, gdy będę usiłował sprostać im w chodzie, tedy po pierwszej wiorście całkiem ustanę. Zatrzymałem się tedy, puściłem ich przodem i poczekałem — aż odejdą, aż stracę ich z oczu i przestanę słyszeć ich głosy. Wtedy powlokłem się sam, wolno. Przyszedłem do domu bardzo późno; moi towarzysze podróży musieli już dawno być na miejscu. Ale ostatecznie —

cel ten sam, co i oni osiągnąłem. Nawiasem wtrącę, żem spocił się tak, iż nazajutrz z grypy — ani śladu!

Prócz tego zaś zyskałem jeszcze co innego. Nie przypominam sobie, by coś w mojem życiu tak wielkie sprawiło na mnie wrażenie, jak zupełna samotność śród tej białej ciszy. Bo noc nie zgasiła białości pól śnieżnych, wezbrała zaś ciszą niepojętą. W zimowej zastygłości życia przyrody noc — gdy wiatru nie ma — wytwarza ciszę doskonałą, absolutną. Wtedy to zaczyna działać jakiś inny zmysł słuchu, nie od uszu idący. Cisza poczyna grać. Grały pola zastygłe—i czarne, nieruchome drzewa — i wioski, przez które przechodziłem — lubo głęboko uśpione. Przechodząc przez wioskę, zatrzymywałem się gdzie, na jakim mostku, przy jakiej przydrożnej figurze świętej czy krzyżu i długo nasłuchiwałem. Nigdzie światełka, w otuleniu śnieżnem śpi wszystko, nawet pies nie zaszczeka, znikąd najlżejszego szmeru, a jednak chorał życia—życia jędrnego i bujnego skądciś dolatuje.—Była to jedna z tych chwil, kiedy duszy widomie przyrasta i otwierają się rzeczy zamknięte — i z pod śniegu wychyla się — kwiat paproci!

Warto było zdobyć się na odrobinę samodzielności, by taką zdobycz do domu przynieść...

* * *

Chciałbym dowiedzieć się więcej, niż samotnie żyjąc, dowiedzieć się mogłem—o dzisiejszem wychowaniu. Podoba mi się, co słyszę o skautach, harcerstwie, ale wielceby mnie uspokajało, gdybym wiedział, że regulamin tej młodzi wymaga, aby poza wszelkiemi zbiorowemi, nader pewnie użytecznemi ćwiczeniami i wycieczkami lub wyprawami — każdy skaut raz jeden musiał odbyć długą i zupełnie samotną wędrówkę. Jak Kolumb na odkrycie czegoś i niechby odkrył — samego siebie!

Nie powstanie indywidualność inaczej, niż za sprawą samodzielności... A co to jest nie posiadać indywidualności? Jest to być szarzyzną, najczęściej plugawą! Nie dajcie się ogłupić doktrynom, które jak socjalizm lub komunizm odlewają foremki dla ludzi i obywateli.

* * *

Gdy Bóg, obdarzając nas samodzielnością, uczuł obawę, że wiele z Jego dzieci zaginąć Mu może, nakazał Samodzielności: „Spraw jak największe indywidualne zróżniczkowanie ludzi”.

Indywidualność ludzka — to nadzieja Boga i Jego uciecha. Indywidualności sprawiają, że świat ludzki idzie naprzód—i nie jest zaspany!

* * *

Bóg—to krajobraz, na który wychodzą okienka wszystkich wokół położonych domostw. Nie dość, iż z każdego okienka widok jest inny, lecz nawet z tego samego wyglądająca jedna i ta sama para ócz widzi co chwila co innego. Co innego, gdy niebo się zachmurzy, co innego—gdy jasne, co innego—gdy słońce zukosa błyśnie, co innego—gdy zgóry świeci. Wszystkie wyglądające z okienek pary ócz ludzkich patrzą na jedno, tkwią w jednem, ale widzą—wcale nie jedno.—Marne to porównanie, gdyby szło o uprzytomnienie sobie w całej rozciągłości pojęcia o jedności ludzi w Bogu; dostateczne—by pokazać, że do Boga nie można się dostać inaczej, niż przez swą własną furtkę — przez indywidualność. Niema wspólnej bramy, każdy sam swym klucznikiem musi być sobie, a przedewszystkiem musi wyrąbać swą furtkę czy okienko, odsłaniające widok na Boga — czyli posiąść indywidualność i ukształcić ją. Bóg—jak krajobraz—jest lśnieniem, falą, bywa ciszą, bywa śpiewem, bywa burzą, jest ogromny i mieniący się; widzimy Go tylko w przepływie; to zaś—jakie w przepływie tym momenty uchwycić zdołamy—zależy od naszej indywidualności i stopnia jej ukształcenia. Jego Zacność bierzemy sercem, Jego praworządność — nauką, Jego piękno mieniące się—jeden uchem, inny—okiem, inny—wdziękiem własnego ruchu (taniec tyleż jest boskiego pochodzenia, co i rzeźba). Przed nami jest ocean niewyczerpany, to też pola dla wytwarzania indywidualności nigdy zabraknąć nie może; i nigdy indywidualności jedne drugim na pięty nadeptywać nie mogą — gdy są szczere, gdy są sobą.

* * *

Kolektywizm w wychowaniu narażony bywa zawsze na jedno niebezpieczeństwo, na pokusę sprawienia, by — wszyscy uczniowie czy wychowańcy widzieli jedno. Ale wówczas już nie będą widzieli żywego krajobrazu; lecz tylko martwy schemat. A przeto nie dostąpią dostojeństwa ludzkiego, będą obcymi Bogu, będą żyli śród złud i dla złud.

* * *

Gdy środek poczytany bywa za cel — wszystko, wszelkie poczynania nasze stają się złudą, nawet doskonały ustrój społeczno-ekonomiczny.

* * *

Samodzielność jest sprawczynią, macierzą indywidualności, ale co ją rzeźbi? Co to jest—*ja* indywidualne? Jest to skupienie cząstek Bytu z różnych jego poziomów zaczerpniętych, o różnem—w znaczeniu jakości i ilości—napięciu drgania, skupienie, nad którego ułożeniem pracowały tysiącolecia, tysiące i miljony dłoni, tysiące i miljony wpływów. Skupienie samo przez się bierne, czynnem zaś stające się za sprawą mojej *samodzielności*, którą dał mi—Bóg. Ale gdzie rylec, gdzie rylec, który z tego skupienia wyrzeźbia *indywidualność?*

Cierpienie!

Czyż to prawda? Surowa. Czemuż nie—radość? Dlatego—że cierpienie. W niezmąconej pogodzie co żyć i rozkrzewiać się może? Chyba jedno — pasorzytnictwo! Popatrzcie uważnie na dzieci. Przełomowe momenty w kształtowaniu ich indywidualności to są doznane przez nie cierpienia. Nie idzie zatem, żeby im cierpień przysparzać, lecz w wielu razach ułatwiać im ominięcie cierpienia jest to czynić im ciężką krzywdę. Gdy wychowanie jest tkliwem, musi być surowem. Czyż powściągnienie szkodliwego popędu może się obyć bez cierpienia? Lub — przezwyciężenie bezwładu lenistwa? A później — przez całe życie, cierpienie oczyszcza, cierpienie uczy, cierpienie radzi, cierpienie prowadzi. O jednem tylko cierpieniu powiedzieć możemy, że to jest coś bezwzględnie naszego własnego. To

jedno moje, jedno, co nie przepływa przeze mnie, jak przepływają moje radości, moje szczęście, moje cnoty, talenty myśli—wszystko. To jedno niczyje—tylko moje! Własność święta i nietykalna, gdy zaś taką jest — winniśmy milczeć o niej tak dumnie, jak milczy o swem cierpieniu sosna pod siekierą, skała rozkruszona lub ptak w swej męce konania. Wszystko o sobie mówić można i trzeba, ale ze swych cierpień — tylko sobie i Bogu się spowiadać!

Rozumiem, iż — pragniecie ujść cierpieniu i dlatego przenosicie nad nie bezwład. Człowiek, który odmawia sobie kieliszka wódki lub grzesznej miłości—cierpi, czasem bardzo cierpi—więc zamyka oczy przed rzeczywistością i wstępuje w świat złud. Ale kinematograf nie może się wiecznie kręcić, a gdy filma rozkręci się cała i złuda pryśnie — ta chwila sprawi wam mękę dotkliwszą, niż ta, której ujść mieliście. A ratunek jest gdzie indziej. Cierpienie surowy to towarzysz, a dłóto, którem mierzy w żywą tkankę duszy—twarde i nieugięte, ale za sobą prowadzi on kogoś tak miłego, tak miłego, tak łagodnego i zawsze pogodnego.... Pracę!

Z dziedzicznego skupienia cząstek samodzielność dłońmi cierpienia i pracy tka wzorzyste wstęgi indywidualności, charakterów, talentów...

A dzieje się to — jak wszystko — pod okiem Woli.

* * *

Samodzielność splata się z—odpowiedzialnością, którą sobie uzmysławiamy pod postacią *kary* i *nagrody*. Jedna i druga jest konsekwencją samodzielnego działania. Mogę nie przytykać palca do płomienia; gdy przytknę—płacę zato bólem. Płomień występku również parzy. A radość czynu, radość życia, radość ruchu, światła, dobra, zacności — oto istota nagrody. Odpowiedzialność jest w stosunku prostym do rozwarcia kąta samodzielności. Mała u salamandry, żadna u warjata; wielka u Lenina, mała u zasugestjonowanych przezeń nędzarzy, gdy rabują mordują.

* * *

Jakież mogą być konsekwencje odpadnięcia od Boga? Niebyt. Odpaść od bytu, to znaczy wpaść w niebyt — i nic innego znaczyć nie może. Uzmysławiajcie to sobie, jak chcecie. Nazywajcie, jak chcecie—ale rzeczy nie zmienicie. Niech to będzie sobie Hades, niech — piekło, w każdym razie będzie przeciwieństwem nieba, w którem pręży się Wola, a z nią ruch, a z nią czyn, a z nim radość. Otóż tej tam nie weźmiecie, ale zato weźmiecie coś innego. Nie weźmiecie z sobą Woli, bo ona od Boga więc tu zostanie, gdzie Bóg; nie weźmiecie więc z sobą i ruchu i czynu i piękna i radości, bo to wszystko tu zostanie, gdzie Bóg. Ale weźmiecie z sobą to, co jest bezwzględnie wasze własne, czego żadna moc was pozbawić nie może, czego nawet niebyt nie unicestwi... Mękę! Tę weźmiecie — ale weźmiecie bez jej towarzysza miłego i łagodnego i łagodzącego, pogodnego i rozpromieniającego—bez Pracy. Bo i ta zostanie tu, gdzie Bóg. Tedy pójdzie za wami tylko męka — męka — męka...

* * *

Kochany Kolego! Radbym tu dotknął jeszcze jednego momentu. Ani o wyczerpaniu go, ani nawet o zmierzeniu jego głębi—nie myślę, ale zaznaczyć winienem.—Pamiętacie, rozmawialiśmy kiedyś o Stanisławie Krzemińskim, o zacności posłannictwa jego i podobnych jemu w Polsce i wreszcie o zacności posłannictwa Polski — w ludzkości. Było to tak chyba — przed pół rokiem. Po tej rozmowie zacząłem wtedy pisać do Was list, mający być jej ciągiem dalszym, ale nie skończyłem go, zastraszony ogromem tematu. Przepiszę tu jeden ustęp, który w tem tu właśnie miejscu układa mi się na linji tych myśli:

„Gdy człowiek, bądź naród zdoła coś stworzyć, to jest z siebie wydobyć coś, mającego byt czyli trwałość wieczną, tem samem ma w sobie Boga, jedyną moc twórczą, której istotę najłatwiej zrozumieć, gdy ją utożsamić z wolą, bo wówczas wiele rzeczy się rozwidnia. Przedewszystkiem, w owej twórczości ludzi i narodów, w ich celach i posłannictwach widzimy wypełnianie się jakiejś woli, więc bynajmniej nie ślepe

fatum i bynajmniej nie coś takiego, co przytłacza wolę ludzką, co bez niej obywać się może. Wola — ta wola, mocą której powstał świat, płynie z za przestrzeni i czasu, ale odkąd uwidocznia się w przestrzeni i czasie, staje się wolą rzeczy, działających w przestrzeni i czasie, a więc wolą moją lub wolą mojego narodu. Mówimy — wypełnia się przeznaczenie, lecz to przeznaczenie jest wolą, która nie wiem, gdzie się poczęła, ale w czasie i przestrzeni przepływa przeze mnie i staje się moją wolą, najistotniejszym wykładem mojego ja, najgłębszem jądrem przemieszkującej we mnie boskości. Ludzie i narody idą ku czemuś, bo iść muszą, lecz muszą dlatego, bo taką jest wola w nich samych, w ich przedwiecznej, boskiej głębi tkwiąca. Zowiemy ją misją, posłannictwem. Czy zaś może coś tę wolę zgasić — lub, czy wola ta może się odmienić, słowem, czy ten, co chce, może również nie chcieć i chcenia swe pchnąć gdzie indziej? Wyznam, że dla mnie jest to pytanie zgoła jałowe i zbędne, pytanie na krótką metę, pytanie umysłu, tkwiącego w aktualności i poszukującego wyjaśnienia rzeczy najbliższych, rzeczy dnia i chwili, z natury swej będących splotem przypadkowości. Przypadkowość w życiu i dziejach pojmuję tak—że wola płynie jakimś wielkim obszarem i torując sobie śród bezwładu przeszkód drogę, czynić to może w najróżniejszych kierunkach i łamaniach linji; stąd rzeczy te, widziane zbliska, wydają się splotem niesłychanie powikłanym, splotem przypadkowości, widziane zaś zwysoka, ukazują się jako wyraźny i skupiony kierunek drogi, którą wola przebyła i ma przebyć. Słowem — przypadkowość jest to złuda czyli wrażenie, zależne od mety patrzącego i wielu in. przyczyn. Bo zważmy, że moja wola może osłabnąć, może mi zniknąć gdzieś, mogę zostać bez woli lub może mi się wydawać, że wola moja odmieniła swój kierunek. Ale czy ja wiem, czy mogę rozumieć, co wówczas dzieje się ze mną, czy po zniknięciu mojej woli lub jej odmianie ja *jestem* jeszcze, czy tylko trwam jako kształt zewnętrzny — złuda? Może w momencie, gdy we mnie znikła, uzewnętrzniła się wola moja w kim innym. W aktualności, w dniu i chwili, wola może znikać, coś ją może przesłonić, ale pod kątem wieczności — trwa i idzie nieodmienna.

Dlaczego koniecznie nieodmienna, skoro jest *wolą?* Z przyczyny bardzo prostej, lecz niesłychanie ważnej i niesłychanie wiele rozwidniającej, z przyczyny — że wola jest również *widzeniem*. I to najdoskonalszem widzeniem. Oko widzi jakiś wątły ślad prawdy lub wręcz jakąś złudę. Wola widzi Prawdę. Wola jest okiem Boga, organem widzenia boskiego, niemylnego. Nie może się odmieniać, bo to dowodziłoby, że widzi ona raz jedno, raz drugie, czyli że Prawda może być raz prawdą, kiedy indziej nieprawdą. Że zaś prawda jest jedną i niezmienną, przeto i wola, która ją widzi, jej pożąda, jej chce — może być tylko jedną i niezmienną. Wola jest pożądaniem, jest prawem powszechnego ciążenia ku Prawdzie. Lecz — mówimy — powszechne ciążenie jest bezwolne. Dlaczegoż to tak miałoby być? Istotą jego jest pożądanie, tęsknota, czyli coś, w czem są pierwiastki chcenia i wyboru. Dochodzenie tego jest jałowem. Dość, iż tak jest, że wola jest wolą, a zarazem jest ciążeniem, pożądaniem i tęsknotą, jest wyborem jednej rzeczy z wielu, a zarazem takim wyborem, który z wielu rzeczy tę jedną tylko wybiera nieodmiennie, gdy czuje w tem obecność Boga—i gdy w swej samodzielności nie wyrzeka się bytu i nie zgadza się zastąpić go złudą. Zewnętrznym przejawem woli jest twórczość. Twórczym przejawem woli przedwiecznej jest—świat. Takimż przejawem woli człowieka i narodu jest wszelki jego czyn pozytywny, czyli to, co powstawszy w człowieku lub narodzie—zostaje i trwa".

Z czynów tedy — mówiliśmy z Wami — powstają posłannictwa ludzi takich, jak był Stanisław Krzemiński, i narodów takich, jak Polska. Posłannictwo Polski *Księga Pielgrzymstwa Polskiego* ujęła zwięźle — jako apostolstwo wolności.

Przeżywamy teraz ciężką chwilę, bo tak się wydaje, jakbyśmy w posłannictwie naszem coś uronili. Mamy oto wolność zewnętrzną, wolność rąk rozkutych—a w sobie niewolę. Ducha żywego zapędzamy w martwe schematy doktryn i znosimy, by zacność zagłuszał egoizm. Ale nie aktualnością mierzy się bieg rzeczy wiecznych. Wola nie płynie jednem ocembrowanem korytkiem; rozlewa się olbrzymim obszarem, tysiącami

strumyków, a może tu i owdzie napotkaną skałę bezwładu drąży — kroplą. Idzie to wolno w wymiarze czasowym. Ale to, iż kropla wydrąży skałę jest pewnością twardszą nad skałę.

Niema też powodu do obawy, by Polska zeszła ze swej drogi i zgubiła ją. Ale żeby z niej nie zbaczała, potrzeba nam więcej Krzemińskich, Krzemińskich...

* * *

Samodzielność jest formą postrzegania Woli w człowieku, posłannictwo — w Narodzie...

(1917 — 1922 r.).

* * *

XV.

O STANISŁAWIE KRZEMIŃSKIM.

DLA MEGO SYNA.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Ten oto list dołączcie, proszę, do tych, które od roku z górą Wam przesyłam, chcąc — na wypadek, gdybym Domu Cedrowego nie napisał — zostawić te rzeczy w Waszym ręku — za dziedzictwo memu Olesiowi. Nieprzestrzenne wprawdzie i nie brzęczące, ale i zginąć, w powiązaniu z myślą wieczną, nie mogące...

Wspominaliście — zdaje mi się — że w *Resphie* podobało się Wam moje „O zmierzchu”. Może być, że przylgnął do tego urywku jaki słaby odblask niezrównanego czaru dnia na zgaśnięciu i przegląda w nim może zdaleka niezmierna głąb tych chwil. Pisałem to przed laty, w Łomży, pod dźwięki wieczornego *Anioł Pański*, patrząc na sygnaturkę kościoła Kapucynów, ostro, czarnemi linjami na tle nieba rozczerwienionego wyciętą. Czasem wiatr odchylał i gdzie indziej niósł te miłe, ukojne dźwięki; wówczas ruch dzwonu zastępował mi jego głosy odbiegłe. A pisząc, myślałem, że oto jest chwila, kiedy cała przyroda, wszystko co jest, z tem zaś wszystkiem i dusza ludzka w swej rozlewności zbiorowej i w swem skupionem jądrze indywidualnem — klęka i, otarłszy dzienny znój z czoła — modli się. Nędze żywota zapomniane, brud jego wraz ze znojem otarty, jakieś czyste przywdziane obleczenie, w jakiejś krynicy

„wód żywych” omyte czoła—i na ustach wieczorny *Ojcze nasz*... To chwila, kiedy dusza dzień gasnący wplata do bezczasowego kręgu wieczności...

Nie wiem, czy muzyka kościelna próbuje wykładać Modlitwę Pańską w brzmieniu organów. To musiałoby — chybić. Muzyka, posługująca się dostępnemi dla uszu dźwiękami, wkońcu zawsze się potknie o przeszkodę mechaniczną,— o brak odpowiedniego instrumentu i materji do przenoszenia fal głosu. Jedynym — na którym wygrać można *Ojcze nasz* — jest dusza; jedyną materją, która w drganiu swych fal ten hymn rozlać może—jest cisza. Ale istnieje do hymnu tego prześliczna przygrywka i ta nic zgoła podniosłości jego nie uwłacza, owszem— dziwnie harmonijnie a skromnie wplata się do jego uroczystej osnowy. To — „Kiedy ranne wstają zorze...” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” Taką słodką, cichą przygrywkę do rannych i wieczornych *Ojcze naszów*, takie skromne a głębokie uwielbienie czaru i głębi wschodów i zachodów — wyśpiewać mogła tylko dusza polskiego pieśniarza i tylko Polaka z wsi, oczami i duszą w niej rozmiłowanego, jej oddechem oddychającego, smęcącego się jej smętkiem, śmiejącego jej roześmianiem.

Dla mnie — zachody nad wschodami zawsze miały i mieć będą przewagę. Jest to przewaga ojcostwa — nad narodzinami, melancholji nad uśmiechem, troski o jutro nad troskę o dziś, jasnowidztwa, przepatrującego wieczność, nad powitaniem dnia. Przypatrzcie się tylko zachodowi letniemu, gdy na gaśnięciu skupia resztę swych blasków, swą przygasłą złocistość i nad miejscem, gdzie ukryło się słońce, trzyma jego odblask, trzyma cierpliwie i długo, trzyma póty, aż w innej stronie zaróżowi się wschód — aż dziedzictwo światłości od ojca przejdzie do syna i powiąże się z wiecznością. Aby nie było przerwy — w świeceniu. Ilekroć patrzę na taki zachód — widzę w nim symbol jasnowidztwa Woli, urągającej cieniom nocy i bezwładu...

W chwili zachodu dwa są głębokie momenty — kiedy staniemy twarzą do słońca, co sobie siada i przygasa gdzie tam, za borem, — i kiedy potem odwrócimy się w tę stronę, gdzie przysiadłe na polach cienie coraz bardziej się wydłużają i schodzą

się potrochu w jedną cienistość i zadumę. To tam przysiadł nasz dzień gasnący, nasza przeszłość stężała — a my nad nią zadumani stajemy, gdy już życie nasze cicho przygasa gdzie tam, za borem.

Gdyby „Nowe szkice literackie" Krzemińskiego (któreście mi przysłali, życząc, aby ich autora jakiem serdecznem słowem rodakom przypomnieć) poukładać w książce nie jako szereg pouczających czytanek, lecz jako chronologję duszy, czy biografję jego psychologiczną, to ową, na początku umieszczoną przedmowę, do Was zwróconą, należałoby raczej na końcu umieścić. Bo to była jego chwila zadumy nad cieniami życia, co się pokładły po polu, przezeń przeoranem, długie—od kolebki do niedalekiego już cmentarza za borem.

Natomiast, idąca wkrótce po przedmowie „Historja" jest znakomicie umieszczona, jak jaki potężny reflektor, który jednym snopem światła rozświetla najgłębsze, czy najgórniejsze zasklepienia jego duszy. Nie wiem, czy w dalszym ciągu tej i w innych książkach Krzemińskiego napotkam szczyty górniejsze i ile ich naliczę. Ale liczba napotkanych szczytów już nic nie przyda do miary, którą tę duszę mierzyć trzeba. Bo siłę myśli ocenia się nie według kierunków i górności jej biegów i wielości dróg, ani według mety, do jakiej dotarła. To wszystko rzeczy przypadkowe, uwięzione w czasie i osobniczości. Tę siłę ocenia się z rozmachu myśli. Potęga i piękno orlego lotu występuje już wówczas, gdy orzeł nisko leci. Owszem, powiem, że przyziemny, nad głową naszą iż szum skrzydeł słychać lot ptaka, który, gdy zechce, wzniesie się w niedosiężne dla oka przestworza, jest właśnie niezmiernie wspaniały i królewskiej pełny powagi. Ale „Historja" rozwija przed nami ten polot i rozmach odrazu na olbrzymiej wysokości, skąd widać już — wszystko. Może nie wszystko dostrzegł stamtąd Krzemiński, ale to znów jest tylko rzeczą przypadku i dnia. Dziś już myśl jego widzi to, czego za dnia swego nie dostrzegła, bo rozmach miała sięgający za czas i przestrzeń, choć zdawało jej się, że czasem i przestrzenią jest spętana. Ale jak już słabe w nim były te pęta i jak niewiele potrzeba było, żeby myśl jego poczuła się

zgoła swobodną. „Chwila każda — pisze w „Historji" — zanim zdąży zawołać „jestem" zapada w bezmiar czasu, *dla którego rozum nasz, jak i dla przestrzeni, z równą mocą domaga się nieskończoności, z jaką wyobraźnia ją odpycha*". To już jest ta ostatnia zasłona, co to bezpośrednio ociera się o *prawdę*. Jedno dmuchnięcie w mgłę złudy—i jużby wyjrzało słońce. Ale w tem właśnie tkwi tragizm osobniczości, iż tego ostatniego dmuchnięcia, choć takie łatwe, już ze swojej piersi indywidualność dana wydobyć nie zdoła i *przekazuje to innej*. A czyni to „o zmierzchu" swym, w chwili zachodu, skupiwszy gasnące blaski dnia swego, by przetrzymać je do chwili, póki ich nie pochwyci świt nowy. Odwieczna tajemnica — ojcostwa!... przekazywanie świecenia.

Myśl Krzemińskiego, nie mogąca się wyzwolić z pęt czasu i przestrzeni, które są jej udręką, musiał pochwycić i snuć dalej inny człowiek, powiem ściślej—inny *Polak*. I oto już dla mnie—tak niedaleko odeń odbiegłego w czasie, czas i przestrzeń są to objektywy mikroskopów i teleskopów, które służą mi do tego, by utworzyć sobie wzrokowe pojęcie o rzeczach, jakich bezpośrednio samych w sobie widzieć nie mogę. Nic nad to. Nastawiam te objektywy, jak mi dogodniej; posługuję się niemi jak narzędziem optycznem. Nie są one wykładnikami rzeczywistości, lecz mojem polem widzenia jej i nie krępują mi widzenia—dalej, głębiej, wyżej.

Myślałem i ja o tem, żeby w „Domu cedrowym" zamieścić rozdział o „Historji" i nie wyrzekam się tej myśli, ale zrobię tak, iż w owym rozdziale ustąpię głosu Krzemińskiemu i przytoczę dosłownie kilka jego ustępów: „*Historja... jest pamięcią rozumną, organizowaną przez pokolenia teraźniejsze dla przyszłych*".—„*Nie wolno ojcom nie pamiętać i synom nie przekazywać tego, co przeżyli; nie wolno synom nie zaciekawiać się losem swych ojców i nie pragnąć jego poznania*".—„*Z tej zbieżności dążeń tryska niewysychające źródło historji. Napoi ono tem rzetelniej, im szczerzej historja sama będzie funkcją organiczną tej zbiorowości, która ją z siebie wydaje*". — Nie dziwneż to, że Krzemiński sam wykłada mi zasadę mojej przyszłej pracy o nim, historji

Krzemińskiego: *„W historji... wciąż jeszcze widać przewagę wypadków zewnętrznych, zjawiskowych, nad wewnętrznemi, po istność sięgającemi; w pierwszych za mało uwzględnia się fakta biologiczne, w drugich—psychologiczne"*.—Więc moja historja Krzemińskiego—gdybym ją kiedy miał napisać—„po istność sięgająca"—wobec tego, że historja ta już posiadła *narrans'ow* jej wypadków zewnętrznych — może i winna być tylko odbudowaniem psychologicznem. Prościej mówiąc—budową polskiego „domu cedrowego", w której wystąpiłaby w zmysłowej jawie dusza człowieka, wyłoniona ze zbiorowej duszy polskiej.

Gdy patrzę na te brylanty, zaduma mnie bierze, a ręce nie garną się po nie—bo wybór niemożliwy. Gdy wziąć—to wszystkie. Ot, w zadumie przekładać je można z dłoni do dłoni, dziwiąc się ich wadze, blaskom, piękności.

O przedmiotowości, radząc historykowi złożyć ją „na strychu" — mówi: „Do pracowni historyka wprowadźmy *wstyd* prawego rozumu i sumienie prawego człowieka: te wystarczą!"— „Jak w życiu, tak i tu jedyną ostoję daje *charakter*".

Każe „w duszę indywidualną i zbiorową wierzyć" i „istnienie ich za dogmat uznawać". „Można to uczynić—powiada—bez wyłamywania się z za krat pozytywizmu naukowego, bez wzbijania się w obłoki filozofji poetycznej, napawającej wiarą w transcendentalną wiekuistość ducha".—Ja *to samo* wypowiadam w tych słowach: Dusza nie może być przedmiotem wiary, przypieczętowanej dogmatem, ponieważ jest objektem doświadczeń. Mówi nam o niej nie wiara, lecz — na pewnej przestrzeni — czucie, na dalszej — zwykły intelekt. Nie *wierzyć w nią*, lecz *wiedzieć o niej* trzeba jak najwięcej, i to wiedzieć pozytywnie, bez wzbijania się w obłoki, choć i one — gdy są to obłoki prawdziwej poezji—nic zgoła nie zaciemniają, owszem—skrzydłami są dla poznawania. Wreszcie, wiekuistość ducha — jak wiekuistość kamienia i wszystkiego, co raz się stało—jest przyrodzoną i z transcendentnością nic nie ma spólnego. Co raz jest, nie może nie być—i tyle.

Zdawałoby się zatem, że Krzemiński i ja stoimy na dwu biegunach. Bynajmniej. O zbieżności myśli sądzi się nie ze

słów i przesłanek, lecz z wniosków. „Nadprzyrodzonych zasad do historji wprowadzać nie wolno“ — to mówi on, a ja tylko, zamiast „nie wolno“, mówię „nie można“, bo ze słownictwa wyraz „nadprzyrodzony“ i z umysłowości pojęcie „nadprzyrodzoności“ trzeba już było od dawien dawna usunąć. — On, we wnioskowaniu swem, za niepowołanych do historji uważać nakazuje tych „wszystkich, którzy w energji człowieka nie chcą widzieć siły, w obrębie czynników naturalnych samoistnej i jedynej, i do historji wprowadzają zzewnątrz, z poza natury i świata, potęgi człowiekiem kierujące, dające mu pomoc...“ Ja mówię:—w treści człowieka (nazwijmy ją energją) tkwią, obok wielu innych czynników naturalnych, i te potęgi, „człowiekiem kierujące i dające mu pomoc“, które ongi umieszczano gdzieś „poza naturą i światem“.

Źródłem tych sprzeczności, bądź pozornych, bądź tak wątłą ścianką przedzielonych, że od dmuchnięcia przewrócićby się mogła, jest stary dualizm. Krzemiński należał do tej epoki jeszcze, kiedy spory z materjalistami — z jednej i transcendentnikami — z drugiej strony były we krwi i nic — jedna śmierć tylko mogła ten zarazek zniszczyć. I my — drodzy moi — o włos tylko, lubo młodsi, nie zostaliśmy po tej stronie miedzy, gdzie spory te bezprzedmiotowe toczono. Znikł, zapadł się poprostu grunt pod nimi, odkąd materja rozważana, jak i dawniej, doświadczalnie, ale przez zespół wszystkich zmysłów, nie zaś tylko zewnętrznych, okazuje się sama w sobie *niczem*, takim samym niepojętym transcendentalnym bytem, za jaki dawniej poczytano ducha — treść. A treść lub jak kto chce — duch, istota, byt, absolut, — jest jedną, a przeto nic transcendentalnego zawierać nie może, bo jedna i ta sama rzecz nie może być w pewnym momencie rzeczywistością namacalną, doświadczalną, a w innym — bytem transcendentalnym. Gdy materję mam za formę postrzegania treści, wszelki dualizm znikł bezpowrotnie w życiu, a stężał na wieki w muzeum, w jakiejś starej, smętnej, opuszczonej ruinie. Ale ongi był potrzebny, choć niepodobna zaprzeczyć, że musiał wiele cierpień sprawiać ludziom, bo zmuszał ich do chodzenia na głowie. Ile nieporozumień, ile zawziętych,

zażartych, krwawych i łzawych sporów toczyło się jedynie dlatego, że w niedogodnej, nienaturalnej pozycji obserwując świat, ludzie usiłowali dokonać tak niepodobnej rzeczy jak ta, by oddzielić formę postrzegania treści od samej treści i obdarzyć je, każdą zosobna, samoistnym bytem. A przecież był chyba już wtedy kto taki, co patrzał na powierzchnię jeziora i widział, że gdy jest nieruchomą, jak tafla szklana, to wcale wrażenia żywiołu nie sprawia i, jako żywioł, postrzegać się daje dopiero z chwilą, gdy utworzy się na niej fala. Ale niktby chyba nie próbował twierdzić, że jezioro—woda, żywioł—i fala na jego powierzchni, to byty odrębne. A jednak o treści — żywiole ducha — i materji — *formie postrzegania,* tak właśnie twierdzono!

Ale mówię, że miarą siły myśli nie jest meta, lecz rozmach. A rozmach ducha Krzemińskiego ujawnił się nie tylko w niezliczonych jego kołataniach do prawdy, w niezliczonych sprzecznościach jego z tem, co chwila, dzień, epoka do krwi mu, jako prawdę, wsączyła, w niezliczonych a śmiałych zamierzeniach się oskardem w ścianę, łopatą na miedzę, która mu zawadzała i dręczyła go, lecz przedewszystkiem w „żądzy życia zagrobowego, mocy odczuwania innych, darze pogrążania się w ogromy, w wielkie kręgi współistnienia“. O tej żądzy, mocy, darze mawiał, iż są dość mocne, by starczyć mu mogły za nieśmiertelność, ale jeszcze za słabe, by w nim „troskę o przyjacioły swoje“ stłumić mogły. Owóż, ta troska „o wszystko, cośmy sami w siebie chłonęli, i tęsknota do wszystkiego, co nas w siebie chłonęło“, to ojcowskie powiązanie się z „przyjacioły swemi“, których zostawi na ziemi, to był ten krok olbrzyma, co odrazu odsadził go o całą nieskończoność od tej mety, przed którą toczą się bezprzedmiotowe spory o jezioro i falę, o ducha i materję. Ale on sam lotu swego nie postrzegał i wciąż mu się zdawało, że jakaś sterczy przed nim i więzi go zawada. I dlatego „tragizm śmierci“, która nie pozwoli mu „porwać z sobą z ziemi“ wszystkiego, co kochał za życia, „co chciałby kochać, mieć przy sobie za grobem“—poczytywał za większy nad „tragizm życia“. Tymczasem, dla takich dusz istnieje *tylko*

tragizm życia, z przypadkowych powiązań z czasem, chwilą, epoką płynący, śmierć zaś jest najłaskawszem z pęt aktualności wyzwoleniem, cichem siadaniem słońca za borem, oddaniem duszy „za przyjacioły swoje“, uroczystym aktem *usynowienia ich*, momentem jasnowidztwa, które skupia w swem oku blaski i trzyma je cierpliwie, póki z nich *nowy świt nie zapłonie.*

I taką też była śmierć tego znakomitego Polaka.

A dziś czeka on świtu i z troską patrzy, by nic z „owoców trudu“ jego nie utracono!

Owóż historja Krzemińskiego powinnaby być przedewszystkiem historją jego „trudu“, „znojnej, niekiedy krwawej pracy myślenia i czucia”, pracy nad „stępieniem samolubstwa, okiełznaniem egoizmu i zaprawieniem go pod szczepy idealizmu”.

Jeśli ja tej historji nie napiszę, niech syn mój odczyta ją nie w biografji Krzemińskiego—bo to za mało,—lecz w rozsypanych brylantach jego myśli.

(1917 r.).

* * *

Dodaję tu nieco wyjaśnień. Ze S. M. — któremu list ten przesłałem z prośbą o przechowanie go i przekazanie we właściwym czasie memu synowi, dziś jeszcze dzieckiem będącemu — wielokrotnie dotykaliśmy w rozmowach sprawy konieczności uzupełnienia dotychczasowych biografij Krzemińskiego taką właśnie — jak wspomniano wyżej — Historją o nim, historją, uplecioną z brylantów jego myśli i uczuć. Bardzo pragnąłem podjąć tę pracę — i jeśli życia mi starczy — podejmę. Gdy nie—powinien to uczynić kto inny. Przesyłając mi wspomniane w powyższym liście „*Nowe szkice literackie*” z przedmową prof. Chrzanowskiego, dla zużytkowania ich w owej zamierzonej Historji o Krzemińskim, S. M. zakomunikował mi, iż istnieją obfite i nadzwyczaj cenne manuskryptowe materjały do tego przedmiotu, i pisał:

„W tomie, który załączam, znajdziecie rzeczy wieczne, lubo rozproszone tu i owdzie. Życiorys prof. Chrzanowskiego dostarczy Wam wskazówek, gdzie szukać porozrzucanych złotych

myśli Krzemińskiego — tego zaledwie tolerowanego za życia „dziwaka!“ W „dedykacji“, następującej po życiorysie, znajdziecie przepiękne miejsca. Kiedyś to wszystko, co w dedykacji zamieścił, ustnie mi wypowiedział i piękniej jeszcze... Prosiłem go naówczas, aby ujął to — w manifest duchowy do młodzieży, i to właśnie uczynił.

Był człowiekiem, co przeszedł przez życie, „białą szatą owiany“. Podczas strzałów 1861 r. (5 poległych) zmoczył we krwi zabitego swe palce, przeżegnał się—i złożył Polsce przysięgę. Z tą pamięcią o krwi polskiej szedł całe życie i nauczał. Czysty duch polski! — którego gwar miasta ciągle chciał przekrzyczeć. Wcielenie to było najpiękniejszego idealizmu polskiego! — Świętochowski, dedykując mu książkę, napisał: „*Kochanemu sercu!...*“ Wart, by go wskrzesić...“

* * *

XVI.

O AUGUŚCIE CIESZKOWSKIM.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Służyć ludziom rozumem wiele znaczy, sercem — więcej, bo ma ono zawsze swoisty a głęboki rozum obok swej mocy nad moce, dotąd i nie dość zbadanej i niedocenianej, choć wszystko wskazuje, że kiedyś, obok woli, czy za jedno z nią, za potęgę najwyższą — twórczą, zachowującą i rządzącą — uznana będzie. Właściwie dążymy do tego, by i wolę i rozum i miłość mieć za jedno, w zrozumieniu tem, iż tylko na drodze abstrakcyj różnicujemy te pojęcia z jedności rzeczywistej. A w życiu praktycznem te różnice powstają dlatego, iż nie umiemy przysposobić oka do objęcia, a składnicy naszej duchowej — do wmieszczenia całości; stąd ułamkowość jednej, pokruszonej, niestety, wartości; stąd rozum—książkowy, serce wzięte poza nawias rozsądku, wola harcująca — zamiast stałej, niezmiennej.—Gdyby August Cieszkowski był tylko wielkim rozumem filozoficznym, dla mnie pozostałby książką, jedną z wielu na półce i prawdopodobnie — zamkniętą. Otworzyłem go sercem, trafiwszy — na serce. O, jakież to miłe i drogie te ręce, co rany naszej delikatnie dotknęły i miękko ją przewinęły, a gdy nadto bielmo z oczu nam zdjęły — święte nam są. Czy pamiętacie, jak krwawiłą nam dusza, gdy okrojoną wciskaliśmy w ramkę pozytywistyczną? Jakież opaczne wrażenia odbierało się, wyglądając przez to ciasne okienko! Światem, rzeczywistością miało być to, co dawało się owąchać, omacać,

zmierzyć, zważyć! Poza tem miały być—rojenia, wierzenia, popędy sercowe, wizje poetyczne—świat marzycieli—i głuptaków! Ile lat poszło na zmaganie się z tą ciasną ramą, nim się ją rozepchnęło! Ale dziś się zdaje, że nastąpiło to w jakiejś jednej chwili, bo czyż jednej nie dość, by człowieka, chodzącego na głowie, postawić na nogach! Sam na nich stanąłem, ale gdy to nastąpiło, potrzeba mi było, aby mi ktoś jeszcze powtórzył—że to jawa, nie sen. Świat, najeżony zagadkami, napłynął mi naraz do oczu, jako coś tak prostego, łatwego, przejrzystego w swych głębiach, bliskiego na swych wysokościach, że bałem się stąpnąć w tym świecie, by nie prysł mi, jak cudna bańka mydlana. A były to właśnie wrażenia człowieka, który wpierw chodził na głowie, a naraz stanął na nogach. Rzeczy wykoszlawione, przeinaczone, widziane na wywrót—zobaczyć w całej ich prostocie, jasności! W ładzie i harmonji! Jako — świat jedynej pięknej rzeczywistości! To działa, jak fala świeżego powietrza na mieszkańca piwnicy, upaja, oszołamia. W takiej to chwili Cieszkowski był mi, jak dzwonnik. Kiedym zapytywał siebie — sen to, czy nie sen, on wydzwonił mi *Anioł Pański* i słodkiemi dźwiękami stwierdził jawę, rzeczywistość moich nowych wrażeń. „Idź-że, boś już jest na drodze“—tyle powiedział mi jego *Ojcze nasz.* Takich momentów się nie zapomina. Pamięta się noce, bezdroża, pustynie, samotne błąkania, wycia wilków, śmiertelny lęk własny, swe rozpacze, lecz jasną smugę drogi, twarz dobrą, dłoń wyciągniętą, słowo krzepiące — stokroć żywiej! Gdyby August Cieszkowski nie zostawił nic więcej nad taki jeden aforyzm: „Niema światów dwu—tego i *tamtego;* jest ieden Świat powszechny—Niebiosa“, lub taki: „Bóg już nie jest bezświatowym — Niebo zaś nie jest przybytkiem bezziemnym“—już widziałbym w nim jeden z najgłębszych umysłów i jedno z najlepszych serc polskich, i byłby mi już przez głębię swą—bliskim, przez serce—drogim i miłym. A polskim, bo czyż to nie on już dawno powiedział: „Azaliż to nie jest od wieków polskiego ducha zadaniem, absolutne abstrakcje przekroczywszy, organiczny związek dróg Ducha świadomie uchwycić?“ Tam, dokąd on doszedł, dochodzą tylko rozumne serca, t. j. takie,

co swój rozum swoisty pomnożyły przez rozum wiedzy — a sercami pozostały!

Niedawno, pewna Pani — w liście swym do mnie chwaliła „Resphę“. Pomyślałem sobie, coby też na pochwały odpowiedział Cieszkowski — i odpowiedziałem tak: „Książka, proszę Pani, nie jest ani złą, ani dobrą, ani piękną, ani brzydką; posiada jedynie byt potencjalny i zyskuje istotny tylko w jakimś żywym ośrodku. Więc dobrym, pięknym, godnym uwagi jest właściwie ten żywy ośrodek, w którym ona zasiadła i coś w nim poruszyła, ten płomień, który za jej sprawą gdzieś, śród myśli i uczuć ludzkich rozgorzał. Piękno objektywne książki rzecz to błaha; obchodzi snobów, estetów, kolekcjonistów, którzy ją ze smakiem owąchują, oglądają, katalogują i rozkładają po swych gablotkach; istotne zaś, a więc subjektywne jej piękno występuje dopiero w płomiennej głębi serc żywych, jako piękno *tej głębi, nie zaś własne.* Książka to czasem zapałka, kiedy indziej reflektor, co głębie serc — senne, czasem zasępione czegoś, lub wstydliwe jakieś — oświetla i własne ich piękno im uprzytomnia“.

Że zaś ta Pani pisała coś jeszcze „o miłości, iż szkoda, że to rzecz tylko *odświętna*“, pomyślawszy o Cieszkowskim, tak jej odpisałem:

„Miłość i modlitwa — to jedno. Modlitwa płynie z miłości; miłość sama przez się jest modlitwą bez słów, jest najłatwiejszem, bezpośredniem, namacalnem, wręcz fizycznem, zmysłowem objęciem Boga. Bóg zaś — proszę Pani — jest na codzień, nie od święta. Ma on wprawdzie swe uroczyste, odświętne momenty i nastroje, lecz przedewszystkiem — jak powietrze, jak oddech, jak rytm serca, jak ruch, jak praca — jest na codzień. Układając dla ludzi *Ojcze nasz,* przeznaczał go Chrystus na każdy dzień powszedni; marzył, iż z myślą o rzeczach głębokich i wielkich, które modlitwa ta zawiera, ludzie będą się budzili i z myślą o nich zasypiali“.

Drodzy Moi! To Marzenie Chrystusowe Cieszkowski rozwinął przepięknie w swym *Ojcze Nasz* i dowiódł, że nie było ono zgoła utopijne, lecz miało na widoku ludzi, normalnie chodzących

na nogach. Tymczasem przez parę tysięcy lat podobało się ludziom chodzić do góry nogami. Cóż dziwnego, iż w takiej pozycji rzeczy bliskie wydawały się im dalekiemi, łatwe — trudnemi, znajdujące się tuż pod ręką lub bliżej, bo w nich samych — niewidocznemi — i że z codziennych czynili sobie odświętne. Tę optykę na wywrót — Cieszkowski prostował i za to myślą czcić, sercem kochać go należy.

Że Cieszkowski jest mało znany, rzecz to nazbyt zrozumiała. — Każdy pan, zapytany czemu chodzi na głowie, albo obrazi się i nie odpowie, albo powie z przekąsem: „Nogi moje mają co lepszego do roboty“. I miejmy się na baczności, by rozbujałemi w powietrzu nogami nie zawadził o naszą głowę, którą—zdaniem jego—nierozsądnie jest umieszczać tak wysoko. Cieszkowski wskazał właściwe miejsce dla nóg i głowy; co więcej, wskazał nam—jak trafić do samych siebie. Bo my do siebie samych nie umiemy trafić inaczej, niż jakąś drogą okólną, przez pustynie i lody zwątpień, po wertepach, norach, bezdrożach, przez grzech i zbrodnie, przez nędze, niedole, potykania się, upadki i dźwigania. Aleć zawsze trafimy, trafiwszy zaś do samych siebie, ze zdumieniem spostrzeżemy, że i Bogaśmy w momencie tym odnaleźli. Oto jest chwila, gdy metafizyka staje się naukową i wstępuje na drogę zwykłych badań doświadczalnych, Bóg zaś i miłość stają się strawą codzienną, bez której nie da się pomyśleć żadna istota żywa. To było—jak mówi Cieszkowski — odwiecznem ducha polskiego zadaniem—i wypełnia się. No, nie przez paskarzy i sekcje żywnościowe—lecz wbrew im i pomimo nich. Jest w sercach polskich wiele więcej dobra czynnego, niż złej bierności i samolubnego zaczynu, ale potrzeba silnych reflektorów, któreby głębie prześwietlić, i skarbom, że skarbami są—wyjawić mogły. On miał tę promienistość silną i przez ciemną dolę naszą idzie snopem jasnym i wiecznym, jak wszystko, co — od Boga do Boga.

Piszę to w nocy, a był dziś wieczór—mimo późnej jesieni—miękki, ciepły, łagodny, jakby las mój miły na drodze legł, którą zima podpełza, i wpuścić jej nie chciał. Księżyc był za chmurami—

i to było ładne, bo źródła światła nie widać i wydaje się, że przestwór—od nieba do ziemi, do gąszczów leśnych, całem swem wnętrzem świeci—słabo, lecz dość, by mrok nie zgęstniał i nie dławił. Na wzgórzu leśnem stare sosny rzeźbiły się nieruchomie i czarno na płynących górą, płowo-szarych falach obłocznych — dobre jakieś, opiekuńcze, jakby matkowały komuś. Lubię w wieczory takie, u chropawej sosny przysiadłszy, poszumowi jej wtórzyć w duszy modlitwą za stare, pomarłe, lecz wiecznie żywe, dobre i opiekuńcze duchy. I za Cieszkowskiego w liczbie ich...

Struga, 26 października 1917 r.

* * *

XVII.

O MUZYCE KOŚCIELNEJ I MODLITWIE. O OSOBOWOŚCI.

(List do S. M.).

Wy tedy tak się módlcie: Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech... (Mat. VI, 9).

Kochany Kolego! Mówiliście kiedyś, że lubicie muzykę kościelną. Również i ja pewne w niej momenty bardzo lubię. Myślę, że w nas ta skłonność nie jest znakiem osobistym, lecz płynie raczej ze źródeł, nad któremi i dusza Narodu naszego pochyla się nieraz z upodobaniem, szukając w nich... — czego? Może orzeźwienia i uradowania, a może zasmucenia i melancholji tej, co, jak obłok nad mojżeszowym przybytkiem Pańskim kłębi się u podnóży wysokości nadwzrocznych, u wrót tajemnic najgłębszych.—Człowiek taką ma religję, na jaką zasługuje, do jakiej dorósł, jaką uszanować zdolen. Życie w swej płynnej ewolucji nigdy nie osiąga stałego poziomu, miewa swe przypływy i odpływy i, doskonaląc się, nie tężeje, lecz zawsze wytwarza fale, które podnoszą się i opadają, więc i poziom tych zasług, tego dorośnięcia, tych cech moralnych i umysłowych — które są uwarunkowaniem pozyskania tej czy innej religji, również się chwieje. Ale nigdy i w żadnym z momentów tego chwiania i kolebania się poziomów poznania i wyznania Boga nie należy upatrywać ruchu wstecznego, gdyż ten jest niemożliwy — i wszelki ruch, który w aktualności, czyli zbliska

oglądany, może się nam wydawać wstecznym—widziany zgóry, niewątpliwie będzie wciągnięty, porwany powszechnym ruchem naprzód—gdyż innego ruchu, jak naprzód, niema. Ruch wsteczny może być wytworzony jedynie w kinematografie—będzie to igraszka cieni.

To też oddalanie się ludzkości, narodów lub ludzi od Chrystusa bynajmniej nie dowodzi ruchu wstecznego, lecz jest kolebaniem się wód życia, opadaniem fali, która jednak w następnym momencie nie tylko podniesie się, lecz wykona jeszcze posunięcie się naprzód i mimo wszelkich złudzeń, jakie wytwarza aktualność—my z każdym ruchem fali nie oddalamy się, lecz zbliżamy do Chrystusa. Na przestrzeni życia osobniczego samodzielność, jaką obdarzeni jesteśmy, pozwala nam nie tylko oddalać się, lecz nawet zupełnie odpaść od Boga, a więc od życia—i zapaść w nicość—i narody całe mogą gubić drogę—lecz jakież to może mieć znaczenie dla źródeł życia i światła? Gdy oddalam się od światła, tedy wkraczam w zacienia; jest to dowód, że wolę chadzać w mroku, niż w świetle, ale nie wpływa to na zaćmienie światła. Tyle, że ja dalej od niego. Po dwu tysiącach lat Chrystus nie słabiej, lecz mocniej nam świeci, bo my bliżsi Niego, bo każdy moment niósł i niesie nas ku Niemu — chociaż ten i ów odwrócony wcale Go nie widzi. Ten odwrócony również unoszony jest naprzód, lecz pozycja, jaką obrał, nie pozwala mu tego postrzegać. My wszyscy nie postrzegamy naszego uczestnictwa w ruchu dokoła słońca, ale jest to daleko mniej zawstydzające — niż iść tyłem!

Z otchłani widzeń prawdziwych i urojonych, która zowie się życiem – człowiek odkąd człowiekiem jest, usiłował wyczarować obraz Boga. Czy zaczątki takich usiłowań nie uprzedziły pojawienia człowieka — wielkie pytanie, boć u zwierząt występuje uczucie grozy i uwielbienia, a to są pierwociny kultu. Pragnienie Boga, potrzeba Boga, potrzeba kultu, to słoneczne jądro naszego rozwoju. Jego to słoneczność wyzłociła pierwszy—ołtarz i odtąd złoci wszystkie. I komukolwiek ten ołtarz był wystawiony—Światowidowi, Jehowie, Allahowi—nie mylił się człowiek w poznaniu Boga, tylko w rozpoznaniu Jego zmysłowego

wyobrażenia. Marzenia ludzkie wyczarowywały w najrozmaitszych postaciach obraz Boga w Jego mocy i pięknie, ale jakimkolwiek był ten obraz—nie umieszczano go gdzieindziej, niż na ołtarzu, i ku temu obrazowi szły i tęsknoty ludzkie i płacze ludzkie i wonności kadzideł i dymy całopaleń krwawych i ciche całopalenia serc, w prostocie i skromności ofiarujących się Bogu! I szepty ust naszych — czyli modlitwa, i dźwięki harf Dawidowych i naszych organów, czyli muzyka kościelna.

Owóż o tej muzyce, tudzież o modlitwie—to chciałem powiedzieć. Wielkim jestem wielbicielem poetyckich natchnień Dawida, aleć wydaje mi się, że zawiele tam spraw osobistych. Całe potoki żalów, skarg, skomleń, jęczeń, obaw swoich i swoich animozyj, suggestjonowanie Panu życzliwości i błogosławieństwa dla siebie i swoich i pomsty na wrogów osobistych, zawsze utożsamianych z wrogami Pana... Za wiele i to *za wiele* odbiło się i w naszych modlitwach i w naszej muzyce kościelnej! A jednak jądro kultu — to wielbienie Pana dla Pana, a nie dla Jego stosunku do nas. Wyznam, że w muzyce kościelnej ten właśnie moment — wielbienie Pana dla Pana — ma dla mnie największy urok. Wszak wszelka inna mówi o *człowieku — dla człowieka*, a tyle jest jej rodzajów, że zdaje się—co ludzkie mogłoby się tam zmieścić chyba wszystko; burze i cisze żywota naszego, hymny o swej wzniosłości i treny pokutne, pieśni narodzin i pieśni śmierci, walki namiętności i walki idej, nawet swe pretensje do Boga i ludzi, nawet wymysły i złorzeczenia może w niej człowiek wypowiedzieć w pełni. I czyż mu to wreszcie nie zbrzydnie? Lecz i kościelna w znacznej, jeśli nie przeważnej części swych ustępów jest ilustracją tych raczej psalmów dawidowych, w których, miotając się i łzawiąc, człowiek powtarza do znudzenia wciąż jedno—o sobie, o sobie, bez końca... Czasem jednak milknie ten ton uprzykrzony i słychać coś niezwykłego. Ocknął się psalmista! To „brzemię ciężkie”, którem przygniotły go zmory jego dnia powszedniego, zesunęło się z piersi, oczy przetarł i dojrzał coś za mgłą, coś — za sobą. I słychać oto głębokie westchnienie ulgi, a potem—cudne rzeczy! „Jako jeleń krzyczy do strumieni wód, tak dusza moja woła do Ciebie,

O Boże!"—grają to organy i słychać ten krzyk zachwytu, gdy zagłusza ginące gdzieś echa całej poniewierki życia, wszystkich głodów jego i upragnień. I odtąd gra na organach jakaś cicha zaduma, tak bardzo, tak niesłychanie podobna do zadumy lasu lub wód. Jakby ktoś oto przysiadł sobie w ciszy i samotności i wlepił oczy w Tego, „co światłością przyodział się, jako szatą, i niebiosa rozciągnął jako oponę"—i oczy weń wlepiwszy, patrzy a patrzy i uważa, gdy Ten „na wodach zasklepia pałace swoje" i uważa lot jego, gdy „na skrzydłach wiatrowych" płynie gdzieś, w dalekiej głębi, nad przepaściami czasu i przestrzeni. To jest dopiero prawdziwa muzyka świątyń i dni świątecznych i zachwytów świątecznych, muzyka o Bogu—dla Boga. Zaś podobieństwo jej do szumu lasów lub gędźby fal nie jest przypadkowem. Bo jeszcze człowiek o Bogu nie dumał, gdy już dumały o nim zasklepienia leśne i skały na morskiem wybrzeżu i już grały mu fale, wiatry, drzewa i ptactwo. Lecz i teraz nie brak wybrzeży samotnych, pustyń bezludnych, zakątków leśnych, gdzie niema uszu, któreby muzyki ich słuchały, a jednak ktoś słuchać jej musi. Bo niema rzeczy, którąby grała dla siebie; cóż jest głos, gdy nie przesłanie duszy—komuś? Gdzie głosu pustyni nie słucha człowiek, słucha go Bóg. Niema rzeczy milczących, bo cisza nie jest milczeniem; wszystko zaś, co ma głos, ma duszę; wszystkie dusze są od Boga i wszystkie głosy idą do Niego.

Organy przypominają mi las, gdy snują melodję łagodną, prawie monotonną, w której nie słychać krzyków dusz uciśnionych, wołań o pomoc i molestowań. Czyż to las nie cierpi! Czy drzewo, toczone przez robactwo lub spragnione wody, nie woła o pomoc, czy sosny nie słyszą kroków swego oprawcy i nie widzą w jego ręku siekiery, czy nie jęczą, ginąc nieświadome za co i dla czego? Czy morze nie cierpi, czując swą potęgę ujarzmioną w łożysku, którego opuścić nie może? Lecz wspaniałe ich hymny — to jedno wielkie uwielbienie lub cicha w obliczu Pana zaduma i zupełne o sobie zapomnienie. I myślę, że najpiękniejsze z hymnów Dawida powstały nie wtedy, gdy zamieszkał w pałacu, lecz gdy ścigany, ukrywając się śród gór i przepaści, przebywał sam na sam z dziką przyrodą i gwiezdnem

niebem. To one włożyły mu do ust słowa: „Będę śpiewał imieniowi Twemu, o Najwyższy!“ Jakoż w pewnych momentach tak właśnie śpiewał, *zapomniawszy* — o sobie.

Przyroda modli się bez słów, człowiekowi są one potrzebne. Nie wynika z tego, by umiał je dobrać w modlitwie. Najpiękniejszą, jedyną wielką, jedyną, co w słowach skupić zdołała to wszystko, co tkwi w bezsłownem modleniu się przyrody, ułożył dla człowieka Bóg. „Wy tedy tak się módlcie: Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...“ — Gdybyśmy w Chrystusie nie chcieli uznać nikogo więcej, nad takiego, jak my człowieka, nie ujęlibyśmy przeto ani źdźbła boskości temu, co przez usta i serce jego się przelewało, a zaprawdę nic bardziej boskiego niema nad tę modlitwę. A ją co rano odmawia każdy bór, każda niwa kłośna, każde wzgórze, zwierz leśny, ptaszę i fala morska. I śród gwiazd, po drogach mlecznych, nie co innego się snuje... jak „Ojcze nasz!“...

Ubiega drugie tysiąclecie... Może taki okres jest mgnieniem w wieczności, ale wiecznością jest dla tych, co w udręce szukając prawdy, tłoczą się u czarnej opony tajemnic i nie widzą, że rozdarta jest od góry do dołu! A niechby pytali sosny lub kłosu polnego, lub żórawia jednego z lecących sznurem do swej ojczyzny, oneby powiedziały, że Bóg litośnie rozdarł zasłonę tajemnic metafizycznych w chwili, gdy kazał się modlić: Ojcze nasz... Oneby wytłómaczyły, czemu w tej modlitwie ani razu nie użyty jest wyraz *ja*, lecz *my*, czemu *nasz*, nie *mój*, czemu nie prosi ona o nic dla mnie, o wszystko zaś dla nas. Łatwiej, niż księgi uczone, powiedziałyby ptaszęta, iż *ja* nic zgoła nie oznacza, nie odpowiada żadnej istności rzeczywistej, nie określa żadnej całości, ani własności indywidualnej. Jest to pusty dźwięk, który poczyna drgać treścią dopiero, gdy napłynie tam coś, co zgoła nie jest moje, lecz nasze, a lepiej mówiąc — boskie. *Ja* — to osobowość, tej zaś nigdzie niema i pomyślenie jej jest równie niepodobnem, jak pomyślenie fali, w oderwaniu od żywiołu, śród którego powstaje. Lecz osobowość i indywidualność to różne rzeczy. Każda fala w najkrótszem swem istnieniu i każda sosna ma swą indywidualność;

osobowości — nic i nikt. Osobowość jest to albo jedno z tych pojęć względnych, które tworzymy, by ułatwić sobie ujęcie świata zjawisk, a które z chwilą, gdy poczytamy je za fakt i rzeczywistość, tylko nam ją zaciemniają — albo pomieszanie z pojęciem indywidualności, która wcale nie jest tym zawiązanym pęcherzem, w którego postaci wyobrażamy sobie osobowość — lecz jest iskrą, płomieniem, wybuchem energji, a więc siłą i treścią, nie zaś foremką. Osobowość — powiadam — to zawiązany pęcherz, a w płynącej fali życia niema miejsca dla rzeczy, zawiązanych w sobie. Wszystko rozlewa się i płynie...

Tak tedy—i przyroda i Bóg uczą nas jednego—że w mowie naszej i hymnach i modlitwach wszędzie wyraz ja winniśmy zastąpić wyrazem—my. Bo jako *my*—niewątpliwie istniejemy, *ja* zaś—jeśli istnieje, to jedynie w tym zakątku, o którym najbardziej królewska z cech naszych — duma — milczeć każe — w naszem cierpieniu, w naszej jedynej bezspornej własności... Niema przeto miejsca dlań w głośnej mowie do ludzi lub pieniach do Boga.

Poza tem modlitwa Chrystusowa jest skarbem i dla innych powodów. W modlitwie tej—ułożonej nie dla wybranych, lecz dla całego szarego tłumu ludzkiego, jest mowa tylko o rzeczach najwznioślejszych i zawarta jest prośba tylko o te rzeczy najwznioślejsze—o uświęcenie się Imienia Pańskiego, przyjście królestwa bożego, o przebaczenie powszechne, o oddalenie od nas złego czyli niebytu; nawet i ten chleb powszedni, o który prosimy, toć to nie chleb cielesnego jeno pożywienia. I o tych rzeczach najwznioślejszych, najwspanialszych ze wszystkiego, co pomyśleć może umysł ludzki, mówi się tam z taką prostotą i jasnością, że w znaczeniu tej modlitwy nawet dzieci nie znajdują nic, w czemby uwikłać się mogły. Źle mówię — dzieci, boć dzieci modlą się jeszcze sercem, a przeto są nieomylne i wyjaśnień żadnych im nie trzeba; nie dzieci zatem—lecz wogóle umysły mało lub zgoła nieoświecone. I ta modlitwa—nie potrącająca zgoła o dzień powszedni i snująca się śród aspiracyj najwyższych — nie jest przeznaczona na święta, na jakieś momenty niezwykłe, lecz na codzień, na dzień powszedni właśnie,

na każde ocknięcie się i każde usypianie; to zaś oznacza, że ten, co tę modlitwę nie dla filozofów samych, lecz i dla prostaczków układał, nie uważał owych rzeczy wzniosłych za coś tak bardzo niewyraźnego, dalekiego, nadzwyczajnego, lecz za coś, co jest gdzieś blisko nas, a powinno być śród nas. Człowiek posiada nierównie więcej skrytości, niż Bóg. Kto czuje Boga, ten wie, że w Nim jest nie skrytość, lecz wielkość trudna do poznania; nie niechęć do odsłonięcia się, lecz raczej tęsknota do tego, by przestać być tajemnicą i stać się dla swych tworów czemś bliskiem, drogiem, codziennem i tak nieodzownem, jak powietrze, którem oddychają. Tą tęsknotą drga cała modlitwa Chrystusa o *Ojcu naszym*, przewija się ona w całym zakonie starym, w snach i marzeniach proroków i widzących, w ich rozmowach i gawędach z Panem Panującym, które wydają się nam zbyt poufałemi i przyjacielskiemi, by miały być prawdziwemi, choć nie wiemy, czy Bóg nie rozmawia poufale z sosną lub ptaszkiem.

Człowiek nie umiał sam ułożyć słów swojej modlitwy codziennej, swego hymnu na ranki i wieczory życia. Przeto ułożył mu ją Bóg. Lecz oto — uzyskawszy słowa, ludzie modlą się słowami, usty, a wielu już nie umie modlić się sercem, jak ich dziatwa, lub całą duszą—jak przyroda.

(1917 r.).

* *
*

XVIII.

O UNIWERSALNOŚCI.

(Z listu do S. M.).

Kochany Kolego! Dziękuję za książkę. Jedno tylko powiedzieć mogę, iż Krzemińskiego wplotłem do wyraźnie uświadomionych obowiązków i celów swoich. Obowiązkiem nazywam to, czemu mogę podołać; celem — to, co widzę jasno i mogę osiągnąć. Ale nie mogę się związać przyrzeczeniem w czasie i przestrzeni, bo o tem rozstrzygam nie ja sam, lecz prawo ewolucji moich myśli; nie mogę powiedzieć, czy Krzemiński będzie jednym z rozdziałów „Domu", czy czemś osobnem, ale choćby był osobnem, to zawsze w najściślejszym z „Domem" związku.

A teraz mam do Was wielką i ważną prośbę. Gdyby czas nie pozwolił Wam spełnić ją samemu, to jestem najpewniejszy, że w Waszem gronie znajdziecie kogoś, co chętnie ją spełni, bo to jest uczestnictwo w budowie „Domu", który przecież nie jest moim, lecz naszym wspólnym Domem, gdzie z radością moglibyśmy się wszyscy zgromadzać. Idzie o ułożenie szeregu (co najmniej — z kilkunastu nazwisk) *Polaków uniwersalnych*, czyli jednoczących w sobie wybitne zdolności w kilku różnych kierunkach, lub wybitne zdolności—z głębokiemi cechami charakteru.—Szereg ten należałoby tak ułożyć: 1) Mają być w nim wymienieni Polacy z okresu niezbyt odległego od spółczesności, lecz *kilka* nazwisk (np. Kościuszki) może zachodzić w okres dawniejszy; 2) na początku mają być wymienieni ludzie mało lub wcale nieznani ogółowi, a — dopiero potem znani u nas

powszechnie, lub wszechświatowi; 3) początkowy szereg (mało znanych) winien być ułożony nieco szczegółowiej, podług takiego schematu: „N. N. *lekarz—esteta—filantrop* (co dokonał?) ur. —— r.; † —— r.; działał na Rusi (resp. w Galicji, na Litwie, w Poznańskiem)“ lub „N. N. matematyk—poeta—organizator ruchu społecznego (w jakim kierunku?); ur. —— r.; † —— r.; działał...“— Po nazwiskach zaś powszechnie znanych lub Polaków wszechświatowych nie potrzeba wymieniać dat, ani dzielnicy kraju.

Ponieważ szereg ten jest mi potrzebny nie po to, by *wyczerpać* dzielnicę objawów, w którym go umieszczę, lecz po to tylko, by dzielnicę tę *wskazać*, więc wystarczy mi szereg ograniczony, a nawet—ze względów techniki postrzegania lepiej, by szereg ten nie był zbyt długi. Bo szereg, dający się objąć jednem postrzeganiem, sprawia wrażenie skupione, szereg zaś, postrzeganie którego trzeba wałkować — sprawia wrażenie rozlane.

Ale zgódźcie się, że gdy ktoś zużyje już pewną energię na ułożenie szeregu, obejmującego dwadzieścia nazwisk, to czyż nie byłoby wskazane i konieczne, żeby ta energja szła już dalej — w kierunku ułożenia polskiego Plutarcha. Czegoż byśmy oczekiwali od naszego Plutarcha? Żeby nam pokazał właśnie bogactwo, *uniwersalność* natury polskiej, bo ten pokaz jest niesłychanej wagi, w tym pokazie będzie uświadomienie naszego posłannictwa nieuchronnego, naszych obowiązków najbliższych; będzie założenie podwalin *Domu Cedrowego Polski.*

Na wstępie może nie Plutarcha odrazu, lecz skorowidz nazwiskowy do Plutarcha ułożyćby warto. W znaczeniu praktycznem skorowidz nazwiskowy do Plutarcha miałby nieomal doniosłość samego Plutarcha, bo już byłby dostatecznym, byśmy sobie uświadomili, że nie jesteśmy przygodnemi momentami jakiejś treści, lecz ziarnkami różańca, nawleczonemi na jedną nić. Cóż to za nić? Zowię ją wolą — naszą i boską, czyli jedną, bo wola, jak treść, może być tylko jedna.

A czego domaga się ta wola, dokąd prowadzi? Lecz wpierw odpowiedzmy sobie, co to jest uniwersalność, zwłaszcza zaś uniwersalność polska. — Nie możemy sobie wyobrazić wysokiego stopnia udoskonalenia jednego zmysłu bez spółdziałania

choć w pewnej mierze — innych zmysłów, choćby niektórych tylko, lecz również nad zwykłą miarę udoskonalonych. Coby właściwie zdziałać mogła znakomita organizacja oka, nie poparta jeszcze czemś, również nieprzeciętnem. Nie wszyscy artyści mogą być Michałami Aniołami, lub Leonardami de Vinci, ale pewnem jest: 1) że, aby być Leonardem, potrzeba mieć nie jeden zmysł oka, lecz wiele zmysłów wysoce udoskonalonych, i 2) że żeby zostać bodaj tylko przeciętnym malarzem, potrzeba, oprócz oka malarskiego, mieć jeszcze coś nie coś innego. Jeden jakiś wydłużony ponad wszystkie inne zmysł byłby anomalją. Byłoby to cielę o dwu głowach, lub pięciu nogach, lub o jednym, lecz bardzo długim ogonie. Tymczasem uniwersalność nigdy nie jest anomalją, przeciwnie—harmonją, lub dążeniem do harmonji. Tam, gdzie wystąpiła znakomita organizacja oka, tam i ucho chce mieć coś do powiedzenia; jeśli nie ucho, to zmysł dotyku, lub zmysł cnoty, lub zmysł miłosierdzia, lub zmysł organizacji. Jest to najzwyklejsza, lecz konieczna i nieunikniona emulacja zmysłów, konieczny i nieunikniony warunek naszej ewolucji. Bez wątpienia, artysta może być łotrem. Mamy całe epoki, w których rozkwit sztuki kojarzy się z wyuzdaniem, upadkiem obyczajów, czyli jakby zanikiem wielu szlachetnych zmysłów. I oto właśnie w tem miejscu zarysowywa się różnica między uniwersalnością Polaka — i Włocha, Francuza i in.

Zmysły, jako formy postrzegania pewnych momentów treści, nie dzielą się bynajmniej na zewnętrzne i wewnętrzne, lecz stanowią jeden łańcuch, którego ogniwa im dalsze, tem głębszą treść ujmują. A zatem jest to szereg, w którem A, B, C, D i E jest to oko, ucho, węch, smak, dotyk, zaś F, S, H i t. d.— jest to zmysł cnoty, zmysł miłosierdzia, zmysł organizacji, zmysł tkliwości i t. d. Ułożenie całego szeregu jest niemożliwe, gdyż dalsze ogniwa: M, N, O i t. d. nie będą to już zmysły wyraźnie zróżniczkowane (chociaż—zupełnie zróżniczkowanych wcale niema, tylko się tak wydają), lecz jakieś zespoły zmysłów, spotęgowania, cechy bardzo głębokie, a nieuchwytne, zmysły braci Albertów, proroków i t. p. — Otóż zwróćcie uwagę, iż w uniwersalności Polaka występują, jeśli nie zawsze, to przeważnie,

skojarzenia któregoś z ogniw A, B i t. d. z najdalszemi: M, N, O i t. d., czyli są to organizacje, mogące ujmować *najgłębsze momenty treści.* To są właśnie Skargi, Mickiewicze, Słowaccy, Matejkowie, Jackowie Malczewscy — imię im legjon. Święty różaniec Polski i ludzkości.

Otóż—skorowidz nazwiskowy do Plutarcha Polskiego byłby sposobem indukcyjnego stwierdzenia tego, co powyżej wyprowadziłem dedukcyjnie.

Ale do czegoż nam posłuży stwierdzenie takiej a nie innej uniwersalności Polaka?

Piszecie mi w jednym z listów, że prof. R. mniema, iż to w Polsce będą rozstrzygnięte zagadnienia metafizyczne. Ja jestem tego pewny, pewność tę zaś opieram na takiej podstawie.

Rozwiązanie zagadnień metafizycznych nie może nastąpić na innej drodze, niż na drodze empirji. Wogóle poza empirją *poznania* nie może być; przeciwne twierdzenie jest to bezwątpienia absurd absurdów, obłęd. Poza empirją mogą być przeczucia, można sobie wyobrazić nawet jakieś bezpośrednie namacywanie, lub przelewanie się treści. Ale żeby tę treść *poznać* czyli *postrzegać*, nieuniknione są *formy postrzegania.* Bez nich i Bóg siebie nie postrzeże. Ale trzebaby być już zbyt ciasnym, jak na dzisiejsze czasy, umysłem, żeby chcieć ograniczyć empirję do postrzegania tylko przy pomocy szeregu A, B, C, D, E z dodaniem pomocniczego szeregu a, b, c, d..., w którym *a* jest wagą, *b*—skalpel, *c*—odczynnik chemiczny i t. d. Postrzeganie empiryczne tem jest doskonalsze, im dłuższy jest szereg ABCDEFGH... MNO... i t. d. i odbywa się za spółdziałaniem wszystkich ogniw. Spółdziałanie to wydłuża promień spostrzegania i widzenia empirycznego, które w ten sposób sięgać może coraz głębiej i dalej. — Ale do rozwiązania zagadnień metafizycznych, do poznania i postrzegania treści najgłębszej, nigdy żaden indywidualny szereg ABCDEF..., choćby był najdłuższy—nie dojdzie. Tu potrzeba chwytu zbiorowego. To wykona nie człowiek, lecz naród, w którym skupiły się organizacje, odpowiadające skojarzeniom A... + M + N i t. p.

Jest w Was dar Ducha świętego, dar zawołania. Powinniście całą moc tego daru skierować dziś właśnie ku stworzeniu Plutarcha polskiego, lub tylko skorowidza, bo potrzeba, żeby ten naród dziś właśnie uprzytomnił sobie, czem jest, z jakiej drogi nie wolno mu zejść bez unicestwienia siebie. Niechże ten naród zrozumie, jaki ogrom Łaski na niego właśnie jest zlany. Bo cóż to jest—rozwiązanie zagadnień metafizycznych? Toć to nie jest zaspokojenie ciekawości lub tęsknoty, lecz reforma reform, dźwig, który cały świat poruszy i wyrzuci z błędnego koła halucynacyj i pchnie dziś dopiero na jego drogę, na drogę rzeczywistości. Taką reformę wskazał Chrystus i całą ją oparł na sercu. Reforma potknęła się o intelekt Balaama. Trzeba go zaspokoić. Nie tylko czuć—trzeba nadto—postrzegać. Gdy serce czuje, a intelekt spostrzega, człowiek już żadną miarą nie może się upierać przy chodzeniu na głowie i musi się zdecydować stanąć na nogach. Dopiero wówczas otwiera mu się perspektywa rzeczywistości, dopiero wówczas przystąpić może do pisania praw (może to będzie czynność zbędna), do budowy życia społecznego, do zakładania uniwersytetów i akademij.

Przeżywamy jeden ze szczytnych, zenitowych momentów ewolucji. W takim momencie nie wolno się rozpraszać, trzeba się skupić w moc niesłychaną, któraby nam starczyła na cały nowy obieg, przez daleki nadir ku nowemu zenitowi.

Wstrętny jest wyraz „partja", ale zgadzam się nań w tem znaczeniu, że my bezpartyjni winniśmy się skupić w jądro, które, rozrastając się, musi pochłonąć wszystkie „partje" i doszczętnie zniszczyć pierwiastki, które powodują powstawanie „partyj".

Moi drodzy! Wszystko to, co Wam pisałem bądź w rękopisie, bądź w listach, upoważniam Was do odczytywania śród Waszego kółka i z młodzieżą wszelką, jaką znacie. Ta młodzież, choć jej nie znam—*wspiera* mnie i to mocno, usilnie, skutecznie—choć tego może nie wiedzą. Słabszy jestem teraz, niż byłem kiedykolwiek, a mam moc daleko większą, niż czasu zdrowia. To nie moja moc, lecz ich; to bije do mnie skądciś moc młodości, w której rozzielenia się i zakwita moja dawna, z przed laty.

A filozofja mnie nie wspiera. Mało się uczyłem, a filozoficznie—prawie nic. Ale mówię Wam, że i to jeszcze *za dużo*. Gdyby mniej tego, to i mniej byłoby dzisiaj odciągania myśli na pola wyjałowione, które nigdy się już nie zazielenią. Filozofja, niestety, nie zasługuje na to, by wlewać w nią nową krew, młodą. Mogła nie pozwolić, a jednak pozwoliła na to, iż rozpostarło się *takie* prawo, *taka* polityka, *takie* życie społeczne! Zawiodła. Dziś już to jest dom opuszczony, w którym czołga się najsmętniejszy ze smętków, melancholja rzeczy niepowrotnie opuszczonych. Owszem, będziemy nawiedzali tę świątnicę; będziemy w poważnem skupieniu i z wzruszeniem pochylali głowy przed posągami Arystotelesów i Kantów i nawet nie zerwie się nam z ust wyrzut: „Czemuście nie mieli woli! Byliście tak blisko, tak blisko—i w ostatniej chwili zabrakło wam woli!“ Ale dzisiaj galwanizować nieboszczyków -- po co? Kiedy idzie i rozkwita nowe życie. Ludziom, którzy będą chodzili na nogach, nie na głowie, filozofja będzie bardzo mało potrzebna.

Ach, potrzebne jest teraz skupienie się, moc, potrzebny jest nawet *pośpiech*. To są momenty, które powinny wmieszczać w sobie tysiącolecia. I gdy ten moment przegapimy, potrzeba będzie tysiącoleci, byśmy znów wrócili w okolice tego zenitu...

(1917 r.).

* * *

Na list mój, fragmentarycznie wyżej przytoczony, otrzymałem od S. M. odpowiedź, którą z jego upoważnienia przytaczam:

„Moi Drodzy! Dotknęliście najgłębszych, najaktualniejszych zagadnień polskich, które są moją religją. Niestety, nie ma księgi czynów polskich, bezimiennych wysiłków i zmagań się duszy w torturach; musiałyby przemówić ściany więzień... Na powierzchnię literatury wypływają głosy tych, co umieją wypowiedzieć się, ale są milczący—jak ryby, których krajanie do głosu nie zmusi. Ksiądz Sierociński, co otrzymał 6000 kijów w Syberji pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy (za organizowanie powstania na Syberji) — milczał, zmarł pod kijami, wieziono trupa w kibitce i bito dalej, aż wyliczyli 6000! Tak bywa i z duszami osamotnionych!

O Plutarchu marzyliśmy z Krzemińskim. . Miał przedmowę pisać. Wymieniał nawet nazwiska: Niemcewicza, Sierakowskiego — pułk. wojsk ros. i powstańca, Józefa Janowskiego, członka rządu narodowego. Jeszcze Aleksandra Krajewskiego — uczestnika 2-ch powstań, adwokata z Warszawy, i szereg bezimiennych męczenników. Czyście czytali Pamiętniki Rufina Piotrowskiego (cudowny polski duch — typowo polski.)? przeczytajcie koniecznie. Święty.—A Stanisław Szczepanowski — działacz galicyjski i pisarz...

Jego życiorys, zob. Zawiszyna: „St. Szczepanowski“ (Warsz.), oraz Dzieła Szczepanowskiego (O wychow. narodowem). Zob. również „100 lat myśli polskiej“, gdzie Krzemiński pisał życiorysy; te dużo dają do myślenia. Zwróćcie uwagę na książkę p. t. „Piotr Michałowski”. Nie znam charakteru tego znakomitego Polaka — ależ to chyba nasz Leonardo naprawdę: matematyk, filolog, malarz, rolnik, ekonomista, polityk—a wszędzie niepospolity...

Mojem dążeniem było — w wydawnictwie mojem zgromadzić wszystkie umysły twórcze Polski; szukam ich po świecie, bo wierzę, że i nauka jest narodowa. Tak dotarłem do takich, jak ś. p. Raciborski.

Słusznie tak serdecznie o młodzieży piszecie! Tam znaleźć można, jak na łonie przyrody, wytchnienie i siłę.

Chciałbym, abyście byli w poniedziałek (Mokotowska 61, Kursy Miłkowskiego) na odczycie o g. 6 psychologa Abramowskiego („Metafizyka doświadczalna“). Rewelacje. Otwiera nowe widnokręgi; oryginalny europejskiej miary badacz „podświadomych stanów duszy“. To w związku z Waszemi dociekaniami. Popiera je.

Ale wracając do Plutarcha — możeby rozszerzyć i na naszych bezimiennych bohaterów życia codziennego — i na tego chłopa, co nie ucieka z pola, gdy bitwa się zbliża, orze dalej, „bo nikomu nic nie winien — a ziemi tak ostawić nie można“.

Pomówimy o Plutarchu jeszcze. Dużo mamy materjałów, pisanych nietylko atramentem, lecz i krwią ofiarną“.

* *
*

XIX.

PRZEGRODY I WIĄZANIA.

(List do N. N.).

Przegrody pomiędzy ludźmi wyrastają jedynie za przyczyną występku, złości i egoizmu. Oto ręce—które zawiązują wydęte pęcherze osobowości ludzkich i nie pozwalają uwięzionym w tych pęcherzach duszom uwspólnić swych treści. Ale—to wstyd, bo te ręce—to ręce widziadeł, mar, naszych własnych urojeń, zrodzonych w momentach jakiegoś gorączkowania, jakiegoś tyfusu duchowego. By pierzchły—dość, częstokroć, przetrzeć oczy lub umyć się czystą, zimną wodą. Gdy to nie wystarcza—trzeba leczyć się! Lecz pozwalać by widziadła—prowadziły nas, były naszymi przewodnikami i wpychały nas do błota — to rzecz niemęska!

A w cnocie — dusze ludzkie bez żadnej trudności, nie spotykając żadnych przeszkód, ni przegród — spływają jednym strumieniem... Bo-ć wzięte z jednego Oceanu ku niemu z powrotem płyną!

Kochany ....! Julcia i Oleś natarczywie domagają się Twego przyjazdu. Jestem o nie zazdrosny. Ten „dobry wujaszek“, „poczciwy wujaszek“ lub „ten wujaszek, co tak włosów nie ma, jak i tata“—jak czasem niedyskretnie Julcia się wysławia — za często jakoś bywa na ich ustach. Pamiętaj sobie, bratku, bywałeś ty ongi zazdrosnym o różne Twoje Małgorzatki i umiałeś bronić do nich przystępu, a dziś ja nie lubię, by ktoś wiele miejsca zabierał w sercach moich dzieci. Tam przystępu nie tamuję jednemu tylko — Bogu. No, ale i dla zacnych i podstarzałych safandułów, jak Ty, mam wyrozumienia nieco. Słowem—przyjedź. Oleś dotąd przypomina i powtarza

Twoje paradne historje o „Żydkach z Cytadeli" *) i dotąd nie może sobie darować, że nie przymierzył Twojego kapitańskiego kaszkietu i nie próbował wywijać Twoim pałaszem. Czy to aby prawdziwy ten pałasz? Przepraszam Cię, nie podaję w wątpliwość rycerskiego Twego animuszu, który zawsze w Tobie dorównywał swym poziomem Twojej nadzwyczajnej ongi pochopności do przygód miłosnych, lecz znając Twe gołębie serce, przypuszczam, że do prawdziwej klingi kazałeś pewnie dorobić pałasz kauczukowy, by i wroga zbytnio nie ukrzywdzić. Ale—powtarzam—nie wątpię, że Twojej własnej piersi i głowy zawsze nastawisz tak chętnie i niefrasobliwie, jak ongi nastawiałeś swe nieopancerzone serce pod pociski i groty z ładnych cząt!

A wiesz, jakiego figla wypłatała mi Julcia?! Wyciągnęła mi z biurka paczkę fotografij, przegląda je—i naraz mówi do matki: — „Mamo, jaki to ładny chłopiec!" — Ze zgrozą odebrałem jej fotografję. Jest na niej dwu młodzieńców — jeden w wojskowem odzieniu dawnych „wolno-opredielajuszczych-sia", drugi w studenckim mundurze—i stary jegomość z chudą, ascetyczną twarzą, o wysokim czole, łysawy, z brodą. Miły Boże, któż, znając ciebie, jakim dziś jesteś, powiedziałby na tego młodzieniaszka wojskowego, że to Ty i że to Tobie Julcia palnęła ów komplement! Julcia temu nie uwierzyła; tłumacz to sobie, jak chcesz—bo to i pochlebne i niepochlebne...

Odebrawszy jej fotografję, długo się przyglądałem rysom tych trzech osób—i hurmem nabiegły wspomnienia... Ten jegomość z ascetyczną twarzą... Wiesz, jak serdecznie kochałem Twego ojca, a i on przecież mnie, gdym mego stracił, tak serdecznie przygarnął i między swoich synów wliczył. Nie mogłem się z nim spoufalić ze względu na różnicę wieku, alem jasno i wyraźnie wyczuwał głąb jego duszy — polską, zacną i czystą, choć smutny nałóg zasnuł ją jakąś szarą powłoką. Pamiętasz, jak to raz matka Twoja wysłała nas na poszukiwanie

*) Kolega mój szkolny z gimnazjum lubelskiego i trochę—krewniak, N. N., wojskowy ongi z armji rosyjskiej, później polskiej, a dziś — inwalidzkiej, w pamiętnym wrześniu 1920 r. pełnił służbę w Cytadeli i ma w pamięci pełno zajmujących szczegółów o zachowaniu się niektórych Żydów w te dni, gdy to tłuszcza mongolsko-żydowsko-moskiewska parła na Warszawę.

jego? Znaleźliśmy Twojego ojca w starej dzielnicy miasta *), w jakimś niesłychanie posępnym handelku win. Był sam. Przed nim niedopita butelka i jakiś kanciaty, z zielonego szkła, obrzydliwy kieliszek. Siedział przy oknie, za którem widać było gładki i szary a wysoki mur, czy ścianę sąsiedniego domu. Ile on tu godzin już strawił, poglądając pewnie wciąż na ten mur, taki gładki, bez okien i żadnego załomu i taki szary—jak beznadziejność! Patrzeć na ten mur, iście więzienny, i snuć myśli, które ten widok nasuwać mu musiał!... Z miłością i uszanowaniem patrzyłem na jego chudą, zbiedzoną twarz, a on wlepił we mnie gorejące wejrzenie ócz zaczerwienionych i szeroko otwartych:

— A co, smyki,—tak nas przywitał—złowiliście mnie, hę? Zwęszyliście, hę? jak pieski starego zwierza! Któż to was na moje ślady naprowadził?

Ale nie był rozgniewany, dał się nam wyściskać i wycałować; obsiedliśmy go z obu stron i poczęli namawiać na przechadzkę za miasto. Nabrał humoru, ale nie prędko jeszcze dał się ruszyć z miejsca.

— Dobrze, dobrze—mówił—pójdziemy. Na Kalinowszczyznę, hę? Łąkami przejdziemy, hę? Śliczny tam kościołek i dziewczęta kalinowskie, jak kaliny, co? Bardzo dobrze. Capnęliście mnie. Ale pamiętajcie, do tego tu miejsca droga ma wam zarosnąć! Raz na zawsze.

Znów miał oczy wlepione w mnie.

— Rozumiesz? Że wyście mnie przyłapali, to nic, bylebym ja was nigdy nie przyłapał.

Sięgnął po butelkę, popatrzył na nią, zakorkował starannie korkiem, który obok leżał, i odstawił wraz z kieliszkiem dalej do ściany.

— Jak to było ze starym Abrahamem? — mówił dalej. — Zaraz sobie przypomnę, a tymczasem słuchaj-no, ty poeto — zwrócił się do mnie—nie pij, nie pij! Pamiętaj! Komu wolno, to wolno; poecie nie. Ten mój smyk, no, niech tam. Urwipołeć!

---

*) Mowa—o Lublinie.

Trzeźwy czy pijany, drogi do fartuszka nie zmyli; jedna, druga uwiąże go sobie na tasiemkę i będzie go miała, póki tasiemka strzyma. Ale, przytem i zatem, to i jemu zabraniam, słyszysz? zabraniam. Co zaś do ciebie, to ho, ho! Tylko mi spróbuj, tylko mi się waż!... Jak to było ze starym Abrahamem? Przypomnę sobie, a tymczasem ty pamiętaj, że gdy poezja się z wódką uściśnie, to to uścisk straszny. Na śmierć. Na śmierć niezaszczytną, brzydką, zawstydzającą, tak!

Milczał chwilę, a myśmy patrzyli mu w oczy przyjaźnie, radzi go słuchać.

— Abraham tak uczynił — odezwał się znów, a uśmiech mu usta okolił—naznosił drew, uszykował stos, położył na nim związanego synusia, pamiętacie? ukochanego synusia! I już wyjął zapałki... Słuchajcie, gdy umrę, będę miał was na oku i gdy was przyłapię w tem tu miejscu lub podobnem, a postrzegę, że dla kieliszka albo fartuszka zapominacie o rzeczach ważnych, tedy nie spodziejecie się, jak spuszczę na was ogień i sprawię wam taką łaźnię, że nie będziecie wiedzieli, którędy zmykać!

Ręka jego jakoś machinalnie posunęła się do butelki i cofnęła się.

— Tak, tak. Bo ja co innego i wy co innego. Młodzi to wcale co innego. To — nadzieja Boga...

— ...I Polski—dodał po chwili. Wsparł łokieć na stoliku, głowę na dłoni i siedział tak długą chwilę, a w tym czasie powieki mu się przymknęły nad temi gorejącemi, zaczerwienionemi oczami, których spojrzenie sprawiało na mnie jakieś ciężkie wrażenie. Przyglądałem się Twemu ojcu w tej chwili bardzo uważnie i pierwszy to raz w życiu zdumiała mnie zmiana, jaka zachodzi w wyrazie twarzy, gdy przysłonić w niej ogniska ócz i gdy twarz może mówić tylko zgaszoną swą powierzchnią. Tam, gdzie błędnie jakoś czerwieniały te ogniska, teraz na twarzy jego leżał cień głębokiej melancholji, a w koło ust wystąpiła jakaś gorzkawość bolesna. Miła mi była ta głowa i twarz. Malczewski by ją zapamiętał. Mówią, iż oczy — to okna duszy. Nie może być bardziej fałszywej opinji — o ile

nie mamy na myśli dzieci. Z oczów wiele rzeczy wygląda, ale prawie nic z duszy prawdziwej, prawie nic z jej głębi i nic zgoła z tych jej pierwocin, które z sobą na świat przyniosła; wygląda z nich dusza nawiana, dusza przygodna i przybłąkana, dusza kłamana, kłamliwa i kłamiąca, dusza doświadczenia ludzkiego i kłamstwa ludzkiego, dusza fałszywej mądrości, dusza obyta z kinematografem i igraszką cieni, dusza, która oderwała się już od prawdy i zapomniała o rzeczywistości. Lecz zamknijcie oczy, a wtedy wasza twarz zgaszona, lub uśpiona, lub martwa, po zgonie — poczyni nadzwyczajne rewelacje, od których osłupieć można; wyjawi tajemnice, starannie ukryte; roztworzy głąb i przemówi prawdą—prawdą... I tą, od której oderwaliście się, i tą, której wyparliście się, i tą, którą radzibyście ukryć, i tą, która w onieśmieleniu i wstydliwości łka gdzieś w waszej głębi, pod waszą zewnętrzną, nawianą, kłamliwą i sfałszowaną duszą! — A co się tyczy dzieci, to tyle powiem—że gdy z otwartych ich oczu wygląda niewinność, zwykła niewinność istoty ludzkiej, niedotkniętej zepsuciem i kłamstwem, to na uśpionych ich twarzach występuje już zgoła co innego. Poprostu przychodzi do nich poufale Bóg i kładzie im na twarze swój odblask. Pamiętam—kiedyś, gdy byłem w odwiedzinach u mojej siostry, wieczorem stanąłem wraz z nią przy łóżku, na którem spała jej pięcioletnia córeczka. Mówię Ci, że mógłbym zapomnieć o świecie i sobie i zamrzeć w kontemplacji. Uśpiona twarz tego dziecka to było coś, co już nie daje się ująć słowem, chyba muzyką, i to nie naszą, lecz — przyrody, gędźbą fali wodnej, łagodnie w czas bezwietrzny szemrzącej, muzyką nocnej ciszy majowej, szeptaniem rozkwitłych w bieli sadów wiśniowych. O takim cudzie, jak uśpione, Bogiem pachnące maleństwo mogą opowiedzieć tylko inne cuda, w których płomieni się i wstydliwie pachnie niewinność. Artysta nie zdoła, chyba że — bezgrzeszny.

Twarz Twojego ojca, gdy tak siedział z przymkniętemi oczami, pachniała mi umęczeniem więzionych i zakutych w dyby i łańcuchy...

Gdy podniósł zaognione powieki, wstrząsnął się, wstał zaraz i zaraz wyszliśmy.

Pamiętasz? Wyszliśmy i po niedługiej chwili już wszystek brud życia odszedł, a my — szliśmy łąkami. Chłopie kochany, czy Ty je pamiętasz? Czy są jeszcze gdzie na świecie takie łąki — i czy to łąki były, czy też nasze dusze swym majem rozesłały się po tych kobiercach ziemi i błękitach nieba i uszły w te wonie jędrne i rozśpiewały się po skowronczemu? Tyś pono oglądał się za jakąś kaliną i szukał jej ocząt, ale my dwaj — stary jegomość z pociągłą, ascetyczną twarzą i rozognionemi oczyma, którego fotografja leży teraz tu przedemną — i ja zapatrzyliśmy się w oczy przyrody i w ich czarze zatonęliśmy bez pamięci. Co za czar, co za urok! Tam, w mieście—Polska sposępniała, chmurna, spłakana zdawało się, iż wzdryga się i wstrząsa od dotknięcia kajdan, sprawiającego jej w każdym nerwie udrękę i obrzydzenie, jak od dotknięcia splotów brudnego gadu. Tu—śmiała się wolnością. Zbrodniarze wszystko zakuli, ale nie zakuli nam łąk i majów i nieba i skowronków... No — u wielu i duszy!

* * *

Z kolei począłem się przyglądać Twojemu konterfektowi... Rozumiesz, iż na pierwszem miejscu winienem był postawić — i już to tak jakoś samo w toku moich wspomnień nastąpiło — Twojego ojca, pokolenie ustępujące, po którem wzieliśmy kajdany na rękach i wolność w duszy i ich błogosławieństwa i ich zaklęcia — to groźne „Memento!” z przestrogą, że oni sami na stos nas wprowadzą i ogniem z niebios go zapalą, jeśli — zapomnimy...

Nie przypominam sobie dobrze, jakie to konjunktury życiowe wpędziły Cię w taką matnię, iż musiałeś przywdziać mundur moskiewskiego „wolno-opredielajuszczagosia“; zapewne podobne do tych, jakie nieco później—po tem okresie mojego życia, kiedy zdarzało mi się noclegów szukać między stosami desek nad Wisłą a posilać się znalezionemi skórkami chleba— opięły mnie w mundur „sekretarza“ i „radcy kolegjalnego“.

Setny mój chłopcze! Długo przyglądałem się Twemu miłemu „buziakowi". Już ci komplementy nie zaszkodzą, więc powiem—że doprawdy byłeś ślicznym chłopakiem. Julcia wcześnie ujawnia dobry gust, ale—niebezpieczny. Bo nie powiem, żeby było w Twych rysach co klasycznego, lecz właśnie ta śliczność niebezpieczna, ten djablik jakiś szelmowski, co tak wielce musiał niepokoić i kusić Małgorzatki. Pamiętasz, no — naturalnie, że pamiętasz — naszą podróż do Kijowa? Ów pełny przedział. Wchodzi dama nie dość, iż młoda, powabna i elegancka ale nadto jeszcze—tak się nam przynajmniej wydawało — posiadająca niesłychanie „arystokratyczny" układ. Oczywiście, ustępujesz jej swego miejsca. Przedział potrochu się opróżnia i zostaje w nim trójka nas—z damą. Wyszedłem na korytarzyk—wagon był korytarzowy—dla zaczerpnięcia powietrza z otwartego okna; po niedługim czasie wracam: „arystokratyczna dama" *) siedzi u Ciebie na kolanach, jakkolwiek miejsca już wówczas nie było brak. Ale miary nie było memu zdumieniu, gdyście wysiadłszy na jakiejś stacji rzekomo dla wypicia herbaty — już do wagonu nie wrócili. Przyjechałeś do Kijowa z dwudniowem opóźnieniem. Miałem poważne wątpliwości co do tego, czy nie minąłeś sie z prawdą, kreśląc w urzędowym raporcie, iż przyczyną tego opóźnienia było „gwałtowne zaziębienie z silnym bólem głowy i znacznem podniesieniem temperatury ciała".

Z Twoim miłym konterfektem wiążą się moje wspomnienia z owego rocznego, czy półtorarocznego okresu, kiedy to po awanturach w Instytucie Puławskim i opuszczeniu przez nas Instytutu tego, przylgnęliśmy na pewien czas do życia dość nieciekawej, prowincjonalnej cyganerji **). Pisałeś mi kiedyś, że te wspomnienia odnawiasz w pamięci bez wielkiego zapału i bez osobliwej przyjemności. No, widzisz—o tem mówić nam nie wypada; nie wypada krzywić się na wspomnienie starych miłostek pod pozorem, że były one zbyt pospolite, ani na

*) Była to tylko żona jakiegoś prokuratora i «rzeczywistego radcy stanu», który snać pilnie śledząc zbrodniarzy, mało jej poświęcał uwagi.

**) W Lublinie.

wspomnienie brudnych knajp, w których noc się przesiadywało — bo każdy nam powie, że krzywimy sie jedynie dlatego, że dziś te rzeczy to już zielone dla nas winogrona. I nie spierałbym się o słuszność takiej uwagi. Zresztą byłoby to niewdzięcznością odwracać się od tych knajp, dlatego, że były zadymione boć nie tylko dymy się po nich snuły, ale — i marzenia; i niegodziwością byłoby odwracać się od tych trzpiotek, które oddawały nam swe uśmiechy i swą młodą różowość — odwracać się dlatego, że to były kelnerki lub nawet uliczne dziewczęta.—Zresztą było tam jednak coś, czego za nic bym się nie wyrzekł. Może zadymiona, może z pomiętym fartuszkiem, ale była — poezja... Czasem, w takim powrocie do domu nad ranem, gdy ulice dopiero zaczynały nasiąkać brzaskiem, bywało coś niezrównanie ładnego. Dziwna rzecz, że w uśpieniu wszystko ma milszy wyraz, niż gdy czuwa. Miasto, które za dnia budziło we mnie odrazę, nad ranem, gdy jeszcze nie ocknęło się ze snu, miało w sobie coś z dziecka uśpionego — i chętnie by się je pocałowało. A taka dzielnica żydowska! Coś potwornie odrażającego a tak w ów moment brzasku, jeszcze uśpionego, cudowna, że—godzinami by ją pieścić i okiem i sercem. A gdy kto o takiej godzinie rzucił hasło: „Za miasto!“ to przecież poczynał się korowód cudów, wręcz cudów... Te wschody słońca, oglądane okiem młodości, były to modlitwy czarów i zaklętych uroków i płonących serc. Były to momenty powtarzania przysiąg, nie tylko miłosnych...

Pamiętasz tę dziewczynę z Lubartowa, którąśmy w noc majową nad ranem wyzwolili z ciupy policyjnej? Cała epopea—z wyłamywaniem jakiegoś okna, z upojeniem jednego strażnika i stoczeniem bezkrwawej walki z drugim... Dwie godziny biegaliśmy jak dzieci—od ogrodu do ogrodu; nie obyło się bez przesadzania parkanów i rabowania cudzych kwiatów. Jej uciecha była niezrównana, ale w obawie złych dla siebie skutków tego żartu, prosiła byśmy ją odprowadzili, skądśmy ją wzieli. Towarzyszyliśmy jej tedy z powrotem do aresztu, niosąc olbrzymie naręcze bzu, którym obdarzeni zostali i strażnicy i aresztantki. Wyciągnąłeś z kieszeni butelczynę i—przepiliśmy do poturbowanego strażnika.

Ależ ona — ona jaka była szczęśliwa przez te dwie godziny perlącej się majem młodej uciechy!... Czy kto kiedy goręcej— z taką niepohamowaną wdzięcznością przylgnął usty do naszych ust, jak ta dziewczyna, gdy przy pożegnaniu kolejno jednemu i drugiemu rzucała się na szyję!

Strażnicy, spluwając po wódce i śmiejąc się, mówili: „Nu, sława Bogu, sława Bogu — wsio błahopołuczno, a to my już mieli zdać raport, ale powiadamy: trzeba poczekać, sumienie ich ruszy i odprowadzą. Sława Bogu“.—A Twój ojciec, gdyśmy mu opowiedzieli tę przygodę, rzekł: „To było niezłe! Dziękowała—mówicie, hę? Cieszyła się, hę? Po parkanach fruwała, co? Jak ptaszek! I aż wycałowała was za tę godzinę, czy dwie swobody. Pomyślcie-no, jakby dziękowała i jaki pocałunekby dała Polska tym zuchom, coby wyłamali jej kraty i dali jej odetchnąć majem wolności!“

Z tych to czasów zachowałem w pamięci jeden szczegół, drobny — ale nieraz go z zajęciem rozważałem. Pamiętasz *Czarnulkę?* W jej dziewczęcej niepowszedniej urodzie było to, co i w Twojej—ów nieszczęsny djablik. Jej oczy—dwie śliczności niepokojące i napastnicze, czarujące lub złowróżbne — sprawiały takie wrażenie, że—nie można było długo w nie patrzeć. Albo zdobyć je—albo zmykać od nich. Ten jej djablik tyleż lub więcej jeszcze niż nas — dręczył ją samą, wstrząsał nią, miotał się i zżymał, gdy chciała być cnotliwą choćby przez jeden dzień. Cyniczną była nad miarę. Była ofiarą takich zapewne, jak my, nicponiów, ale przyszedł i dla niej czas odwetu, poczęła z kolei i ona zbierać swe ofiary. A jednak — jak szlachetnie odpowiedziała owemu zaczłapanemu w niej Michasiowi na jego propozycję małżeństwa: „Jestem ci życzliwa, więc nie mogę wyjść za ciebie!” — Kiedyś, w licznem naszem towarzystwie, w jakiejś knajpce, już nad ranem — usnęła, wsparłszy głowę na twardej krawędzi kanapy. Zrazu był mi widoczny tylko profil jej twarzy, ale gdy we śnie poprawiła pozycję głowy, światło kinkietu oblało całą twarz. Zdrętwiałem. To miałaby być Czarnulka? Ależ to było marzenie o Madonnie, przedziwna nieskalaność; wkoło jej ust osiadła niezrównana

słodycz i czystość dziecięca. Co za skarby mieściła jej dusza! Chciało się zerwać i krzyczeć: „Co tu się wyrabia, przecież to jakiejś zbrodni potwornej dokonano na tem stworzeniu!” Tak, tak. Były w niej dwie dusze—prawdziwa wypłynęła teraz w śnie, a sfałszowana chychotała cynicznie za dnia. I—że tak wistocie było i że te dwie dusze nie mogły się z sobą zjednać, najlepszy dowód jest ten, iż pojednał je dopiero—jak Ci wiadomo — staw na Czechówce, pod miastem, gdzie się utopiła...

* * *

I znów oto sięgnąłem po tę samą fotografję... Był tam przecież, obok Twojego ojca i Ciebie, jeszcze jeden osobnik, młodzieniec w studenckim mundurze. Ale gdy Wasze twarze mówiły, mówiły dużo i otwarcie, mówiły wszystko o sobie, jego twarz milczała — zasępiona i zamknięta. Im uparciej się jej przyglądałem, tem szczelniej się zamykała, a wreszcie zaczęła po prostu uciekać, rozpływać się, znikać. Wtedy przymknąłem oczy i próbowałem wywołać tę twarz wzrokiem myśli. Ale i to mi się nie udało. Zamiast twarzy i człowieka w osobie jakiejś—widziałem mgławicę szarą i płynącą, jak chmura. Czasem roztwierała się, niby rozdarta i wtedy gdzieś w głębi ukazywały mi się długie korowody przeżyć, znanych mi, aż nadto dobrze znanych; potem się zamykała i znów płynęła — szara, milcząca, póki znów się gdzieś nie rozdarła i nie odsłoniła nowej serji obrazów i przeżyć znanych mi, aż nadto dobrze znanych! Zrozumiałem, że są—wieczne. Ta twarz, co uciekała z fotografji, gdym się jej przyglądał — już wistocie przeminęła, i ja, co ongi miałem tę twarz — przeminę, a te obrazy i przeżycia zostaną i będą płynęły taką mgławicą szarą, milczącą i czasem roztwierającą swe głębie. Przed kim? Nie wiem. Może kiedyś mój syn poczuje się osamotniony i zaduma się i będzie przywoływał kogo do siebie, wtedy przypłynie do niego ta chmura i otworzy przed nim swe wnętrze. I utuli go—gdyby cierpiał. I gdyby córka moja wołała—przypłynie, i gdyby ktokolwiek wołał tak znękany—jak ja bywałem—przypłynie... Męczącem było moje życie, ale to pewnie dla mego i może jeszcze czyjegoś pożytku.

...Kochany mój! Skorom się już tyle z Tobą rozgadał, opowiem Ci dwa drobne zdarzenia z mego życia, z okresu, kiedy już straciliśmy się z oczu. Ciebie licho poniosło—dokąd to? już nie pamiętam, czy nie do Czelabińska aż? Ja zaś osiadłem w Warszawie, poślubiwszy uczciwą i może nawet urodziwą, ale bezposażną... literaturę. Oba poniżej opowiedziane zdarzenia zaszły właśnie w tym czasie, kiedy to jeszczem się nie zdecydował na karjerę „radców kolegjalnych", a już zdążyłem zmiarkować, że chleb i kąt na mieszkanie należą do potrzeb nader istotnych.

Owóż—pierwsze zdarzenie... Pewnego dnia znalazłem się w kłopocie, gdzie się podzieję za nadejściem nocy. Zadłużyłem się u ludzi ubogich, u których mieszkałem, że zaś trafiał się im lokator nieco bardziej solidny, o czem wspomnieli mi zresztą bardzo delikatnie, tedy rankiem tego dnia zniosłem manatki swe do stróża i zapowiedziałem mu, że wieczorem przyjdę po nie.

Stróż był domyślny i poczciwy. Zamedytował się jakoś, rozglądał się po swej izdebce, tarł łysinę — wreszcie powiada:

— Pomyślałem sobie, czyby pan nie mógł tu nocowywać. Ale gdy dzieciaki pokładą się na noc na podłodze, to dalibóg niema gdzie stąpnąć. Niema gdzie stąpnąć...

Podziękowałem mu i zapewniłem, że do wieczora znajdę sobie locum. Szło tylko o to, żeby narazie gdzieś się przekołatać, zanim—napłynie jaka gotówka. Zaszedłem do kolegi, zacnego chłopca; trzebaż trafu, że akurat zjechali jego rodzice; pokoik szczupły—nie było o czem myśleć. Poszedłem do drugiego—też chłop setny, przyjacielski, ale, co prawda, w mieszkaniu nigdym go jeszcze nie odwiedzał. Wchodzę: elegancja! Gdym się rozejrzał po tych gracikach, sprzęcikach, fotelikach i dywanikach — zemknąłem po krótkiej chwili, nie powiedziawszy mu o właściwym celu mego przybycia.—Było lato, dzień piękny—wydało mi się niedorzecznością poświęcać tyle czasu i zabiegów na wynalezienie noclegu. Poszedłem do Biblioteki, załatwiłem inne swe sprawy—lecz pod wieczór znów wróciła przykra myśl. Przypomniała mi się pewna starowinka, praczka, która za lepszych czasów opierała mnie; znałem i męża jej, wiedziałem,

gdzie mieszkają; ruszyłem do nich. Mieszkali na Starem Mieście, w podniebnej facjatce. Trzy piętra jako tako, ale wyżej nie były to już schody, lecz raczej jakaś spadzista drabina; dotarłem tam; było ciemno, zapaliłem zapałkę, odnalazłem ich drzwi. Widniała na nich jakaś karta żółta i dziwnie obrzydliwa z napisem: „Tyfus. Nie wchodzić“. — Byłem tak zdekoncertowany, że, złażąc z tych spadzistości, o mały włos nie poleciałem krótszą drogą na sam dół; zdołałem się jednak gdzieś zatrzymać i zejść normalnie.

Stąd — pod wpływem najzupełniej niezrozumiałego dla mnie bodźca — udałem się ulicą Celną, schodkami — na Bugaj, dalej przeszedłszy pod mostem, skierowałem się wybrzeżem w stronę Solca. Zabawne, iż szedłem, jak człowiek, wypełniający jakiś swój zamiar, plan, człowiek świadomy celu swej drogi, spraw i interesów, które ma w tem i tem miejscu załatwić. Ta okoliczność daje mi dziś nieco do myślenia. Z jakich podświadomych zakamarków duszy wyszedł ten szczególny impuls, mający wszelkie cechy kategorycznego wewnętrznego nakazu? Czy może istnieć jakaś atawistyczna skłonność do szukania schronienia nad brzegiem rzeki? Czy ongi wybrzeża rzek były poczytywane przez ludzi bezdomych za bezpieczniejsze od miejsc, oddalonych od wybrzeża? Nie wiem — jednak impuls taki w pewnych warunkach występuje i stawiam tu hipotezę, wyjaśniającą niektóre nie dość wyraźnie umotywowane i prawie niepremedytowane samobójstwa. Los zawiązał komuś jakiś trudny do rozplątania węzełek, ktoś nie czuje pod sobą—jakby powiedzieć—pewnego, twardego gruntu życiowego; grunt ten zaczyna się pod nim uginać, załamywać jak lód, skutkiem czego psychika tego człowieka upodabnia się do psychiki człowieka bezdomego. I oto wtedy zjawia się ten szczególny, Bóg wie z jakiej zamierzchłej przeszłości idący impuls — by iść nad rzekę, na jej brzeg samotny, jak ongi może szedł tam człowiek, poszukujący bezpieczniejszego nad inne schronienia. I zgryziony troską i skłopotany człek siada sobie nad wodą i wsłuchuje się w jej beztroski szmer, w jej plusk pieściwy i łagodny. Gdzieś tam za nim plączą się węzły życiowe i rozlega

się harmider trosk, zgryzot, zawodów, a tu — cisza, spokój, ukojenie i jakieś przycichłe, słodkie wołanie fali. Otóż — i samobójstwo bez premedytacji! Ale czyż to nawet jest samobójstwo? Urok cichej, smętnej pieśni wodnej jest tak nieprzeparty. Człowiek siedzi na brzegu; słucha, słucha; zgrzyt życia coraz bardziej się oddala, a plusk wody coraz to pieściwszy i słodszy. Zesuwa się — sam nie wie kiedy...

Myśli te nabiegły mi teraz, nie wówczas. Owego wieczoru — lubo nie zdawałem sobie sprawy z tego, co mię tam sprowadziło — zachowywałem jednak zupełną równowagę duchową. Wybrzeże to nie było podobne do dzisiejszego. Czy pamiętasz te pustkowia trochę niesamowite, jednak dość malownicze? Około wylotu Tamki poczynały się składy drzewa, tarcic, belek. Ledwiem rzucił na nie okiem, omal się nie roześmiałem z zadowolenia: byłoż się co kłopotać o nocleg! Co za powietrze—od rzeki, jaki namiot wspaniały będzie nad głową! A przytem — samotność, będąca poręczeniem bezpieczeństwa. Może tak samo rozumował jakiś odległy mój przodek!

Upatrzyłem sobie miejsce, wraziłem je sobie w pamięć — i Tamką wróciłem do miasta. Coś tam grosza kołatało się jeszcze w kieszeni. Poszedłem na herbatę i gazety. Było już koło północy, kiedy po ucichłych ulicach zeszedłem w dół, nad rzekę; bez trudu odnalazłem moją kwaterę i z zadowoleniem rozciągnąłem się na deskach.

Cisza panowała doskonała. Nie wytrwało jednak pół pacierza, gdy jak z pod ziemi wyrósł koło mnie jakiś osobnik. Jednocześnie—bliżej i dalej—za mną, koło mnie, bodaj czy nie podemną poczęły się rozlegać głosy. Oto — masz samotność! Chryste! ilu tu było lokatorów! Czy nie mam racji, gdy dziś Ci mówię, że — przyciąga ludzi do takich miejsc jakiś potężny atawistyczny, podświadomy pęd — no, lub — składy desek!

Osobnik podszedł do mnie i wcale uprzejmie rzekł:

— Na deskach nie można. Jeśli chcesz nocować, musisz iść do dziury.

— Do jakiej dziury?

— Pokażę ci.

Oburzała mnie perspektywa poszukiwania innego noclegu, postanowiłem tedy zastosować się do okoliczności, które zresztą nie były tak dalece złowrogiemi. Dziura nie była żadną dziurą, lecz wąskiem przejściem pomiędzy stertami desek. Nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, dlaczego nie można spać na wierzchu, lecz koniecznie w takiem ciasnem legowisku, wdałem się w rozmowę z osobnikiem. Powtórzę Ci otrzymane od niego informacje.

To miejsce wybrzeża stanowiło hotel, posiadający klijentelę stałą i przygodną. Policja tolerowała go tak, jak wszystkie inne punkty zboru podejrzanych ludzi, ponieważ istnienie i znajomość tych punktów znakomicie jej ułatwia poszukiwanie osobników — poszukiwanych. Ale policja nie chce aby ten hotel cieszył się jawnością. „Siedzcie tam sobie i spędzajcie czas jak chcecie, byle by was nie było widać i nie było was słychać, gdy przechodzi ktoś, nie należący do waszej kompanji. A jeśli kogo z was będzie widać, to go capniemy nie czekając „obławy" kiedy to zabieramy was wszystkich do badania w cyrkule". Takie postawienie sprawy było racjonalne—przyznałem to.

— Bo to widzisz, mówił osobnik — przyjeżdzają do Warszawy czasem tacy, tacy...

— Turyści — podpowiedziałem.

— Oto to! Przyjedzie, panie, anglik czy francuz i nuż go ciekawość poniesie po nocy i zobaczy taki nocleg, a potem zacznie smarować, opowiadać... Policji by się dostało...

— Racja! Zaryzykowałem jeszcze pytanie, czy owego anglika obdarto by tutaj, czy nie?

— Rozumie się żeby obdarto, jeśli by policji nie było wtedy widać. I tobie, kochanku, zdjęto by tę marynarczynę. Masz jeszcze niezgorszą. Ale masz też szczęście, że dzisiaj głównych majstrów niema. Trafiłeś na taką kompanję, że—pi! pi! Jest parę panienek; jest z niemi kilku jakichś gołowąsych—uczniaków, czy subjektów; jest jakaś porządna familja z dziećmi, którą wczoraj wyrzucono z mieszkania na bruk; jest Onufer z pod Bernardynów — znasz Onufera? Jest trzech, co wyszli z szynku i nie mogli trafić do domu albo go wcale nie mają. Jest jakieś

pokłócone małżeństwo; bili się tu, mało się do wody nie pospychali; teraz on śpi na tamtym końcu, a ona na tym se rozmawia z jakimciś sołdatem, czy urlopnikiem...

Wyobrażałem sobie ten nocleg nieco inaczej—z gwiazdami, ciszą, poezją pustkowia, miłym pluskiem fal. A tu przemówiła nędza, krzywda, ból upośledzeń i ran, których za dnia nie widać. Nie była ta noc miłą — ale bardzo pouczającą...

A oto—drugie drobne zdarzenie, które mi się trafiło jakoś wkrótce po tem pierwszem.

Wieczorem koło dziesiątej, w Alei Jerozolimskiej, po lewej stronie idąc ku Marszałkowskiej, w pobliżu skwerku, znajdującego się na rogu Nowego Światu spotkałem dziewczynę o bardzo pociągającej twarzy. Marnie ubrana szła wolno, mocno zdaje się zmęczona. Oszacowałem ją jako uliczną Małgorzatkę, która już długi czas krąży po ulicy bez powodzenia w poszukiwaniu tego, czego zwykła poszukiwać. W tem mniemaniu ująłem ją poufale pod ramię i prosto z mostu powiedziałem, że należy się jej odpoczynek i że jest to godzina, w której nawet skromna wieczerza każdemu smakuje osobliwie. Popatrzyła na mnie z pomieszaniem, ale mnie nie odepchnęła, skutkiem czego jej pomieszanie złożyłem na karb nieobycia jeszcze ze swym zawodem. Pociągnąłem ją do ławeczki. Usiedliśmy. Przemawiałem do niej wesoło i po przyjacielsku widząc, że jest jakaś nieswoja. Rozruszała się nieco. Wyjąłem swoją chudą portmonetkę i śmiejąc się ze swych bogactw, odłożyłem tyle, ile potrzeba na zapłacenie pokoju w hotelu. Przeliczyłem resztę. Wystarczało na serdelki i bułki i coś nie coś—dla niej. Znów ująłem ją pod ramię. Zaczęła coś bąkać, wymawiać się, ale powiedziałem twardo: „Chodź!“ Poszła.

Za chwilę siedzieliśmy na twardej jakiejś kanapie, w „numerze“, i z apetytem ćwiczyliśmy serdelki a w trakcie tego ona opowiadała mi o sobie. Pojmujesz, że słuchałem jej z tym pobłażliwym sceptycyzmem, z jakim zwykliśmy byli z Tobą słuchać opowiadań tych dziewczyn, umiejących tak mistrzosko zmyślać różne historje celem dowiedzenia, że wcale nie są winne temu, że się źle prowadzą.

Opowiadała tak:

„Mam ojca a od roku—i macochę. Od pierwszego dnia widziałam, że z nią nie wyżyję. Jestem prasowaczką. Póki się ojciec nie ożenił, byłam w pralni za przychodnią. Po jego ożenieniu wynalazłam sobie pralniczkę, która wzięła mnie do siebie z wszystkiem, to jest—i na mieszkanie. Było mi bardzo dobrze. Przed dwoma tygodniami moja gospodyni umarła. Pralnię objęła jej siostra, mająca dużą rodzinę i — pierwszą rzeczą — kazała mi się wynieść, bo nie było dla mnie miejsca. Wróciłam więc do ojca; chciałam pobyć parę dni, póki nie znajdę znów podobnego miejsca, jak poprzednie. Macocha rada była z okazji, by mi dokuczyć. Przyczepiała się o byle co i gadała takie rzeczy, że uszy więdną, gdy słuchać; że ja gram komedję, że chcę siedzieć ojcu na karku, że pralnia to zawracanie głowy, że powinnam wieczorem iść pospacerować po ulicy..."

— A cóż twój ojciec na to?

— Gdy macocha chce się ze mną kłócić, to stawia przed ojcem butelkę z wódką i wtedy on się do niczego nie wtrąca. Dziś rano nagadała mi takich rzeczy, że zabrałam swoje manatki pod pachę — już miałam tego za wiele...

— I zaniosłaś do stróża? — przerwałem.

— Nie. Poszłam na Wolę. Niedaleko ruskiego cmentarza. Mieszka tam moja siostra cioteczna, zamężna. Niezła kobiecina...

— Tak, tak — przerwałem znów — ale na drzwiach była przybita żółta, obrzydliwa kartka z napisem: „Tyfus. Nie wchodzić!“?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Żaden tyfus — tylko ona pokłóciła się tego dnia z mężem. Przyjęła moje zawiniątko i powiedziała mi w sieni: „Nie mogę cię wziąć dziś do siebie, bo mam piekło w domu, ale idź sobie na Solec pod ten i ten numer, tam mieszkają moi kumostwo; bardzo dobrzy ludzie; powiesz im, że to ja cię przysłałam. Przenocują cię, a jutro się tu dowiesz".

Widzisz, mój kochany, jak to dobrze przeżyć coś podobnego samemu. Mój „pobłażliwy sceptycyzm“ pierzchł i wiedziałem, że opowiada mi najszczerszą prawdę. Poszła z Woli

na kraniec Solca. Kumostwo „akurat” wyprowadzili się niewiadomo dokąd. W ich dawnem mieszkaniu zastała jakąś starą kobietę i małą dziewczynkę. Stara, widząc jej znużenie, kazała jej usiąść i poczęła dopytywać, co ją sprowadziło do owych kumostwa; rozgadały się i wkońcu stara powiada: „To nocuj, kochanko, u nas. Pomieścimy się. Trzebaż ratować jedni drugich”. Wtedy mała dziewczynka wtrąciła: „A Sylwek, babciu?” Stara nieco pomyślała. „Ale co też gadasz. Przecie Sylwek dziś na noc ma robić. Nie przyjdzie”. Otóż właśnie—przyszedł. A był to młodzian przedsiębiorczy i, nie zważając na obecność babki i siostrzyczki, tak ostro się zabrał do przygodnej tej lokatorki, iż musiała uciekać.

— A nie ciągnęło cię nad Wisłę? Nie postrzegłaś tam składów desek?

— Tam wszędzie było tak ciemno i tak strasznie. Leciałam co tchu w górę, do miasta, gdzie widniej.

Historja była skończona i wieczerza również. Dziewczynie kleiły się oczy. Powiadam: „Rozbierz się i kładź się spać”. Opuściła jakoś głowę i pyta zcicha: „A pan gdzie będzie spał?” Popatrzyłem jej w oczy. Była tak ładna, tak ładna. Ująłem jej ręce. W oczach jej zadrżało coś łzawego; wydobyła swoje ręce z moich i zaczęła coś mówić:

— Ja myślałam, że pan...

Urwała.

— Coś myślała?

Odsunąłem się od niej i rzekłem twardo, jak wtedy na ulicy: „Idź, rozbieraj się i kładź się do łóżka. Ja się stąd nie ruszę”. Wstała i skierowała się do łóżka.

Patrzałem na nią niedobrem okiem i mówiłem sam do siebie: „Czego kłamiesz! Właśnie, że ruszysz się. Gdy tylko zrzuci stanik, wstaniesz i zgasisz światło. Co tu rządzi? Jedno tylko — prawo życia, prawo młodości, prawo młodej krwi. Czyż to nie jesteśmy parą nędzarzy, którym wszystkie radości zamknięto. I—tę przed sobą zamknąć mamy?” Zapewne Sylwek nie inaczej rozumował.

Dziewczyna podeszła do łóżka, stanęła przed nim i jakoś się namyślała. Podniosła rękę do bluzki i odpięła ją przy szyji, lecz coś jakby sobie przypomniała. Uklękła i poczęła mówić pacierz pół-szeptem.

Nigdy niczyja ręka nie dotknęła zelżywie mojej twarzy, a w owej chwili ktoś wyciął mi policzek. Straszny policzek! Krwawy policzek! Czyż to czasem nie było ziszczenie przestrogi, jaką mi uczynił Twój ojciec, który już od dwu lat „miał oko” na nas zzagrobu! Od tej chwili wiedziałem, co uczuwa człowiek zelżywie shańbiony. Uczuwa jak czyjaś żelazna pięść wpycha mu się do piersi, ujmuje twardemi palcami jego serce i ściska je, póki nie przestanie drgać. Hańba—to śmierć. Mówią — pojedynek, zmycie krwią... Gdy mnie zelżą niewinnie — tedy niema hańby; gdy winnie — tedy to ja sam się zelżyłem. Samobójstwo rozumiem, pojedynku — nie. Człowiek jest czemś tak dostojnem, że nie może go dosięgnąć zniewaga od nikogo, prócz niego samego.

Okno było otwarte; noc lipcowa, ciepła, mnie zaś było tak, jakby z tego okna powiało grudniem. Zaszczękałem zębami.

Dziewczyna powstała z klęczek i znów ręka jej podniosła się do guziczków bluzki, jakoś wahająco. —

Z trudnością mogłem dobyć głosu.

— Odwrócę się, rzekłem.

— Dziękuję. Dobranoc—odpowiedziała. Wtuliłem się w róg kanapy, odwróciwszy się. Po niedługiej chwili posłyszałem jej równy, spokojny oddech. Gdzieś, za ścianą, słychać było chychot i obrzydliwe gruchania jakiejś innej pary.

Krótka to była noc, ale znów pouczająca—więcej nawet, niż tamta. Tamta pouczyła mnie o ludziach, ta — o mnie samym i Bogu.

O świcie chłodem pociągnęło z okna. Przeszedłem się parę razy po pokoju i stanąłem przy łóżku, nad nią. Uśpiona była głęboko. Przyglądając się jej twarzy postrzegłem w niej to coś dziwnego, taki sam odblask szczególny, jaki kiedyś widziałem na twarzy śpiącej małej dziewczynki. Mrowie przeszło po mnie. Podszedłem do okna i na jego framudze położyłem

znękaną głowę. Więc kim że jabym się stał, gdyby nie ten jej pacierz? Czy jest słowo, któreby objęło podłość, od której byłem o włos ledwie! Zdrętwiałemi ustami szeptałem: „Dziękuję Ci Boże!” Ale mi te słowa nie przynosiły ulgi. Ktoś mnie uratował, ale wszak ja sam nie byłem zdolny się uratować. — Wróciłem na twardą kanapę, usiadłem już zupełnie bezmyślny i zgnębiony.

Po jakimś czasie usnąłem. Obudził mnie jej wesoły śmiech. Siedziała przy mnie już ubrana i trzymała mnie za rękę. Jej śmiech a jeszcze bardziej ta nieśmiała, wstydliwa wdzięczność, z jaką na mnie patrzała, przywróciły mi niejako prawo do życia i podniosły moją zmaltretowaną godność człowieka. W dobrej zgodzie zmietliśmy pozostałe od wieczerzy serdelki, poczem wyłożyłem jej mój naprędce powzięty plan. — Odprowadzę ją teraz na Wolę; jeśli tam sytuacja się wyklarowała, tedy tam zostanie; gdy nie — znam uczciwych ludzi, którzy przyjmą ją na mieszkanie. Pieniędzy dla nich jakoś się wystaramy.

Ruszyliśmy. Dzień był śliczny i nam jakoś lekko i wesoło; droga na Wolę, aż pod cmentarz prawosławny wydała się nam aż nazbyt krótką. Przyszliśmy. Kazała mi poczekać na ulicy. Po jakimś kwadransie wybiegła rozpromieniona. Powiedziałbym — że był to już inny człowiek, człowiek, co odzyskał grunt pod nogami a z nim śmiałość i pewność siebie. Teraz by się już nie posłuchała twardego słowa, była sobą. Bardzo mi się w tym charakterze podobała.

Opowiadała pospiesznie. Małżeństwo zwaśnione pogodziło się. Jej siostra usłyszała reprymendę od męża — jak mogła jej wczoraj nie przyjąć i wyprawić gdzieś na poszukiwanie noclegu. Oboje jeszcze wczoraj biegali by znaleźć dla niej miejsce. Znaleźli — i ona zaraz tam idzie.

Tedy—skończone! Jednak przyrzekliśmy sobie widywać się a ręce nasze, podane sobie na pożegnanie, nie chciały się rozpleść. Zajrżała mi do ócz a z jej oczów już nie wdzięczność wyglądała, lecz poprostu rodząca się miłość.

Nie zobaczyłem jej już nigdy. Mogłaby kiedy zapomnieć o pacierzu a ja o policzku; nie byłem zaś w położeniu,

uprawniającem do zwijania swego gniazda. Nie zobaczyłem jej nigdy, ale mimo to—dziś, gdy ją przywołam, natychmiast przybywa jak jakieś życzliwe, pogodne, miłe tchnienie i płyniemy sobie w serdecznem powiązaniu. Niema pomiędzy nami przegród, bo przegrody wznosi tylko występek.

... Bądź zdrów. Długie gryzmoły, co? Ale widzisz, gdy ta szara i zazwyczaj milcząca chmura, co zowie się przeszłością — spowinie człowieka i rozedrze się i głąb swą odsłoni, to podobna jest do pluszczącej a pieściwej fali, która łatwo bierze w siebie, ale nie chce wypuścić z siebie. Lecz oto—odpłynęła... Cisza wkoło mnie, tylko jakby jakieś echo odlatującej muzyki. A w sąsiednim pokoju odezwały się miłe głosy moich dzieci. Pamiętaj—przyjedź do nich, ty stary „ładny chłopcze". Jeszcze sobie naprzypominamy i naopowiadamy niemało.

(1921 r.).

* * *

XX.

OSIEDLA CHRYSTUSOWE.

(Dla mego synka Olesia).

1.

Z niewielu moich przyjaciół przypomniał mi się najcnotliwszy.

Był to stary dąb. Dawnych lasów odwieczna pamiątka, stał sobie w polu samiuteńki jeden. Odszedł go wszystek ród jego i za rzeczką, opodal, zaległ borem gęsto zarosłym, a pod tego samotnika już tylko łąki się podesłały i niwy. Co rok świeże, co rok wonne, co rok śpiewne, gdy pszczół i ptasząt naleciało. Aleć kwiatuszki i zioła nie był to ród jego! Co rok kłaniały mu się wątłe kłosy żytnie i u nóg jego, po dziecinnemu szepleniąc, odmawiały modlitewkę swego krótkiego, lecz zbożnego żywota—ale nie był to pogwar miły drzew, braci, synów, wnucząt. Ze swoich nikogo! Ani przychylić się do kogo, lub wesprzeć, ani z kim o dawnym dniu pogwarzyć. Więc żył jakby nie sobą i nie dla siebie. Tem znaczniejszy, że sam jeden, zdala już oczy przyciągał i w dal mierzył, rozglądając się z miejsca swego—jakby czuwać, ojcować, przewodzić czy prowadzić kogo miał, ale kogo — gdy odszedł go ród leśny?

Pewnego razu—dawno już temu—gdy wiatr jesienne mgły po ściernisku włóczył, mali pastuszkowie pod dębem ognisko

rozniecili, zabawiali się przy niem, a potem odeszli, nie zagasiwszy głowni. Ogień pełzać począł po suchym liściu; trawił suche gałązki, aż podpełznął do drzewa, stopy jego oblizał, ukąsił, zasmakował, wżarł się weń aż do wnętrza i wypalił w nim niszę sklepioną, czarną, tak wielką, że dorosłemu uklęknąć, a dziecku stanąć w niej przestrono. Gdy trzewia jego płonęły, szumiał sobie starzec bezgniewnie jesiennym, smętnie łagodnym poszumem, jakby błogosławił—kogo? Może dziatwę płochą, co nieopatrznie taką mękę okrutną na niego ściągnęła.

Potem — dawno już temu — na tej zwęglonej ranie czyjaś ręka znak krzyża wycięła, ktoś mały obrazek święty tu zawiesił, a dziś przed poświęconą raną przechodzień głowę obnaża, mali zaś pastuszkowie czasem tu pacierz odmówią. Gdy na świecie maj zakwitnie i zapachnie, a w młodych sercach gdy zakwitną, zapachną i roztęsknią się wiecznie odradzające się porywy ku dobru, ku Bogu—zbiegają się wtedy pod dąb wieczorem dziewczęta wiejskie i poklękawszy kołem, śpiewają pieśni majowego nabożeństwa: „Dobranoc, przeczysta lilijo...”

Męką nawiedzone drzewo, od rodu swego opuszczone, wtóruje ludzkiej, wieczystej i świętej tęsknicy.

2.

...Są ludzie, co swe *ja*, swe wnętrze jakoś zdołają całe i nienaruszone przez żywot swój zachować, owszem—tak pełni są siebie, że nawet Bóg niema którędy do nich się wcisnąć. Są zbrodniarze, co zbrodniarzami zostają do końca; są cnotliwi i poczciwcy z nałogu; śpiewacy, co zawsze coś nucą; poeci w ciągłem wniebobraniu; malarze, co nigdy pendzla nie cisnęli o ziemię; oszuści zawsze pełni pomysłów; głupcy, których nigdy mądrość nie nawiedziła, i mędrcy, którzy nigdy o sobie nie zwątpili — i serca są, co nigdy niczego nie znienawidziwszy, kochać też nie potrafią. Ale to ludzie prawdziwi, ludzie całkowici, pełni siebie i pewni; niezawodny materjał do rejestracji; cegły, które z miejsca się nie ruszą. Coś na nich budować można. Na nich, lecz—nie z nich! O tych to powiedzieć można,

że człowiek póki jest człowiekiem—niczem innem być nie zdoła.— Są inni, co zawżdy coś zgubią, rozdadzą z siebie, roztrzęsą i posieją po drogach lub—męką nawiedzeni, jak to drzewo, w niej trzewia swe spalą. Gdy czegoś im ubędzie, w pustkę stąd powstałą coś napłynąć musi. Czasem Bóg—przez życzliwość. Czasem szatan — przez ciekawość zajrzy, zachichocze i zagwiżdże, jak wiatr w uschłej wierzbie. W nich maj zakwita śród zimy, a w maju sadź śnieżna na kwiaty opada. Osobliwszy gatunek— ludzie, którzy już nie są ludźmi, jak to drzewo, co już drzewem nie jest, odkąd — kaplicą się stało...

Dusza takiego—to jak mieszkanie, którego właściciel przepadł gdzieś, ale jeszcze wszystko tu go przypomina, każdy sprzęt coś o nim mówi: fortepian otwarty i nuty na pulpicie; tam książka rozłożona, ówdzie pismo niedokończone... Do tych pustych pokojów lubi Bóg zaglądać; przechadza się po nich, niekiedy trąci dłonią w klawisze i z ucichłych strun człowieczej duszy dobędzie jakiegoś cudnego akordu; niekiedy odczyta urywek z książki, którą „tamten" czytywał, lub usiądzie i na kartce niedopisanej sam wyrazy jakieś kreśli...

Miałem wuja, którego nigdy nie znałem. Młodym chłopcem brał udział w powstaniu 1863 roku, potem wyemigrował, zawieruszył się i nie wrócił. Paryż wessał go, wyssał i wypluł może do wspólnego dołu paryskich nędzarzy. Została po nim garść listów. Pisywał je do siostry, matki mojej. Nigdy w słowie drukowanem tak łza nie zabulgoce, ani krew się tak nie zacieplí, jak w liście, liście brata do siostry! Był w jednym z nich urywek, który Matka moja często odczytywać musiała i tak swemi łzami to pismo polała, że stało się nieczytelne. Gdy do moich rąk się dostało, byłem jeszcze prostodusznem dzieckiem i nie miałem nic lepszego do zrobienia, jak przy tych zatartych wierszach, z boku, nakreślić: „Kocham cię".

W opustoszałych domach, w wypełzłych, wywiędłych, uschłych, czy zwęglonych duszach Bóg znajduje czasem takie pożółkłe, nieczytelne kartki. Zaduma się nad niemi, a niekiedy — wzruszony, napisze prostodusznie: „Kocham cię".

. . . .

O tem masz pamiętać, mój synku!—Dla ciebie ta opowieść, bowiem nieraz tych ludzi w Polsce napotkasz. Napotkawszy, pozdrów uprzejmie, bo widzisz — tak to jakoś szło, że dusza twojej Ojczyzny urastała nie z tych, co pełni są siebie i nic z pełności swojej nie uronią, lecz z tych raczej, co wiele z siebie oddali, czasem—wszystko, zostawiwszy sobie tylko głód, tęsknicę, mękę i krzyż w zwęglonej ranie wyrżnięty.

* * *

XXI.

O OJCOSTWIE.

(List do S. M.).

Kochany Kolego! Ludzie dobrzy zawsze znajdą w sobie cierpliwość i wyrozumiałość. Pierwsza jest im potrzebna, bo czasem w splocie rzeczy najpospolitszych odnajduje coś godnego uwagi; druga—bo bez niej do wielu dusz nie ma wstępu. A wy bezwątpienia znajdziecie w stosunku do mnie—i jedną i drugą.

Zważcie, że należę do samotników—i mój „*czas mówienia*" przyszedł po długim, bezmała całe życie trwającym „*czasie milczenia*" — i znów w milczenie się obróci.

Ale dla samotników jakże niebezpiecznym jest ten czas upustu mowy, a jak udręczonym stać się może dla tych, co ich słuchają. Ja oto nie mogę sobie darować mego ostatniego listu do Was. Wlazłem z butami do Waszej najdroższej świątyni i jąłem Wam w niej *pokazywać* świętości, któreście Wy tam sami rozwiesili! A przecież pisałem w którymś fragmencie „Domu", iż każdy przędzie Boga swoim sposobem, a przędzę tę delikatną—tak łatwo zranić i urazić, boć tam nie same białe nici marzeń, lecz i krwawe—cierpień powplatane! Co prawda, i ja do Boga szedłem przez cierpienie, ale tem bardziej uczcić winienem domy cedrowe, które ludzie na własnych, ochłostanych i poranionych plecach wznoszą—i noszą, a i o tem mi zapominać nie wolno, że moje samotnictwo było zawsze bezpieczne, żadna ochrana, żadne więzienie, chłosta i prześladowanie mu nie zagrażały. A z Was wielu przez jakie to katorgi przechodziło...

Ma Dom cedrowy wiele wiązań nazewnątrz, ale wewnątrz—jedną jedyną podwalinę—cnotę. To jest ta treść, która obywa się bez formy postrzegania, *bo postrzeganą być nie chce*. Bóg wszystko wie o sobie, tylko o cnocie swej nic nie wie.

Zagadnienia metafizyczne! Czyż to *Karolowa*, którą opisałem w *Resphie*, nie rozwiązała ich prościej stokroć odemnie, lub autora „*Metafizyki doświadczalnej*". A gdy Karolowa je rozwiązała, to cóż dopiero mówić o takich księżach Sierocińskich! My upatrujemy drog, szukamy form postrzegania, lecz istota rozwiązania tych zagadnień, klucz tajemniczy — tkwi nie w pisaniu i gadaniu, lecz w *czynie* cnoty. I gdy na rozwiązanie zagadnień metafizycznych patrzeć nie jako na zaspokojenie ciekawości, lecz jako na najgłębszą z reform, to jedną jedyną widzi się do niej drogę — cnotliwe wychowanie. Cnotliwe, a przeto — narodowe. Bo cnota idzie od narodu i w naród promieniować musi. To jest ta wielka tajemnica, której objawienie jest zlecone Polsce.

Czy mogą co czystego pobudować ręce nieczyste, lub komuż dostojeństwo dać może ten, kto nie ma go w sobie!—Ani żyć za mnie, ani umierać, ani cierpieć, ani pracować za mnie nikt nie może i nie powinien. Spinoza szkiełka szlifował, by pozyskać sobie prawo do myślenia, nie oglądając się na posady i zapomogi. Szczęśliwy — bo, szlifując szkiełka, mógł sobie i myśleć i zarabiać jednocześnie na chleb; dziś musiałby pisać referaty—dla myszy i szczurów. Ale trudno, to jest ta czarna robota na chleb, od której wyłamywać się nie wolno. Myślenie nie jest profesją dnia powszedniego, lecz świętem, odpoczynkiem dnia siódmego, lub mojżeszowym „latem miłościwym". Tedy Dom Cedrowy Polski pobudują ręce—czyste a pracowite.

Pewnego razu rozmyślałem sobie tak. Gdybym nie miał nikogo przy sobie, był sam, nie miał rodziny, obowiązków i trosk domowych, zyskałbym w sobie daleko większy obszar do myślenia; umiem kurczyć swe ciało i mógłbym to osiągnąć, żeby niczego od nikogo nie potrzebować. A wtedy mógłbym sobie myśleć a myśleć. Pięknie! Ale—o czem-że? Toć byłbym wtedy kotłem parowym bez wody, lub młocarnią, która niema

co młócić. To małe dziecko, które przy mnie chlebem moim się żywi, a w dni chłodu ciepłem mojem się ogrzewa, więcej nauczy mnie w ciągu dnia jednego, niż by mnie nauczyło sto lat samo-oglądania! Moi drodzy — powiedzcie mi, czy ludzie, którzy czytali *Resphę* lub czytać będą Dom cedrowy, zrozumieją, że ja nie jestem zapatrzony w siebie, lecz w to, co się we mnie odbija i ze sposobu tych odbić usiłuję wyprowadzić prawdę? A wiecie, kto mi poręcza, że wyprowadzając ją, nie mylę się? Śmierć. Ja nie jestem jej dłużnikiem, jak to zwykło się mówić; przeciwnie — ona moją dłużniczką, odkąd niszczę *złudę* czasu i przestrzeni. Bo ja niszczę tylko czarny i przegniły łachman śmierci, a obnażam jej krasę wiosenną, krasę szczytnego momentu ewolucji. I czas i przestrzeń winny mi wdzięczność, bo czas czynię *wiecznością*, zaś przestrzeń — *nieskończonością*, ogromem ogromów tak wielkim, że może się zmieścić w malutkiem sercu dziecka.

O czem to więc chciałem Wam jeszcze powiedzieć? A, o dzieciach moich. Mam ich dwoje. Odkąd je mam, zapaliłem się „światłością“. Przestałem być planetą i zasiadłem jak słońce w swem gnieździe planetarnem. Stałem się śmielszym. To one mi otworzyły „czas mówienia“, to one roztworzyły we mnie głębie, które *nigdy* by nie przemówiły! Odkąd je mam, dopiero — powiem — stałem się równym Wam; mogę mówić z Wami, nie opuszczając oczu. Boć syn nie zawsze z krwi i kości. Wy macie ich tylu, ilu zgromadziliście w jednym kręgu, jak macierz, szukając „nauki narodowej“ i skupienia w jedno twórczych umysłów polskich. Nauczycielka wiejska ma ich trzydziestu w jednej izbie szkolnej. Szekspir — setki, czy tysiące. Chrystus — miljony. — To jest *najgłębsze* zagadnienie życia: nie być planetą, lecz samemu rozświecić się w słońce i być słońc zarodzią. Bo Bóg nieustannie szuka swego podobieństwa *(jak to prostemi słowy wyraża Pismo św.: że... stworzył na obraz i podobieństwo swoje)*, a przeto chce nas mieć — bogami!

Drodzy moi — i jać jestem dobrego Ojca i dobrej Matki synem; jakże czuję te ręce ich troskliwe, co to za życia wszystkie kolce z duszy mojej delikatnie wyjmowały, a dziś—na drogę

śmierci, na drogę do nich—sieją mi słoneczność wiosenną, bym szedł śmiało i nie poomacku. Nie dziwcie się, że tęsknię do nich. Ale gdy umrę, pamiętajcie, kolego, że zostawiłem dzieci. To *wielkie* słowo a stokroć większa treść! Synami swojemi Polska stoi—trwa—i świeci, a moje niech nie będą *z ich liczby wyjęte.*

A mój dla nich nakaz i testament prosty i zwięzły — aby żywot swój gotowe były położyć za Polskę, bo to jedno znaczy, co i—za Boga. A w dziedzictwie cóż im zostawię? Polskość! Nie masz nad to większego spadkobrania.

(1917 r.).

* * *

XXII.

MIŁOŚĆ.

(EPILOG).

...Jest to zmysł zmysłów, najwyższy cud świata; coś, przed czem — na kolana!

*   *
*

Gdzież ten cud zakwita, z jakich źródeł zaczarowanych wypływa?

Miłość — jak mówi św. Paweł — płynie „*z czystego serca, i z sumienia dobrego, i z wiary nieobłudnej*" (Ad Timot. 1—5).

*   *
*

Wiele rzeczy zaniedbujemy lub omijamy dlatego, że jedne zbyt dla codzienności naszej wielkie — jak śmierć, Bóg, wieczność; inne — że zbyt małe; inne brzydkie lub szare; inne — milczące i nie dogadać się z niemi; inne zgoła nieme — jak dąb lub kamień — i porozumieć się z niemi nie można.

A! Jak łatwoby uniknąć tych błędów, tak bardzo zmniejszających wartość naszego życia i zakres jego uszczuplających, gdybyśmy pamiętać chcieli, że oko, mikroskop, teleskop, przestrzeń, czas — to narzędzia i pomoce bardzo użyteczne dla powzięcia zmysłowego wyobrażenia o rzeczy, lecz nieużyteczne i wręcz zawadliwe, gdy idzie o sięgnięcie w głąb, do treści. Czego nie można dotknąć, czego nie uchwyci siatkówka oka,

mikroskop, teleskop, co nie układa się w przestrzeni i czasie — to jednak można doskonale widzieć oczami woli i miłości. Są to również narzędzia dotyku, widzenia i badania doświadczalnego, lecz nieskończenie wyższej miary, bo sięgają do treści i dają wyniki niewzruszone i pewne, będąc niewzruszoną pewnością.

Co się tyczy rzeczy *brzydkich* i *szarych*, to trzeba tylko zdjąć z nich jakiś pokrowiec czy łupinę, by wdzięk ich wystąpił. Ale czynić to trzeba ostrożnie, bo właściwą im jest skromność i bolesna uraźliwość; wiele rzeczy umyślnie wsuwa się w pokrowce lub łupiny kolące w obawie przed dotknięciem grubej, ordynarnej ręki. A usta zamknięte, milczące—to zwykle wstydliwe lub dumne, czyli znów nadczułe. A przedmioty nieme to takie, co nie posiadają takiego, jak nasz, organu mowy, ale to nie dowód, by nie posiadały żadnego.

Są dłonie, co najwrażliwszą powłokę bez bólu zesuną; są usta, co skłonią do mówienia najbardziej wstydliwych, nieśmiałych lub dumnych; są uszy, co posłyszą mowę dębu i kamienia. To — miłość! *).

* *
*

Spędziłem tegoroczne (1921 r.) lato na wsi, w miłej, polskiej wiosce, tak skromnej, cichej i słonecznej, że wszystkie zlodowaciałe udręki i zgryzoty roztają tam bez śladu, wszystkie kamienie i głazy, ugniatające pierś i ducha, zesuną się niewiadomo kiedy i człowiek tak lekki, jakby miał gdzie ulecieć. Jakoż czasem i skrzydeł tam dostaje, gdy mu je przyda tęsknota—do Boga. A gdzież Go tyle, co w słoneczności wiejskiej!

Pewnego razu, do wsi wracając z wycieczki, szedłem miedzą, jeszcze mi nieznaną. Doprowadziła mnie do nieogrodzonego podwórza czyjejś chaty. Czas to był żniwa i mieszkańcy jej — ilu ich było — wszyscy pewnie byli na polu; jedna starowinka jakaś wygrzewała się przed chatą. Przysiadłem do niej na ławeczkę, zamówiwszy się o wodę—i wkrótce rozgwarzyliśmy

---

*) Ten fragment *Domu Cedrowego*—jako *motto* do opowieści «Na straży nieprzespanej» drukowany był w «Nowej Gazecie» 1917 r.

się tak, jakbyśmy się Bóg wie jak długo znali. A była to zgoła nowa znajomość. Zwróćcie — proszę — uwagę na to, że między starymi ludźmi, którzy niebawem już odejść mają do owych niby to tajemniczych, a wistocie przejrzystych i słonecznych krain śmierci — wcale nie da się zauważyć tych lodów, co tak wielce nieraz utrudniają zbliżenie się z sobą młodszych. Zimnego tchnienia „obcości" nie znają dzieci i starzy, czyli te momenty życia, w których *osobowość* człowieka, w sobie sztywnie zamknięta, nie występuje tak dobitnie, jak w pośrednim między tymi momentami okresie. Młodość już się poczyna wzwyczajać do jakiegoś dygnitarskiego munduru, a wiek dojrzały chadza opięty na wszystkie guziki. Lecz dzieciństwo nie zna jeszcze munduru, a starość już go — zrzuciła...

Podwórze zarosłe było trawą, przywiędłą już i żółknącą, i mnóstwem tych kępami zarastających kwiatków niebieskich, co to mają łodyżki kolące, a same jak drobne dzbaneczki; nie wiem, jak się nazywają—ale gdy się takiem mnóstwem zaniebieszczą—to bardzo miłe. Wprost przed nami biegła ta miedza, którą tu przyszedłem, miedza szeroka, zielona, po jednej stronie żyta nieżżęte mająca — po drugiej już ścierniska, a szła prościutko, niby gościńcem do—gościńca prawdziwego, który zdaleka widniał, akacjami wysadzony.

O tem i owem rozmawiając, zauważyłem, że staruszka uparcie czegoś, czy kogoś na tej miedzy wypatruje. Aż oto, przysłaniając sobie dłonią od słońca oczy, pyta mnie: „Może też pan lepiej dojrzy—kto to tam od gościńca na naszą miedzę zaszedł?" Przyjrzałem się i powiadam, że to—zdaje się—kobieta jakaś, wiązkę chrustu niosąca. „A, kobieta!" — rzekła, jakby zawód ją spotkał, i dalej mówiła, o czem wpierw mówiliśmy — o sprzęcie, urodzaju i czem tam jeszcze. A znów za chwilę przysłania oczy, bacznie się wgląda i znów pyta: „A teraz? Coś mi się wydaje, że to nie niewiasta..." — „Tak, — powtarzam — teraz to mężczyzna idzie w tę stronę". — „A ma tobołek na plecach?" — „Nie ma, — mówię — tylko ma kij w ręku; to stary człowiek jakiś". — „Stary i bez tobołka! To nie on!" — szepnęła do siebie jakimś upadłym głosem i przymilkła trochę. Popatrzyłem

na nią z pewnem—powiem—wzruszeniem, bo tak mi są znane te żałosne wyglądania i wyczekiwania kogoś nieobecnego, a z utęsknieniem wyglądanego, więc pytam ją: „Kogoż tak wyglądacie, mateczko?” A ona jak nie spojrzy na mnie bystro i z jakiemś zalęknieniem, dziecinnem zalęknieniem w oczach i nic nie odpowiedziawszy, głowę naraz opuściła—jakby pomieszana i zawstydzona.

Poczułem to niezadowolenie z siebie, ten niesmak, jaki zawsze i niemylnie mnie ostrzega, że popełniłem coś niewłaściwego, żem kogoś uraził czy skrzywdził. Ależ Bóg widzi, że zgoła nie wiedziałem, o co tu idzie. A wtem kroki się słyszeć dały, zaszedł na podwórze znajomy mi wieśniak, pozdrowił starą i mnie i zapytał jej—czy Piotr na polu; otrzymał odpowiedź, iż Piotr kosi żyto pod borem — i zaraz odszedł, a z nim i ja poszedłem, starą pożegnawszy. W drodze zagabnąłem wieśniaka o tę starowinkę. Była to matka jego kuma i sąsiada Piotra; liczyła niespełna ośmdziesiąt lat; krzepka jeszcze, zdrowa, czynna i przytomna, ale latem, zawsze o jednej porze roku, w żniwa — coś na nią nachodziło. Poczynała wyglądać wnuka, od dziesięciu lat nieżyjącego.—W taki oto dzień lipcowy, gdy tak samo, jak dziś siedziała na słońcu przed chatą, pożegnał ją czule przywiązany bardzo do niej wnuczek, ośmnastoletni chłopak, który z innymi obieżysasami do Prus na żniwa się zakontraktował. Tą miedzą, z tobołkiem na plecach ruszył szparko ku gościńcowi, a ona prowadziła go okiem, póki nie znikł na zakręcie. A teraz wygląda, by na tym samym zakręcie jej się ukazał. I tak wygląda co roku, od lat dziesięciu. — Gdy po dwu miesiącach jego nieobecności nadeszła urzędowa wiadomość o jego śmierci, jakimś wypadkiem nieszczęśliwym spowodowanej — staruszka zrazu zatrzęsła się, potem stanęła jakby w głaz przemieniona. Ale to krótko trwało. Przyszła do siebie i ku zdziwieniu ludzkiemu z jakąś nawet obojętnością machnęła ręką — i zakazała mówić, przynajmniej przy sobie, o śmierci Antosia: „Żebyśta mi więcej pópróżnie nie gadali. Antoś żyje“. I tak to zostało—że Antoś żyje; z domowników nikt nie chciał jej na przekór czynić i spierać się o jego żywot; gdy z obcych kto się odezwał,

patrzała na tego z niechęcią i machnąwszy ręką urywała rozmowę.

... Żyje, żyje—biedaczko, a gdyby nawet był umarł, twoja miłość by mu przywróciła żywot. Bo miłość cuda czyni, jedyna miłość czyni cuda na świecie: żywot daje wieczny.

* * *

...A gdyby śmierć Antosia nie była tą zwykłą, ludzką, pozorną śmiercią z choroby lub wypadku, gdyby Antoś umarł naprawdę—zostawszy występnym lub zbrodniarzem—czy miłość twoja, babciu, zdołałaby go i wtedy wskrzesić? Nad tem pytaniem zastanowiłem się w tej oto chwili, gdy mam pożegnać się z wami, coście tę książkę do końca doczytali. I powiadam tak: gdyby mnie uczyniono przytomnym egzekucji, dokonywanej na takich tam Wilhelmach, Trockijach, Leninach — patrzyłbym na nią suchem, zimnem okiem. Giną nie ludzie, lecz cienie. Jestem w kinematografie — i tyle! Ale gdyby w tym momencie ktoś zawołał, że któregoś z nich — *kocha*, wtedy jak o łaskę bym prosił, żeby mi pozwolono tego *kochanego* zastąpić, jeśliby kto miał koniecznie umrzeć dla uczynienia zadość sprawiedliwości. Bo mogłaby się przytrafić straszliwa pomyłka...

Tak, tak! Miłość jest nieomylna i skoro za kimś miłość się wstawia, tedy ten jeszcze nie jest cieniem, jeszcze w nim coś żywie, coś ludzkiego czyli raczej boskiego...

* * *

Tej książki nie pisałem — ja. I nie pisała jej żadna książkowa uczoność — gdyż tej zgoła nie posiadam. Pisała ją memi nieudolnemi rękami—miłość ojcowska, miłość dla moich dzieci. Tedy i sąd o niej powinien by należeć tylko do tych, co coś kochają. Tym, na pożegnanie, chciałbym jeszcze powiedzieć jakieś dobre, przyjazne słowo—z serca. Siągnęłem do najgłębszej głębi swojej duszy, ale tylko te słowa tam dla Was znalazłem: Wróćcie do Chrześcjaństwa, wróćcie do Chrześcjaństwa...

Uczyńcie to! — A ja z moim tobołkiem na plecach pójdę polską, miłą miedzą ku dalekim, dalekim gościńcom...

* * *

DOPISKI.

Skąd powstają dopiski? Z potrzeby uszczelniania myśli— odpowiedziałbym Balaamowi, ale nie z nim teraz rozmawiam, lubo nie czynię mu trudności, by się tej rozmowie przysłuchiwał, gdy zechce.

Godzina jest bardzo ranna. Za oknem płynie jeszcze noc zimowa, głęboka i cicha, jak wszystko, co głębokie. Życie zewnętrzne przemawia do mnie w tej chwili jednym jedynym szmerem; jest to szmer oddechów moich dzieci, uśpionych w sąsiednim pokoju. A wewnętrzne — szmerem jeszcze cichszym od ich oddechu, szmerem jakiejś piersi zmęczonej, czy skrzydeł czyichś, gdy się do lotu porywają i znów opadają ociężałe, jakby lecieć nierade. Rozumiem—co się to dzieje. *Dom Cedrowy* nie chce wypuścić swej myśli, myśli, co go snuła, pieściła i stroiła długo, dziesiątki lat. Jakby całe życie moje, długa jakaś wstęga myśli, i bólów, i łez, i rozradowań odrywała się w tym momencie — i odlatywać miała. Dokąd? Do kogo? Snując się po ścierniskach życia, jak jesienna nić pajęcza — czy trafi kiedyś do tych, których oddechem dziś mówi do mnie życie? Tak, tak — ogromy życia, ogromy świata, ogromy cedrowych stropów—wszystko w tej chwili umieściło się w tych dwu dziecinnych piersiach i ich szmerem ze mną rozmawia. Czy was, dzieci, oplecie kiedy ta oderwana ode mnie wstęga i co wam da, co wam powie, co opowie o tych rzeczach, które do niej nie przylgnęły, bo nie znalazły dla siebie słów? Taki to marny środek porozumienia — słowa! Zamiast tą wstęgą, wyblakłą

wstęgą słów, wolałbym wtedy przylgnąć do was usty. Ale gdzie ja wtedy będę? Może — na Syrjuszu. Ale gdy mnie przywołacie—natychmiast przy was stanę. Jeśli przywołacie...

* *
*

Wyobrażam sobie, jak wielki musi być ból tych, którzy na Syriuszu, lub za Syrjuszem pływając w bezczasie i bezmiarze, nasłuchują tęsknie, czy kto ich przywołuje. Lecz nikt nie przywołuje! A co czują — gdy przywoła ich wyrzut, lub złorzeczenie!—Więc znów oto biorę do ręki ten mój *Dom Cedrowy* i przemyśliwam go na nowo od momentu, gdy napłynął do myśli i do momentu, kiedy odpływa ode mnie, i zapytuję siebie z troską, czy nie ma tam czegoś, co kiedyś na waszej drodze, dzieci, ledzby mogło kamieniem lub zgasić przed wami jaką z radości życia i cieniem je zasnuć. Czy czasem na Syrjusz nie doleci mnie wasza skarga: „Życie tak ubogie w uroki, tak dla wielu smutne, a my śród tych wielu. Pokazałeś nam rzeczy wielkie, ale twarde i trudne, i niemi przysłoniłeś powszedniość może, pospolitość może — ale pogodnie roześmianą. I oto do *wielkich* nie dotarliśmy, a *mniejsze* zakryłeś nam i dziś coś w nas płacze i żali się, że gdzieś tam słychać wesele i perli się śpiew i kwitnie maj — nie dla nas! — bo ojciec rzeczy łatwe nam zakrył, a trudnych nie otworzył..."

* *
*

Dzieci moje! Porozmawiajmy sobie tak przyjaźnie i mile i ufnie, jak to było wczora zwieczora, gdy przed zaśnięciem waszem tyleśmy się nagadali, a nie wszedł między nas ani cień nieporozumienia i rozżalenia. Gdy to kiedyś będziecie czytali, pamięć wasza już daleko, daleko odleci i od tej chwili wczorajszej i wszystkich chwil waszego dzieciństwa... Ale, widzicie, te chwile nie były tylko waszemi, lecz i mojemi. Ja przy was nie tylko przypominałem swoje dzieciństwo, lecz drugi raz je przeżywałem—w wieku, kiedy nie dość, iż się żyje—ale *widzi się* to życie tak, jakby się płynęło nad niem, jakby się tkwiło tu, i — na Syrjuszu. To też to, co dla was przepływało jak

chwila, której ledwie możecie doszukać w pamięci, dla mnie twardniało w granitowe pomniki. I wiecie, co wam powiem? Z tych właśnie granitów, które wasze dzieciństwo mi poznosiło, powstał *Dom*, co go cedrowym przezwałem — a to wasz, wasz jest własny i — *granitowy!*

* * *

Ja będę waszą pamięcią, gdybyście z tych czasów czego zapomnieli. Ale popróbujcież leciuchno odgarnąć dłonią to, czem życie, czem dojrzałość wasza przysypała skarby pierwszych lat waszych, a wnet je odnajdziecie — bezcenne i święte. Przytulcie je i ucałujcie, bo rzeczy bardziej czystej życie nigdy wam nie podsunie do ucałowania. Wszystko, wszystko będzie przybrudzone, nawet niechcący i nie wiadomo kiedy przybrudzone — a tamto pachniało — czem? Syrjuszem, czy Bogiem — powiem to wam kiedyś, ale nadewszystko pachniało — czystością.

Czy pamiętacie Karolówkę? Zabawne pytanie — czy nie tak! Można-ż nie pamiętać słońca. Toć to było samo słońce, sam śpiew, błękitność rozśpiewana, sam urok uroków, czar czarów — i nie może być, by jaki Syrjusz w świecie takimi cudami zagrał i roziskrzył się, jak polska wioska i wiosna. Jak to wam w książeczce śpiewała Konopnicka — ta wasza kochana i „najmilsza pani Konopnicka": „Hej-że ha! piosnko ma! Ranny wietrzyk tobie gra..." A potem: „Modra rzeczka tobie gra..."; a potem: „Złota pszczółka tobie gra..." — i wreszcie: „Sama wiosna tobie gra!..." Tak, tak — sama wiosna i co w Polsce najwdzięczniejszego — to wam wtedy grało i wlewało się w was i przepływało przez was i z sobą was brało i niosło...

Pamiętacie *miedzę?* Tę „naszą miedzę" — choć naszą nie była — co pokładła się między żytem Gwardy i kartoflami naszego dziadka, jakeśmy zwali starego Wojczyńskiego, który nam chałupę odnajmował?

* * *

Było takie zdarzenie. Gwarda—pamiętacie go?—stary, wysoki, trochę przygarbiony, z długim, siwym, opadłym wąsem, nasępiony i małomówny, a chodził wolno i tak jakoś dostojnie, że choć w wielce lichych szatach, ale na magnata patrzał—boć polski wieśniak, co polską orze ziemię—toć dostojnik nie mały... Owóż—Gwarda miał psa. Wielki, czarny, z rdzawemi plamami na łbie i grzbiecie, o głęboko osadzonych oczach i bardzo posępnem wejrzeniu. W nienawiści go mieli złodzieje i dochodziły Gwardę raz po raz pogłoski, że rychlej czy później—psa mu strują. Bo on nie jednej tylko Gwardzinej zagrody, lecz i sąsiednich pilnował—ani się komu podsunąć, by zaraz nie posłyszał i swem chrapliwem szczekaniem gości nie przepłoszył. Znajomości z nim—ani zawrzeć! Z racji sąsiedztwa i codziennego prawie widywania próbowałem zbliżyć się do niego i zaprzyjaźnić — ale gdzie tam. Gwarda mu zabronił z kim bądź się znajomić — pies słuchał.

Lato było skwarne i dla psów niebezpieczne. Pewnego dnia słyszę, iż opowiadają, że pies Gwardy wściekł się. Parę dni był nieswój, aż rankiem dnia tego urwał się z łańcucha — i uciekł. A no, uciekł to i uciekł; komuś tam narobi biedy, aleć do swoich już nie wróci. Bo czegóż pies wściekły ucieka, jeśli nie tego, że sam siebie niepewny, sam sobie nie dowierza, więc nie chce swoim biedy narobić.—Poszliśmy tego dnia wszystko troje—Julcia, Oleś i ja—jak zwykle na miedzę i miedzą prościutko, jak strzelił, na wzgórek piasczysty pod borem. A byliście wtedy już w okresie, kiedy rozpala się w człowieku chęć i potrzeba samodzielności; co prawda i przedtem nikt w was jej nie tłumił; ani matka wasza, ani ja nie prowadziliśmy was na pasku, ani nie stawiali do stojaków, w których dzieci stania się uczą. Sameście się do wszystkiego zaprawiały. A że tak się jakoś zdarzało, iż ilekroć zagrażał wam cięższy guz, zawsze ktoś naraz przy was wyrastał, jak z pod ziemi, i na ręce pochwytywał — to trudno; taki już porządek na świecie. Jednak samodzielność wczesną posiedliście—i smakowała wam; zwłaszcza Julcia — gdy umyśliła sobie wędrować gdzieś sama, a kto chciał za nią iść — lament podnosiła ciężki. Owoż i wtedy

czegoś się wam zażądało z domu i pobiegłyście same, zostawiwszy mnie na miedzy.

Wyznam, że pies wyszedł mi z pamięci. Leżąc na miedzy, patrzałem na was — na taką komiczną a dziwnie wdzięczną parkę maciupcich ludzi, gdy wziąwszy się za rączki, pobiegłyście pędem — i zgoła inne, nie o psie Gwardy, snuły mi się myśli. Wasze małe figurki malały i malały mi w oczach i myślałem sobie, że kiedyś tam—znikniecie mi zupełnie, że kiedyś tam będę niewymiernie daleko od was i że jednak wtedy koniecznie muszę posiąść jakiś zmysł, jakieś widzenie, któreby was widziało, i jakąś moc, którąby was w potrzebie wsparła. Oddalaliście się coraz więcej; zrazu biegliście, potem stało się jakieś zamieszanie, Julcia upadła, Oleś ją podnosił; potem poszliście wolnym kroczkiem i Julcia czegoś wymachiwała rączką; potem przystanęliście przy owsie Gwardy i pewnie zrywaliście białe powójki polne czy kąkole. Naraz wpadł mi w oko czarny punkt na polu, biegnący w kierunku ku wam. Byliście wtedy o jakie dwa, trzy stajania odemnie a od domu jeszcze w takiej odległości, iż było pewne, że ów czarny punkt zetknie się z wami pierwej, niż byście tam dobiegły. Jużci nie jestem ptakiem, ale chyba nie po ziemi leciałem, gdym się wypuścił, aby temu punktowi, w którym psa poznałem, drogę przeciąć—i to mi się udało. Stanęliśmy z psem Gwardy przeciw siebie. Jeszcze był spory kawałek odemnie, gdy postrzegłem, iż zwalnia biegu i coraz ociężalej się porusza. O kilka kroków odemnie przystanął, popatrzyliśmy wtedy sobie w oczy i—jeden Bóg wie, ileśmy wtedy sobie powiedzieli. W życiu mojem nie widziałem w niczyich oczach tyle smutku i najgłębszego znużenia. Ten pies wcale nie był wściekły; chory był, otruty może — paliło go coś; póki mógł—uciekał przed tem paleniem, a teraz wracał—by zakończyć życie przy swoich.

Jakoż — już następnego ranka Gwarda zakopał go pod borem...

* * *

Nie prędzej aż swoje dzieci mieć będziecie, nie prędzej—zrozumiecie, com chciał w Domu Cedrowym powiedzieć, mówiąc, że Bóg wypuszczając nas z swej zagrody, obdarza nas samodzielnością. Aleć nie przestaje poglądać za nami z troską. I nie sądźcież by nie miał wyrosnąć koło was niespodzianie w waszej potrzebie lub by nie miał przeciąć drogę złu, na was lecącemu.—Byleście się Ojca nie zapierali. A Syn nawet zaparcie się Piotrowi darował. Bo i na widzących nachodzi ślepota, jak na kury o zmierzchu—aleć to jeszcze nie powód, żeby lecącego w przepaść nie uchwycić na skraju i nie utrzymać.

* * *

Jak wszystkie dzieci, Oleś nauczył się pacierza za matką. Raz—gdy zaczęła odmawiać, przerwał jej: „Ja—sam!"—i już nie on za matką, lecz matka za nim powtarzała. Od tego czasu odmawiał pacierz już nie w łóżeczku, jak dotąd, lecz klęcząc przy łóżeczku—i zwykle czyniliśmy to wszyscy wspólnie. Ale kiedyś, czemciś zajęty, nie uklękłem do pacierza—lecz słuchałem, jak on odmawia. Oleś zaczął—i zaciął się; podpowiedziałem mu słowo, które sądziłem, iż zapomniał; zaczął dalej mówić — i znów zaciął się. Spojrzałem na niego zdziwiony, bo umiał już doskonale. Wtedy wskazał mi palcem, że — potrzeba *uklęknąć*... Uklękłem, a była to chwila wielkiej dla mnie radości. Powiedziałem sobie: oto założone jest w moim synu wielkie założenie — podwalina podwalin — poszanowanie Boga.

* * *

Czy pamiętacie Ignasia? To był sobie paradny chłopczyna. Co on nam za historje opowiadał — prawie nie do wiary, a prawdziwe... Miał już jedenaście lat, a tak był zabiedzony, gdy go jego matka od obcych odebrała (był dzieckiem nieślubnem i trzymać go przy sobie nie mogła), że i wzrostem od Olesia, naówczas niespełna siedem lat mającego, niższy

i siłami wątlejszy, a już o rozgarnięciu niema co i mówić. Oleś i czytania i pismaby go nauczył. A jaka tam wdzięczność w tem nieboractwie zakwitała za byle dobre słowo, za byle pogłaskanie.

To on nam opowiadał, jak to kiedyś siedział sam, zamknięty w chałupie—i bawił się na podłodze, drewna w stos układając. A tu na podłodze woda skądciś się pokazuje; na dworze coś huczy, szumi, trzaska, bulgocze. A wody w izbie przybiera. Wlazł na stołek — do stołka przybrało. Wlazł na stół, wygląda przez okno—wszędzie tylko woda się bałwani. Już i do stołu przybrało, gdy wreszcie czyjaś ręka roztłukła okno — i jego wyciągnęła.

Albo—jak poszedł służyć do chłopa. Przyszedł tam w szarawarach płóciennych i brudnej, podartej na strzępy szmacie na plecach—za całe i jedyne okrycie. Chłopka zdjęła z niego szmatę, włożyła mu całą i czystą koszulinę z któregoś ze swych dzieci, a szmatę gdzieściś schowała. Był temu Ignaś wielce rad—i rad wyganiał bydło—i rad je pilnował z psem pospołu— i rad je zaganiał do domu dwa razy—w południe i na wieczór. Ale temu był nie rad, że gdy przyszedł na południe i zapytał, gdzie jego jadło — chłopka mu tylko garnek wskazała na kominie, nie mówiąc nic. Zajrzał do garnka, a tam też — nic. Gospodarskie dzieci już jego porcję doszczętnie wyjadły, a jemu na obiad zostały—łzy... Przebył w tem przedpieklu pół roku, a rozstanie było takie: Całuje on gospodynię w rękę i zmierza ku drzwiom, a ta na niego: „Poczekaj-no—niech ci nie będzie tak pilno!” A sama czegociś szuka. Wreszcie znalazła ową starą szmatę i powiada: „Zdejmuj koszulę”. Wielce się zmartwił i powiada: „Olaboga, a dyć z tej szmaty wyrosłem, nie będzie mi nawet — do brzucha”. A ona: „Zdejmuj koszulę!” Zdjął — i poszedł gorzej odziany, niż lilije i kwiaty inne polne, bo te choć kolorowość swoją za okrycie mają. Ale już na przełaj leciała do niego radość życia, całe mnóstwo radości. Matka po niego przybyła, zabrała, z nawozu oskrobała i umyła, z robactwa oczyściła, ubrała...

Ten to Ignaś powiązał mi się z Olesiem w fakcie niby drobnym, ale dla mnie bardzo znaczącym. Opowiada Ignaś o czemś

i wtrąca takie zdanie: „Napieklim sobie kartofli i powiadam do Franka: tera będziem źreć aż nam kałdun urośnie", — a Oleś mu do ucha: „Nie — *będziem źreć* — powiedz *będziemy żarli*, ale po co mówić *żarli* — kiedy mówi się *jedli* — i po co *kałdun* — kiedy mówi się *brzuch*". A uczynił mu tę uwagę nie po profesorsku i nie z poczuciem wyższości, lecz delikatnie i po bratersku, co wydało ten owoc, że Ignaś zaraz i chętnie całe to zdanie powtórzył w brzmieniu mniej dla ucha przykrem. Więc znowu była to dla mnie chwila wielkiej radości. Powiedziałem sobie: oto założone jest w moim synu wielkie założenie—poszanowanie języka i poszanowanie godności brata—a toć są podwaliny, na których Ojczyzna swój dom cedrowy wznosi.

* * *

Pewnego razu Julcia z wieczora nie mogła długo usnąć — i matka śpiewać jej musiała piosenki. Naprzód zaśpiewała jej: „Wlazł kotek na płotek" — i zapytała: „Podoba ci się?" Julcia klasnęła w rączki i powiedziała: „Podoba". Potem zaśpiewała jej: „Siedzi dudek na kościele" — i znów spytała: „Podoba ci się to?" Julcia klasnęła w rączki: „Podoba!" Na trzecią śpiewkę poszło zdaje mi się: „Tam na błoniu błyszczy kwiecie"—i znów się podobało. A na czwartą — zanuciła jej matka, na jakąś własną, miłą nutę, Konopnickiej: „Cichy bór! Cichy bór! — Już umilknął ptasząt chór—Już konwalja drzemie biała—Już i trawka zadrzemała — Dąb staruszek lasu strzeże..." I znów pytała: „Czy ci się to podoba?" A Julcia nic nie odpowiedziała; leżała cichutko i dopiero po chwilce szepnęła: „Jeszcze raz!" — „Co jeszcze raz — pyta matka — o kotku?" — Nie!" — „O dudku?"— „Nie!" — „Czy *Cichy bór?*" — „Tak!" — i słuchała jakby nie uszkami tylko, lecz całą duszyczką.

Nazajutrz ta sama historja. Znów śpiewanie. Znów naprzód o kotku, ale Julcia odrazu przerywa: „Nie, nie to!" I nie — o dudku. I nie — o błoniu. Ale „*Cichy bór*" prosiła, by jej dwa razy powtórzyć ostatnią zwrotkę: „Cichy gaj! Cichy

gaj! Gdy zakwitnie wonny maj—Kiedy w nocny mrok i ciszę— Wietrzyk listkiem nie kołysze...”

Jest to z pośród jej poezji dla dzieci — perła pereł, że ile razy sobie to przypomnę, zawszem gotów, jak młodzik zakochany, uklęknąć przed tą, co to pisała *dla dzieci!* — Miałem tedy znów chwilę wielkiej radości. Powiedziałem sobie: Oto w córce mojej założone jest wielkie założenie—poczucie poezji i piękna. Jest to podwalina wszelkiego Domu Cedrowego. Z tem założeniem trafi ona do cnoty, bo cnota jest poezją i pięknem szarego życia; trafi i do prawdy — bo prawda jest poezją i pięknem szarego życia.

Więc nie może córka moja powiedzieć, że nie dla niej kwitnie maj, nie dla niej perli się śpiew—bo wie, sama z siebie wie, gdzie — szukać...

* * *

Pewnego razu, po kilkudniowej silnej wichurze, poszliśmy wszystko troje na ten nasz wzgórek piasczysty, gdzie to Oleś kilka dni wprzód z patyków urządził zegar słoneczny. Nie było go już ani śladu. Wicher podokazywał z piaskami, co chciał; gdzie była góreczka, tam powstał dołek, gdzie dołek — tam wzniesienie, a krzaczysta sosenka, która była Julci altanką, leżała wywrócona. Próbowaliśmy ją podnieść—nic z tego. Po skonstatowaniu tych zmian, dzieci poczęły się bawić — i Julcia, grzebiąc rączkami w piasku, odgrzebała jakąś zasypaną roślinkę. Był to zabłąkany w te jałowe miejsca polny, żółty z niebieskawem bratek. Przywróciliśmy go do życia, wolności i słońca.

...Szczególna rzecz — jak głęboko piasek życia zasypuje niektóre momenty dzieciństwa, mające pierwszorzędną wagę, lubo na pozór tak skromne i nie rzucające się w oczy, jak zarastające po miedzach polne, żółte bratki.

Powiedziałem, że będę waszą pamięcią. Otóż odgrzebię wam z pod piasków — któremi dojrzałość, doświadczenie, mądrość życiowa (o! jakże jej wam nie życzę!) przysypie wasze

dzieciństwo—odgrzebię wam—*bratek*. A zwał się on podobnie, zwał się waszem *braterstwem*.

Jakiemi będziecie — nie wiem, ale wiem — jakiemi jesteście teraz, póki mi na oczach jesteście. Jesteście nie dwojgiem istot, lecz jedną. Jedną w tem, co jest *istotą*—w treści. Ta treść ma dwie pary nóżek, dwie pary rączek i dwie główki z nieco odmiennego koloru włoskami, dwoma parami ócz jednako czystych, jednako promieniejących radością i weselem, jednako i jednocześnie—jak na komendę—zachodzących łzami, gdy naszło jakie zmartwienie. Czy wiecie, że ta jedność miała w was wyraz nie tylko psychiczny, lecz nawet wręcz fizyczny? Nie było ani jednego zasłabnięcia (ciężkich chorób dotąd nie przebywaliście), któremuby uległ Oleś, by natychmiast tego zasłabnięcia nie podzieliła Julcia—i odwrotnie. Gdy które z was szło na pokutę do łóżka dziś, to drugie nie później, niż nazajutrz. Wprawdzie scyzoryk nie kaleczył jednocześnie was obojga, a drzazga nie wchodziła jednocześnie w paluszek Olesia i Julci, ale występująca na jego paluszku krew lub krzywa mina, z jaką oglądał zasuniętą głęboko drzazgę, sprawiały Julci udręczenie z pewnością większe, niż jemu...

Julcia trochę tyranizowała Olesia. Nie bardzo ja w tych wypadkach stronę jego trzymałem; widocznie sam w dzieciństwie musiałem być w ten sposób tyranizowany i nie wyszło mi to na złe, gdyż nie może wyjść człowiekowi na złe, gdy zawczasu uczy się czegoś sobie uskąpić dla drugiego, czegoś się zrzec dla drugiego, coś z siebie oddać drugiemu. Ale to było wielce zabawne, gdy swem własnem postępowaniem doprowadziwszy Olesia do łez, podnosiła Julcia lament trzykroć jeszcze większy i sama się zalewała łzami, które znów Oleś ocierać musiał. I znów była zgoda — bo te niezgody nie były wcale sporami dwu odrębnych istot, lecz rozterką taką, jaką człowiek miewa sam z sobą! Upewniam was, że ani na jedną chwilę nie płynęliście dwoma strumieniami, wciąż—jednym. Patrząc na was, widziałem to, co się nazywa przesiąkaniem dwu płynów—przesiąkliście jedno w drugie, przelewaliście się w siebie w odwiecznem

dążeniu istot ludzkich do wytworzenia jednej treści z tego, co z jednej powstało, różniczkując się tylko w formach postrzegania.

...I znów założyliście podwalinę Domu Cedrowego! Co z nią później uczynicie — nie wiem. Ale wierzcie mi, że tych obrzydliwych, nadętych i zawiązanych pęcherzy, które nazywamy osobowością i które sprawiają, że ludzie, nadęci swą pęcherzową godnością, ambicją, namiętnością, nauką, fałszywą cnotą i czem tam jeszcze, biorą się za łby, tłuką, ubijają, następują sobie na pięty i jedni drugich wciągają i spychają do nicości kinematograficznej, czyniąc z siebie igraszkę cieni — tego wszystkiego *niema* w dzieciństwie. Chyba—że już i dzieciństwo jest okaleczone, chyba — że pęcherz zdołał napłodzić pęcherzy.

Więc — pilnie rozważywszy — powiedzcie-ż dzieci, czyjże jest Dom Cedrowy? Wasz — czy mój? Bo ja tam widzę wasze podwaliny i — moje słowa. Słowa, czyli to, co najmniej warte — i podwaliny, czyli to, bez czego niema domu. Więc ten dom kiedyś nie będzie wcale puścizną po mnie, lecz waszą własnością przyrodzoną tak, jak to serce, co dziś bije w waszych piersiach—czyste, niewinne, pachnące, święte serce dziecinne!

* * *

Przez szparę w okiennicy, którą poczęliśmy zamykać odkąd pies Gwardy przestał pełnić swej czujnej straży, wpadły pewnego wczesnego ranka prześliczne strzałki złote i bęc! — w same oczka Julci... Bo jakże można zamkniętemi mieć oczka, gdy już je otwarła prawda, jasność, słońce, Bóg, wszystko co żyje i płynie! Od cieni, dzieci, od cieni uciekać — do słońca biedz, do słońca! Począł się tedy wielki rozgardyjasz i po niedługiej chwili dzieci już biegły na dwór, choć słoneczko zaledwie wzbiło się dopiero po nad las. A wybiegły świeżutkie, czyściutkie—i rączki, i buzie, i sukienki i fartuszek Julci, wszystko na nich i w nich lśniło, promieniało, bielało — bez jednej na niczem plamki! — Julcia surowo zapowiedziała „żeby tata za

nami nie szedł". Gdy nie, to nie. Opuściłem głowę markotnie, jak stary pies Gwardy za życia, gdy pan nie chciał go brać z sobą na pole—i zostałem sam, a wyście poszli—po dziś dzień nie wiem, gdzie i dokąd.

Zasiadłem na ławce przed domem, na podwórzu—nieogrodzonem, co właśnie miłem było, bo o kilka kroków—i już pole, wykłoszone żyta, owsy, kartofle. Szła stamtąd pachnąca świeżość i czystość poranna. Gdyby mnie kto spytał, czy cnota pachnie, czy piękno pachnie, czy Bóg pachnie—przyprowadziłbym go w to miejsce o takim poranku i powiedziałbym: „Tak! Powąchaj".

Naraz słyszę jakieś narzekania, płacz, lamenty. To wyście ze swej wędrówki powracały, moje kochania—ale jakiż smutny to był widok, o ciężkich waszych przygodach świadczący! I rączki brudne, czarne, i nawet buzie zasmolone, fartuszek nie do poznania; za wami biegł jakiś chłopczyna bosonogi w waszym wieku i wymachując rękami wołał: „To wszystko Antośka narobiła, wszystko Antośka narobiła!"

Przypomnijcie sobie to zdarzenie i powiedzcie, czy choć jednem słowem zapytałem - co to się stało—i czy usłyszeliście ode mnie choć jedno słowo nagany? Przygody swoje opowiedziałyście mi same a zamiast nagany—zostaliście poprowadzeni do miednicy z wodą; na nowo was umyto, otrzymaliście świeże odzienie i poszliście szukać nowych przygód.

Widzicie, moje dzieci, na świecie jest tylko jeden sędzia—Bóg. Żadnych innych sądów niema i nie może być. Gdy wam kto powie, że sędzią jest również wasze sumienie, to nie powie wam nic innego nad to, co tu powiedziałem—bo sumienie jest to przedłużony, zachodzący w duszę waszą—rdzeń Boga. A sędziowie ludzcy? Żadnych niema. Miano „sędziów" noszą ludzie, obowiązani do przestrzegania aby nie były naruszane prawa zacnego spółżycia ludzi. Nic nadto. Mogą sobie zatem obmyślać i stosować rozmaite sposoby ku temu, by prawa były szanowane, by unieszkodliwiać lub na dobrą drogę naprowadzać ludzi, nie mogących się wdrożyć do uprzejmego pożycia

w gromadzie; mogą sobie nawet sędziowie ci wyobrażać, że referują jakąś sprawę dla Pana Boga, ale z chwilą zreferowania jej powinni wstać ze swych miejsc sędziowskich, wyjść cichuteńko za drzwi i—nie puszczając pary z ust—z uszanowaniem czekać na wyrok. Bo ten wyrok — prawdziwy, nie zaś zmyślony—dotknąć może właśnie ich, nie zaś tego, kogo sądzili.

Wielką mi sprawiło przyjemność to, iż moje dzieci—same, niepytane—opowiedziały mi przygody, jakie je spotkały w ów słoneczny ranek. Ale jak wówczas, tak i zawsze—opowiedzenie to zostawiłbym ich dobrej woli. I do nagany nigdybym się nie czuł uprawniony. Lecz gdybym wiedział, że coś wam utrudnia rozmowę z własnem waszem sumieniem, że coś chce wam przesłonić Boga, że do czystej krynicy waszego sumienia życie wam nawrzucało śmieci, kłamstw i nieczystości swoich, tedy z chęcią pomógłbym wam do powyrzucania tego plugastwa — żeby znów w nas i koło nas zapachniało czystością, świeżością i słońcem—jak w ów słoneczny ranek. Proszę was jednak, nie mówcie nigdy, jak ów chłopczyk, że „to wszystko Antośka narobiła!" Temu, co złego wynikło, nigdy nie jest winna Antośka, lecz my sami. Antośka—to cień, to złuda kinematograficzna. Jak się przed nią bronić? Otóż — to wam chcę powiedzieć. Trzeba się od cienia, od złudy — oddalić; nieraz wystarczy, by się odwrócić. Przecież dość nie odwracać się od słońca by nie widzieć cienia, a widząc cień — dość odwrócić się, by zobaczyć słońce. Gdybyśmy tak zawsze czynili, tedy coby nastąpiło? Oto — cienie ujęłyby się za ręce i musiałyby pląsać same z sobą, same z sobą — i pląsać tam, tylko tam gdzie ich miejsce: w kinematografie — i pląsając same z sobą, oddalałyby się od nas coraz dalej, coraz dalej — a koło nas byłoby coraz widniej i nam coraz bliżej — do Chrystusa!

Cóż począć na to, że rzeczy mają swe—cienie! Wszystkie rzeczy—ile ich jest! Dąb ma swój cień, cnota—swój. Cieniem woli jest bezwład; cieniem waszego sumienia jest Antośka. — Czasem, o mroku, trudno jest odróżnić cień od rzeczy. Dam

wam na to radę. Rozważcie co to jest *rozkaz*, którego cieniem jest *rozkaz fałszywy*.

W czasie wojny japońskiej pewien oddział Rosjan oczekiwał zawołania do ataku, do jednego z tych beznadziejnych ataków, które są tylko mniej lub więcej mężnem ofiarowaniem się śmierci. Płynął nad tymi ludźmi rozkaz cara i pozapalał w ich duszach iskierki obowiązku i poczucia karności żołnierskiej. Ale nie było tam ani wiary w dobrą sprawę, ani zapału, słowem nic, co by mogło rozkaz cara uczynić ich *własnym*, wewnętrznym rozkazem. Rozumiał to dowódca i kazał dać żołnierzom wódki ile zechcą, sam wypił i w decydującej chwili kazał grać matchiche'a, ujął się pod boki i ruszył pląsając pod te dźwięki, a za nim pijani żołnierze. — Nie wiem, czy młodzieńczym towarzyszom księdza Skorupki przygrywała pod Radzyminem jaka muzyka; ale po cóżby przygrywać miała; czyż nie grał im w piersiach własny rozkaz, własny choć z serca Ojczyzny idący! — Dzieci moje — na świecie rozkazuje jeden tylko Chrystus; co nie jest jego rozkazem jest fałszywym rozkazem... A swe rozkazy własnemi usty wkłada on wam do serc waszych, zaś w sercu stają się waszemi—własnemi!

* * *

A może chcielibyście wiedzieć, co ja sam sądzę o tym *Domu Cedrowym?* Lecz czy mam — zapytacie — prawo do wypowiedzenia tego zdania? Najzupełniejsze. Widzicie — sprawa jest taka. Autorstwo nie zaślepia mnie ani odrobinę, jak nie zaślepia mnie i ojcostwo. Wasze wady i usterki widzę z pewnością równie jasno, a może i jaśniej, niż obcy człowiek, lubo ten obcy ma za sobą tak zwaną objektywność sądu. Tę objektywność ja zastępuję pewnego rodzaju narzędziem lub zmysłem; lubo ten zmysł jest pochodzenia subjektywnego, lecz ponieważ traktuję go, jako „narzędzie”, kształciłem go i doskonaliłem jako „narzędzie” i posługuję się nim, jak narzędziem, więc przy jego pomocy otrzymuję takie same pewne wyniki, jakie komuś obcemu daje jego objektywność. — I powiadam,

że znaczenie *Domu Cedrowego* nie polega na tem, czy ta książka posuwa lub nie posuwa naprzód rozwiązania zagadnień metafizycznych, lecz na tem, iż — w zastosowaniu do takiego zawiłego zadania uczy „szczelności myślenia”, uczy, że trzeba zawsze zamykać za sobą drzwi, dopasowywać okna, uszczelniać wiązania; uczy, że przed myślą nie może się ostać zakrytą i niedostępną żadna prawda, gdy pójdziemy na jej zdobycie szczelnym wałem myśli; mało tego—prawda wtedy sama wyjdzie na nasze spotkanie z odsłoniętą i promienną twarzą!

Ale myślenie i jego logiczna szczelność jest to proces poniekąd zewnętrzny, któremu odpowiada coś nieskończenie głębszego — istotnie wewnętrznego — proces uszczelniania woli i uczuć! Te ostatnie z natury swej są bardziej rozlewne, niż myśli, a więc łatwiej mogą się rozlać na marne, rozlać płytką warstewką, która — byle słoneczko nagrzało — zaraz wyschnie, a z pod niej zaraz pokaże się dno ze swemi jałowemi piaskami. Jak to czasem z naszą Wisełką bywa! A dusza polska — jak Wisełka — ma głębokie nurty, ale ma i mielizny. — Jeśli szkoda bywa zbłąkanych myśli — zbłąkanych skutkiem nieszczelności ich wiązania, ileż bardziej szkoda uczuć zmarnowanych, wysychających przy pierwszem nagrzaniu słońca lub zamarzających przy pierwszym podmuchu życiowych trudności i niepowodzeń, a zawsze skutkiem — *nieszczelności powiązania ich wolą!* Uczuć bardziej szkoda — boć to uczucia, nie co innego, są zarodzią czynów i ludzi i narodów! — Owóż nawoływanie do szczelności myśli i uczuć jest właśnie ideologicznem i dydaktycznem jądrem Domu Cedrowego. Z jądra tego wypływa to, co tę książkę spaja w jedno. Jest ona napozór poplątaniem momentów artystycznych z logicznemi, uczuciowych z myślowemi. Wynika to i z natury tematu, którym jest „bezczas i bezmiar”, czyli temat, nie dający się ująć w jednym momencie, gdyż występuje we wszystkich momentach życia. Lecz wynikło to i z rozmyślnie obranej metody poglądowego wskazania, jak we wszystkich momentach pilnować myśli i uczuć, by nie wyprawiały bezużytecznych harców, lecz zawsze zachowywały dążność — do skupienia się

i uszczelniania. Bo w tem jest *siła* i myśli i uczuć — i tylko stąd wielki czyn jednostki lub narodu wypłynąć może. — Dlatego też w tej książce mówiłem o matkach, ojcach i dzieciach, aby pokazać, jak to ramiona ludzkie po przez czas i przestrzeń jedne drugie wspierają. Niech cały Naród w taki łańcuch się sprzęże, pamiętając, że pierwszem ramieniem tego łańcucha jest Chrystus, a cudów dokona...

* * *

Do widzenia, Balaamie! Do widzenia, moje dzieci!

KONIEC

SPIS RZECZY.

TEGOŻ AUTORA:

Chwile, fantazje i nowele; z przedmową Stanisława Krzemińskiego. Warszawa, 1903.
Liote, nowele; Warszawa, 1905.
Drzewa, nowele; Warszawa, 1907.
Respha, opowieści; Warszawa, 1916.
O duszę Polski; Warszawa, 1921.
Reforma włościańska 1864 r.; Warszawa, 1916.
Jaki to samorząd gminny mieliśmy pod rządem rosyjskim (pod pseud. Jana Łomżyniaka); Warszawa, 1916.
Zbiór ustaw włościańskich (łącznie z J. Kaczkowskim); Warszawa, 1918; nakł. Centr. Tow. Roln.
Zasady prawa komasacyjnego; Warszawa, 1919.
Zasady ustawodawstwa agrarnego w Król. Polsk.; Warszawa, 1920; wyd. Gł. Urz. Ziemsk.
Jak na mocy nowych ustaw dojść do własności gruntu lub dzierżawy odłogów? Przewodnik dla bezrolnych i małorolnych; Warszawa, 1920; wyd. Biura Propagan. Wewn.
Ustawa serwitutowa z dn. 7 maja 1920 r. w oświetleniu prawnem, politycznem, społecznem i gospodarczem; Warszawa, 1921; odbitka ze «Sprawy Rolnej».

W OPRACOWANIU:

Nasze Matki.
Katechizm Historji Polskiej.